Alfred Szklarski

Tomek na tropach Yeti

Spis treści:

1. **Prolog - Tropy śnieżnego człowieka**
2. **Człowiek z blizną**
3. **Pochód słoni**
4. **Domek w dżungli**
5. **Maharadża Alwaru**
6. **Polowanie na tygrysy**
7. **Tajemnice indyjskich fakirów**
8. **Kradzież pierścienia**
9. **Pandit Davasarman**
10. **W drodze do Szrinagaru**
11. **W azjatyckiej Wenecji**
12. **Mroźne tchnienie Tybetu**
13. **Klasztor w Hemis**
14. **Noc tajemnic**
15. **Gniazdo rozbójników**
16. **Podejrzany orszak weselny**
17. **Pościg i walka**
18. **Miasto pochłonięte przez pustynię**
19. **Chińska uczta i zła wiadomość**
20. **Wielka przegrana**
21. **Cień legendarnego Yeti**
22. **Zakończenie – powitanie wschodu słońca**

PROLOG - TROPY ŚNIEŻNEGO CZŁOWIEKA

Od północnego zachodu ciemnoszare, kłębiaste chmury szerokim łukiem zasnuwały zimny błękit nieba. W wysoko zawieszonych dolinach porywisty wiatr wzbijał w powietrze tumany słonawego, suchego pyłu, lecz pobliskie potężne, urwiste szczyty i wieczne lodowce gór Karakorum[*] już spowijała śnieżna nawałnica.

Czterech mężczyzn ociężałym krokiem wspinało się kamienistym szlakiem po stromym zboczu ku widocznej w dali górskiej przełęczy. Z niepokojem spoglądali na ciemniejący horyzont. Silny wicher dął z północy i szybko niósł na Wyżynę Tybetańską[*] wczesną śnieżną burzę. Trzej Tybetańczycy, poruszeni widokiem nadciągającej zawieruchy, co chwila pociągali za arkany, przywiązane do kółek wpiętych w nozdrza kosmatych jaków[*], by przynaglić zwierzęta do szybkiego marszu. Mimo to zgłodniałe i spragnione jaki wlokły się noga za nogą, opuściwszy nisko rogate łby. Przekrwionymi z wysiłku, nieco zamglonymi ślepiami spoglądały na nie mniej osłabionych ludzi.

Tybetańczycy ubrani byli w miękkie, filcowe odzienia, na które przywdzieli, niby kurtki bez rękawów, skóry jaka odwrócone włosem do wewnątrz. Nakładane przez głowę, przez wycięty w środku otwór, skóry osłaniały plecy i piersi, a ich nie zszywane na bokach krańce, przytrzymywał w talii szeroki jedwabny pas. Spod stożkowatych filcowych czapek, głęboko

---

[*] **Karakorum — góry w Azji Środkowej (Kaszmirze i Chinach) drugie na świecie po Himalajach pod względem wysokości. Wybiegają z Pamiru w kierunku południowo-wschodnim między górami Himalajami i Kunlun. Południowym krańcem wrzynają się w Tybet. Posiadają najpotężniejsze na ziemi lodowce: Hispar, Biafo, Baltoro i Sjaczen.**

[*] **Wyżyna Tybetańska obejmuje 5 głównych krain (szersze wyjaśnienie w dalszym odnośniku), z których Tybet właściwy był wówczas państwem kościelnym, rządzonym przez zwierzchnika lamów (nazwa tybetańskich duchownych) zwanego dalajlamą. Obecnie Tybet stanowi autonomiczny obszar Chińskiej Republiki Ludowej w Azji Środkowej, obejmujący największą na świecie wysokogórską wyżynę (4000-5000 m), otoczoną od południa górami Himalajami i Karakorum, a od północy Kunlun.**

[*] **Jak (Poephagus grunniens) — przeżuwacz z rodziny pustorożców. Jego ojczyzną jest Tybet oraz wszystkie wysokie, sąsiadujące z Tybetem łańcuchy górskie. Żyje tam na wysokości 4000-6000 m w stanie dzikim i oswojonym. Dla Tybetańczyków stanowi jedno z najbardziej pożytecznych zwierząt domowych, żyć jednak może tylko w ostrym klimacie, w krajach cieplejszych ginie.**

naciągniętych na głowy, zwisały im na plecy krótkie, pojedyncze, czarne warkoczyki. W filcowych butach, o cholewach sięgających kolan, pewnie stąpali po stromej ścieżynie.

Czwarty mężczyzna, zakutany w długi barani kożuch i czapę z klapkami na uszy, był Europejczykiem. Mimo fizycznego wyczerpania czujnie obserwował idących przed nim trzech krajowców przewodników. Zapewne nie darzył ich zbyt wielkim zaufaniem, ponieważ miał zatknięty za pasem, przygotowany do strzału ciężki nagan*. Gdy Tybetańczycy przystawali, żeby nabrać tchu, natychmiast opierał prawą dłoń na rękojeści broni.

Tubylcy w ponurym milczeniu ukradkowymi spojrzeniami śledzili białego wędrowca. Od dwóch tygodni wiedli go przez kamienno-piaszczystą pustynię ku Kaszmirowi*, graniczącemu z zachodnimi ziemiami Tybetu. Wyruszając ze swymi jakami w drogę, wcale nie mieli zamiaru tak znacznie oddalać się od własnych koczowisk. Podjęli się poprowadzić białego podróżnika o tydzień drogi na zachód, a tymczasem już mijał piętnasty dzień uciążliwego marszu. Małomówny biały człowiek oświadczył im stanowczo, iż zwolni ich dopiero wtedy, gdy będzie mógł nająć nowych przewodników. Krajowcy z niezmiennym uporem każdego ranka odmawiali wyruszenia w dalszą drogę i codziennie wbrew własnej woli szli coraz dalej. Biały potrafił dotąd utrzymać ich w ryzach. W jego stalowoszarych oczach nigdy nie było widać cienia wahania czy obawy. Wydawał rozkazy, wymownie opierając dłoń na rękojeści rewolweru.

Trzej krajowcy nie byli bezbronni. Posiadali długie stare strzelby i myśliwskie noże, jednak mimo to nie odważyli się stawić zbrojnego oporu. Biały podróżnik czujny był bowiem niczym żuraw. W czasie dnia szedł na samym końcu małej karawany. Czasem siadał na jaka i znużony przymykał oczy, lecz gdy tylko któryś z Tybetańczyków odwracał się ku niemu, zaraz napotykał jego przenikliwy wzrok. Podczas wieczornych obozowisk odbierał przewodnikom broń i chował ją w swoim namiocie.

Tybetańczycy kilkakrotnie próbowali w nocy zbliżyć się do niego, ale wszelkie ich wysiłki okazywały się bezskuteczne. Za najmniejszym szelestem podróżnik otwierał oczy i zaraz rozlegał się metaliczny trzask odwodzonego kurka rewolweru.

W umysłach przesądnych Tybetańczyków niestrudzony podróżnik wyrastał na jakiegoś potężnego czarownika. Czy mogli mu się sprzeciwić, skoro nieustannie czuwał uzbrojony w szybkostrzelną broń?

Tymczasem w rzeczywistości biały wędrowiec był już u kresu sił. Podczas długich, uciążliwych marszów niemal zasypiał z otwartymi oczyma, bądź też zapadał w stan odrętwienia prawie graniczącego z letargiem. Wtedy zdawało mu się, że wciąż jeszcze wędruje w pochodzie nieszczęsnych zesłańców* na Sybir. Odruchowo pochylał głowę, jakby

---

* Nagan — siedmiostrzałowy rewolwer (kaliber 7,62 mm) używany w niektórych armiach, szczególnie w rosyjskiej, od końca XIX wieku; nazwa "nagan" pochodzi od belgijskiego konstruktora Nagant.

* Kaszmir — piękny kraj górski, księstwo w północnych Indiach. Obszerniejsze wyjaśnienia znajdzie Czytelnik dalej w tekście.

* Zesłańcy — ludzie skazani przez władze państwowe na specjalny rodzaj kary pozbawienia wolności, polegającej na wywiezieniu (deportacji) i przymusowym pobycie skazanego na odległych terytoriach

chciał osłonić ją przed uderzeniami kozackich nahajek. Postękiwania zmęczonych jaków przeradzały się w jego wyobraźni w ciche, tak dobrze wryte w pamięć skargi towarzyszów niedoli. Czasem znów przywidywało mu się, że zaledwie przed kilkoma dniami umknął z korowodu więźniów i wśród kojącej ciszy błąka się w dzikich, górskich wąwozach Turkiestanu Chińskiego.

Wtem usłyszał jakieś podejrzane szepty. Czyżby to poszukiwacze złota spiskowali, by odebrać mu jego skarb? Ręka mimo woli sięgnęła do rękojeści rewolweru. Drgnął, dotknąwszy gołą dłonią zimnej stali. Przywidzenia rozwiały się natychmiast. Spojrzał już przytomnym wzrokiem.

Znajdowali się na skraju przełęczy. Tybetańczycy przystanęli i naradzali się, gestykulując rękoma. Biały podróżnik podszedł do nich.

— Za tamtymi górami jest Leh* — odezwał się do niego jeden z przewodników, wskazując ręką na południowy zachód.

— Ile dni marszu? — krótko zagadnął biały, posługując się, tak jak przewodnicy, językiem tybetańskim.

— Trzy dni, a do Hemis dwa. Zaraz za przełęczą Kaszmir. Możesz już iść sam.

— Doprowadzicie mnie do Hemis, lub w ogóle nie wrócicie do swej phaźi* — zagroził biały.

— Zły duch chyba przywiódł cię do nas — mruknął Tybetańczyk.

— Zły czy dobry, ruszajcie na przód — rzekł biały nie wypuszczając z dłoni rękojeści broni.

Cienka pokrywa świeżego śniegu zalegała całą przełęcz. Zimny wicher ze zdwojoną siłą hulał na wyniosłości. Ludzie i zwierzęta z niezmiernym wysiłkiem oddychali rozrzedzonym powietrzem.

Naraz idący na przedzie Tybetańczyk przystanął i pochylił się ku ziemi. Gdy jego towarzysze zrównali się z nim, również zamarli w bezruchu.

— Ruszajcie w drogę, głupcy! Czy nie widzicie, że burza nadciąga wprost na nas?! — krzyknął biały mężczyzna.

Tym razem przewodnicy nie zwrócili uwagi na gniewny rozkaz. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w ziemię. Podróżnik przyspieszył kroku. Wkrótce także zatrzymał się zdumiony.

Na śniegu widniały świeże, szerokie ślady bosych stóp. Wydawały się bardzo podobne do śladów pozostawionych przez człowieka, dzięki swemu ułożeniu w jednej linii, z nieznacznymi odchyleniami stóp na obydwie strony. Długość kroku wskazywała na wysoki wzrost nieznanego osobnika.

---

państwa lub w jego koloniach. Zesłanie było szczególnie szeroko stosowane w dawnej Rosji carskiej w stosunku do działaczy rewolucyjnych, tak Rosjan jak i Polaków, znajdujących się pod rosyjskim zaborem.

* Leh — stolica Ladakhu (Ladakh) — kraju należącego do Kaszmiru i położonego na jego wschodnich rubieżach.

* Phaźi — po tybetańsku zagroda.

— Mi-go, zwierzę chodzące jak człowiek! — ściszonym głosem zawołał jeden z przewodników.

— Mi-te, człowiek-niedźwiedź... — dodał drugi. — Przeczuwałem, sahibie[*], że sprowadzisz na nas nieszczęście...

— Jeśli to ślady ludzkie, to mamy najlepszy dowód, że w pobliżu musi znajdować się jakieś osiedle — głośno powiedział podróżnik. — Cieszcie się, wkrótce pozwolę wam wrócić do domu.

— Klasztor Hemis, odległy o dwa dni marszu, jest najbliższym osiedlem — odparł przewodnik. — Człowiek pieszo nie zapuściłby się samotnie tak daleko w góry! Poza tym wiesz dobrze, że Tybetańczycy nigdy nie chodzą boso! To są ślady Śnieżnego Człowieka. Kto go ujrzy, musi zginąć!

Biały podróżnik zmarszczył brwi. Podczas długoletniej włóczęgi po Azji Środkowej nieraz słyszał opowieści o tajemniczych istotach zamieszkujących górskie pustocie. Znajomy Nepalczyk, z którym przez pewien czas wspólnie poszukiwali złota w górach Ałtyn-tag[*], mówił mu o nieznanych stworach zwanych Yeti. Według wierzeń krajowców zetknięcie się z nim miało nieuchronnie sprowadzać śmierć.

Podróżnik pochylił się nad śladami wyraźnie wyciśniętymi w śniegu. Nie miał pewności, czy pozostawił je człowiek, czy też jakieś nieznane zwierzę. Jak wskazywała świeżość tropów, dziwny stwór przechodził tędy niedawno przed nimi. Podróżnik nie znał uczucia lęku. Nie wierzył w przesądy. Ani zwierzę, ani niezwykła istota ludzka nie mogły być niebezpieczne dla czterech uzbrojonych mężczyzn.

— Ślady te zapewne pozostawił niedźwiedź. Widziałem podobne w górach Ałtyn-tag — odezwał się do krajowców. — Ruszajmy w drogę! Źle będzie z nami, jeśli burza zaskoczy nas na tak znacznym, odkrytym wzniesieniu.

— Nie pójdziemy dalej! Ślady mi-te wiodą wzdłuż przełęczy. Musielibyśmy iść jego tropem. On przyczai się i poczeka na nas!

Podróżnik cofnął się o dwa kroki. Gniewnym, czujnym wzrokiem przywarł do twarzy przewodników. Nie, to nie był ich zwykły upór, który ostatnio musiał przełamywać dzień po dniu. W tej chwili w oczach Tybetańczyków malował się zabobonny, obłędny strach. Oni naprawdę wierzyli, że nawet samo spotkanie z mi-te groziło im śmiercią.

Instynkt ostrzegał podróżnika, by nie doprowadzał przesądnych krajowców do ostateczności. Mógł pokusić się o terroryzowanie ich w obliczu śmierci głodowej bądź mąk pragnienia, lecz obecnie, gdy ulegli przemożnej obawie przed legendarnym stworem, byłoby to stokroć bardziej niebezpieczne. Teraz na pewno odważyliby się nawet na nierówną walkę z lepiej uzbrojonym białym człowiekiem. Ponadto ich było trzech, a on tylko jeden... Cóż z

---

[*] Sahib oznacza w Indiach "pan".

[*] Ałtyn-tag — Altyntag, Altin Tagh.

tego, że posiadał szybkostrzelny rewolwer? Czy w decydującej chwili nie zadrży mu ręka? Przecież, oprócz głodu i pragnienia, brak snu osłabił go bardziej niż krajowców.

— Wracamy, sahibie. Jeśli szukasz śmierci, możesz sam iść dalej. Daj nam swój karabin, a pozostawimy ci jaka objuczonego twoim bagażem — odezwał się najstarszy przewodnik.

W jego głosie brzmiało tym razem tyle groźnego zdecydowania, że podróżnik zaniechał ponownego użycia przemocy.

— Dobrze, weźcie karabin w zamian za jaka — rzekł siląc się na spokój. — W którym kierunku mam iść do Hemis?

— Tą przełęczą dojdziesz wprost do zbocza wiodącego w dolinę. Po jednym dniu marszu na południe ujrzysz przed sobą na skałach klasztor. Jeśli nie spotka cię nieszczęście, nie zabłądzisz — wyjaśnił przewodnik.

Odpiął karabin zawieszony na jukach jaka, po czym podał podróżnikowi postronek przywiązany do kółka wpiętego w nozdrza zwierzęcia. Pod wpływem przesądnej obawy przewodnicy uporczywie wpatrywali się w ziemię, obawiając się spoglądać w głąb przełęczy, gdzie mógł czaić się nieznany, groźny Człowiek Śniegu.

Biały podróżnik uśmiechnął się wyrozumiale, widząc wyraz panicznego lęku, malujący się na twarzach krajowców. Lewą dłonią ujął podany mu postronek, podczas gdy prawą wsunął pod kożuch. Dotknął nią ukrytego na piersiach długiego, pękatego woreczka. Miał zamiar ofiarować przewodnikom kilka grudek złotego kruszcu, lecz naraz uzmysłowił sobie, że mogą go zabić, ujrzawszy prawdziwe nugety*.

Z ciężkim westchnieniem cofnął dłoń, by machnąć na pożegnanie pospiesznie oddalającym się Tybetańczykom.

Pozostał sam wśród niebosiężnych, ubielonych, groźnych szczytów górskich. Zimny wicher smagał go po twarzy. Wtulił głowę w kożuch i ruszył w drogę wzdłuż tajemniczych śladów, czerniejących na śniegu niczym paciorki olbrzymiego różańca. Jak, szarpnięty za kółko wpięte w nozdrza, ociężale powlókł się za nim. Co chwila pochylał nisko głowę i szorstkim ozorem chciwie lizał śnieg pokrywający zmarzniętą ziemię.

Wicher hulał coraz śmielej. Wirował opętańczo płatkami śniegu, wzbijał z ziemi białe tumany. Podróżnik przecierał dłonią zmęczone oczy, nie zważając na własne osłabienie, przyspieszał kroku. Chciał zejść w dolinę przed zapadnięciem nocy. Pierś jego unosiła się w ciężkim, nieregularnym oddechu. Z trudem chwytał ustami powietrze.

Po godzinnym marszu dobrnął do drugiego krańca przełęczy. Przystanął, żeby nabrać tchu. Rozgorączkowanym wzrokiem wodził po niezbyt stromym zboczu. Naraz przechylił się poza skalną krawędź. Osłonił ręką oczy, by lepiej widzieć.

W głębokiej dolinie leżącej u jego stóp na samym niemal końcu ścieżki wijącej się po zboczu góry, wędrował w dół dziwny, rudawy stwór, przypominający sylwetkę nagiego człowieka. Podróżnik, niepewny, czy nie ulega złudzeniu, przetarł oczy dłonią. Dziwny stwór

* Nugety — bryłki rodzimego złota.

nie znikał. Lekko pochylony, zwinnie szedł w dół zbocza. Na krótko skrył się za załomem skalnym, potem znów ukazał się na ścieżce.

Podróżnik wyszarpnął zza pasa ciężki nagan. Wypalił w powietrze. Na huk strzału, szeroko rozniesiony echem po górach, dziwny stwór przystanął na chwilę i odwrócił spiczastą, pokrytą włosem głowę. Następnie pomknął ku dolinie i zniknął w śnieżnym tumanie.

Biały człowiek schował rewolwer i przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu. Poczuł się niezwykle osamotniony i straszliwie słaby. Głód, pragnienie, a nade wszystko długi brak pokrzepiającego snu, zbierały teraz swe zdradliwe żniwo. Obecność trzech Tybetańczyków zmuszała go do ustawicznej gotowości do samoobrony. Teraz, gdy oni odeszli, cała niezmożona dotąd siła woli i energia nagle ustąpiły miejsca niezwykłej słabości. Czerwonawa mgła przesłoniła mu oczy. Ostatkiem świadomości bronił się przed krążącą wokół niego śmiercią. Czuł, że jeśli nie pokrzepi się snem, zginie w drodze.

Jeszcze raz zdołał zapanować nad słabością. Chwiejnym krokiem ruszył w dół zbocza, wlokąc za sobą potykające się juczne zwierzę.

Chmury już zasnuły całe niebo. Gęsty śnieg, miotany zawieruchą, spowijał ziemię białym całunem. Nim noc zapadła, podróżnik znalazł się na samym dnie doliny. Jak wlókł się za nim. Wyczerpane zwierzę wysunęło ozór z pyska, ale nie miało już siły lizać wilgotnego śniegu. Potknęło się kilka razy, w końcu ciężko opadło na przednie kolana. Podróżnik chciał pomóc zwierzęciu powstać na nogi. Obydwiema dłońmi chwycił je za róg, lecz równocześnie sam osunął się na ziemię. Jak, stęknąwszy głucho, przewrócił się na bok.

Przez długą chwilę podróżnik leżał obok zdychającego zwierzęcia, opierając twarz na jego stygnącym ciele. Przemożne zmęczenie zwycięsko kończyło walkę z instynktem samozachowawczym człowieka, nakazującym mu podnieść się i iść dalej. Powieki same opadły na oczy. Pogrążał się w półletarg. Bezwładnym ruchem stoczył się z jaka plecami na ziemię. Mroźny wicher natychmiast sypnął mu śniegiem w twarz. Podróżnik jeszcze raz otworzył oczy i uniósł głowę. Nogi jaka zniknęły już pod śniegiem. Wyraz przerażenia odmalował się o oczach człowieka. Z największym trudem dźwignął się na czworaki, potem opierając się o zwierzę, stanął na nogi. Zgrabiałymi rękoma zaczął rozsupływać juki. Odtroczył bambusowy kij, wydobył brezentowy namiot. Minęła godzina, zanim młotkiem wbił żelazne kołki w zmarzniętą ziemię. Przywiązywanie do nich rzemieni brezentu szło bardzo opornie. Wicher bezlitośnie wyszarpywał z jego rąk płachtę namiotu, przewracał drążek. Na wpół skostniały człowiek wyciągnął z juków futrzany śpiwór. Razem z nim wpełzł pod brezent. Jedynym jego pragnieniem było rozgrzać ręce. Wtedy dałby sobie radę z dokończeniem budowy namiotu. Całonocny spokojny sen przywróciłby mu utracone siły. Nazajutrz jakoś dowlókłby się do klasztoru w Hemis.

Pokrzepiony tą nadzieją pogrążył w worze tylko głowę i ramiona. Przymknął oczy, czekając aż rozgrzeją mu się zgrabiałe dłonie. Powoli zatracał poczucie czasu. Błogi bezwład

ogarniał jego członki. Źle przymocowany rzemień na jednym z kołków przytrzymujących płachtę namiotu rozsupłał się z węzła. Targnięty wichurą brezent załopotał niczym flaga i osłonił wystające z wora nogi podróżnika.

Noc zapadła nad górską doliną. Zawieja śnieżna przybierała na sile. Śnieg pokrywał martwego jaka i człowieka umierającego ze zmęczenia pod płachtą namiotu. Wiatr wył triumfalnie i wzbijał w powietrze śnieżne tumany.

Tuż przed świtem, jak to się zwykle dzieje w tych okolicach, wichura zaczęła przycichać. W dali rozbrzmiało jękliwe huczenie długich, mosiężnych trąb, którymi lamowie od wieków oznajmiali światu nadejście nowego dnia. W tym właśnie czasie w dolinę wjechał samotny jeździec. Na odgłos trąb przynaglił konia do szybszego biegu. Śnieg tłumił tętent wierzchowca. Nagle koń uniósł głowę, zastrzygł uszami, cicho zarżał i rzucił się w bok.

Jeździec przytrzymał się kulbaki. Już miał smagnąć konia arkanem, gdy naraz ujrzał wystający spod śniegu róg jaka. Uważnie rozejrzał się wokoło. Z pobliskiej zaspy śnieżnej wystawał koniec bambusowego kija. Po chwili wahania jeździec zeskoczył z wierzchowca. Zbliżył się do zaspy. Zanurzył w nią rękę. Dotknął brezentu. Nogami rozkopał śnieg. Ujrzał filcowe buty. Pochylił się, odrzucając rękoma śnieg. Wkrótce wyciągnął ze śpiwora skostniałego mężczyznę. Gołą dłonią dotknął jego twarzy. Była jeszcze ciepła. Szybko rozpiął na nim futro, by sprawdzić, czy serce nie przestało bić w jego piersi. Z trudem wyczuwalne uderzenia nie rokowały zbyt wielkich nadziei. Zastanawiał się, co ma uczynić, gdy naraz ujrzał pękaty woreczek na piersi nieprzytomnego. Przesunął dłonią po woreczku, po czym drapieżnym ruchem rozchylił otwór. W promieniach wschodzącego słońca błysnęło prawdziwe złoto.

Już sięgnął po nóż, aby przeciąć rzemień, na którym na szyi zwisał woreczek, gdy wtem tuż za jego plecami rozległ się chrzęst śniegu. Jeździec obejrzał się i natychmiast szybko przykrył kożuchem pierś zmarzniętego człowieka. Z obłudnym, uniżonym uśmiechem na ustach powitał lamę z klasztoru w Hemis oraz jego dwóch służących.

Lama lekko skinął głową. Nie przestając odmawiać różańca, wzrokiem wydał nieme polecenie służącym. Zsiedli z osłów. W milczeniu rozgrzebali zaspę. Jeden z nich wlał do ust zmarzniętego kilka kropel jakiegoś rozgrzewającego płynu, po czym ostrożnie potarł śniegiem jego twarz. Po jakimś czasie nieszczęsny podróżnik uchylił powiek. Najpierw spostrzegł pochyloną nad sobą przeciętą szeroką blizną twarz jeźdźca, potem ujrzał mamroczącego modlitwę lamę i jego służących. Zanim zdążył rozchylić usta, by odezwać się, znów zapadł w odrętwienie.

Lama cichym głosem wydał krótki rozkaz. Służący wraz z jeźdźcem z blizną na twarzy ostrożnie ułożyli nieprzytomnego podróżnego na grzbiecie osła. Pospiesznie ruszyli w drogę ku klasztorowi.

Nieszczęsny biały podróżnik z wolna odzyskiwał przytomność. W końcu zdołał otworzyć oczy. Z bieli sufitu wzrok jego przesunął się na poważne, zatroskane twarze lamów. Wśród nich dojrzał człowieka z szeroką blizną. Uczynił olbrzymi wysiłek i wyszeptał:

— Czy... będę żył?

— Jeśli nie jest ci przeznaczone inaczej, duch pozostanie jeszcze w twoim ciele — filozoficznie odparł jeden z lamów.

— Gdzie jestem?

— Znajdujesz się w klasztorze w Hemis.

Błysk radości pojawił się w oczach na wpół żywego człowieka.

— Dzięki Bogu, do was właśnie chciałem dotrzeć... — szepnął.

— Kto zdąża do świętego miejsca zjednuje sobie łaskę Buddy*.

Podróżnik zacisnął zęby pod wpływem straszliwego bólu.

— Odzyskuje czucie, to dobry znak — powiedział mnich. — Najwyższy czas powziąć decyzję...

— Czy nie lepiej, żeby umarł, niż żył tak okropnie okaleczony?! — zawołał człowiek z blizną.

— Nie my daliśmy mu życie, więc nie będziemy skazywali go na śmierć. Co przeznaczone, musi się spełnić — rzekł lama i znów wlał kilka kropel życiodajnego płynu do ust zemdlonego.

Podróżnik odzyskał przytomność.

— Chcę zawiadomić brata... muszę wysłać list. Trzeba go natychmiast napisać po angielsku — szepnął. — Kto może napisać?

— Uspokój się, sahibie, umiem pisać w tym języku. Mieszkam w Leh, wyślę twój list. Ja pierwszy znalazłem cię w zaspie śnieżnej — pośpiesznie zawołał człowiek z blizną.

— Wynagrodzę cię sowicie...

Sięgnął ręką do piersi. Dopiero teraz spostrzegł, że jest rozebrany i leży na matach przykryty kocem. Lamowie dojrzeli jego niepokój. Jeden z nich odezwał się:

— Będziemy strzegli twego skarbu. Nie myśl teraz o niczym. Gdy przebudzisz się, uczynimy wszystko, co zechcesz.

— Muszę napisać do mego brata... — szepnął podróżnik.

Pod wpływem okropnego bólu znów zaczął tracić przytomność. Lamowie porozumieli się wzrokiem. Jeden z nich wsączył mu w rozchylone usta nasenny napój. Podróżnik ciężko westchnął. Z wolna zapadał w stan odrętwienia. Lamowie odkryli koc. Pochylili się nad sinawobiałymi, odmrożonymi nogami nieszczęsnego człowieka.

---

* **Budda — bóg wyznawców buddyzmu. Szersze objaśnienie dalej w tekście.**

CZŁOWIEK Z BLIZNĄ

Na wschodnim horyzoncie sinawe pasmo lądu wyłaniało się ze szmaragdowych fal Morza Arabskiego. Statek "Gwiazda Południa", w miesiąc po wypłynięciu z Hamburga[*], zbliżał się do Bombaju[*], zwanego również Bramą do zachodniej części Półwyspu Indyjskiego[*].

Po pewnym czasie na pokładzie pojawił się barczysty olbrzym. Rozejrzał się wokoło, jakby kogoś szukał, a dojrzawszy Tomka, zwinnym, lekkim krokiem podszedł do niego. Rubasznie klepnął go po ramieniu i zapytał:

— Coś się tak zagapił, brachu? Nic tu nie wypatrzysz, bo ktoś inny już odkrył Indie.

— Do licha, bosmanie, chyba jest pan jasnowidzem! Prawie odgadł pan moje myśli! Właśnie rozmyślałem o pewnej ciekawostce z dziejów odkryć geograficznych związanej z Indiami — odparł Tomek obrzucając bosmana, Tadeusza Nowickiego, wesołym spojrzeniem.

— Nie trzeba być jasnowidzem, żeby odgadnąć, o czym myślisz. Wrodziłeś się, brachu, w swego ojca. On również wciąż wodzi nosem po książkach, byle tylko wyczytać, kto pierwszy odkrył jakieś tam bajoro czy górę, bądź też jakie dzikie bydlęta żyją w różnych krajach.

— Oj, bosmanie! Przygaduje nam pan z tego powodu, lecz sam ciekawi się tymi sprawami nie mniej od nas — odpowiedział Tomek śmiejąc się głośno.

— Z kim kto przestaje, takim sam się staje. No, ale skoro los już pokarał mnie towarzystwem moli książkowych, to gadaj, o czym rozmyślałeś.

---

[*] Hamburg — portowe miasto w północno-zachodnich Niemczech.

[*] Bombaj — drugie co do wielkości miasto w Unii Hinduskiej leżące na małej wysepce odległej o około 12 km od środkowo-zachodniego wybrzeża Półwyspu Indyjskiego.

[*] Należy wyjaśnić, że Autorzy "Polskiego Nazewnictwa Geograficznego Świata", przygotowanego przez Instytut Geografii Polskiej Akademii Nauk (PWN 1959 r.), zalecają używanie terminu India na określenie państwa indyjskiego (Unii Hinduskiej), a termin Indie zachowują dla regionu geograficznego obejmującego poza Indią — Pakistan, Cejlon i Nepal. Mimo dania pierwszeństwa nazwie India, "Polskie Nazewnictwo Geograficzne Świata" uznaje równorzędność terminów India i Indie, jako określeń państwa hinduskiego. W niniejszej powieści autor nie chcąc stwarzać możliwości dwuznacznej interpretacji znaczenia terminu India, które może zdarzyć się przy jego odmianie, używa terminu Indie, jako określenia państwa hinduskiego, a termin Półwysep Indyjski, gdy ma na myśli region geograficzny.

— Przeniosłem się myślami w XV wiek, kiedy to portugalski żeglarz, Vasco da Gama*, jako pierwszy Europejczyk, dotarł drogą morską do Indii, a ściślej mówiąc, do portu Kalikat*.

— Stara to i znana nawet ciurze okrętowemu historia — rzekł bosman wzruszając ramionami. — Dlaczego akurat teraz przyszła ci ona do głowy? Przecież Kalikat leży dalej na południu, u podnóża Ghatów Zachodnich*. Wobec tego nie ujrzymy go nawet z daleka!

— Ma pan rację! Historia odkrycia drogi morskiej do Indii jest powszechnie znana, lecz czy panu również wiadomo, że w dniu historycznego lądowania Vasco da Gamy w Kalikacie, wśród dworzan tubylczego władcy witających go w porcie znajdował się Polak, który, jak z tego wynika, musiał tam przybyć o wiele wcześniej od Portugalczyka?

— Ejże, brachu, czy poważnie to mówisz?

— Oczywiście, kochany panie bosmanie.

— No, no, naprawdę nic o tym nie wiedziałem. Któż to był taki?

— Był to polski Żyd z Poznania.

— Niech go licho porwie! A to cwaniak! W jaki sposób tam przywędrował?

— Właśnie się nad tym zastanawiałem, ponieważ tylko wiem, co się z nim później stało. Otóż Vasco da Gama nie zdołał pozyskać przychylności krajowców, wobec czego rozgniewany opuścił miasto i na "pożegnanie" ostrzelał je z armat oraz uprowadził uwięzionych na statku zakładników indyjskich. Wśród porwanych znajdował się również nasz poznaniak. On to właśnie po przybyciu do Portugalii zmienił nazwisko na Gaspara da Gama lub Gaspara da India i jako doskonale znający Indie, odegrał potem pewną rolę w ich podbiciu przez Europejczyków*.

Bosman wysłuchał uważnie Tomka i rzekł:

— Ty, brachu, zawsze potrafisz wyszukać Polaka nawet w korcu maku. Nie czas jednak teraz na takie pogawędki. Stale rozmyślam, czy zastaniemy naszego druha, pana Smugę, całego i zdrowego.

---

* Portugalski żeglarz Vasco da Gama urodził się w Sines ok. 1460 r. Dnia 20 maja 1498 dotarł do Kalikat, odkrywając tym samym morską drogę do Indii. Drugą wyprawę odbył 1502-3, a trzecią w 1524 i wtedy, wkrótce po przybyciu do Indii, zmarł w Koczinie. Był świadomym celu, lecz bezwzględnym w środkach odkrywcą. Dążył przede wszystkim do otwarcia nowych dróg handlowych w celu umocnienia potęgi swego kraju.

* Kalikat (Calicut) — port i miasto na Malabarskim Wybrzeżu, to jest wąskim pasie nizinnym między morzem a górami Ghat Zachodnimi. Góry Ghat Wschodnie natomiast, leżące wzdłuż wschodniego wybrzeża Wyżyny Dekanu obramowują tak zwane Koromandelskie Wybrzeże.

* Wyżyna Dekanu Indii Przedgangesowych (Przednich), wzniesiona na 600 do 900 m nad poziomem morza, obniża się ku wschodowi. Zachodnim jej obramowaniem są góry Ghat Zachodnie.

* Portugalczycy pierwsi z Europejczyków zaczęli zakładać kolonie na wybrzeżach Półwyspu Indyjskiego. Obok nich uzyskali tam w XVIII w. większe wpływy Holendrzy, a potem Francuzi. Ci ostatni na skutek wojen prowadzonych w XVIII w. z Anglią w Europie, Ameryce i Azji, utracili Indie na rzecz Wielkiej Brytanii. Odtąd stały się one na długi czas jedną z najważniejszych posiadłości brytyjskich, a król angielski ogłosił się cesarzem Indii. Dopiero po długiej walce narodu hinduskiego kolonizatorzy zostali zmuszeni do przyznania Indiom niepodległości. 15 sierpnia 1947 r. dokonano podziału Indii na dwa dominia: Unię Hinduską, tj. niepodległą republikę oraz Pakistan (muzułmańską republikę). Ostatnie kolonie europejskie w Indii, to jest małe portugalskie enklawy: Goa — na południe od Bombaju, Daman na północ od Bombaju i wysepka Diu — leżąca u południowego cypla półwyspu Katiawar, zostały oswobodzone przez Indie sprawnie przeprowadzoną akcją militarną w połowie grudnia 1961 r.

— Ojciec i ja również niepokoimy się o niego. Zbyt wiele daje do myślenia lakoniczność depeszy, którą otrzymaliśmy pięć tygodni temu.

— Pokaż no ją jeszcze raz!

Tomek wyjął z portfelu depeszę. Obydwaj pochylili się nad nią i czytali:

Andrzeju — przyjeżdżaj natychmiast z Tomkiem i bosmanem do Indii. Spotkamy się w Bombaju. Wiadomość w biurze Dalekomorskich Wschodnich Linii Okrętowych. Konieczna wasza pomoc — Smuga.

— Kiepsko muszą wyglądać jego sprawy, skoro tak napisał — mruknął bosman. — Taki stary wyga i zuch jak Smuga nie "posiałby cykorii" przed byle jaką awanturką.

— Racja, bosmanie. Zapewne ojciec był również tego zdania, skoro natychmiast wezwał mnie z Londynu, nie licząc się z tym, że do końca roku szkolnego brakowało jeszcze kilku tygodni — odparł Tomek.

— Ha, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by jak najprędzej znaleźć się przy naszym druhu. Patrz, brachu! Bombaj widać już jak na dłoni. Chodźmy pomóc twemu szanownemu ojcu w pakowaniu manatków — zaproponował.

Wprost z portu, znajdującego się w dzielnicy europejskiej, trzej podróżnicy udali się w dwukołowych rykszach, ciągniętych przez kulisów, do najbliżej położonego hotelu. Podczas drogi ciekawie przyglądali się miastu. Bombaj stanowił jedno z głównych centrów handlowych Indii. W zeuropeizowanym śródmieściu, zbudowanym głównie z inicjatywy Brytyjczyków, wznosiły się wspaniałe, nowoczesne budynki. Tutaj zadomowiły się zarządy angielskich przedsiębiorstw przemysłowych i zamożne banki, a wystawy luksusowych magazynów oraz sklepów wabiły oko przeróżnymi przedmiotami zbytku. W białych rykszach przemykali szerokimi ulicami wyniośli, dumni Anglicy, bądź ich żony ubrane w szeleszczące jedwabiem suknie. W tej części Bombaju krajowcy — mężczyźni, jako pracownicy angielskich przedsiębiorstw, zarzucili swe narodowe stroje na rzecz ubrań noszonych przez chlebodawców. Jedynie Hinduski paradujące nadal w barwnych sari[*] oraz błyszczące w słońcu kopuły hinduskich świątyń i minarety muzułmańskich meczetów zakłócały na wskroś europejski wygląd miasta.

Bosonoga, bezszelestnie poruszająca się służba hinduska przeniosła ich bagaże do wynajętych pokoi. Szybko przebrali się i znów wyszli na zalaną tropikalnym słońcem ulicę. W sąsiedztwie hotelu znajdowała się rozległa willa, w której mieścił się klub przeznaczony wyłącznie dla Europejczyków. Ocienione zasłonami okna zachęcały do wypoczynku w czasie skwarnego dnia w wygodnych, chłodnych pomieszczeniach klubowych, ale zatroskani o los przyjaciela podróżnicy nie ulegli pokusie.

---

[*] Sari — sztuka szerokiego materiału długości od 5 do 9 m, którym Hinduska spowija się, zamiast nosić suknię szytą przez krawcową. Sposób noszenia i oryginalnego wiązania sari każda dziewczyna przyswaja sobie od najmłodszych lat.

Wsiedli do ryksz, każąc się zawieźć do biura Dalekomorskich Wschodnich Linii Okrętowych.

Mimo wczesnej popołudniowej pory w biurze linii okrętowej panował ożywiony ruch. Tomek niecierpliwie rozglądał się, czy przypadkiem nie ujrzy Smugi w tłumie interesantów, lecz ojciec pociągnął go za rękaw i razem podeszli do stolika opatrzonego napisem "Informacja".

Mężczyzna o śniadej twarzy i kruczoczarnych włosach uprzejmie ich zagadnął:

— Czym mogę służyć szlachetnym sahibom?

— Nasz przyjaciel Jan Smuga obiecał pozostawić w biurze panów wiadomość dla nas — odparł Wilmowski. — Czy mógłby pan nam powiedzieć, do kogo mamy zwrócić się w tej sprawie?

— Czy mam przyjemność rozmawiać z sahibem Wilmowskim? — zapytał urzędnik, obrzucając podróżników badawczym spojrzeniem.

— Jestem Andrzej Wilmowski, a to mój syn Tomek i pan bosman Tadeusz Nowicki.

— Bardzo przepraszam szlachetnych sahibów, lecz jestem zmuszony prosić o okazanie dokumentów w celu stwierdzenia tożsamości przyjaciół sahiba Smugi — powiedział urzędnik.

— Służymy panu, oto nasze paszporty — odpowiedział Wilmowski.

Urzędnik dokładnie przejrzał dokumenty, po czym podniósł się z krzesła i skłonił głowę mówiąc:

— Cieszę się z poznania szlachetnych sahibów. Moje nazwisko jest Abbas. To u mnie właśnie sahib Smuga pozostawił wiadomość oraz cenny depozyt dla sahibów.

— Miło nam poznać pana — odpowiedział Wilmowski, witając się z urzędnikiem. — Przyjaciel nasz obiecał oczekiwać na nas w Bombaju. Zapewne ma pan jego adres?

— Sahib Smuga obecnie nie przebywa w Bombaju. W liście znajdą sahibowie wyjaśnienia.

— Wobec tego bardzo proszę o ten list.

— Niestety nie mam go przy sobie. List oraz cenny depozyt przechowuję u siebie w mieszkaniu.

— A cóż to za cenny depozyt pozostawił pan Smuga? — zaciekawił się Tomek.

Urzędnik podejrzliwym wzrokiem rozejrzał się wokoło. Upewniwszy się, że nikt nie może podsłuchać, pochylił się ku podróżnikom i wyjaśnił ściszonym głosem:

— Jest to woreczek napełniony złotem, jednak bezpieczniej nie rozmawiać tutaj o tym. Od czasu gdy sahib Smuga pozostawił u mnie swój depozyt, odnoszę wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Myszkowano nawet w moim prywatnym mieszkaniu. Na szczęście sługa mój spłoszył intruza. Za trzy godziny kończę pracę. Będę oczekiwał u siebie na szlachetnych sahibów. Oto mój adres.

Zaintrygowani słowami urzędnika opuścili biuro linii okrętowej. Korzystając z wolnego czasu, wstąpili do restauracji na obiad.

— A to ci heca! Coś mi się wydaje, że Smuga wpycha palec między drzwi — odezwał się bosman, gdy zasiedli przy stoliku.

— Zapewne grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. W depeszy przecież pisał, że potrzebuje naszej pomocy — cicho dodał Tomek.

— Wkrótce dowiemy się, o co chodzi. Teraz nie warto snuć domysłów — powiedział Wilmowski. — Jeśli podczas obiadu zajmiemy się tylko jedzeniem, na pewno nikomu nie przyczynimy tym zbędnych kłopotów. W niektórych przypadkach i ściany mają uszy.

— Słuszna uwaga, ojcze. Pamiętajmy o tym, co usłyszeliśmy od pana Abbasa — dodał Tomek.

— Bosmanie, czy masz broń przy sobie? — zapytał Wilmowski.

— Bądź spokojny, Andrzeju. Pukawka jak zwykle spoczywa w bosmańskiej kieszonce.

— Ja też mam rewolwer, ojcze — wtrącił Tomek.

— To dobrze. Bierzmy się do jedzenia.

Około dziewiątej wieczorem rykszami udali się pod wskazany przez Abbasa adres. Rykszarze z wolna torowali sobie drogę ku dzielnicy zamieszkiwanej przez krajowców. Teraz podróżnicy mieli możność naocznie się przekonać, że Indie były krajem najbardziej jaskrawych kontrastów. Na każdym niemal kroku oszałamiały wprost swą egzotyką oraz niezwykłymi zwyczajami mieszkańców.

Nowoczesne śródmieście nie ukazywało właściwego oblicza Indii. Gdy jednak wjechali w starą dzielnicę krajowców, obraz uległ zasadniczej zmianie. Teraz znaleźli się w krętych i wąskich uliczkach. Domy o poszczerbionych murach wybiegały podcieniami nad chodniki. Zniknęły luksusowe sklepy. W zamian, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać kramy, jatki i przygodne uliczne stoiska. Nie widać tu już było strojów europejskich. Bez względu na porę dnia czy nocy ulice przepełniał tłum ludzi odzianych według starego, indyjskiego obyczaju. Wielu z nich nie posiadało własnego skrawka dachu nad głową. Rodzili się, mieszkali i umierali wprost na ulicy. Handlarze rozkładali swoje towary przed domami. Sprzedawali odzież, naczynia, słodycze, owoce, ochłapy mięsne i jarzyny. W cieniu czarnych parasoli dentyści wyrywali zęby delikwentom, fryzjerzy golili i strzygli. Rzemieślnicy pracowali w warsztatach rozłożonych w podcieniach domów.

Rykszarze dokazywali cudów zręczności lawirując wśród handlarzy i przechodniów. W pewnej chwili Tomek wychylił się z rykszy, by przyjrzeć się zaklinaczowi węży. Stary Hindus, otoczony gromadką ciekawskich, przygrywał na flecie jadowitej kobrze*, kołyszącej się przed nim w takt monotonnej melodii. Nieco dalej jakiś fanatyk religijny — uważany przez współwyznawców za świętego — stał na głowie, trzymając wyprostowane w górę nogi.

---

* Kobra (Cobra de Capello) — zwana również okularnikiem, a w języku krajowców znana jako: Nalla-pamba, Czinda-negu lub Naga, należy do najjadowitszych węży na świecie.

Przechodzące kobiety dźwigały na głowach dzbany z wodą bądź z oliwą i kosze napełnione różnymi produktami. Wielu żebraków, nierzadko o twarzach noszących znamiona trądu*, wyciągało chude ręce w natarczywej prośbie o jałmużnę. Wśród tłumu ludzi krowy bezkarnie myszkowały wokół straganów, poszukując pożywienia, a gdzieniegdzie, w cieniu murów, spały bezdomne dzieci lub odziani w łachmany kulisi.

Tomek z niezwykłym zainteresowaniem przyglądał się przedziwnemu, rozkrzyczanemu, kolorowemu miastu. Po jakimś czasie ryksze zatrzymały się przed dwupiętrowym wąskim budynkiem. Na parterze znajdował się mały kramik. Przez otwór drzwiowy, nie osłonięty w tej chwili matą, widać było wróżbitę o przebiegłym "wszechwiedzącym" wyrazie twarzy. Przyciszonym głosem przepowiadał przyszłość przykucniętej przed nim młodej dziewczynie. Gdy ryksze przystanęły przed domem, zza parawanu stojącego za plecami wróżbity wysunęła się głowa spowita w duży turban. Czarne jak węgiel oczy przylgnęły spojrzeniem do białych podróżników, po czym przecięta szeroką blizną twarz bez drgnienia powiek zniknęła za parawanem.

Wilmowski pierwszy wszedł do mrocznej sieni. Wokół unosił się swąd oliwy.

— Pitraszą kolację — mruknął bosman, potykając się na schodach.

— To chyba tutaj — odezwał się Wilmowski.

Przystanął właśnie przed drzwiami. Wydobył pudełko z zapałkami. Przy migotliwym świetle odczytał napis na wizytówce i zapukał.

Drzwi otworzył hinduski służący.

— Czy zastaliśmy pana Abbasa? — zapytał Wilmowski.

— Dobry wieczór szlachetnym sahibom — powitał ich Abbas, ukazując się za służącym w przedpokoju. — Proszę wejść, właśnie przed chwilą wróciłem do domu.

Wprowadził ich do wygodnie urządzonego pokoju. Obydwa okna, z których jedno wychodziło na ulicę, a drugie prawdopodobnie na podwórze na tyłach domu, były zasłonięte lekkimi barwnymi matami. W kącie na trójnogu płonął kaganek oliwny. Mdłe światło leniwie pełzało po ścianach i prawie nie docierało do pogrążonego w półmroku sufitu.

— Proszę, niech sahibowie będą łaskawi spocząć — mówił Abbas.

Przysunął do małego stoliczka niskie taborety, a sam usiadł za biurkiem w trzcinowym fotelu. Bosman zakurzył fajkę, Wilmowski i Abbas zapalili papierosy.

— Przede wszystkim muszę wyjaśnić szlachetnym sahibom, dlaczego zachowuję pewną ostrożność, rozmawiając o sprawach sahiba Smugi — zaczął Abbas. — Otóż mój znajomy, dostojny Pandit Davasarman, prosił mnie w imieniu sahiba Smugi o przechowanie dla jego przyjaciół listu oraz wartościowego depozytu. Okoliczności tak się ułożyły, że sahib Smuga musiał udać się na północ przed przyjazdem sahibów. Uprzedzono mnie o znacznej wartości depozytu, wobec czego ulokowałem go w schowku w moim mieszkaniu. Wkrótce

* Trąd, lepra — przewlekła choroba zakaźna, w przebiegu której powstają rozpadające się nacieki w skórze, śluzówkach, tkance nerwowej itp., prowadzące do rozległych zniekształceń, zniszczenia tkanek, wreszcie do śmierci. Leprosorium to miejsce odosobnienia, szpitale dla chorych na trąd.

spostrzegłem, że jestem śledzony przez jakiegoś człowieka, starannie ukrywającego twarz. Zacząłem mieć się na baczności i pewnego dnia omal go nie schwytałem. Niestety, mimo na pozór wątłej budowy okazał się znacznie silniejszy ode mnie. Powalił mnie uderzeniem pięści. Wszakże podczas szamotania udało mi się zerwać z jego głowy kaptur burnusa*. Wówczas to ujrzałem twarz, przeciętą szeroką blizną. Jak już powiedziałem, zdołał umknąć. Tego samego wieczoru zakradł się tutaj do mieszkania, lecz na szczęście został spłoszony przez mego służącego. Wprawdzie od tej pory nie widziałem go więcej, lecz stale mam wrażenie, że kręci się gdzieś w pobliżu.

— Czy pan wiąże fakt śledzenia pana z powierzonym mu depozytem? — zapytał Wilmowski.

— Prowadzę spokojny tryb życia. Nigdy nie miałem z kimkolwiek zatargów. Kłopoty zaczęły się dopiero po przyjęciu depozytu na przechowanie. Ponadto mój służący odniósł wrażenie, że włamywacz szukał czegoś ściśle określonego. Powiedz sam szlachetnym sahibom, czy tak właśnie było.

Ostatnie słowa Abbas skierował do służącego, nalewającego do filiżanek herbatę z mlekiem. Ten postawił dzbanek na tacy i rzekł:

— To prawda, szlachetni sahibowie. Nie miałem wątpliwości, że on szukał schowka. Obserwowałem go chwilę zza portiery, zanim zawołałem o pomoc. Wówczas czmychnął natychmiast.

— Jeśli tak się sprawa przedstawia, to odzyska pan spokój pozbywając się kłopotliwego depozytu — powiedział Wilmowski. — Gdzie obecnie przebywa pan Smuga? Czy powiadomił go pan o tajemniczym człowieku z blizną na twarzy?

— Nie znam miejsca pobytu sahiba Smugi. Wiem tylko, że razem z dostojnym Panditem Davasarmanem udali się na północ kraju. Z tego też względu nie mogłem powiadomić ich o zaistniałych wypadkach.

— Któż to jest ten pan Pandit Davasarman? — zagadnął Tomek.

— To bardzo uczony i zamożny człowiek. Jest szwagrem maharadży* Alwaru* — wyjaśnił Abbas. — Niewątpliwie w liście znajdą sahibowie dalsze informacje.

— Wobec tego poprosimy pana o list i depozyt.

Abbas skinął głową. Podniósł się z fotela, po czym zbliżył się do ściany pokrytej misternie zdobioną boazerią*. Przesunął dłonią po płaskorzeźbie wyobrażającej głowę jakiejś mitycznej* poczwary. Zapewne uruchomił dotykiem palców ukryty mechanizm, gdyż w tej chwili część boazerii odchyliła się od ściany, ukazując drzwiczki małej, pancernej kasy.

---

* Burnus — szeroki płaszcz z kapturem, bez rękawów, z białej wełny, noszony przez Arabów.

* Maharadża — wielki władca, wielki król, tytuł zwierzchnika kilku radżów, to jest lokalnych władców panujących w niezależnych bądź wasalnych (podległych królowi) państewkach w Indiach Wschodnich i na Archipelagu Malajskim.

* Alwar — miasteczko, a zarazem stolica państewka o tej samej nazwie leżące w północno-zachodnich Indiach, na południe od Delhi.

* Boazeria — ozdobna, drewniana okładzina ścian.

* Mityczny — związany z mitem, baśniowy, nierzeczywisty.

Abbas wydobył z kieszeni pęk kluczy. Po chwili położył na biurku zalakowaną kopertę oraz pękaty, skórzany woreczek.

— Oto list i depozyt — rzekł poważnie. — Szczerze cieszę się, że pomyślnie wykonałem polecenie dostojnego Pandita Davasarmana. Szlachetni sahibowie zechcą potwierdzić odbiór depozytu.

Mówiąc to podsunął Wilmowskiemu kartkę wyrwaną z notesu. Wilmowski ujął pióro, zanurzył je w kałamarzu. Czterej mężczyźni pochyleni nad biurkiem nie spostrzegli śniadej dłoni zaciśniętej na zwiniętym w kulę turbanie, która nagle wysunęła się zza maty zasłaniającej okno wychodzące na podwórze. Zręcznie rzucony zawój upadł wprost na płonący w kącie kaganek oliwny. Wilmowski właśnie podpisywał pokwitowanie, gdy naraz rozległ się ostrzegawczy krzyk służącego. Kompletna ciemność zaległa pokój. Wilmowski porwał z biurka zalakowaną kopertę. Dłoń jego zderzyła się z czyimiś rękami.

— Światło! Zapalcie zapałki! — zawołał.

W ciemności było słychać szamotanie się walczących i szybkie oddechy, później brzęk tłuczonych filiżanek. Błysnął żółtawy płomyk. Bosman, trzymając płonącą zapałkę, ujrzał skłębione ciała trzech mężczyzn. To Abbas i jego służący próbowali obezwładnić zamaskowanego mężczyznę. Nim płonąca przez krótką chwilę zapałka zgasła, napastnik skorzystał z okazji, by celnym uderzeniem pięści w podbródek powalić odważnego służącego. W ciemności rozległ się stłumiony okrzyk bólu. Coś ciężkiego osunęło się na podłogę.

Bosman rzucił się na pomoc Abbasowi. Zderzył się z kimś i natychmiast go przytrzymał kleszczowym chwytem.

— Do mnie, bosmanie! — rozbrzmiał krzyk Tomka.

— Niech to wszyscy diabli... — zaklął marynarz, zorientowawszy się, że walczy z swoim młodszym przyjacielem, który tak jak i on spieszył z pomocą Abbasowi.

Ktoś zerwał matę z okna wychodzącego na podwórze. Poświata księżycowa wtargnęła do ciemnego pokoju. Na tle jasnego otworu okiennego zarysowała się sylwetka mężczyzny. Bosman uwolnił Tomka z niedźwiedziego uścisku, odtrącił nogą stoliczek zagradzający mu drogę i jednym susem znalazł się przy oknie. Tajemniczy włamywacz skoczył z parapetu w dół. Bosman niczym kot rzucił się za nim. Całym ciężarem olbrzymiego cielska gruchnął na dach jakiejś przybudówki. Pod jego lewą nogą załamała się spróchniała deska. Stopa bosmana ugrzęzła w dziurze. Mimo to zdołał chwycić włamywacza za ramię. Ten syknął z bólu. Odwrócił się błyskawicznie. W świetle księżyca ukazał twarz przeciętą szeroką blizną. W ręku jego błysnął sztylet. Uwięziona w otworze dachu stopa uniemożliwiła bosmanowi skuteczne odparowanie ciosu. Cienkie ostrze rozorało mu dłoń, pod wpływem bólu odruchowo cofnął rękę z ramienia. Włamywacz szybko zsunął się z dachu na podwórze, przeskoczył przez płot i zniknął w ciemnym zaułku.

Bosman zdołał w końcu wyszarpnąć stopę ze zdradliwej pułapki. Właśnie schodził z dachu przybudówki na ziemię, gdy Tomek z rewolwerem w dłoni wybiegł z sieni na podwórze.

— Wolnego, brachu, wolnego. Ptaszek wyfrunął z klatki. Gonić go dalej po tych zakamarkach, to tyle, co szukać wiatru w polu — półgłosem zawołał bosman.

— Czy nic się panu nie stało? — niespokojnie pytał Tomek.

— Co mi się miało stać? Alboż to ja niemowlę? Schwyciłbym tego przeklętego szczura, gdyby noga nie ugrzęzła mi w dachu. Lepiej powiedz, czy wszystko w porządku tam na górze?

— Pan Abbas został raniony. Nie wiem, czy to coś poważnego. Gdy po zapaleniu kaganka stwierdziłem że złodziej skradł nasze złoto, natychmiast pobiegłem za panem, aby pomóc w pościgu.

Bosman bez zbędnych słów popchnął Tomka w kierunku sieni. W mieszkaniu zastali Wilmowskiego i służącego pochylonych nad leżącym na macie Abbasem.

— Trzeba natychmiast sprowadzić lekarza — pospiesznie odezwał się Wilmowski na widok wchodzących.

Bosman przyklęknął przy Abbasie. Lewą dłonią uniósł skrwawioną chustkę, którą służący starał się zatamować krew wypływającą z rany. Marynarz tylko rzucił okiem na wąski otwór pozostawiony po ukłuciu sztyletem i zagryzł wargi. Zrozumiał natychmiast, że rana jest śmiertelna.

— Tak, tak, trzeba sprowadzić lekarza, a także zawiadomić rodzinę — mruknął powstając z kolan.

Abbas wolno uniósł powieki. Zamglonymi oczyma spojrzał na białych sahibów. Z największym wysiłkiem zdołał wyszeptać:

— Zawiadomcie... mego brata... Służący zaprowadzi...

— Pójdziemy we dwóch — rzekł bosman do pobladłego służącego. — Czy mieszka tu gdzieś w pobliżu doktor?

— W sąsiednim domu, sahibie... — odparł służący.

— Pędźmy po doktora, a potem po brata. Tomku, trzymaj pukawkę w pogotowiu i strzelaj bez namysłu, gdyby bandyta ośmielił się tutaj powrócić.

Pomoc lekarska okazała się dla nieszczęsnego Abbasa bezskuteczna. Zmarł nad ranem nie odzyskując przytomności. Jeszcze podczas krótkiego śledztwa, prowadzonego przez policję, brat zmarłego czynił przygotowania do pogrzebu. Obydwaj bracia byli Parsami*, wobec czego kondukt pogrzebowy miał udać się do słynnych Wież Milczenia, zbudowanych

* Parsowie — wyznawcy Zoroastra, nie chcąc przyjąć narzuconego im przez Arabów mahometanizmu, wyemigrowali w 766 r. z Persji na półwysep Katiawar w Indiach. Osiedlili się w Gudżerat i Surat, a potem w Bombaju. Należą do najinteligentniejszych oraz najbogatszych warstw ludności Indii. Zoroaster (neoperskie Zardusht) — żył w VI w. p.n.e. Po jego śmierci kapłani przepoili religię wierzeniami ludowymi i spisali. Parsowie, zwani również Gwebrami lub Sarduszti, otaczają czcią boską ogień, ziemię, wodę i niebo. Aby ich nie zanieczyścić, oddają zwłoki swych zmarłych ptactwu na pożarcie.

w dolinie poza miastem. W nich to bowiem, zgodnie ze zwyczajem, Parsowie, jako wyznawcy Zoroastra, pozostawiali swych zmarłych na łup drapieżnemu ptactwu.

Niesamowity obrządek pogrzebowy wywarł szczególnie na Tomku przykre wrażenie. Nad Wieżami Milczenia kołowały w powietrzu stada żarłocznych ptaków. W myśl zwyczajów Parsów, codziennie o tej samej porze nadchodziły do niezwykłych budowli, przypominających kształtem cylindryczne wieże, kondukty pogrzebowe. Rodziny nie przekraczały progów tych ponurych cmentarzy. U ich stóp przekazywały ciała zmarłych tak zwanym Przewoźnikom Śmierci, jedynie upoważnionym do wchodzenia do Wież Milczenia. Oni to składali na najniższym piętrze wieży zwłoki dzieci, na środkowym kobiet, a na najwyższym mężczyzn. Gdy tylko "grabarze" opuszczali wieżę, drapieżne ptactwo natychmiast wlatywało do jej wnętrza, by rozpocząć upiorną ucztę. Wkrótce w wieży pozostawały tylko nagie, ludzkie szkielety. Oczywiście kości pod wpływem warunków atmosferycznych ulegały murszeniu. Wtedy Przewoźnicy Śmierci strącali ich szczątki do studni w środku wieży, przygotowując w ten sposób miejsce dla innych zmarłych.

Dopiero po południu nasi podróżnicy znaleźli się w hotelu, gdzie pozostawili swe bagaże po przyjeździe do Bombaju. Przygnębieni tragicznym wydarzeniem i zmęczeni po nieprzespanej nocy, zasiedli w wygodnych fotelach na ocienionej werandzie. Bosman polecił służbie przynieść butelkę rumu oraz mrożone napoje owocowe.

— Kiepsko zapowiada się cała sprawa. Na samym początku witają nas morderstwem i kradzieżą — odezwał się bosman, zerkając na zabandażowaną swą prawą dłoń, gdy służący pozostawił ich samych. — Biedny pan Abbas! Cały czas zastanawiam się, dlaczego ten drab z blizną na twarzy dopuścił się zabójstwa? Czyżby chodziło mu tylko o zdobycie złota?!

— Kto wie? Sądząc po rozmiarach woreczka stanowiło ono znaczną wartość — rzekł Wilmowski.

— Pan Smuga osobiście złożył depozyt u pana Abbasa. W jaki wobec tego sposób mógł morderca wiedzieć, co znajdowało się w woreczku? — wtrącił Tomek.

— Coś wygląda mi na to, że pan Smuga nie zachował koniecznej w takim przypadku ostrożności — mruknął bosman.

— Wobec tego może i jemu grozi poważne niebezpieczeństwo — zawołał wzburzony Tomek. — Musimy jak najprędzej odnaleźć naszego przyjaciela!

— Jak amen w pacierzu, masz rację, brachu — przywtórzył marynarz. — Dobrze, że chociaż list nie wpadł w ręce tego tajemniczego mordercy. Andrzeju, odczytaj go nam jeszcze raz!

Wilmowski wyjął z kieszeni list i czytał półgłosem:

Drodzy Przyjaciele!

Obiecałem czekać na Was w Bombaju, lecz ku memu szczeremu żalowi muszę stąd wyjechać przed Waszym przybyciem. Obawiam się w liście obszerniej wyjaśniać, w jakim

celu prosiłem Was o natychmiastowe przybycie do Indii. Bezpieczniej dla nas wszystkich będzie, gdy uczynię to osobiście. Wspomnę więc tylko, że planuję długą, dość ryzykowną wyprawę. W Bombaju czyniłem starania, aby uzyskać od władz angielskich zezwolenie na swobodne poruszanie się w pasie pogranicznym. Dopiero po przybyciu tutaj dowiedziałem się, że osobistość, od której zależy ostateczna zgoda, przebywa obecnie w Delhi, w północnej części kraju. Wobec tego, zmuszony koniecznością, jadę tam, pozostawiając dla Was ten list oraz depozyt u Pana Abbasa. Korzystajcie z zawartości woreczka według własnego uznania, a przede wszystkim opłaćcie wszelkie koszty podróży. Usilnie Was proszę — przybywajcie jak najspieszniej do Alwaru, leżącego w pobliżu Delhi i pytajcie o mnie maharadżę tego państewka. Niecierpliwie oczekuję Waszego przyjazdu. Mocno Was ściskam i z góry dziękuję za pośpiech w spełnieniu mej prośby.

Wasz stary druh — Jan Smuga

— Nic z tego nie rozumiem — westchnął bosman.

— Ciekawe, w jaki sposób pan Smuga zdobył to złoto? — zauważył Tomek. — Może było ono zapłatą za wykonanie jakiegoś niebezpiecznego zadania?

— Sami nie rozwikłamy zagadki, moi drodzy — powiedział Wilmowski. — Cała sprawa naprawdę wygląda niezwykle tajemniczo. Najlepiej uczynimy wyruszając jutro do Alwaru.

— Słusznie, ojcze, pan Smuga wyjaśni nam wszystko — przywtórzył Tomek.

POCHÓD SŁONI

Był wczesny ranek. Wilmowski i bosman jeszcze spali na dolnych łóżkach, rozmieszczonych po obydwóch stronach czteroosobowego przedziału wagonu kolejowego. Leżeli nieruchomo z przymkniętymi oczami, a piersi ich unosiły się w głębokim, ciężkim oddechu. Tomek natomiast spoczywał na jednym z dwóch górnych łóżek. Ułożył się na boku niemal na samym skraju posłania i wsparłszy głowę na lewej dłoni, prawą chłodził się papierowym wachlarzem. Zamyślony, raz po raz spoglądał w okno wagonu.

Tropikalny żar przenikał do przedziału poprzez okienną drucianą siatkę, chroniącą pasażerów przed zdradliwą w tym kraju natarczywością owadów. Odchylona okiennica ukazywała jasny błękit nieba.

Poranna cisza w wagonie pierwszej klasy, zarezerwowanym w Indiach wyłącznie dla białych podróżnych, nastrajała Tomka do rozmyślań o tej niezwykłej wyprawie do kraju odwiecznych tajemnic. Tajemniczy splot wydarzeń po wylądowaniu w Bombaju usuwał dotąd inne wrażenia na drugi plan. Toteż dopiero podczas długich godzin podróży pociągiem na północ Tomek w myślach porządkował wszystkie uprzednio poczynione spostrzeżenia.

Dzięki pilnej nauce geografii posiadał już znaczny zasób wiadomości o Półwyspie Indyjskim, jako jednym z największych półwyspów na Ziemi*. Samo geograficzne położenie Indii stwarzało z nich kraj przedziwnych kontrastów. Południowym bowiem krańcem sięgały równika, centralne zaś leżały w strefie umiarkowanej i stanowiły nie tylko krainę potężnych rzek oraz żyznych dolin, lecz posiadały także wielkie pustynie, a na północy dotykały najwyższych na kuli ziemskiej łańcuchów górskich, pokrytych wiecznym śniegiem i lodem. Tomek wiedział, że Indie są niezwykłym krajem, zamieszkiwanym przez ludy reprezentujące, pod względem zewnętrznym, niemal wszystkie rasy żyjące na ziemi. Słyszał też o legendarnym wprost bogactwie maharadżów indyjskich, o różnicach religijnych, lecz mimo to nie przypuszczał nigdy, iż słynne z przepychu Indie są równocześnie krajem

* Największymi półwyspami są: Półwysep Arabski i Półwysep Indii Przed- i Zagangesowy.

beznadziejnej nędzy i głodu*. Jakże teraz niezrozumiali wydali mu się krajowcy hinduscy. Szczycili się jedną z najstarszych kultur, a mimo to wierzyli w gusła, zabobony, przesądy społeczne upośledzające całe warstwy ludności oraz modlili się do potwornych bóstw wykutych z kamienia. Przy całym bogactwie i ogromie kraju, ile tam było poniżania godności ludzkiej i wyzysku!

Na rozmyślaniach i rozmowach z towarzyszami o tajemnicy Smugi czas szybko mijał Tomkowi. Posiłki spożywane w pociągu również stanowiły pewne urozmaicenie, albowiem w myśl zwyczajów panujących w Indiach otrzymanie ich podczas drogi było dość kłopotliwe. Wywoływało to protesty bosmana Nowickiego. Lubił jeść często i dużo. Tymczasem, gdy się chciało spożyć obiad, należało go zamówić u bosonogiego kelnera, zbierającego zamówienia podczas postoju na jednej ze stacji. Zamówione w ten sposób jedzenie przynoszono do przedziału na następnym przystanku pociągu, podczas gdy opróżnione naczynia kelnerzy zabierali dopiero na trzeciej stacji. Toteż bosman zapewniał, że w czasie podróży pociągiem przez "taki niezdarzony kraj" przy życiu jedynie utrzymywali go spotykani na wszystkich stacjach krzykliwi sprzedawcy smakowitych, soczystych owoców.

Pociąg wciąż podążał na północ. Tomek zapisywał w swym notesie mijane podczas podróży ważniejsze miasta, a więc: Bombaj, Surat, Baroda, Ahmadabad i Dżajpur*. Owego właśnie ranka dopisał stację "Bandikoi". W dniu tym mieli dotrzeć do celu swej podróży — Alwaru.

Pociąg zwalniał bieg. Tomek niemal przylgnął do okiennej siatki. W dali, z tropikalnej zieleni porastającej okolicę wyłoniły się kopuły pałaców i świątyń ponad murami okalającymi indyjskie miasteczko.

W tej właśnie chwili bosman wydobył z kieszonki w spodniach zegarek, po czym rzuciwszy na niego wzrokiem, rzekł:

— Coś mi się wydaje, Andrzeju, że nareszcie dobijamy do portu. Według rozkładu jazdy zaraz powinniśmy wylądować w Alwarze.

— Słuszne spostrzeżenie, drogi bosmanie, jeżeli oczywiście umówimy się, że ten pociąg jest statkiem, a miasteczko Alwar, leżące w samym sercu Indii, portem — odparł Wilmowski, pokpiwając z marynarza, który nawet na lądzie używał wyrażeń związanych z jego zawodem.

Bosman zniecierpliwiony machnął zabandażowaną ręką i burknął:

---

* Mimo wielkiej produkcji ryżu, prosa, pszenicy, kukurydzy i jęczmienia, stanowiących podstawowe wyżywienie licznej ludności, Indie nawiedzają klęski głodu. Powodowane są one suszami oraz brakiem odpowiednich środków transportowych, co uniemożliwia szybki przewóz żywności do okolic dotkniętych nieurodzajem. Częsta śmierć głodowa tysięcy mieszkańców budzi tym większą grozę, jeśli weźmiemy pod uwagę naturalne bogactwa tego kraju. Oprócz bowiem uprawianych zbóż, Indie wysunęły się na czoło produkcji światowej w uprawie trzciny cukrowej, są na drugim miejscu w produkcji bawełny, a na pierwszym w produkcji juty. Z innych roślin użytkowych Indie produkują najwięcej na świecie herbaty oraz przodują w uprawie maku, z którego wyrabia się opium. Z bogactw mineralnych mają węgiel i rudy żelazne.

* Dżajpur — (ang. Jaipur) indyjskie państewko we wschodnim Radzputanie (półn-wschod. Unia Hinduska), znane z wyrobu sukna, muślinów oraz misternych ozdób rzeźbionych w kości słoniowej.

— Nie czepiaj się, za przeproszeniem, każdego słówka, bo mi wcale nie do żartów. Pociąg wlecze się jak żółw, a tymczasem cała ta tajemnicza sprawa Smugi cuchnie mi gnijącym na mieliźnie wielorybem!

— Wszelkie nasze dociekania na ten temat nie doprowadzą do odgadnięcia prawdy. Wobec tego poczekajmy lepiej, dopóki Smuga sam wszystkiego nam nie wyjaśni. Nie może tu chodzić o drobnostkę — odpowiedział Wilmowski, a zwracając się do syna dodał: — Tomku, czas przygotować się do wysiadania, dojeżdżamy do Alwaru.

— Tak, ojcze, już widać budowle miasta, a tymczasem pan bosman, starym zwyczajem, znów zaczyna utyskiwać. W Hamburgu narzekał, że w miejskich murach czuje się jak solony śledź w beczce zabitej denkiem. Teraz dla odmiany denerwuje go zbyt długa jazda pociągiem...

— Ejże, brachu, nie wódź mnie na pokuszenie, żebym nie przyciął ci języka — burknął bosman, spod oka spoglądając na młodszego przyjaciela. — Pod nosem masz dopiero miejsce na wąsy, ale coraz więcej zaczynasz starszym dogadywać.

Tomek uśmiechnął się; podszedł do marynarza i zajrzał mu w oczy mówiąc:

— To niech pan stałym gderaniem nie pokrywa niepokoju o pana Smugę. Przecież my również obawiamy się o niego.

— Skąd wiesz, że się niepokoję o Smugę? — burknął bosman.

— Nasza rezolutna przyjaciółka Sally, która przeżyła z nami tyle niezwykłych przygód[*], powiedziałaby, że w twarzy pana można czytać jak w otwartej książce.

Bosman zmieszany chrząknął, żeby zyskać na czasie. Wkrótce jednak opanował zakłopotanie, znalazłszy sposób odpłacenia się pięknym za nadobne domyślnemu przyjacielowi.

— Ładnie to nawet z twojej strony, że niemal co dzień wspominasz tę miłą sikorkę, Sally — zaczął niby z uznaniem. — Ha, pewno wolałbyś teraz siedzieć przy niej i pomagać jej w lekcjach. Moim jednak zdaniem lepiej tak często nie mów o niej.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza — mruknął Tomek rumieniąc się mimo woli.

— Iiiii, nic takiego! Podobno wspominanie nieobecnej osoby przyprawia ją o czkawkę, a to przecież naszej sikorce może przeszkadzać w nauce. Nie chciałbyś chyba, żeby twoja narzeczona została w tej samej klasie na drugi rok?

— Tyle razy prosiłem pana o nie nazywanie Sally "sikorką" .Poza tym, kto panu powiedział, że jest moją narzeczoną? — oburzył się Tomek.

— Więc to tak, zdrajco?! — nie na żarty rozzłościł się bosman. — Wypierasz się dziewczyny, mimo że dla jej ocalenia ryzykowaliśmy życie?! Gadaj, co chcesz, a ja i tak wiem swoje, na twoim jednak miejscu nie ścierpiałbym, żeby jakiś bubek z przylizanymi włosami na łepetynie zaczynał umizgać się do niej!

---

[*] Poprzednie przygody Tomka znajdzie czytelnik w powieściach "Tomek w krainie kangurów", "Tomek na Czarnym Lądzie" i "Tomek na wojennej ścieżce".

— Kogo właściwie ma pan na myśli? — zaniepokoił się Tomek, zapominając o swym oburzeniu. — Chyba nie chodzi panu o kuzyna Sally, który stale patrzy na nią jak sroka w gnat?

— Nie w smak ci ten kuzynek, obłudniku? — triumfował bosman. — No, ale pal cię sęk, na mój gust jednak mógłbyś czasem trzepnąć go po uchu! Wprawdzie nie dziwię się ani tobie, ani temu angielskiemu chudzielcowi, bo gdybym był ciut młodszy, to sam bym zrobił oczko do niej... Zuch dziewczyna i kompan pierwsza klasa! Jak się to dzielnie spisywała, gdy Indiańce w Ameryce porwali ją do niewoli!

— W Meksyku gniewał się pan na wodza Czarną Błyskawicę za swatanie pana z Indiankami, a teraz sam przedzierzgnął się pan w swata — zżymał się Tomek. — Dokucza mi pan przy każdej okazji, ale ja...

— Przestańcie się kłócić, moi drodzy, wysiadamy — powiedział Wilmowski, kładąc kres przekomarzaniu.

Zbliżali się do małej stacyjki. Tomek i bosman natychmiast zapomnieli o sprzeczce. Zaraz też w największej zgodzie pośpiesznie zdjęli z łóżek swą podróżną pościel, umieścili w specjalnie przeznaczonym na nią koszu i zaledwie pociąg przystanął na stacji, natychmiast zaczęli wyładowywać na peron swe bagaże. Uporali się z tym szybko, jak ludzie przywykli do odbywania dalekich podróży. Nim pociąg odjechał w dalszą drogę, Tomek zdążył sprawdzić, czy wynieśli z wagonu wszystkie walizy i futerały z bronią, po czym dopiero rozejrzał się wokoło.

Samotny dworzec w Alwarze przypominał dużą, drewnianą szopę. Widać stąd było drogę wijącą się wśród pól i drzew ku miasteczku, otoczonemu starym obronnym murem. Na peronie znajdowało się zaledwie kilku półnagich wyrostków. Ciekawie przyglądali się obcym, białym podróżnym.

Wilmowski przywołał chłopców przyjaznym ruchem ręki, po czym odezwał się do nich w języku angielskim:

— Czy wiecie, gdzie znajduje się pałac maharadży Alwaru?

— Ho, ho, biały sahibie, któż by zliczył wszystkie pałace naszego potężnego władcy! — odparł również po angielsku rezolutnie wyglądający chłopiec. — Posiada on ich chyba tyle, ile jest gwiazd na niebie. Ja znam z nich tylko trzy, lecz ktoś starszy potrafi ci zapewne wskazać ich więcej. Otóż jeden pałac znajduje się w samym Alwarze, drugi poza miastem w wielkim ogrodzie na skraju dżungli, a trzeci w świętym mieście Benares*, dokąd maharadża udaje się co roku na pielgrzymkę.

— Czy maharadża przebywa teraz w Alwarze? — dalej indagował Wilmowski.

---

* Benares — miasto uważane przez Hindusów za święte, w północno-środkowych Indiach nad rzeką Ganges (również uważaną za świętą), do którego Hindusi stale odbywają pielgrzymki. W Benaresie znajduje się około 1500 hinduskich świątyń i klasztorów. Jest to jedno z najbardziej starożytnych miast, czczone nie tylko przez hinduistów.

— To już wie tutaj nawet każde dziecko, że w porze polowania na tygrysy nasz maharadża mieszka w swoim pałacu obok dżungli. Słyszałem, że dzisiaj reszta słoni ma wyruszyć z Alwaru do rezydencji łowieckiej na wielkie polowanie — wyjaśnił chłopiec, zdumiony ignorancją zazwyczaj wszystkowiedzących białych sahibów.

— Dziękuję ci za tak dokładną informację — z uśmiechem odparł Wilmowski. — Teraz już wiemy, gdzie należy szukać maharadży. Czy mógłbyś nam jeszcze powiedzieć, w jaki sposób najdogodniej dotrzemy z naszym bagażem do tego pałacu?

— Nie ma nic łatwiejszego, szlachetny sahibie, przed stacją stoi tika ghari*. Woźnica na pewno zawiezie was za kilka annas* do samych wrót pałacu — doradził chłopiec.

— Wobec tego pomóżcie nam przenieść bagaże — zaproponował Wilmowski.

— Chętnie to uczynimy, wspaniałomyślny sahibie! Myślę, że dasz nam za to po jednej anna — zawołał chłopiec, ochoczo chwytając dużą walizę.

— Dobrze, otrzymacie po jednej anna — potwierdził Wilmowski i mrugnął znacząco okiem do umorusanych urwisów.

Razem wyszli przed dworzec. Zgodnie z zapowiedzią młodego Hindusa tika ghari stał przed dworcem. Był to rodzaj wozu bez resorów, wyglądem przypominający dyliżans. Wewnątrz, po obu jego bokach, znajdowały się ławki dla pasażerów, osłonięte przed słońcem oryginalnym baldachimem, sporządzonym z połatanych worków jutowych i przymocowanych w górze do bambusowych kijów sterczących w czterech rogach tego dziwacznego pojazdu. Zaprzęg stanowiły dwa małe, chude koniki.

Wilmowski szybko dobił targu z woźnicą, ubranym w długie luźne spodnie, wyłożoną na wierzch koszulę bez kołnierzyka i niewielki tyrban. Z kolei wręczył po jednej anna chłopcom, którzy popychając się i przekrzykując piskliwie, ulokowali bagaże pomiędzy ławkami dyliżansu.

Biali podróżni wsiedli do prymitywnego wehikułu. Woźnica, nie spiesząc się, przysiadł na grubym dyszlu pomiędzy końmi, po czym nie przerywając żucia betelu*, krzyknął:

— Honk, hai, hai!*

Wychudzone szkapiny ruszyły z miejsca i wlokąc się noga za nogą podążyły w kierunku Alwaru.

Droga usiana drobnym żwirem, w pewnej odległości od dworca zaczęła nieco piąć się w górę. Tuż przy niej, pośród okolonych krzewami aloesu i dość czysto utrzymanych podwórzy, rozsiadły się splecione z bambusu wiejskie chatynki. Niemal przed każdą z nich rósł

---

* Tika ghari — miejscowa nazwa pojazdu w rodzaju dyliżansu.

* Anna — zdawkowa moneta indyjska; 1/16 część rupii, indyjskiej jednostki monetarnej. Do 1957 r. 1 rupia zawierała 16 annas równających się 192 pies. Obecnie 1 rupia równa się 100 naya paisa. W przeliczeniu na polskie złote 1 rupia wynosi około 4,47 zł.

* Betel — roślina, której liście zmieszane z orzechami palmy areki i wapnem żują ludy południowoazjatyckie.

* Honk, hai, hai! — równoznacznik naszego "wio".

bananowiec*. Spostrzegawczy Tomek wkrótce zwrócił na to uwagę i o zaobserwowanej ciekawostce poinformował towarzyszy. Wilmowski jako doskonały geograf znał zwyczaje ludów zamieszkujących różne kraje, wyjaśnił więc, iż samotne bananowce znajdują się nieprzypadkowo obok chat indyjskich wieśniaków. W myśl miejscowego zwyczaju, Hindus w dniu ślubu zasadza przed swym domkiem bananowiec, aby jego pożywne owoce chroniły w przyszłości całą rodzinę przed klęską głodu. Na podwórzach przed domkami, w cieniu rododendronów obsypanych czerwonym kwieciem widać było kobiety oraz gromadki dzieci.

Ubranie wieśniaczek składało się z dwóch kawałków kolorowego materiału przeważnie w czerwono-żółtą kratę. Jeden z nich opinał smukłe biodra, drugi okrywał piersi i ramiona. Młode niewiasty nosiły wokół rąk i kostek u nóg bransolety, a w uszach olbrzymie kolczyki.

Mężatki miały ponadto wpięty z lewej strony dziurki od nosa półksiężycowaty kolczyk z rubinem bądź brylantem, zależnie od stopnia zamożności. Niektóre kobiety przykucnąwszy na ziemi przygotowywały posiłek dla mężczyzn pracujących na pobliskich poletkach, inne otłukiwały ryż w dużych kamiennych stępach, posługując się przy tym długimi, ciężkimi, drewnianymi tłuczkami. Tylko staruchy bezczynnie obserwowały zapracowane młodsze gospodynie i z filozoficznym spokojem człowieka, który spełnił już swój życiowy obowiązek, paliły fajki bądź kaliany zwane również nargilami*. Dzieciarnia o brunatnych, błyszczących ciałkach, wysmarowanych kokosowym masłem dla zabezpieczenia przed zgubnymi skutkami palących promieni słońca, biegała niemal naga. Często tylko amulet* zawieszony na sznurku na szyi był całym ubiorem dziecka.

Na widok białych podróżników młodsze Hinduski zakrywały twarze zapaskami. Matki ponadto zarzucały dzieciom chustki na głowę. Gdy dyliżans oddalał się, natychmiast sięgały po skorupę orzecha kokosowego napełnioną tuszem, by umoczonym w nim pędzelkiem namalować szerokie, czarne kreski na dolnych powiekach dzieci. Według ich wierzeń miało to skutecznie chronić potomstwo przed urokiem rzucanym przez "złe oko" cudzoziemca.

Tuż przy drodze bujnie krzewiły się zagajniki bambusowe i migdałowe oraz drzewa pinii. Wśród nich spokojnie pasły się sarny, dumnie spacerowały pawie z szeroko rozpostartymi, barwnymi ogonami, to znów z gałęzi drzew rozlegał się skrzek małych zielonych papug, jakby podenerwowanych ruchliwością małp, zerkających zza migdałowych pni.

---

* Ojczyzną bananów jest południowo-wschodnia Azja. Rozróżniamy dwa główne gatunki bananowców: 1 — banan mączny (Musa paradisiaca) w wielu odmianach. Pierwsza z nich w krajach tropikalnych, w postaci gotowanej lub pieczonej zastępuje biedniejszej ludności chleb i nasze kartofle; inne natomiast odmiany (zwane w Ameryce Południowej "platanos") służą jako produkt do wyrobów napojów alkoholowych i jako surowiec tekstylny, 2 — banan owocowy (Musa sapientum); w przeciwieństwie do pierwszego gatunku zdobył on sobie ważną pozycję w handlu światowym. W Europie pierwsze przesyłki bananów pojawiły się dopiero około 1880 roku.

* Kalian bądź nargile — fajka (przeważnie palona przez muzułmanów), której rurka cybuchowa przechodzi przez naczynie napełnione wodą lub wonnym płynem. Stąd zwie się ją również "fajką wodną".

* Amulet — przedmiot, który według przesądnych wierzeń posiada czarodziejską moc; noszony jest dla ochrony przed złymi duchami, chorobami, niebezpieczeństwem. Zbliżone znaczenie ma talizman, czyli przedmiot przynoszący szczęście (talizman szczęścia).

Obaj Wilmowscy z zainteresowaniem obserwowali mijaną okolicę, bosman natomiast, chociaż był zazwyczaj ciekaw poznania nowych krajów, tym razem siedział nachmurzony i złorzeczył pod nosem na zbytnią powolność "indyjskich szkap". Cierpliwość dobrodusznego wielkoluda została niebawem poddana znacznie trudniejszej próbie.

Oto o kilkadziesiąt metrów przed dyliżansem pojawiła się na drodze duża, chuda, biała krowa. Wyszła z przydrożnego zagajnika i korzystając z cienia rzucanego przez rozłożyste konary platanu*, legła na samym środku drogi. Gdy dyliżans zbliżył się do beztrosko odpoczywającego zwierzęcia, woźnica nie mogąc go wyminąć, zatrzymał swe koniki, po czym zeskoczył z dyszla, na którym siedział, i z nabożną czcią zaczął przypatrywać się przeżuwającej pokarm krowie.

Bosman Nowicki coraz bardziej zniecierpliwiony przedłużającym się postojem uniósł się z ławki i zawołał:

— Hej tam, dobry człowieku, czy nigdy w życiu nie widziałeś krowy, że gapisz się, jakbyś ujrzał nie wiadomo jakie cudo? Przegnaj prędzej to bydlę i ruszaj dalej w drogę!

Woźnica nie zwrócił najmniejszej nawet uwagi na ponaglenie. Dostojnym ruchem pochylił się nad krową, dotknął jej głowy wskazującym palcem, a następnie z największą czcią przyłożył go do swego czoła.

— Ani chybi zwariował chłop — oburzył się bosman. — To pewno z tego gorąca mieszają mu się klepki w głowie. Hej, woźnico, do wszystkich diabłów...

— Milcz bosmanie, jeśli nie chcesz narazić nas na poważne kłopoty — po polsku ostro odezwał się Wilmowski.

Bosman przerwał w połowie zdania, zmieszany kategorycznym tonem przyjaciela, dla którego zawsze miał wiele szacunku z powodu jego dużej wiedzy i rozsądku.

— Podróże po szerokim świecie — mówił Wilmowski — są doskonałą szkołą dla każdego człowieka, siedź więc cicho, mąciwodo, i uważnie notuj w pamięci oryginalne zwyczaje mieszkańców tego kraju.

— Słusznie mówisz, Andrzeju, gdy człowiek trzyma język za zębami, często unika niepotrzebnych kłopotów — sumitował się marynarz. — O mało jednak z własnej skóry nie wyskoczę, gdy ten niezdara, zamiast przeciągnąć krowinę batem, stuka ją tylko palcem po grzbiecie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to i za rok nie dojedziemy do pana Smugi.

— W pewnych okolicznościach najlepiej jest pogodzić się z zaistniałymi faktami — powiedział Wilmowski. — Przede wszystkim pamiętaj, bosmanie, że dla mieszkańców Wschodu wszelki pośpiech jest cechą niższości. Toteż jeżeli chcesz, aby cię tutaj szanowano, zachowuj się statecznie i dostojnie. Po drugie nasz woźnica nie stuka krowy palcem po grzbiecie, aby ją zegnać z drogi, lecz dokonuje obowiązującego Hindusów ceremoniału i nie ma takiej siły na świecie, która mogłaby go zmusić do zakłócenia spokoju bydlęciu.

---

* Platan (Platanus) — drzewo rosnące w krajach śródziemnomorskich, w Indiach na południe od Himalajów oraz w północnej Afryce, dochodzące do wysokości 20-30 metrów, silnie rozgałęzione.

— A to ci heca! — zawołał bosman, śmiejąc się rubasznie. — U nas na wsi byle berbeć smaga batem krówsko po grzbiecie, gdy włazi w szkodę. Tutaj zaś dorosły chłop "sieje cykorię" przed takim spokojnym bydlęciem. Skoro jednak tak jest, to muszę sam przemówić tej krowinie do rozsądku, bo nie mam zamiaru sterczeć na drodze dla jej przyjemności.

Mówiąc to ponownie uniósł się z ławki, by wysiąść z dyliżansu. Naraz zniecierpliwiony Tomek odezwał się:

— Jest pan, jak zwykle, kąpany w gorącej wodzie. Niech pan siedzi i słucha!

— A ty znów czego chcesz ode mnie?! — żachnął się marynarz.

— Gdyby pan stale nie przerywał ojcu, to dowiedziałby się pan czegoś bardzo ciekawego.

— Nie przeczę, że twój szanowny tatuś jest chodzącą encyklopedią — skwapliwie przyznał bosman. — Cóż jednak więcej ciekawego mógłbym dowiedzieć się o zwykłych krowach? Nie zacznij mi tylko klarować, że mają one wymiona do dojenia i rogi, bo to już sam wiem od dawna.

— To niewiele, panie bosmanie — z przekąsem zauważył Tomek. — Czy nie słyszał pan nigdy o hinduizmie?

— Co ma piernik do wiatraka, mądralo? — rzekł bosman wzruszając ramionami.

— Może i ... ma! Niech pan najpierw odpowie na moje pytanie!

Bosman podejrzliwie spojrzał na Tomka. Nie był pewny, czy przyjaciel nie płata mu jakiegoś figla. Nie dojrzawszy wszakże w jego twarzy wesołości, namyślał się przez dłuższą chwilę, po czym dopiero odparł niezbyt pewnym głosem:

— Hm, to chyba jakaś tutejsza religia...

— Nieźle, nawet zupełnie nieźle, niech pan jeszcze trochę pomyśli — zachęcał Tomek.

Nagle bosman uderzył się dłonią w czoło, wołając:

— A niech mnie zdechły wieloryb połknie za taką pamięć! Przecież w Bombaju klarowaliście mi, iż Hindusi mają bzika na punkcie krów!

— Brawo bosmanie, a już myślałem, że Tomek zapędzi cię w kozi róg — pochwalił Wilmowski. — Nie pomyliłeś się jednak! Hinduizm jest religią większości Hindusów. Nakazuje on wyznawcom zachowanie ustroju kastowego[*], wiarę w świętość braminów, czyli

---

[*] Kasty (od portugalskiego casta) — ściśle od siebie odgraniczone zwyczajami i prawami warstwy społeczne.

W Indiach w związku z religią hinduską (zwaną hinduizmem bądź braminizmem) składającą się z wielu sekt i wierzeń, istnieje podział ludności na grupy społeczne, czyli kasty, których jest tam około 24 000. Cztery z nich są główne: 1. kapłanów, czyli braminów; 2. wojowników (kshastriya — czyt. kszatrijów); 3. kupców, rzemieślników i rolników (waishya — czyt. waśjów); 4. robotników, czyli pospólstwa (shudra — czyt. śudrów). Przedstawiciele kast najniższych zwą się pariasami (nietykalnymi), są oni pozbawieni podstawowych praw społecznych. Każda kasta dzieli się na podkasty, a te z kolei na sekty. O przynależności do kasty rozstrzyga urodzenie. Hindusi mogą zawierać małżeństwa jedynie z członkami swojej kasty i wybierać tylko te zawody, którymi dana kasta się zajmuje. Wskutek tego kasty stwarzają nierówność społeczną, tamują rozwój postępu, a

hinduskich kapłanów, a także wiarę w świętość krowy i w wędrówkę dusz. Dlatego właśnie białe krowy oraz woły są stworzeniami czczonymi przez Hindusów.

— Dlaczego oni tak się przyczepili do tych krów? Przecież tyle jest jeszcze innych bydląt na świecie — dziwił się bosman.

— Posiada to pewne naturalne uzasadnienie — odpowiedział Wilmowski. — Krowa była dla starożytnych Ariów bardzo użytecznym zwierzęciem. Dostarczała im pożywienia, skór, nawozu na opał, przy jej pomocy orali pole oraz zaprzęgali ją do wozu jako zwierzę pociągowe. Wyróżnianie się krowy wielostronną użytecznością ułatwiało braminom wpojenie wyznawcom hinduizmu kultu religijnego dla tego zwierzęcia. W myśl ich nauki wszystko, cokolwiek pochodzi od krowy, posiada symboliczne, religijne znaczenie. Na przykład tak zwanych "pięć produktów krowy", a więc: masło, mleko, śmietana, kał i uryna, ma jakoby skutecznie wyjednywać łaskę dla modlącego się, jeżeli je ofiaruje bogom przed ołtarzami świątyń. Asceci nacierają swe ciało popiołem z krowiego nawozu. Krowi ogon był uważany za symbol władzy oraz amulet odpędzający złe duchy, toteż dawniej noszono go jak godło nad głową panującego. Nawet obecnie w czasie składania przysięgi, Hindus wylewa na krowi ogon wodę zaczerpniętą ze świętego Gangesu, a ponadto niektórzy Hindusi wierzą również, iż krowi ogon włożony w dłonie konającego wyznawcy ułatwia mu przekroczenie progu życia i śmierci.

Bosman śmiał się tak ubawiony, że aż łzy płynęły mu z oczu. Tymczasem Wilmowski kończył:

— Nie tylko krowy cieszą się religijną czcią u Hindusów, chociaż są uważane za najbardziej święte zwierzęta. Poza nimi czczone są węże, szczury, papugi, małpy, słonie, tygrysy, gęsi, byki i inne, a z każdym z tych zwierząt związane są mity oraz legendy oparte na motywach religijnych. No, przestań, bosmanie, rechotać jak żaba; pamiętaj, że Hindusi uważają za ciężki grzech nie tylko zabicie krowy, lecz nawet i jej "znieważenie".

— Daj mi spokój z takimi zabobonami, ale mimo wszystko miałeś rację, iż podróże po świecie kształcą człowieka. Teraz zrozumiałem, dlaczego garstka angielskich cwaniaków rządzi się tutaj, jak u siebie w domu — rzekł bosman wycierając oczy chusteczką.

— Uwaga twoja jest w znacznej mierze słuszna — przyznał Wilmowski. — Należy jednak pamiętać, że kultura hinduska, porównywana do kultury Greków i Rzymian należy do

---

nawet przez długie wieki powstrzymywały ruch wyzwoleńczo-narodowy Hindusów. 2/3 ludności Indii wyznaje hinduizm, dalej poważniejszą liczbę wyznawców ma islam (mahometanizm), a na resztę wyznań składają się: sikhizm, parsizm, buddaizm, dżaninizm, chrystianizm itp., które nie odgrywają większej roli.

Wyznawcy hinduizmu wierzą, iż zależnie od zasług dusza człowieka po jego śmierci przechodzi w ciała zwierząt, ludzi lub bogów. Dopiero gdy wreszcie osiągnie odpowiedni stopień doskonałości, zostaje uwolniona od dalszych wcieleń i łączy się z bóstwem w zaświatach.

Pierwotnie Indie zamieszkiwali Drawidzi o ciemnej skórze i spłaszczonych nosach, którzy zostali podbici przez pleni ona białych ludzi. Zwycięzcy tępili i spychali na południe półwyspu Drawidów, a sami nazwali siebie "Ariami", tj. szlachetnie urodzonymi.

najstarszych na Ziemi. Hindusi posiadają bogaty dorobek w dziedzinie piśmiennictwa o tematyce religijnej, a także w dziedzinie filozofii i poezji. Ponadto budownictwo ich wspaniałych świątyń i pałaców nie ustępuje architekturze innych starożytnych ludów. Oni również szeroko rozwinęli system sztucznego nawadniania pól oraz chów bydła.

— Za mądre to dla mnie! — zaoponował bosman. — Noga mnie mocno swędzi, więc lepiej powiedz, Andrzeju, jaka kara grozi tutaj człowiekowi za kopnięcie krowiny w zadek?

— Czasem można za to stracić głowę lub też zostać skazanym na męczarnie straszniejsze niż śmierć. W każdym razie, jeśli prawowierny Hindus dopuści się zabicia krowy, to musi odbyć pielgrzymkę do jednego ze świętych miast i przez cały czas nieść tykę udekorowaną krowim ogonem na znak, że odprawia ciężką pokutę. Ostatnie dziesięć mil do celu pielgrzymki przemierza długością własnego ciała, to znaczy pada na ziemię z wyciągniętymi jak najdalej przed siebie ramionami, potem wstaje, odmawia modlitwę i znów pada, wstaje, modli się i czyni tak aż do końca wędrówki. Po przybyciu do świętego miasta musi "oczyścić się" pijąc i jedząc pięć ofiarnych "produktów krowy", co nie należy chyba do specjalnych przyjemności.

— Ależ to obrzydliwe, ojcze! — niedowierzająco zawołał Tomek.

— Taki obowiązuje tutaj obyczaj — zapewnił Wilmowski.

— Daj spokój, Andrzeju, bo zaczyna mnie w dołku uciskać i będę musiał wychylić się za burtę dyliżansu, a przecież szkoda śniadania zjedzonego w pociągu — powiedział bosman wykrzywiając usta. — Wprawdzie nie jestem Hindusem, ale słusznie zrobiłeś, powstrzymując mnie od spostponowania tej krowy, pal ją sęk!

— Jak widzę, nauka w las nie poszła — rzekł rozweselony Wilmowski. — Wiele jeszcze poznamy niezrozumiałych obyczajów, jeżeli okoliczności zmuszą nas do pozostania dłużej w tym niezwykłym kraju. Dlatego też nie żałujmy straconego czasu, ponieważ spotkanie ze świętą krową było pouczającą przestrogą dla nas.

— Uwaga panowie! Chyba zaraz pojedziemy dalej — zauważył Tomek.

W tej właśnie chwili krowa, jakby nie chcąc dłużej nadużywać cierpliwości białych sahibów, wolno podniosła się z ziemi. Opędzając się ogonem przed rojem owadów, skryła się w przydrożnym zagajniku. Woźnica bez pośpiechu z powrotem wlazł na dyszel pomiędzy konie. Niebawem zawołał: "Honk, hai, hai!" Tika ghari ruszył w drogę.

Za chwilę wóz wtoczył się na most, przerzucony przez fosę wykopaną przed murem obronnym miasteczka, minął kamienną bramę. Alwarskie domki tonęły w powodzi drzew o jasnokoralowym kwieciu; posiadały mnóstwo ażurowych altan, podcieni, wykuszów, spowitych zielenią pnączy balkonów oraz kokieteryjnie wpółosłoniętych okien. Wspaniałe pałace oraz stare świątynie nadawały miasteczku wyraz swoistego, niezapomnianego piękna. W biedniejszej dzielnicy, gdzie wszędzie królował swąd oliwy, używanej do smażenia potraw, mężczyźni pracowali w podcieniach domów. Jedni rzeźbili z kości słoniowej filigranowe ozdoby, inni wycinali z marmuru lub alabastru posążki bóstw, a wytwórcy ulubionego przez

strojnisie hinduskie delikatnego muślinu suszyli świeżo ufarbowane sztuki, nosząc je w rękach, ponad głowami, rozpięte na wietrze.

Woźnica kierował dyliżans ku północnej bramie miasta, aby wyjechać na drogę do łowieckiej rezydencji maharadży. W pewnej chwili znaleźli się na placu, na którym akurat odbywał się jarmark. Tutaj, według zwyczaju panującego w Indiach, kupcy sprzedający ten sam towar grupowali się w jednym miejscu i siedzieli wszyscy obok siebie. W ten sposób gromadzili się cechami rzemieślnicy. Na bambusowych stoiskach widać było czerwone strąki pieprzu, małe cebulki, imbir oraz inne korzenie, które służą do sporządzania przypraw do ryżu, codziennej potrawy Hindusów. Na barwnych chustach rozłożonych wprost na ziemi piętrzyły się stosy melonów, granatów, arbuzów, brzoskwiń, bananów, mango, kokosów, ananasów, pomarańcz, fig, daktyli, orzeszków ziemnych i słodkich patatów. Nie opodal piekarze sprzedawali, zawijane w liście bananowe, placki jajeczne z papryką i cebulą, ciastka oraz pączki nadziewane ostrymi korzeniami. Rzeźnicy zachwalali ćwiartki baranie i koźlęce, a jednocześnie czujnym wzrokiem śledzili krążące w powietrzu nad jatkami żarłoczne sępy i jastrzębie, gotowe, w chwili nieuwagi sprzedawcy, porwać kawał mięsa. Pomiędzy warzywnymi straganami wałęsała się jakaś "święta" krowa. Bez przeszkód zjadała z koszów smakowite kąski. Handlarze nie odpędzali jej, wierząc, iż poniesiona dla świętego zwierzęcia ofiara zjedna im łaskę bogów. Dalej znajdowały się stoiska sprzedawców skór koźlich, owczych, leopardzich i łasiczych. W pobliżu znów inni handlarze zachwalali skuteczność najrozmaitszych amuletów, bądź prezentowali kobietom błyskotliwe ozdoby.

Podróżnicy przejeżdżali skrajem targowiska. Bosman zerkał na stragany, skąd płynęły smakowite zapachy. Już brała go ochota, by przystanąć w celu poczynienia zakupów, gdy naraz wokół zapanowało niezwykłe ożywienie. Handlarze pospiesznie usuwali stoiska. Woźnica dyliżansu zatrzymał konie, po czym wskoczył na siedzenie, by lepiej widzieć.

— Co to ma znaczyć? — zawołał bosman wstając z ławki.

Wilmowski niespokojnie spoglądał w wylot ulicy na rynek. W pobliżu widać było kopuły hinduskiej świątyni. Stamtąd właśnie nadchodził potężniejący z każdą chwilą krzyk ludzi. Wilmowski wiedział, że w Indiach na tle różnic religijnych często wybuchają krwawe zatargi pomiędzy wyznawcami hinduizmu i mahometanami, albowiem obydwa fanatyczne ugrupowania wzajemnie się zwalczają. Na przykład hinduiści podczas procesji polecali swoim kapelom grać najgłośniej w pobliżu muzułmańskich meczetów, ponieważ prorok zakazywał muzułmanom muzyki, natomiast mahometanie mieli zwyczaj szlachtować krowy w pobliżu świątyń hinduskich, co znów było zbrodnią w myśl wierzeń Hindusów. Tym jednak razem obawy okazały się nieuzasadnione.

Na targowisko wkraczał dziwny korowód. Jeden za drugim szły olbrzymie słonie. Na każdym z nich siedział mahut[*], kierujący zwierzęciem uderzeniami bambusowej laseczki.

---

[*] **Mahut — (mahaut) ujeżdżacz słoni.**

Mahuci w języku hindi* ganili ludzi za powolność, a słonie poruszały uszami niczym wachlarzami i bez obawy zagłębiały się w tłum ustępujący przed nimi. Tratowały stragany, lecz mimo to nie było słychać jakichkolwiek protestów. Jak spod ziemi wyrastali chłopcy z wielkimi, okrągłymi koszami. Gdy tylko jakiś słoń przystanął w celu załatwienia naturalnej potrzeby, chłopcy natychmiast podstawiali mu swój kosz.

Bosman widząc to klepnął się w udo i zawołał:

— A niech mnie wieloryb połknie! Nigdy bym nie przypuszczał, że Hindusi są takimi higienistami, jeżeli chodzi o słonie. Patrzcie tylko, nic im nie przeszkadza, że muchy niczym latające rodzynki obsiadają ciastka na straganach, ale za każdym słoniem biegnie chłopaczysko z przenośną ubikacją.

Tomek i Wilmowski wybuchnęli śmiechem, słysząc tę zabawną uwagę.

— Mój bosmanie, ci chłopcy są zbieraczami nawozu, który w Indiach jest bardzo ceniony — wyjaśnił Wilmowski. — Dlatego przejście słoni przez miasto jest dla mieszkańców nie lada gratką. Widzisz, słoń za jednym zamachem napełnia kosz po brzegi.

Piętnaście olbrzymich słoni majestatycznie kroczyło przez targowisko. Gdy znajdowały się w pobliżu dyliżansu, Wilmowski zwrócił się do woźnicy:

— Do kogo należą te słonie, którym wolno bezkarnie tratować ludzki dobytek?

— To słonie naszego maharadży, sahibie. Tutaj wszystko należy do niego — odparł woźnica. — One idą na wielkie polowanie na tygrysy do łowieckiej rezydencji.

— Wobec tego korzystajmy z okazji i podążajmy za nimi, dopóki mamy wolną drogę — polecił Wilmowski. — Przecież i my jedziemy na spotkanie z waszym maharadżą.

— Honk, hai, hai! — krzyknął woźnica.

---

* W Indiach znanych jest 147 języków i wiele ich narzeczy. Największa liczba ludzi posługuje się językami aryjskimi. Najogólniej języki używane w Indiach można podzielić na:

1. indoeuropejskie, które z kolei dzielą się na trzy podgrupy: a — zachodnią (główne języki gudżarate i marathi); b — centralną (główne języki hindi i bihari, przy czym najważniejszym dialektem języka hindi jest hindustani, z którego rozwinęły się języki literackie — urdu i hindi właściwy); c — wschodnią — główny język bengali; 2. języki drawidyjskie (główny język telugu); 3. języki australoazjatyckie (główny język munda).
Od 1950 r. hindi jest urzędowym językiem Indii, jednak w 1967 r. w grudniu Izba Ludowa parlamentu uchwaliła ustawę, iż angielski pozostaje na czas nieokreślony pomocniczym językiem urzędowym.

DOMEK W DŻUNGLI

Dyliżans jechał szosą w niewielkiej odległości za orszakiem słoni. Na horyzoncie coraz wyraźniej rysowała się czarna linia dżungli. O kilka kilometrów za miastem słonie zboczyły na wysadzoną wysokimi drzewami drogę, wiodącą już wprost do rezydencji łowieckiej maharadży Alwaru.

Duża, drewniana, misternie rzeźbiona brama zamykała wstęp na teren pałacowych zabudowań. Przed nią stała przyboczna straż maharadży. Niscy, żylaści żołnierze odziani byli w obcisłe, białe surduty zapięte z przodu na duże guziki oraz takiego samego koloru spodnie wpuszczone w owijacze, spowijające łydki ponad bosymi stopami. Głowy okrywali cytrynowego koloru turbanami, a w taliach opasywały ich szarfy o podobnym odcieniu; do nich przytwierdzone były ładownice z nabojami.

Straż przepuściła przez bramę kolumnę słoni, lecz gdy nadjechał dyliżans, dwóch żołnierzy zastąpiło drogę, krzyżując karabiny z nasadzonymi na końce luf długimi szerokimi bagnetami.

— Dokąd jedziesz, głupcze?! Czy nie wiesz, że na tereny łowieckie His Highness* wstęp jest wzbroniony? — zawołał po angielsku do woźnicy jeden z żołnierzy, udając, że nie widzi siedzących w dyliżansie podróżnych.

— Wiozę białych sahibów do His Highness maharadży Alwaru — pokornie odparł woźnica schodząc z dyszla. Potem zwrócił się do naszych podróżników i oznajmił: — Jesteśmy już u wrót pałacu maharadży. Dalej jechać nie mogę, ponieważ żołnierze His Highness nie przepuszczają nikogo.

— Zawołaj do mnie dowódcę straży — krótko polecił Wilmowski, nie ruszając się z miejsca.

Woźnica skrzyżował ręce na piersiach, skłonił się z szacunkiem, po czym podszedł do zastępujących drogę żołnierzy. Pomyślał, że biali sahibowie są zapewne możnymi Anglikami, skoro nie chcą rozmawiać ze zwykłymi żołnierzami.

---

* His Highness — (po angielsku) Jego wysokość (czytaj: Hys Hajnes).

Bosman Nowicki, pomny uprzednich uwag Wilmowskiego na temat "dostojnego" zachowania się, przybrał srogą minę, jakby był co najmniej kapitanem bojowego okrętu, i rozparł się wygodnie na ławce. Tomek zaś niecierpliwie oczekiwał na wydarzenia, zerkając wesoło na puszącego się przyjaciela.

Słowa Wilmowskiego musiały wywrzeć odpowiednie wrażenie nie tylko na biednym woźnicy, lecz i na żołnierzach, albowiem niemal zaraz zjawił się dowódca warty z laseczką trzcinową w ręce. Zasalutował uprzejmie i powiedział:

— Jestem dowódcą osobistej straży His Highness maharadży Alwaru. Czego sobie szlachetni sahibowie życzą?

— Proszę zanieść maharadży mój list. Tutaj będziemy czekali na odpowiedź — odparł Wilmowski.

Wydobył z podręcznej torby przybory do pisania, by skreślić kilka słów:

His Highness!

Przybyliśmy z Europy do Indii na wezwanie naszego przyjaciela, pana Jana Smugi, który polecił nam zgłosić się do Maharadży Alwaru. Czekamy na wyjaśnienia przed bramą pałacu.

Łączymy wyrazy poważania — Andrzej Wilmowski

List włożył do koperty i podał żołnierzowi, który natychmiast zniknął za bramą. Minęło sporo czasu, zanim dowódca warty powrócił w towarzystwie starszego wiekiem Hindusa.

Bosman, na widok bogatego stroju krajowca szepnął do swych towarzyszy:

— Do licha, czyżby sam maharadża wyszedł na nasze spotkanie?

— Cicho siedź, bosmanie, zaraz się dowiemy, kim on jest — odpowiedział szeptem Wilmowski.

Tymczasem Hindus podszedł do dyliżansu, pochylił głowę i składając, jak do modlitwy ręce na piersiach, odezwał się niskim głosem:

— W imieniu jego wysokości maharadży Alwaru witam przyjaciół wielkiego szikara[*], sahiba Smugi. Maharadża zajęty jest wydawaniem dyspozycji w związku z polowaniem na tygrysy, które odbędzie się pojutrze o świcie, polecił mi jednak oznajmić szlachetnym sahibom, iż jutro przed południem przyjmie ich na specjalnej audiencji, by osobiście poznać, znanych mu już dobrze z opowiadań sahiba Smugi, znamienitych polskich łowców dzikich zwierząt...

Bosman, słysząc tę nadzwyczaj uprzejmą przemowę, pokraśniał. Tomek nie mniej zadowolony od niego przyjaźnie spoglądał na Hindusa, lecz Wilmowski, który ani na chwilę nie zapomniał o niepokojącym wezwaniu Smugi, niecierpliwie czekał na zakończenie przydługiego powitania.

Tymczasem Hindus mówił dalej:

---

[*] **Szikar (fonetycznie) — po indyjsku myśliwy.**

— Jego wysokość maharadża nie chce krępować miłych gości ceremoniałem pałacowym, przeto oddaje do dyspozycji sahibów swój pawilon myśliwski w parku. Jako wielki radżput* maharadży, proszę o rozgoszczenie się jak u siebie w domu.

— Proszę w naszym imieniu podziękować jego wysokości maharadży za tak miłe przyjęcie — odezwał się Wilmowski. — Ponieważ jednak odbyliśmy daleką podróż w celu zobaczenia się z panem Smugą, pragnąłbym dowiedzieć się, czy nasz przyjaciel przebywa w gościnie u maharadży.

— Szikar Smuga opuścił nas miesiąc temu. Nie wiem, gdzie obecnie jest. O tym sahibowie zapewne dowiedzą się od His Highness maharadży — wyjaśnił Hindus.

Wielki radżput klasnął w dłonie. Na ten znak żołnierze szeroko otworzyli bramę. Kilku bosonogich służących pobiegło do dyliżansu po bagaże. Radżput niedbałym ruchem rzucił woźnicy pod nogi dziesięć rupii, po czym zwrócił się do podróżników:

— Jeśli sahibowie sobie życzą, zaprowadzę ich teraz do pawilonu myśliwskiego.

— Proszę, jesteśmy gotowi — oświadczył Wilmowski, wręczył przy tym umówioną zapłatę pochylonemu w głębokim ukłonie woźnicy.

Radżput nie był zbyt rozmowny, toteż trzej podróżnicy kroczyli za nim zaintrygowani nieobecnością Smugi w Almarze.

— Co to ma znaczyć, Andrzeju? — mówił bosman. — W Bombaju zamiast Smugi przywitał nas morderca. Teraz znów, jak wynika z gadaniny tej hinduskiej mumii, Smuga wyjechał z Alwaru już miesiąc temu, chociaż w pobliskim Delhi miał starać się o zezwolenie na wyprawę. Bądź tu mądry z tego wszystkiego! Wzywa nas na pomoc, a tymczasem sam gdzieś znika.

— Czy pan się obawia, że nie mówią nam tutaj prawdy? — niepokoił się Tomek.

— Musimy cierpliwie czekać do jutra. Spodziewam się, że maharadża udzieli wystarczających wyjaśnień — tłumaczył Wilmowski. — Smuga w liście pisał: "pytajcie o mnie maharadżę Alwaru". "Pytajcie o mnie" nie oznacza przecież "czekam na was w Alwarze". Nie widzę powodów do jakichś podejrzeń. Może ma trudności w uzyskaniu zezwolenia, o które zabiega. Smuga jest doświadczonym człowiekiem. Gdyby nie ohydne zabójstwo poczciwego Abbasa, w ogóle nie niepokoiłbym się o niego.

— Masz rację, Andrzeju, uspokoiłeś mnie nieco — potaknął bosman. — Mamy niezbity dowód, iż Smuga tutaj gościł, ponieważ znają tu nas z jego opowiadania. Dobrze, że mile wspomina przyjaciół.

Tak pocieszając się wzajemnie minęli rozległy park i przybyli przed obszerny, parterowy domek zbudowany z grubych pali drewnianych. Był to właśnie wspomniany przez radżputa pawilon myśliwski. Masywna budowla posiadała małe, wysoko umieszczone nad ziemią okna, przysłonięte grubą siatką oraz tylko jedne, mocne drzwi, prowadzące z otwartej werandy w głąb domu.

---

* Wielki radżput — najbliższy doradca maharadży.

Biali podróżnicy zatrzymali się zdumieni przed myśliwskim pawilonem. Bosman mrużąc oczy, mruknął:

— A niech to tajfun porwie, przecież ta chałupa zupełnie wygląda jak więzienie!

— To samo chciałem powiedzieć. Musimy mieć na wszystko szeroko otwarte oczy — szepnął Tomek.

Jakby w odpowiedzi na te ciche uwagi czynione w polskim języku wielki radżput wyjaśnił:

— Sahibowie będą bezpieczni w tym domku nawet w nocy, jeżeli tylko od wewnątrz zamkną drzwi na zasuwę. Na płaskim dachu znajduje się duży otwór wentylacyjny, który można pozostawić otwarty. Tygrysy często przychodzą tutaj po zapadnięciu zmroku, lecz żaden z nich nie dostanie się na dach.

Tomek i bosman znacząco spojrzeli na siebie. A więc pawilon myśliwski specjalnie zbudowany był w ten sposób, by zabezpieczyć mieszkańców przed drapieżnymi zwierzętami. Tłumaczenie było bardzo logiczne. W tym właśnie miejscu olbrzymi park stykał się z rozległą dżunglą, obramowaną na linii horyzontu zalesionymi górami. Drapieżne zwierzęta bez jakichkolwiek przeszkód mogły zapuszczać się w pobliże myśliwskiego pawilonu.

Dom składał się z dwóch wygodnie urządzonych pokoi, oddzielonych od siebie jedynie jedwabną zasłoną oraz łazienki z dużą miedzianą wanną. W małej, oddzielnej przybudówce mieściła się kuchnia. Kilku hinduskich służących podgrzewało na piecu wodę do kąpieli oraz przygotowywało posiłek.

Radżput oznajmił, iż nazajutrz około południa przyjdzie po sahibów, aby zaprowadzić ich na audiencję do maharadży, a potem, życząc dobrego wypoczynku, oddalił się.

Podróżnicy szybko wykąpali się i przebrali, po czym zaraz przeszli do jadalni. Rozchodziły się w niej przyjemne dla utrudzonych długą drogą zapachy potraw.

W samym środku jadalni stał, nakryty śnieżnej białości obrusem, okrągły stół, wysoki zaledwie na tyle, iż nie można było powiedzieć, że jedzenie ustawiono na podłodze. Nasi podróżnicy, świadomi już niektórych zwyczajów mieszkańców Indii, przysunęli sobie niskie stołeczki bez oparcia i usiedli na nich z podwiniętymi nogami.

Bosman zanim przystąpił do zaspokojenia głodu, okiem znawcy przyjrzał się potrawom umieszczonym na stole. W dużej srebrnej wazie dymiło hinduskie narodowe "curry", sporządzone z ryżu, ryb, jarzyn i baraniego mięsa, a zawdzięczające nazwę ostrej mieszance korzennej. Obok, na błyszczącej tacy piętrzyła się góra gotowanego ryżu, otoczona wieńcem specjalnych czarek, z różnymi do niego przyprawami. Na innych półmiskach podano gotowane i smażone ryby, baraninę, sarninę i sery. Nie brak było również pomidorów, cebuli, zielonej papryki i zielonych strączków pieprzu do "przegryzania" poszczególnych potraw. Pieczywo zastępowały podpłomyki "czapati". Na osobnych paterach leżały owoce, a więc: ananasy, mango, pomarańcze, daktyle, banany i figi oraz przeróżne wschodnie słodycze.

Dwa srebrne dzbany zimnego piwa, naczynia z herbatą, którą na północy półwyspu pija się z niewielkim dodatkiem mleka, oraz kilka karafek z surową wodą dopełniały całości zastawy.

— No, no, nawet niczego sobie kolacyjka! Widzę, że głodni spać nie pójdziemy — pochwalił bosman, zadowolony z dokonanej "inspekcji".

— Zabierajmy się więc do jedzenia, bo jestem już porządnie głodny — powiedział Wilmowski.

Tomek i jego ojciec z umiarem kosztowali różnych potraw, natomiast bosman Nowicki nakładał sobie na talerz duże porcje po kolei z każdego półmiska, toteż wkrótce sięgnął po karafkę z wodą, gdyż ostro przyprawione potrawy obudziły jego pragnienie.

— Nie pij surowej wody, bosmanie — zaoponował Wilmowski — albowiem zawiera ona drobnoustroje, mogące spowodować przykrą dla Europejczyka biegunkę amebalną. Ostrzegałem cię już podczas jazdy pociągiem.

Bosman, choć zaraz odstawił karafkę, rzekł niedowierzająco:

— Jakże to może być, skoro Hindusi każdą potrawę popijają wodą i nic im nie jest?

— Organizmy Hindusów dostosowały się do warunków, w których żyją od wieków. Nieszkodliwe dla nich ameby w nieprzygotowanej wodzie stanowią w Indiach najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla Europejczyków. Pij piwo lub herbatę — doradził Wilmowski.

— Ha, skoro tak mówisz, to wleję do żołądka solidną porcję piwa, bo te korzenne przyprawy parzą mi wnętrze, jakby diabli wrzucili je do kotła z gotującą się smołą. Smutny musi być los grzesznego człowieka w piekle. Słuchaj, Tomku, przynieś z naszych bagaży butelczynę prawdziwej jamajki. Ona najlepiej gasi pragnienie i skutecznie przeciwdziała wszelkim zarazom.

Szybko zapadający w Indiach zmierzch zastał podróżników przy stole biesiadnym. Oliwne kaganki, zapalone przez służbę z nastaniem wieczoru, rzucały na izbę pełgające cienie, gdy Tomek na zakończenie obfitej uczty sięgnął po owoce.

Postanowił najpierw skosztować nieznanego mu dotychczas tajemniczego owocu mango, o którym już słyszał wiele dziwnych opowieści. Mianowicie wśród szeregu istniejących odmian tego owocu, o rozmiarach wahających się od wielkości jabłka do wielkości dyni, jedna odmiana wywołuje tak zwany "szał mangowy". Ludzie dotknięci manią spożywania mango reagują już na sam ostry, podobny do zapachu terpentyny, zapach owocu: rozszerzają im się nozdrza, oczy niemal wychodzą na wierzch, a język przywiera do podniebienia.

Tomek wziął owoc wielkości dużego jabłka. Aksamitna, twardawa, zielona łupina przylegała do żółtego jak szafran, soczystego miąższu, a ten z kolei również przywierał do dużej pestki. Zaledwie Tomek energicznie zagłębił swój scyzoryk w łupinę, lepki sok trysnął mu na twarz i ubranie.

— Lepiej wejdź do wanny z tym indyjskim specjałem. Przy okazji będziesz mógł sobie wyprać koszulę na jutrzejszą wizytę u maharadży — złośliwie doradził przyjacielowi bosman. — Mnie tam już sam zapach wierci w nosie i przyprawia o mdłości.

— Nie dziwię się, skoro zjadł pan na kolację tyle, że i wieloryb, którego pan tak stale wspomina, nie powstydziłby się podobnej uczty — odciął się Tomek wstając od stołu.

— Nie zżymaj się, brachu! Raczej bądź wdzięczny owocowi-sikawce za przestrogę. Mógłbyś się przyzwyczaić do mango, a słyszałem, że ludzie nawet umierają w boleściach po zjedzeniu niedojrzałego owocu.

Tomek umył się, po czym za radą bosmana wyprał swoją koszulę. Wyszedł z łazienki. Ojciec rozciągnięty wygodnie na matach, spał w najlepsze, a bosman, leżąc już także, ćmił krótką fajeczkę. Tomek zaczął rozglądać się, na czym mógłby powiesić mokrą koszulę.

Marynarz uśmiechnął się na jego widok i doradził:

— Ponad płaskim dachem chałupy zwisają z drzewa gałęzie. Powieś, brachu, koszulinę na jednej z nich. Lepszej góry do suszenia bielizny nie znajdziesz tutaj. Koszula wyschnie ci tam raz dwa. Drzwi już zamknąłem. Wachty nie będziemy wystawiali, bo chyba tylko jakiś duch mógłby dostać się do nas przez zakratowane okna. Uff, duszno jak w parówce!

— Straszliwie gorąco — przyznał Tomek. — Po umyciu się nie trzeba używać ręcznika, bo woda momentalnie wysycha. Dobranoc, bosmanie, zaraz kładę się spać.

— Dobranoc, brachu — powiedział marynarz. Ziewnął potężnie, odłożył na bok fajkę, odwrócił się twarzą do ściany i za chwilę już spał.

Tomek uchylił kotary. Wszedł do sąsiedniego pokoju. Za pomocą bambusowej drabinki wydostał się na płaski dach myśliwskiego pawilonu.

Jasne gwiazdy przebłyskiwały poprzez gałęzie rozłożystego platanu, rosnącego tuż przy domku. Wilgotny, upalny powiew płynął z pobliskiej dżungli, przynosząc wyziewy gnijących roślin. Rozległ się przeraźliwy skrzek papugi, przestraszonej zapewne przez jakiegoś nocnego drapieżnika. Tomek przystanął. Nasłuchiwał przez chwilę. Zdawało mu się, że słyszy szeleszczące kroki, jakieś głuche, mrożące krew w żyłach, dzikie pomruki, to znów dobiegały go jakby ciężkie westchnienia.

Tajemnicze odgłosy z głębi dżungli przypominały mu wyprawę na pogranicze Bugandy i Konga w Afryce, dokąd udali się swego czasu na poszukiwanie legendarnego zwierzęcia zwanego "okapi"*. Uśmiechnął się smutno, ponieważ podczas tamtych pamiętnych łowów stoczył samodzielnie swoją pierwszą prawdziwą walkę ze zbrodniczymi ludźmi-lampartami. Nie wspominał tego przyjemnie, aczkolwiek towarzysze łowów właśnie po tym przykrym wydarzeniu zaczęli traktować go jak dorosłego mężczyznę. Od owego polowania w Afryce minęło już sporo czasu. Tomek potem nieraz walczył z ludźmi. Nieraz chwytał za broń w obronie własnej czy przyjaciół, lecz nawet konieczny przelew krwi zawsze wywoływał w nim

---

* Okapi (Okapia johnstoni) — ssak z rodziny żyraf, o którego istnieniu w afrykańskich dżunglach usłyszano w Europie dopiero w 1901 roku.

smutek i żal. Zamyślony powiesił koszulę na pierwszej lepszej gałęzi, po czym zszedł do wnętrza domu. Ułożył się na macie obok towarzyszy, równocześnie starym zwyczajem wsunął pod poduszkę rewolwer. Zamknął oczy. Zaczął rozmyślać o Smudze. Szczerze niepokoił się o niego. Gdzie też on teraz przebywa? Podczas gdy ojciec i bosman pracowali przy urządzaniu ogrodu zoologicznego pod Hamburgiem, Smuga wyjechał z Europy na jedną ze swych samotnych wypraw i na szereg miesięcy wszelki słuch o nim zaginął. Dopiero przed kilkoma tygodniami z lakonicznej depeszy dowiedzieli się, że czeka na nich w Indiach. Dlaczego wzywał ich na pomoc? Czyżby groziło mu jakieś poważne niebezpieczeństwo?

Przyjaciele Smugi niewiele o nim wiedzieli. Nie lubił rozmawiać o swej bogatej w przeżycia przeszłości. Kim Smuga był właściwie? Cały świat znał równie dobrze jak własną kieszeń. Dokądkolwiek udawali się na wyprawę, Smuga już tam był kiedyś przed nimi. Nieobce mu były najdziksze zakątki Ziemi, przeniknął tajemnice różnych ludów, lecz zdradzał się z tym jedynie, gdy zaszła potrzeba i mówił tylko tyle, ile wymagała dana sytuacja. Tomek nieraz zastanawiał się, co kryło za sobą określenie "niespokojny duch", którego ojciec często używał mówiąc o nieobecnym Smudze. Najbliższy dzień powinien wyjaśnić, co się z nim działo. Co jednak uczynią, jeśli maharadża Alwaru nie zechce powiedzieć prawdy?

Tak rozmyślając Tomek przewracał się z boku na bok. Długo nie mógł zasnąć. Chwilami myśli o Smudze przesłaniało jak mgła wspomnienie o Sally. Złośliwa uwaga bosmana na temat nadskakującego jej kuzyna ukłuła Tomka niczym cierń.

"Hm, może bosman ma rację, że powinienem trzepnąć tego kuzyna w ucho" — rozmyślał i chyba uczyniłby to, gdyby w tej chwili przypadkiem ten ugrzeczniony Anglik znalazł się obok niego.

Na szczęście dzieliły ich tysiące kilometrów. Toteż skończyło się tylko na tym, że Tomek postanowił rozprawić się z kuzynem Sally zaraz po powrocie z wyprawy. Tak uspokojony zasnął.

Naraz przebudził się. Nie mógł sobie zdać sprawy, ile czasu trwał jego sen. W całym pomieszczeniu panował nocny mrok, tylko w sąsiedniej izbie słabo migotał oliwny kaganek. Tomek nasłuchiwał leżąc z otwartymi oczami. Bosman cicho postękiwał przez sen. Po chwili czujnego nasłuchiwania Tomek nabrał pewności, że ktoś chodzi po dachu. W nocnej ciszy wyraźnie było słychać stąpanie bosych stóp.

Tomek ostrożnie uniósł się na łokciu. Bosman i ojciec spali na swych matach. Któż więc mógł znajdować się na dachu, skoro jedyne drzwi zostały na noc zaryglowane od wewnątrz? Przypomniał sobie rosnący koło domu rozłożysty platan, którego konary rozpościerały się nad dachem. Ostrożne stąpania przywodziły mu na myśl mordercę z Bombaju — człowieka z blizną na twarzy. Tomek wyciągnął rewolwer spod poduszki. Podniósł się z maty. Na palcach zbliżył się do zasłony przedzielającej pokoje.

Kaganek oświetlał zaledwie jeden róg jadalni czerwonawym, migocącym światłem. Tomek uważnie spenetrował pokój. Nie, nikt nie wkradł się do wnętrza domu. Za to na dachu coraz wyraźniej rozlegały się stąpania bosych stóp. Tomek ostrożnie podszedł do bambusowej drabinki. Szczebel po szczeblu piął się w górę, trzymając rewolwer w prawej dłoni. Czerniejący w dachu otwór stawał się coraz bliższy. W końcu Tomek zatrzymał się na przedostatnim szczeblu. Nieznacznie wychylił głowę przez otwór i zerknął. Zaraz spostrzegł jakąś ciemną postać przycupniętą nad czymś białym leżącym na dachu. Nagle w konarach platanu zaszeleściły gałęzie.

Druga dziwna postać opadła prosto na kark pochylonego wspólnika. Rozległ się gniewny pisk.

Rozgorzała gwałtowna bójka.

Gdy zaalarmowani hałasem Wilmowski i bosman wybiegli na dach, zastali Tomka wyrywającego swą koszulę szalejącym z gniewu dużym małpom. Marynarz natychmiast rzucił się na pomoc druhowi. Potężnym kopnięciem zakończył cały bój. Jedna z małp zakreśliwszy wielki łuk w powietrzu zniknęła w ciemności nocy, a druga urwawszy kawał koszuli wykonała wspaniały skok na zwisające konary drzewa.

— Cóż tak stoisz niemy, niczym żona Lota? — zapytał bosman z niepokojem przyglądając się Tomkowi, czy przypadkiem nie poniósł jakiegoś szwanku w starciu z małpami.

— Posłuchałem pana rady i powiesiłem wypraną koszulę na gałęzi drzewa. Oto, co mi z niej pozostało — odparł Tomek, pokazując tylko strzęp jednego rękawa.

— Faktycznie niewiele — przyznał marynarz. — Ale pociesz się, brachu, ponieważ jednego z małpiaków nieźle poczęstowałem nogą niżej krzyża. Popamięta mnie on, popamięta...

— Masz szczęście, bosmanie, że jesteśmy tutaj sami — wtrącił Wilmowski. — Gdyby któryś z Hindusów zobaczył twój wyczyn, mielibyśmy sporo kłopotu.

— Czyżby to były znów jakieś bożki?!

— Jeśli dobrze je rozpoznałem, mieliśmy do czynienia z dwoma hulmanami* uważanymi przez wyznawców hinduizmu za święte małpy.

W tej chwili gruby kawał gałęzi upadł tuż pod nogi rozmawiających mężczyzn.

— Wracajmy do chałupy, bo jeszcze oberwiemy po łepetynach od rozgniewanych świętoszków — mruknął bosman zsuwając się na drabinkę w otworze dachu.

Po zejściu do mieszkania zamknęli otwór w dachu bambusową kratą, aby zabezpieczyć się przed ewentualną wizytą nieproszonych gości. Zabawne wydarzenie wybiło podróżników

---

* Hulmany (Presbytis entellus) — święte małpy Hindusów. Wyróżniają się smukłą budową, cienkimi kończynami, bardzo długimi ogonami, małą, wysoką głową, skróconym pyskiem i małymi kieszeniami policzkowymi. Długość ciała hulmana wynosi około 1,50 m. z czego 1 m przypada na ogon. Pokrywa je żółtawoszare futerko.

ze snu, toteż przez jakiś czas gawędzili na temat wierzeń, zakorzenionych wśród wyznawców hinduizmu.

— W Indiach wiele świątyń poświęconych jest małpom, które często zamieszkują w świętych gajach figowych, rosnących wokół chramów — wyjaśnił Wilmowski. — Szczególnie właśnie hulmany otaczane są specjalną opieką przez kapłanów. Dlatego też przyzwyczajone są do widoku ludzi i nie wykazywały obawy przed Tomkiem. W myśl mitologii hinduskiej bóg-małpy Hanuman dopomógł Ramie, jednemu z wcieleń boga Wisznu, w zwyciężeniu straszliwego olbrzyma, który porwał jego żonę Sitę. Jak więc widzicie, małpy mają swego zasłużonego przedstawiciela w panteonie hinduskich bogów.

— Coś mi tutaj za dużo świętych ludzi i zwierząt — mruknął bosman. — Ilu ostatecznie mają tych bożków?

— Według świętych ksiąg hinduskich zwanych Wedami, uchodzących za najstarsze biblie na świecie*, jako pierwotna przyczyna wszystkiego istniał bóg Bram lub Braman. Dzięki niemu powstali bogowie: Brama, Wisznu i Sziwa. Dwaj ostatni są bogami dwóch głównych indyjskich kultów Wisznu i Sziwy. Żona Sziwy jest jedną z ważniejszych bogiń i nosi wiele imion. Zwą ją: Uma, Haimavati — Córka Himalajów, Durga, Kali, czyli Czarna, oraz Bhaivari — Straszna. Wszyscy bogowie mają awatarów, to jest wcielenia, przez które przechodzą w różnych okresach. I tak na przykład Wisznu był: rybą, żółwiem, niedźwiedziem, półlwem, półczłowiekiem, pięknym Ramą, Kriszną i Buddą, a w ostatniej swej reinkarnacji ma zjawić się dopiero przy końcu obecnej ery*. Oprócz tych trzech bogów w różnych środowiskach cieszą się czcią również inni bogowie i boginie, związane stopniem pokrewieństwa z głównymi bogami. Nie brak wśród nich potworków, jak Hanuman — bóg małp oraz Ghanesz, bóstwo z głową słonia. Poza tą całą plejadą bogów istniały jeszcze rozmaite bóstwa natury, demony, rusałki i dżiny.

— A to ci dopiero liczne koligacje — zdumiał się bosman. — Czy każdy z tych bożków miał swego zwierzaka? Jeśli tak, to nawet muchy muszą być tu święte.

— Jesteś bliski prawdy, bosmanie — potwierdził Wilmowski. — Z wielu zwierzętami i ptakami wiążą się najrozmaitsze mity oraz legendy. Na przykład byk jest jednym z wcieleń Sziwy, gęś natomiast ptakiem Brahmy, niebezpieczna kobra jest otaczana czcią, ponieważ jakoby miała kiedyś swym rozpostartym kapturem osłonić od słońca boga Wisznu; tygrys jest znów ulubieńcem Kali, a papuga ptakiem bogini miłości — Kamy. Na słoniu jeździ bóg Indra, podczas gdy Ghanesz dosiada szczura, a małżonka Brahmy, Sarasati, ma pawia za wierzchowca. Jeśli dodam, że wszyscy bramini uważani są za półbogów, to łatwo zrozumiesz, ilu bożków i świętych zwierząt posiadają Hindusi.

---

* Wtedy istniały już co najmniej na tysiąc lat p.n.e.

* Do czasu wtrącenia przez Anglików do więzienia. Gandhi był uważany przez Hindusów za ostatnie wcielenie Wisznu. Po I wojnie światowej stanął na czele ruchu protestującego przeciwko panowaniu Brytyjczyków w Indiach. Zginął z rąk zamachowca w 1948 r. Gandhi Mohandas Karamczand patriota i filozof hinduski urodził się w mieście Pordbandar 2. X. 1869 r.

— Ho, to, będzie tego bractwa chyba parę milionów — zauważył bosman. — Czort tam z nimi, po co jednak dorabiają tym bożkom łby zwierzęce? Śmiech mnie zbiera, gdy na to patrzę!

— Moim zdaniem niesłusznie wyśmiewasz się z religii stworzonej przez braminów, albowiem potrafią oni dostosowywać ją do potrzeb mieszkańców tego kraju. Hinduizm jest mieszaniną wielu wierzeń, mitów, zabobonów, kultów zwierząt i sił przyrody oraz zbiorem nakazów i zakazów dotyczących wielu zasadniczych dziedzin życia.

— Zgadzam się z tobą, ojcze, chociaż i bosman ma rację. To wszystko jest bardzo śmieszne — wtrącił Tomek. — Mnie również ciekawi, dlaczego choćby na przykład bożek Ghanesz wyobrażany jest zawsze z głową słonia?

— Mogę wam to wyjaśnić — odparł Wilmowski. — Ghanesz był synem bożka Sziwy i bogini Kali. Otóż w myśl legendy pewnego razu Sziwa rozgniewany na syna odciął mu głowę, aby jednak nie zasmucać matki, polecił słudze odrąbać głowę pierwszemu napotkanemu żywemu stworzeniu i przyłożyć ją do tułowia Ghanesza. Gorliwy sługa napotkał słonia; natychmiast wykonał rozkaz boga. Syn-potwór z głową słonia martwił bardzo boginię Kali, toteż Sziwa, chcąc wynagrodzić mu przykry wygląd, obdarzył go niezwykłymi zdolnościami i rozumem. W ten sposób Ghanesz stał się bogiem mądrości i jest nawet obecnie czczony przez uczonych oraz kupców.

— Ha, na mój chłopski rozum wszystkie te zabobony wychodzą na korzyść jedynie braminom, którzy wyglądają niczym wielkie pączki nadziewane powidłami — powiedział bosman, po czym ziewnął potężnie.

— Dość już tej nocnej dyskusji. Niedługo będzie dniało, odpocznijmy choć trochę przed świtem — zakończył rozmowę Wilmowski widząc, że senność znów zaczyna ogarniać jego towarzyszy.

MAHARADŻA ALWARU

Przeraźliwe wycie w coraz to wyższych tonach rozległo się z nastaniem świtu niczym głos budzika. Piekielny koncert małp huloków[*], zamieszkujących zwartą gęstwę lasów Indostanu poderwał ze snu naszych podróżników. Nie było mowy o dalszej choćby tylko drzemce. Tomek wybiegł przed dom, aby rozejrzeć się w nieznanej okolicy. Niebawem w zielonej gęstwinie natrafił wkrótce na szeroką ścieżkę wiodącą wprost do dżungli.

Pod wpływem porannego żaru słonecznego wokół rozśpiewały się cykady[*]. Tomek rozglądał się po gałęziach drzew i krzewów, by dojrzeć choć jednego z tych oryginalnych owadów, znanych dobrze nawet już ludziom starożytnym, zwłaszcza Grekom, którzy nieraz trzymali je w małych klateczkach zrobionych z łyka podobnie jak teraz trzyma się ptaki pokojowe. Tomek, uważnie wypatrując cykad, nieoczekiwanie ujrzał przeświturającą przez gąszcz zieleni gładką taflę wód jeziora. Natychmiast zapomniał o owadach; na brzegu i w płytkiej przybrzeżnej wodzie spostrzegł ogromną ilość dużych ptaków o nadzwyczaj długich, cienkich nogach i równie długiej szyi. Miały charakterystyczne dzioby, silnie zagięte w połowie długości w dół.

Pokryte białym upierzeniem z różowym nalotem były niepospolicie piękne. Oto zdawało się, iż brzegi jeziora i woda pokryte są biało-różowym śniegiem. Tomek znał płochliwość flamingów, zwanych również czerwonakami[*]. W milczeniu z zachwytem przyglądał się odpoczywającemu stadu. Niektóre flamingi siedziały na stożkowatych gniazdach zbudowanych z mułu wprost na płytkiej wodzie, inne stały na jednej nodze i skręciwszy szyję

---

[*] Hulok (Hylobates hoolock) — małpa z rodziny gibbonów. Zamieszkuje Indostan aż po Junan. Wysokość jej dochodzi do 90 cm. Posiada czarne ubarwienie z wyjątkiem białej przepaski na czole.

[*] Cykady, czyli piewiki właściwe (Cicadidae), należą do grupy pluskwiaków. Rozpowszechnione głównie w krajach cieplejszych. Żywią się sokami wysysanymi z roślin. Długość rozpostartych skrzydeł niektórych gatunków wynosi około 18 cm. Właściwością cykad jest ich zdolność wydawania dźwięków za pomocą narządu u nasady odwłoka, składającego się z bębenkowej błonki, która może się naciągać dzięki skurczom mięśni i być wprawiana w drgania powodujące dźwięki.

[*] Flamingi albo czerwonaki (Phoenicopterus ruber) — zaliczane z powodu włóczęgowskiego trybu życia do ptaków wędrownych, zamieszkują pas podzwrotnikowy oraz część strefy umiarkowanej Starego i Nowego Świata.

do tyłu, kryły głowę pod skrzydłem, to znów brodziły po jeziorze, pogrążając w nim wraz z łbem część szyi. Szukały pokarmu dziobem, zaopatrzonym po brzegach w liczne blaszki rogowe, tworzące z niego coś w rodzaju sita.

Tomek już wcześniej poznał flamingi w ogrodzie zoologicznym Hagenbecka pod Hamburgiem. Wiedział, że ich pisklęta zaraz po wykluciu się z jaj pływają znakomicie, chodzić jednak mogą dopiero po kilkunastu dniach, a do lotu zdolne są po kilku miesiącach.

Nie opodal zatrzeszczały krzewy, przerywając obserwacje Tomka. Odruchowo spojrzał w kierunku, skąd dochodziły podejrzane szelesty. Przez zarośla przedzierał się olbrzymi bawół indyjski arni* o wielkich półksiężycowato wygiętych rogach. Tomek natychmiast przywarł do pnia drzewa, ponieważ arni skory jest do napaści i nie unika nawet walki ze słoniem. Potężne, ciemnoszare, aż prawie czarne zwierzę podążało w głąb dżungli, zapewne po nocnym żerowaniu w pobliżu jeziorka. Tomek nie miał przy sobie broni, nie chcąc więc się narażać na niespodzianki, wycofał się ostrożnie. O kilkadziesiąt kroków przed Tomkiem teren po lewej stronie ścieżki obniżał się znacznie i tworzył rozległe bagnisko. Serce zabiło mu żywiej w piersi; oto na sporych kępach wyrastających z bagna dojrzał dziesiątki wygrzewających się w słońcu krokodyli*. Spoczywały nieruchomo na brzuchu, z kończynami wyciągniętymi do tyłu i pyskiem szeroko otwartym. Tylko ich wyłupiaste, kaprawe ślepia czujnie śledziły człowieka idącego ścieżką.

Kilka płazów zsunęło się do wody. Szybko płynęły ku brzegowi, wzdłuż którego wiła się niezbyt szeroka w tym miejscu, urwista drożyna. Tomek przyśpieszył kroku. Wąska i nierówna ścieżka nie dawała stopom zbyt pewnego oparcia, a tymczasem potwornie uzębione paszcze były coraz bliżej. W tej chwili Tomek uzmysłowił sobie, iż jeszcze w ubiegłym stuleciu fanatyczne Hinduski rzucały w wody Gangesu swe dzieci w ofierze "świętym" krokodylom na pożarcie. Teraz, w niebezpiecznym sąsiedztwie żarłocznych gadów, doskonale odczuwał, co musieli przeżywać ludzie podejrzani o morderstwo, którym dla naocznego udowodnienia niewinności kazano przechodzić bądź przepływać rzekę rojącą się od krokodyli. Jeżeli podejrzany był dobrym pływakiem i miał wiele szczęścia, to uniknąwszy paszcz potworów, odzyskiwał wolność.

W odległości kilkudziesięciu metrów ścieżka się rozwidlała. Tomek skręcił w prawo. Przez liany i krzewy zamajaczyły białe mury hinduskiej świątyni. Do jej wnętrza wiodło "gopuram", to jest ostrosłupowe wejście, ozdobnie rzeźbione w kamieniu i przybrane stiukami. Obok świątyni, zagubionej w gąszczu tropikalnej zieleni, przesunął się cicho jak

---

* Bawół indyjski — arni (Bubalus bubalis) — przebywa tylko w błotnistych okolicach. Od arni pochodzą bawoły domowe.

* W Azji spotykamy dwa gatunki krokodyli właściwych: krokodyla błotnego (Crocodilus palustris) i nieco większego, czarniejszego w ubarwieniu, a także najczęściej trzymanego w ogrodach zoologicznych tak zwanego "Crocodilus porosus". Oprócz nich w wodach Gangesu, Brahmaputry, Indusu oraz rzek Indii wschodnich przebywa, żyjący tylko w Azji, gawial (Gavialis gangeticus), krokodyl o głowie raptownie zwężającej się ku oczom, wskutek czego długi, spłaszczony i rozszerzony na końcu pysk, przypomina kształtem dziób ptaka. W wielu plemionach hinduskich gawial uchodzi za święte zwierzę, poświęcone Wisznu.

zjawa jeleń aksis* o pięknym, długim, lirowatym porożu, błyskając białymi, nieregularnie rozmieszczonymi plamami na rudobrunatnej sierści. Stanowił on ulubioną zwierzynę łowną tak krajowców, jak i Anglików.

"Ależ to prawdziwy raj dla myśliwych. Prawdopodobnie nieroztropnie jest zapuszczać się tutaj bez broni" — monologował Tomek.

Miał olbrzymią ochotę zajrzeć do tajemniczej świątyni zbudowanej z dala od pałacu, lecz wydało mu się, iż mogłoby to być niebezpieczniejsze, niż błądzenie bez broni po dzikich chaszczach. Począł wracać ku domkowi myśliwskiemu. Zanim wkroczył na wąskie przejście wzdłuż bagna, wyszukał sobie w lesie kawał mocnej grubej gałęzi; tak uzbrojony odważnie zapuścił się na urwisko.

Olbrzymie gady jakby wiedziały, iż w okolicy istnieje tylko to jedno przejście, zdawały się czatować na powracającą ofiarę. Kilka pokrytych łuskami niby pancerzem łbów widać było na wodzie tuż przy samej ścieżce.

"Głodne muszą być bestie" — pomyślał Tomek, mocniej ściskając w garści kij.

W pewnym miejscu ścieżka znacznie zniżała się ku bagnisku i tworzyła wyrwę o ostro ściętym brzegu. Tędy zapewne krokodyle wychodziły z bagna. Gdy Tomek zbliżył się do zdradliwego przejścia, spostrzegł tam gada, do połowy wynurzonego z bagniska. Przystanął na chwilę niezdecydowany. Tutaj właśnie ścieżka tworzyła jakby stopień u stóp trzymetrowej wysokości ostro ściętego urwiska. Wspinanie się ku gęstwinie dżungli było bardzo ryzykowne. Gdyby ziemia osunęła się spod stóp Tomka, stoczyłby się wprost w bagno, gdzie czyhała śmierć. Obawiał się również czekać na samorzutne zejście bestii z drogi, ponieważ więcej gadów zwabionych jego widokiem mogło pojawić się na brzegu. Po krótkim namyśle Tomek ruszył w kierunku krokodyla. Ten wlepił w chłopca wzrok, bacząc na każdy jego ruch i zaczął wolno cofać się do wody. Aby nie przedłużać niebezpiecznej sytuacji, Tomek podbiegł do bestii i uderzył ją kijem w łeb. Krokodyl wykonał błyskawiczny ruch. Gruba gałąź trzasnęła jak zapałka w jego paszczy, na szczęście Tomek zdążył przeskoczyć zdradliwe miejsce i szybko biegł ku myśliwskiemu domkowi.

— Gdzieś ty się zawieruszył?! — zawołał Wilmowski, ujrzawszy pędzącego syna.

— Ejże, brachu, co tak biegniesz, jakby goniło cię co najmniej jakieś święte byczysko — wtórował bosman. — Tylko patrzeć, jak nas zaproszą do maharadży, a ty szwendasz się nie wiadomo gdzie!

Tomek wskoczył na werandę. Poufale klepnął bosmana w plecy, siadł na trzcinowym fotelu i odezwał się:

— Byłem na małym rekonesansie w dżungli. Maharadża stworzył tutaj prawdziwy rezerwat dla wszelkiej zwierzyny. Nad jeziorem widziałem flamingi, w bagnisku zaś roi się od

* Jeleń aksis żyje w Indostanie (Rusa axis); ma około 1 m wysokości i plamistą sierść.

krokodyli i to bardzo zgłodniałych. Spotkałem też jelenia aksis i bawołu arni, nie mówiąc już o różnorodnym ptactwie.

— Ho, ho, jeśli tak, to nie dziwię się, że wracałeś pędem z tej wycieczki, skoro byłeś na tyle nieroztropny, by wałęsać się po dżungli bez broni — skarcił go ojciec. — Czy zapomniałeś, ile to osób napadniętych przez tygrysy ginie corocznie w Indiach?

— Wcale nie zapomniałem, ojcze, lecz to ty właśnie nauczyłeś mnie nie bać się dzikich zwierząt — odparł Tomek.

— Dobrze, dobrze, lecz nie narażaj się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Ubieraj się teraz szybko!

— Zaraz będę gotów — zawołał Tomek i zniknął w głębi domu.

Wielki radżput zjawił się w pawilonie myśliwskim pod koniec śniadania. Wkrótce podróżnicy razem z uprzejmym przewodnikiem wyruszyli na audiencję do maharadży. Z dala widoczna fasada pałacu, zbudowanego z czerwonego piaskowca, górowała nad drzewami parku. Tuż przed wspaniałą budowlą znajdował się rozległy dziedziniec. Tomek mimo woli krzyknął z podziwu, gdy ujrzał na nim trzydzieści słoni ustawionych w długi szereg. Każde zwierzę nosiło na tylnej nodze metalową obręcz z uchwytem do zaczepiania łańcucha, którego drugi koniec przymocowany był do niskiego, grubego słupa wbitego w ziemię.

Słonie dopełniały swej porannej toalety. Gromada mahutów żywo krzątała się wokół "królów dżungli". Jedni popędzali woły zaprzęgnięte do kołowrotów, czerpiących w skórzane wory wodę ze studni, inni podrzucali słoniom siano, siekane warzywa i owoce bądź też szorowali zwierzęta ryżowymi szczotkami osadzonymi na długich drągach. Słonie pomagały im gorliwie w oblewaniu wodą swych olbrzymich cielsk. Wciągały ją w trąby z dużych cebrów, a potem wydmuchiwały niby z prysznicu na siebie. Niektóre kładły sobie trąbami wiązki siana na głowie, by osłonić się przed palącymi promieniami słońca, bądź obsypywały się piachem*.

Radżput zadowolony z wrażenia, jakie wywarły słonie maharadży na białych podróżnikach, rzekł:

— Wszystkie słonie maharadży należą do odmiany kumira*. Szlachetni sahibowie będą mieli okazję do zaobserwowania ich niezwykłych zalet łowieckich podczas polowania na tygrysy.

— Jak wspaniale prezentuje się ten pierwszy w szeregu słoń! — zawołał Tomek przyglądając się największemu okazowi, posiadającemu tylko jeden kieł.

— To jest właśnie przewodnik stada, a zarazem i święte zwierzę. Dosiada go jedynie maharadża podczas procesji religijnych bądź na dorocznych łowach na tygrysy — wyjaśnił Hindus.

---

* Słonie chętnie obsypują się za pomocą trąby piaskiem, aby uchronić się przed owadami i pasożytami lub też dla ochrony przed silnymi promieniami słońca.

* Hindusi odróżniają na podstawie kształtu i zdolności zwierzęcia trzy "odmiany" słoni: kumiria, dwasala i mierga. Kumiria jest najdoskonalszym słoniem indyjskim.

— Nietrudno domyślić się, iż to wyjątkowo piękne zwierzę przewodzi stadu — powiedział Tomek. — Chyba w walce postradało jeden ze swoich cennych kłów?

Wielki radżput zmarszczył brwi; spojrzał na podróżników przenikliwym wzrokiem i dopiero upewniwszy się, iż w twarzach ich nie maluje się nic więcej prócz podziwu, odpowiedział:

— Nie wiesz zapewne, sahibie, że większość samic słonia indyjskiego w ogóle kłów nie posiada. Zdarza się również, że u niektórych samców rozwija się tylko jeden kieł; jeżeli to jest prawy, wtedy Hindusi uważają takiego słonia za boskie zwierzę.

— Nie wiedziałem tego. W każdym razie słoń ten naprawdę wygląda na królewskiego rumaka — przyznał Tomek.

Hindus rozchmurzył się;. przyjaźniejszym wzrokiem obrzucił białego młodzieńca, po czym zbliżył się do niego i ściszonym głosem poinformował:

— Widzę szczerość i... prawość w twej twarzy. Pamiętaj szlachetny sahibie, iż tylko zarozumialec lub człowiek małej wiedzy wyśmiewa się z obyczajów innych ludzi. W myśl hinduskiej religii słoń jest symbolem najwyższej mądrości, buddyści* natomiast czczą białego słonia, który przecież jest nie lada rzadkością, jako jedno z wcieleń Buddy. Stąd właśnie pochodzi kult tego zwierzęcia w Syjamie. Może przydadzą ci się te wiadomości w krajach opanowanych przez buddyzm.

— Dziękuję za życzliwą radę, chociaż nie mamy zamiaru udawać się w głąb Azji. Wprost z Indii niebawem wracamy do Europy, dokąd wzywają nas pilne osobiste sprawy — odpowiedział Tomek.

— Skąd możesz wiedzieć, sahibie, co ci los przeznaczył? — szepnął Hindus. — Człowiek jest jak liść niesiony przez wiatr, z tą tylko różnicą, że wiatr zastępuje dlań nieomylne księgi przeznaczenia. Nie wiesz więc, co może się stać za chwilę, ani też, czy wkrótce nie wyruszysz w kierunku zupełnie przeciwnym zamierzonemu.

Tomek uderzony dwuznacznością jego słów chciał poprosić o jaśniejszą wypowiedź, lecz przeszkodził mu bosman, pokazując słoniątko, które odrzuciwszy na bok swą małą trąbę, usiłowało chwycić paszczą wymię matki. Na tym też intrygująca rozmowa urwała się, ponieważ radżput poprowadził ich teraz wprost do pałacu.

Wnętrze budynku tchnęło przepychem spotykanym tylko na Wschodzie. Krużganki i komnaty miały mozaikowe posadzki, marmurowe obramowania okien były ażurowo rzeźbione w przepiękne wzory, a ściany i sufity pokryte freskami i arabeskami. W mieszkalnych pomieszczeniach pałacu ciszę przerywał szmer wody z fontann wytryskujących z marmurowych sadzawek; nęciły baseny kąpielowe, wypełnione pachnącą wodą i otoczone palmami.

*** Założycielem religii buddyjskiej był Gautama Budda, szlachcic z Nepalu. W samotności poszukiwał prawdy, którą miał jakoby osiągnąć niespodzianie w jedną noc. Wtedy udał się do Benares (czczonego odtąd również przez buddystów), gdzie jako Budda zaczął głosić swoją wiarę. Buddyzm przeobraził świat wschodni. Chociaż wygasł w Indiach, zaczął krzewić się w Afganistanie, Centralnej Azji, Syjamie (Tajlandii), na Jawie, w Chinach, Japonii oraz w Mongolii i południowej Syberii.**

Maharadża Alwaru oczekiwał na gości w dużej sali o inkrustowanych ścianach, na których widniały wyrzeźbione kwiaty i głowy dzikich zwierząt z oczami ze szlachetnych kamieni. Z boku, w oryginalnym gaju egzotycznych palm, znajdowała się alabastrowa sadzawka, a w niej, na małej wysepce, czaiła się wykuta z czarnego marmuru pantera, z której paszczy, oczu i uszu tryskała perląca się, pachnąca woda.

Nasi podróżnicy przystanęli u wejścia, wtedy kroczący na przedzie wielki radżput zaanonsował ich:

— Przyjaciele wielkiego szikara Smugi — nieustraszeni łowcy dzikich zwierząt, szlachetni sahibowie: Andrzej Wilmowski, Tomasz Wilmowski i Tadeusz Nowicki.

Wśród zgromadzonych w sali zaległa cisza. Wszyscy zwrócili oczy na tak intrygująco zapowiedzianych gości. Tymczasem wielki radżput, jako jednocześnie mistrz dworskiego ceremoniału, poprowadził ich ku podwyższeniu pokrytemu tygrysimi skórami. Na nim to jak na tronie siedział Manibhadra* maharadża Alwaru.

Manibhadra wolno powstał na powitanie. Skrzyżował ręce na piersiach, pochylając głowę w ukłonie. Duża diamentowa brosza, przytrzymująca niewielki barwny pióropusz z przodu białego turbanu, błysnęła niebieskawymi ognikami. Tak samo mieniły się blaskiem brylantowe guzy spinające pod szyją długi surdut sięgający kolan, przepasująca talię szeroka, czerwona szarfa naszyta szlachetnymi kamieniami i perłami oraz zatknięty za nią, w pochwie zdobionej macicą perłową, długi sztylet o rękojeści wysadzanej brylantami, a zakończonej wielkim krwawym rubinem. Długie, luźne i białe jak surdut spodnie dotykały miękkich, wyszywanych złotą nicią pantofli o zakrzywionych do góry nosach. Ciężki złoty łańcuch na szyi jako symbol władzy oraz brylantowe pierścienie na palcach u rąk dopełniały całości nadzwyczaj bogatego stroju maharadży.

Manibhadra wyprostował się i obrzucił swych gości palącym wzrokiem. Był to mężczyzna po czterdziestce, o śniadej twarzy okolonej krótkim kruczoczarnym zarostem. Dźwięcznym głosem rozpoczął rozmowę czystą angielszczyzną:

— Witam panów jako miłych gości, zapowiedzianych przez mego szwagra Pandita* Davasarmana*. Cieszę się, iż przybyliście akurat w przeddzień wielkiego polowania na tygrysy. Chociaż jesteście znamienitymi łowcami dzikich zwierząt, myślę, że i nasze skromne polowanie będzie dla was przyjemną rozrywką w długiej, nużącej podróży. Teraz pragnąłbym przedstawić panów mojej małżonce, maharani Alwaru, która ma wiele życzliwości dla waszego przyjaciela — szikara Smugi.

Maharadża lekko pochylił głowę w kierunku sąsiedniego podwyższenia. Trzej biali łowcy przez dłuższą chwilę w milczeniu podziwiali niezwykłą urodę młodej i wiotkiej jak trzcina maharani. Księżna spoglądała na nich jakby lekko sennymi, wykrojonymi w kształt dużych

---

* Manibhadra — Szlachetny Kamień.

* Pandit — tytuł nadawany indyjskim uczonym. Często nazwą "hinduskich pandytów" określa się Hindusów specjalnie wyszkolonych i przygotowanych przez Anglików do penetracyjnych wypraw geograficznych do krajów Azji, jak Tybet, Pamir itd., dokąd wstęp cudzoziemcom był wzbroniony.

* Davasarman — Mający Łaskę u Bogów.

migdałów oczyma o odcieniu bladoniebieskiego nieba. Uśmiechała się karminowymi, delikatnymi jak płatki róży ustami. Króciutka, błękitna bluzeczka, pokryta artystycznie wyszytymi złotą nicią orchideami, zapięta tylko u góry na trzy brylantowe guziki, nie osłaniała widocznego ponad sari pasa nagiego ciała, podobnego do jasnobrunatnego aksamitu.

Sari księżnej było widomym dowodem olbrzymiego bogactwa maharadży oraz niezwykłego artyzmu znanych na całym świecie dżajpurskich tkaczy. Błękitny muślin, przetykany złotą nicią w przepiękne wzory, mienił się brylantami niczym wieczorne niebo usiane płonącymi gwiazdami. Zwiewne sari, udrapowane na biodrach w sute fałdy, luźno spływało aż do kostek nóg. Jeden koniec kosztownej szaty tworzył z tyłu długi tren, podczas gdy drugi, przewieszony przez plecy do przodu, okrywał lewe ramię. W myśl obyczaju "purdach", obowiązującego wszystkie Hinduski należące do wyższych klas społecznych, który zabrania ukazywania swej twarzy obcym mężczyznom, księżna prawą dłonią przytrzymywała zwisający na lewym ramieniu róg sari i przejrzystym rąbkiem muślinu kokieteryjnie niby to osłaniała się przed gośćmi. Na każdym placu obydwóch rąk nosiła drogocenne pierścienie, ponadto w jej uszach tkwiły duże półksiężycowate zausznice wysadzane brylantami. Tak jak jej książęcy małżonek miała zawieszony na szyi ciężki łańcuch. Wpięta z boku głowy w gładko zaczesane do tyłu czarne włosy żywa biała orchidea upodabniała zwiewną księżnę do przepięknego egzotycznego kwiatu.

Maharani opierała swe małe stopy, wsunięte w złociste sandały, na leżącym przed nią dużym gepardzie* o żółtawym futrze gęsto nakrapianym ciemnymi cętkami.

Za księżną stały młode służebne. Za pomocą złotych sznurów wprawiały w ruch duże "punkhas", to jest wachlarze z kolorowych piór, zwisające z sufitu.

Wilmowski, a za nim bosman i Tomek postąpili nieco ku pięknej księżnej, po czym pochylili się w głębokim ukłonie.

— Mój brat, Pandit Davasarman, prosił mnie o zaopiekowanie się panami podczas jego nieobecności, jesteście więc obecnie moimi miłymi gośćmi — odezwała się maharani cichym, melodyjnym głosem. — Wiele już słyszałam o panów niezwykłych przygodach. To pan zapewne jest tym młodym dzielnym łowcą, który wszędzie zdobywa przyjaźń ludzi i przywiązuje do siebie nawet dzikie zwierzęta?

Mówiąc to maharani wpiła wzrok w twarz Tomka. Młodzieniec zmieszał się pod badawczym spojrzeniem księżnej. Nie był pewny, czy wypada wdawać się w rozmowę z maharani, albowiem w Indiach przeważnie nie spotykało się kobiet w towarzystwie mężczyzn. Maharani ośmielająco uśmiechnęła się do niego i płynną angielszczyzną dodała:

---

* Gepard (Acinonyx guttatus) należy do rzędu zwierząt drapieżnych. Ojczyzną jego są Afryka i Azja (Azję prawdopodobnie zamieszkuje gatunek odrębny — Acinonyx jubatus). Jest to typowe zwierzę stepowe, łączące w sobie cechy psa i kota. Posiada wysmukłe ciało dosięgające 1,37 m długości, nie licząc 76 cm ogona.

— Szikar Smuga opowiadał mi, jak to pan mężnie walczył w Meksyku z Indianami, aby ocalić swą Australijkę. Czy ona naprawdę jest tak bardzo ładna, jak słyszałam?

Śmiały zazwyczaj Tomek zarumienił się, gdy księżna nazwała Sally "jego Australijką". Bosman bawił się doskonale słuchając słów maharani, ponieważ i on często lubił przymawiać Tomkowi na temat Sally. Teraz korzystając z chwilowej konsternacji przyjaciela, ochoczo wtrącił się do rozmowy:

— Święta to prawda, wielce szanowna pani! Sally jest jakby żywcem wycięta z jakiegoś pięknego obrazka. Nic więc dziwnego, iż nasz Tomek poszedłby za nią nawet w ogień.

Maharani wolno odwróciła głowę w kierunku marynarza. Przez chwilę przyglądała się barczystemu, wysokiemu bosmanowi, który przy na ogół niskich Hindusach wyglądał jak prawdziwy olbrzym.

— Opowiadano mi, że buntowniczy wódz Indian chciał ożenić pana w Ameryce ze swoją córką. Czy i ona była tak urodziwa jak ta Australijka? — zagadnęła maharani.

Teraz z kolei bosman zmieszał się na wspomnienie Indianki. Swego czasu, podczas dramatycznych wydarzeń, przyrzekł ożenić się z młodą dziewczyną, lecz szczęśliwszy był mogąc w tym szczególnym przypadku nie dotrzymać słowa. Ożenek zawsze uważał za największe zło, jakie może spotkać marynarza kochającego włóczęgę się po świecie. Toteż obecnie nie stracił przytomności umysłu i zaraz odparł:

— Wódz Apaczów Czarna Błyskawica nie był buntownikiem, szanowna pani. On tylko nie chciał nosić na karku jarzma niewoli. Tacy szlachetni ludzie jak on woleli zginąć niż żyć w upokorzeniu.

Wilmowski, zaniepokojony śmiałym odezwaniem się przyjaciela, chrząknął ostrzegawczo i zaczął dyplomatycznie:

— Dziękujemy jego wysokości maharadży i księżnej za uprzejme przyjęcie w Almarze. Odbyliśmy długą podróż, aby zobaczyć się z panem Smugą, toteż pragniemy dowiedzieć się, gdzie on teraz przebywa.

Maharadża i jego małżonka, jakby nie zrozumieli politycznej przymówki bosmana, przyjaźnie spoglądali na polskich podróżników.

— Szikar Smuga z moim bratem kilka tygodni temu załatwiali jakieś sprawy w Delhi, skąd dość nieoczekiwanie wyruszyli w dłuższą podróż — odpowiedziała maharani. — Właśnie przedwczoraj otrzymałam wiadomość, że brat przybędzie tutaj lada dzień, a z nim, być może, zjawi się i szikar Smuga. Wobec tego mogą panowie wziąć udział w naszym jutrzejszym polowaniu na tygrysy. Przypuszczam, że dla tak znanych łowców zwierząt będzie ono przyjemną rozrywką.

— Wasza książęca wysokość raczy wybaczyć, lecz my niechętnie przyglądamy się zabijaniu dzikich zwierząt — uprzejmie odpowiedział Wilmowski. — Naszym zadaniem jest chwytanie żywych okazów i oswajanie ich dla ogrodów zoologicznych.

— To samo mówił szikar Smuga — rzekła księżna. — Nie mogę wszakże zrozumieć, dlaczego zawodowi łowcy zwierząt odmawiają udziału w polowaniu na tygrysy, na które zjeżdżają do nas nawet z Anglii najsłynniejsi myśliwi. Na przykład pan pułkownik Ralf Burton i generał John Mac Donald nie darowali by nam nigdy, gdybyśmy o nich zapomnieli przy takiej okazji.

Dwóch Anglików w wojskowych mundurach koloru khaki skłoniło się w kierunku pięknej maharani.

— Sława alwarskich polowań na tygrysy dawno już dotarła do dalekiej Europy — schlebiająco odezwał się pułkownik Burton.

— Stanąć oko w oko z dżajpurskim tygrysem, to prawdziwie męska rozrywka — dodał generał Mac Donald.

— Tak, tylko że z grzbietu słonia myśliwy bezpiecznie, niczym z fortecy, strzela do tygrysa, jak do ruchomej tarczy — wtrącił bosman.

Generał Mac Donald wykonał ruch, jakby chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili przemówił Wilmowski:

— Proszę nie dziwić się naszej niechęci do polowań, podczas których przeważnie bez uzasadnionej przyczyny tępi się zwierzynę. Jesteśmy nie tylko łowcami, lecz również propagatorami rozsądnego i przyjacielskiego stosunku człowieka do zanikających okazów fauny. My po prostu kochamy zwierzęta, a one doskonale wyczuwają stosunek każdego człowieka do nich.

— Drapieżnik zawsze pozostanie drapieżnikiem, choćby nawet nie wiem jaką przeszedł tresurę — zauważył pułkownik Burton. — Wspaniały gepard Nero, leżący u stóp jej wysokości maharani, tak samo skoczy mi do gardła, jak i panu, który "kocha zwierzęta", jeżeli tylko spróbowalibyśmy zbliżyć się do księżnej.

— Tak pan sądzi? — spokojnie zapytał Tomek.

— Nie sądzę, młodzieńcze, lecz jestem tego pewny. Widziałem bowiem, jak zdławił złoczyńcę, gdy ten, prosząc księżnę o łaskę, niepotrzebnie zbyt blisko przystanął przy jej wysokości.

— Nero przeszedł specjalną tresurę. Nie dopuści nikogo obcego do mojej małżonki — chełpliwie potwierdził maharadża.

— Nie byłbym tego tak pewny. Istnieją ludzie obdarzeni przez naturę umiejętnością czy też darem obłaskawiania zwierząt bez stosowania siły i terroru — powiedział Wilmowski.

— Szikar Smuga usiłował nas przekonać, iż młody pan Wilmowski potrafi w niezwykły wprost sposób ujarzmiać zwierzęta — niedowierzająco odezwał się Manibhadra.

— To prawda, panie maharadżo! Włosy dęba stawały mi na głowie, gdy nasz Tomek właził do klatek z różnymi dzikimi zwierzakami. Nawet taki znawca jak pan Hagenbeck mówił, że nie byle kto potrafi pokazać podobną sztuczkę — wtrącił bosman.

— Gdybyś, sahibie, nie był moim miłym gościem, to zaproponowałbym ci próbę z gepardem mej małżonki — rzekł maharadża uśmiechając się dwuznacznie.

Tomek spostrzegł na ustach maharadży pełen niedowierzania uśmiech oraz kpiące, porozumiewawcze spojrzenia Anglików. Ponadto czuł na swej twarzy niepokojący wzrok księżnej. Po krótkiej chwili wahania spojrzał maharani prosto w oczy i zapytał:

— Cóż mam uczynić z gepardem waszej książęcej wysokości?

Maharani, jakby zapomniała o zwyczaju purdach, puściła wolno rąbek sari, którym osłaniała część twarzy. Ujęła chusteczkę leżącą na jej kolanach, po czym, rzuciwszy ją na posadzkę tuż przy pysku spoczywającego geparda, powiedziała:

— Podaj mi chusteczkę, młody sahibie!

Tomek postąpił krok ku księżnej. Wielki płowy gepard przetoczył się z boku na brzuch i przywarował u stóp swej pani. Batystowa chusteczka znalazła się teraz pod jego łapą, uzbrojoną w wysunięte na wierzch duże, mocne pazury.

W tej chwili pułkownik Burton podszedł do Wilmowskiego i dotknąwszy ręką jego ramienia szepnął:

— Niech pan powstrzyma syna, to nie ma najmniejszego sensu. Widziałem na własne oczy, jak ten gepard zagryzł krajowca.

— To dziwne, bo gdyby któryś z nas był przy tym, gepard zostałby zastrzelony — odpowiedział Wilmowski również po cichu.

Anglik zaczerwienił się, a Wilmowski, mimo iż wierzył w rozsądek syna, zerknął wymownie na bosmana. Było to wszakże zbyteczne, albowiem, gdy tylko Tomek zaczął wolno zbliżać się do maharani, marynarz natychmiast wsunął dłoń do kieszeni spodni, w której nosił rewolwer.

Tomek tymczasem zatrzymał się nie dalej, jak o pięć kroków od geparda. Poznał dobrze zwyczaje tych drapieżników, zetknąwszy się już z nimi podczas afrykańskiej wyprawy. Jego przyjaciel, młody król Bugandy, Daudi Chawa, miał dwa oswojone gepardy, doskonale wytresowane do polowania na antylopy[*]. Poza tym Tomek naprawdę posiadał, podziwianą przez europejskich treserów, dziwną umiejętność poskramiania zwierząt. Niektórzy nawet byli przekonani, iż wprost hipnotyzował je wzrokiem.

Teraz Tomek wpatrywał się w geparda nie wykonując najmniejszego ruchu. Minęła dłuższa chwila. Gepard wlepił w człowieka swe zielone źrenice, złowróżbnie prężąc kark. Długi, pokryty puszystą sierścią ogon uderzał nerwowo o posadzkę. Naraz ogon znieruchomiał. Gepard stulił krótkie, zaokrąglone uszy. Tomek zaś, nie odrywając wzroku od zwierzęcia, krok za krokiem zbliżał się ku niemu. W pełnej napięcia ciszy przyklęknął przed gepardem. Łagodnym, lecz stanowczym ruchem dotknął dłonią łba o ostro ściętym pysku.

---

[*] W Afryce i w Azji krajowcy szkolą gepardy do polowania, jak sokoły myśliwskie. W Indiach myśliwi umieszczają zakapturzonego geparda na dwukołowym wózku. Podwożą do wytropionego stada, zdejmują kaptur i spuszczają ze smyczy. W gepardzie na widok zwierzyny budzą się myśliwskie instynkty, dopada ofiary, obala ją i chwyta za gardło. Myśliwy podbiega do zdobyczy, podcina jej nożem gardło, krew zbiera do miseczki i daje ją gepardowi do wychłeptania, a potem znów nakłada mu kaptur na głowę.

Gepard drżał jak w febrze; mimo woli obnażał kły. Tomek delikatnie gładził głowę zwierzęcia, przemawiał doń, aż w końcu gepard położył swój łeb na jego kolanie. Tomek wsunął prawą dłoń pod łapę przyciskającą chusteczkę. Podał maharani jej własność. Z kolei, głaszcząc geparda po głowie, zmusił go do ułożenia się na posadzce. Teraz sam podniósł się i patrząc w źrenice zwierzęcia wycofał się do kręgu towarzyszy.

Gepard poderwał się na cztery łapy, wstrząsnął grzbietem jakby wyszedł z kąpieli, po czym otarł się o nogi maharani, wciąż spoglądając w kierunku niezwykłego pogromcy.

— Ależ to prawdziwy hipnotyzer! Czy potrafi pan również usypiać węże, jak to czynią hinduscy zaklinacze? — zawołał Burton, potrząsając prawą dłonią Tomka.

— Nie jestem hipnotyzerem, proszę pana — zaprzeczył Tomek. — Po prostu kocham zwierzęta i staram się przeniknąć ich naturę. One wyczuwają, iż nie mam zamiaru uczynić im krzywdy. Poza tym w ten sposób można postępować jedynie z już oswojonym drapieżnikiem. Jestem uczniem mego ojca, specjalizującego się w nowoczesnej tresurze zwierząt.

— Muszę powinszować panu wspaniałych wyników — zwrócił się Burton do Wilmowskiego. — Naprawdę obawiałem się o pańskiego syna.

— Tomek przewyższył już swego nauczyciela — odparł Wilmowski uśmiechając się. — Wprawdzie uczyłem go opanowania wobec zwierząt, lecz muszę przyznać, że sam nie spodziewałem się takich wyników.

— To było naprawdę zdumiewające — przyznał maharadża. — Myślałem, że mój gepard nie sprawi mi zawodu. Gdybyś kiedykolwiek, sahibie, chciał zamieszkać w Indiach, mógłbym mieć dla ciebie ciekawą propozycję.

— Kto wie, może kiedyś skorzystam z zaproszenia waszej wysokości — odpowiedział Wilmowski.

— Proszę powiadomić mnie, gdy będzie pan miał na to ochotę — dodał maharadża. — Skoro jednak strzelanie do tygrysów nie nęci panów, to proszę o schwytanie żywego tygrysa podczas polowania.

— Doskonała myśl — zauważyła maharani, nie odrywając od Tomka swego wzroku. — Obiecałam wicekrólowi Indii radżputańskiego tygrysa do ogrodu zoologicznego w Londynie. Szikar Smuga opowiadał mi, że panowie potrafią chwytać tygrysy nie zastawiając na nie pułapek. Chętnie przyjrzałabym się takim łowom. Chyba spełnią panowie moją prośbę?

Maharani spoglądała na Tomka, jakby głównie od niego oczekiwała odpowiedzi. Tomek tymczasem wahał się. Instynkt ostrzegał go przed pochopnym uleganiem kaprysom pięknej maharani, znudzonej gnuśnym życiem w bezmiernym bogactwie. Zdało mu się, że maharadża Alwaru po prostu doskonale wyreżyserował całą scenę z gepartem, aby sprawdzić, czy intrygujące opowiadania Smugi o jego niezwykłej zdolności oswajania dzikich zwierząt odpowiadały prawdzie. Teraz zaś maharadża i jego małżonka pragnęli zabawić się widokiem niebezpiecznych łowów. Tomek już miał zamiar odpowiedzieć odmownie, gdy naraz bosman odezwał się półgłosem po polsku:

— Powiedz brachu, że się zgadzamy, kiedy taka piękna dama prosi. Przy okazji pokażemy tym angielskim flegmatykom, co to naprawdę znaczy stawać oko w oko z tygrysem.

Tomek jeszcze niezdecydowany, zerknął na ojca. Wilmowski patrzył na niego z zagadkowym, jakby lekko drwiącym uśmiechem na ustach. Znał dobrze słabostki syna i przyjaciela — lubił popisywać się swymi umiejętnościami.

"Coś mi się wydaje, że i ojciec również nie ma nic przeciwko takim łowom" — pomyślał Tomek.

— Zgódź się prędzej, bo posądzą nas o "cykorię"! — syknął bosman.

— Jeśli tylko nadarzy się okazja podczas polowania, postaramy się spełnić życzenie jej książęcej wysokości — powiedział Tomek, pochylając się w ukłonie.

POLOWANIE NA TYGRYSY

Zaledwie brzask słoneczny rozproszył mrok nocy, przed pałacem maharadży Alwaru zapanował ożywiony ruch. Mahuci pospiesznie kończyli przystrajanie i siodłanie słoni, gdy maharadża Manibhadra z małżonką oraz białymi gośćmi pojawili się przed pałacem.

Na widok maharadży olbrzymi słoń o jednym tylko, prawym kle, podniósł wysoko swoją trąbę i zahuczał doniośle. Za jego przykładem inne słonie zadarły w górę trąby. Maharadża, niczym dowódca przed oddziałem prezentujących broń żołnierzy, zatrzymał się przed długim szeregiem szarych olbrzymów, trzymających w górę wyciągnięte trąby. Powitał zwierzęta podniesieniem ręki. Słonie przestępowały z nogi na nogę, kołysząc potężnymi cielskami i, jak bronią, salutowały trąbami. Maharadża opuścił rękę.

Słonie natychmiast uspokoiły się; wkrótce też mahuci zaczęli podprowadzać je na środek dziedzińca.

Święty słoń o jednym, prawym kle, przeznaczony wyłącznie dla maharadży, miał przymocowaną na grzbiecie pozłocistą lektykę, osłoniętą z wierzchu czerwonym daszkiem. Długi, zakrzywiony nieco do góry kieł słonia ozdobiony był kilkoma szerokimi, złotymi pierścieniami, wysadzanymi szlachetnymi kamieniami. Na wielkiej głowie zwierzęcia siedział mahut, kierując nim podczas jazdy. Oryginalny wierzchowiec zatrzymał się przed maharadżą.

"Sit down!"[*] — po angielsku zawołał mahut.

Słoń zakołysał cielskiem i osunął się brzuchem na ziemię. Służba usadowiła się w lektyce. Tuż za władcą Alwaru przykucnął indyjski myśliwy, aby w odpowiedniej chwili podczas polowania podawać maharadży przygotowaną do strzału broń palną.

"Get up!"[*] — krzyknął mahut, gdy Manibhadra wygodnie rozsiadł się w lektyce.

Słoń posłusznie dźwignął się na nogi.

---

[*] . Sit down (fonetycznie: syt daun) — usiądź.
[*] . Get up (fonet.: get ap) — powstań.

Z kolei podprowadzono słonia w specjalnej uprzęży, która umocowywała na jego grzbiecie wspaniale rzeźbioną oraz zaopatrzoną w muślinowe zasłony lektykę, wymoszczoną poduszkami i miękko wyprawionymi skórami. W lektyce tej spoczęła na posłaniu zwiewna, piękna maharani, ubrana nie mniej wspaniale niż dnia poprzedniego. Przy niej przykucnęły dwie młode służebne z wachlarzami ze strusich piór, aby chłodzić swą panią w gorętszych godzinach skwarnego dnia.

Następnie wielki radżput sprawnie po przydzielał słonie poszczególnym myśliwym. Pułkownik Burton oraz generał Mac Donald, tak jak maharadża, korzystali z usług strzelców-krajowców przygotowujących broń do strzału. Natomiast Wilmowski, Tomek i bosman zabrali na grzbiet swoich słoni Hindusów uzbrojonych w długie, mocne, rozwidlone na jednym końcu żerdzie, przystosowane do chwytania dzikich zwierząt.

Przy wtórze rogów i mosiężnych trąb oraz biciu w bębny długa kawalkada myśliwych wyruszyła sprzed pałacu w kierunku pobliskiej dżungli. Spłoszone niecodzienną wrzawą dzikie pawie, przeraźliwie krzycząc, kryły się pomiędzy drzewami.

W pochodzie nasi trzej łowcy jechali tuż za słoniem niosącym piękną maharani, albowiem jej życzeniem było pozostawać podczas polowania jak najbliżej nich. Wychynęli z parku na skraj dżungli. Słonie kroczyły teraz dowolnym szykiem. Korzystając z tego, iż Wilmowski z Tomkiem jechali tuż obok, bosman odezwał się:

— Po kiego licha robią oni tyle szumu? Nie tylko większy zwierz, ale nawet i owady pochowają się przed nami. Więcej tu będzie pompy, niż polowania.

— Zupełnie trafny wniosek, bosmanie — odparł Wilmowski. — Takie właśnie polowania są dla tutejszych książąt najprzyjemniejszą rozrywką. Przede wszystkim lubują się w pięknej i hucznej paradzie oraz w pokazywaniu własnego bogactwa; krótko mówiąc, dużo wrzasku i huku broni palnej przy małej szkodzie dla zwierzyny.

— Nie dla mnie takie polowanie — powiedział bosman pogardliwie. — Siedzi się na słoniu jak w fortecy. Żadna uciecha.

— Za to ten niezwykły orszak myśliwski naprawdę wygląda wspaniale — zauważył Tomek. — Hindusom należy się uznanie za oswajanie tak użytecznych zwierząt. Podczas gdy afrykańscy Murzyni bezlitośnie tępią słonie dla zdobycia cennych kłów, mądrzy Hindusi korzystają z ich pomocy w pracy i na łowach.

— Prawdę mówisz, brachu — przytaknął bosman. — W Afryce nie widzieliśmy ani jednego oswojonego słonia. A może tamta odmiana w ogóle nie nadaje się do oswajania?

— Nie wydaje mi się, aby tak było, ponieważ właśnie afrykańskie słonie już w starożytności występowały w historii wojen — odpowiedział Wilmowski. — W Asyrii za panowania królowej Semiramidy, a więc niemal dwa tysiące lat przed naszą erą, słonie wchodziły w skład asyryjskiej armii. Dariusz również użył tych zwierząt do walki z Aleksandrem Wielkim. Wówczas to Aleksander przywiózł po raz pierwszy do Europy kilka bojowych słoni, zdobytych na Persach w bitwie pod Arbelą w 330 roku przed naszą erą.

Rzymianie poznali je podczas wojen z Pyrrusem królem Epiru. A czy do historii nie przeszło użycie słoni przez Hannibala w drugiej wojnie punickiej? Oczywiście we wszystkich tych przypadkach może być mowa jedynie o słoniach afrykańskich, stąd wniosek, iż dają się one oswajać. Widocznie Murzyni na Czarnym Lądzie po prostu nie są zainteresowani w pozyskaniu tych zwierząt dla usług człowieka. Dlatego też słoń indyjski, oswajany od dawna przez krajowców, nie jest tak prześladowany przez ludzi.

— To prawda. Hindusi dobrze obchodzą się ze słoniami i dlatego mają z nich pożytek — rzekł bosman. — Niezły to zresztą pomysł użycia słoni do walki. Ile "cykorii" musiały napędzać wrogom!

— Tak myślisz? Wobec tego powiem ci, że słonie stanowiły broń obosieczną — wyjaśnił Wilmowski. — Otóż podczas wojny z królem Pyrrusem w pierwszej chwili Rzymianie przerazili się na widok straszliwych zwierząt, lecz wkrótce zaczęli im rzucać w oczy oblane smołą, zapalone wieńce, czym tak je przestraszyli, że zawróciły w wielkim popłochu na szeregi własnego wojska i sprawiły w nich ogromne zamieszanie. Rzymianie przekonawszy się, że nie można polegać na takich sprzymierzeńcach, wcale nie używali słoni do boju. Toteż po zwycięstwie odniesionym przez Juljusza Cezara nad królem Numidii, Jubą, w morderczej bitwie pod Thapsus w 26 roku przed naszą erą, słoń zniknął z widowni wojen.

— Niech to kule biją! Nie pomyślałem o tym, a przecież jasne jak słońce, że przestraszony podczas bitwy słoń może tratować nawet własną armię — zawołał bosman. — Ha, na wojnie mogło się zdarzyć, ale takie polowanko to inna para kaloszy. Myśliwy siedzi sobie bezpiecznie na słoniu, jak u Pana Boga za piecem.

— Nie ma reguły bez wyjątku, bosmanie. Rzadkie to wprawdzie wypadki, lecz czasem na takim polowaniu, gdy myśliwy chybi celu, szczególnie stary tygrys, doprowadzony do ostateczności, może skoczyć na słonia i nawet obalić go na ziemię.

— Czy naprawdę, Andrzeju? — zdziwił się bosman. — Trudno mi uwierzyć, żeby taki siłacz jak słoń nie dał rady choćby największemu tygrysowi.

— Mój drogi, słoń jest dużym, silnym i odważnym zwierzęciem, toteż zazwyczaj wygrywa walkę, lecz niekiedy rozwścieczony tygrys mocno rani go pazurami. Wtedy słoń przewraca się na ziemię, aby tygrysa zgnieść ciężarem własnego ciała. Łatwo odgadnąć, co by się stało wtedy z ludźmi, którzy by siedzieli na grzbiecie słonia, jak my teraz.

— No, no, niezły byłby to kołowrotek! Lepszy niż na karuzeli na Bielanach — powiedział marynarz śmiejąc się. — Sam jednak mówisz, że takie cuda rzadko się zdarzają. Nasz maharadża nie zabierałby swej pięknej lubej na łowy, gdyby pachniało tu jakimkolwiek niebezpieczeństwem.

— I ja myślę podobnie — wesoło dodał Wilmowski. — Zapał łowiecki ludzi tego pokroju co maharadża nie posuwa się nigdy tak daleko, aby zapomnieli o zabezpieczeniu własnych, dostojnych osób.

— Wobec tego taki ostrożniak nie może wyprawiać się na polowanko, jeżeli na ten przykład nie posiada słoni.

— Nie martw się, mój drogi, tutejsi możni zawsze dają sobie radę. Słyszałem również o innym sposobie polowania. Wówczas myśliwi strzelają do zwierzyny z platform zbudowanych na wysokich drzewach.

— A niech to licho weźmie! Czyżby posiadali tresowane zwierzaki, które im same na strzał podchodzą? — śmiał się bosman.

— Niestety, podczas gdy przezorny strzelec siedzi bezpiecznie na platformie, nagonka, składająca się z biednych wyrobników, rozciągnięta w długi szereg, wrzaskiem płoszy zwierza w kierunku napowietrznej zasadzki.

— Dobra nasza, ale przecież tygrys może się rzucić na któregoś z obławników?

— Oczywiście, że tak się nieraz zdarzyło...

— To już zwykłe draństwo, bogacz z pukawką siedzi wygodnie na drzewie, a biedak nadstawia karku dla jego przyjemności! Tfu, z takim polowaniem!

— Czego się pan złości, panie bosmanie — wtrącił Tomek. — Przecież i naszym kosztem maharadża zorganizował sobie rozrywkę, a pan nic nie miał przeciwko temu! Jeszcze pan nalegał, abym szybciej wyraził zgodę, gdy "tak piękna dama nas prosi". Oj, bosmanie, nie chciałbym być złym prorokiem, lecz kobiety doprowadzą pana do zguby, chociaż nie chce pan nawet słuchać o żeniaczce.

— Przestań, brachu, kłuć słówkami jak szpilkami, bo jeśli gniew mnie chwyci, to zeskoczę na ziemię i tak potrząsnę niby to świętego słonia za ogon, że maharadża zleci z tej bambusowej werandy i sam będzie sobie łapał tygrysa.

Wilmowski karcąco spojrzał na syna i rzekł:

— Nie gadaj głupstw, bosmanie, Tomek przecież tylko żartuje. Nie można nas porównywać z biednymi krajowcami, zmuszanymi do brania udziału w obławach. Chwytanie dzikich zwierząt jest naszym zawodem, nie pierwszyzna to dla nas.

— Racja, święta racja, Andrzeju, tylko ten mikrus zawsze wyprowadza mnie z równowagi.

— Czyżby pan chciał zaprzeczyć, że palił się pan do tych łowów dla pięknej maharani? — przekornie zapytał Tomek.

— Nie o to mi chodzi — burknął marynarz. — Maharani niczego sobie niewiasta i prawdę mówiąc, chciałem zrobić jej przyjemność, ale gniew mnie ogarnia na wspomnienie, że biednemu wiatr zawsze w oczy wieje.

Rozmowa urwała się; słonie wkroczyły w dżunglę. Znów szły gęsiego rozciągnięte w długim szeregu. Ścieżka wydeptana przez zwierzęta była dość szeroka, lecz po obydwu jej stronach piętrzyła się gęstwa tropikalnej roślinności. Wśród kwiatów o najdziwaczniejszych kształtach, barwach i zapachach królowała przepiękna, tajemnicza orchidea. Po jakimś czasie ustał śpiew cykad. Odurzający zapach kwiatów słabł coraz bardziej, aż w końcu uległ bagnistym wyziewom podmokłej dżungli. Wokół rósł gąszcz bambusów, trzcin i paproci, a w

górze korony drzew, splątane lianami, tworzyły nieprzejrzystą zasłonę. W dżungli panował odwieczny półmrok. W powietrzu wirowały brzęczące roje moskitów, szerszeni, pszczół i jadowitych much, niepokojące ludzi i zwierzęta.

Tomek łowił uchem wrzask małp i skrzek papug, przepatrując jednocześnie czujnym wzrokiem mroczny las. Z prawej strony zaszeleściły krzewy. To stadko indyjskich dzików*, różniących się od naszego dzika silnie rozwiniętą szczeciniastą grzywą, umykało przed ludźmi w głąb dżungli. Zanim wydostali się z wikłaniny krzewów na nieco wolniejszą przestrzeń, Tomek ujrzał w zaroślach piękne zwierzę. Przypominało mu ono pamiętne łowy na okapi w Afryce. Była to antylopa nilgaj* o tułowiu wyższym w kłębie i szerszym z przodu. Wspaniały samiec mierzył około dwóch metrów długości i półtora metra wysokości. Na jego kształtnej głowie sterczały półksiężycowato wygięte rogi. Na podgardlu zwierzęcia — wśród ciemnoszarej z niebieskawym odcieniem sierści — jaśniała duża, półokrągła biała plama, u dołu której zwisał czarniawy kosmyk włosów. Wyższy tułów w kłębie oraz białe pasy sierści nad pęcinami tylnych nóg upodabniały tę antylopę do afrykańskich okapi. Tomek, podniecony wspomnieniem niebezpiecznych łowów, chciał zwrócić uwagę ojca i bosmana na oryginalne zwierzę, lecz w tej chwili spłoszona przez myśliwych antylopa szybko skryła się w gęstwinie.

Po przeszło dwugodzinnym przedzieraniu się przez mroczną dżunglę, dobrnęli do skraju dziewiczego lasu. W tym miejscu szeroki pas stepu, porosłego wysoką pożółkłą trawą oraz pojedynczymi krzewami, odcinał dżunglę od koryta bagnistej rzeczki. Wśród drzew rosnących wzdłuż jej brzegów wyraźnie rysowała się rozległa kępa wierzbowych zarośli. W ich cieniu i chłodzie lubią zazwyczaj wypoczywać tygrysy po swych zbójeckich wyprawach.

Słonie jeden po drugim wychodziły z dżungli na step. Zachęcane okrzykami mahutów, kroczyły w kierunku wierzbowych zarośli na brzegu rzeczki. W odległości około trzystu metrów od przybrzeżnego gąszczu słonie zmieniły szyk marszu. Teraz formowały tyralierę, której obydwa krańce, w miarę zbliżania się do wierzbowych chaszczy, coraz więcej wysuwały się do przodu. W ten sposób wkrótce utworzyły półkole opasujące kępę zarośli.

Słoń pięknej maharani znajdował się w samym środku owego półkola. Po prawej stronie księżnej jechał maharadża z dwoma Anglikami, z lewej zaś — Wilmowski, Tomek i bosman.

Krąg myśliwych ścieśnił się jeszcze bardziej w pobliżu gęstwiny. Bosman bacznym wzrokiem lustrujący bliski już teren łowów, poruszył się niespokojnie na słoniu i rzekł do swych przyjaciół:

— Gąszcz wierzbiny przypomina mi sak zwrócony otworem ku rzece. Jeśli tygrysy umieją pływać, to nici będą z naszego polowania. Umkną właśnie owym otworem i przepłyną na drugą stronę.

---

* . Dzik indyjski (Sus cristalus) — z wyjątkiem Australii oraz znacznej części Ameryki Północnej, dzikie świnie żyją w bagnistych lasach we wszystkich częściach świata.

* . Antylopa nilgaj (boselaphus tragocamelus) — lubi rzadkie zarośla i dżungle, żyje w nich w małych stadkach, żeruje rano i wieczorem, a w czasie gorących godzin dnia odpoczywa. Nilgaj jest często spotykana w ogrodach zoologicznych.

— Tygrysy nie boją się wody i pływają doskonale — odparł Wilmowski. — Dlatego też przypuszczam, że maharadża musiał przewidzieć ewentualną ich ucieczkę ku rzece.

— Nie ma obawy, tygrysy nam nie uciekną, widziałem łodzie płynące w kierunku osaczonego przez nas gąszczu — wtrącił Tomek. — Gdy tylko wyjechaliśmy z dżungli, zaraz przez lornetę rozejrzałem się po okolicy.

— Ha, jeśli tak sprawy wyglądają, to niebawem zacznie się diabelski taniec — mruknął marynarz.

Słonie przystanęły na samym skraju wierzbowego nadbrzeża. Zabrzmiały rogi, trąby i bębny. Strzelcy hinduscy pokrzykiwali donośnie, niektórzy strzelali z pistoletów. Dopiero teraz, przy wtórze tej niezwykłej wrzawy słonie wolno ruszyły w zarośla. Olbrzymie zwierzęta torowały sobie drogę niczym tarany, deptały krzewy, gięły drzewa bądź wyrywały je z korzeniami i odrzucały na bok.

Było już zupełnie zrozumiałe, że maharadża postanowił zamknąć krąg obławy nad brzegiem bagnistej rzeczki.

W miarę jak słonie coraz bardziej brnęły w nadrzeczne chaszcze, cichła wrzawa ludzka. Naraz w kilku miejscach równocześnie rozległy się najpierw przeraźliwe wrzaski dzikich pawi, a w ślad za nimi ostrzegawcze nawoływania małp.

"Pillau! Pillau, pillau..." — wrzeszczały pawie, jakby chciały przestrzec ludzi przed czyhającym na nich niebezpieczeństwem.

Słonie, na których jechali trzej biali łowcy dzikich zwierząt, jeszcze bardziej przybliżyły się do lektyki maharani Alwaru, albowiem powodujący nimi mahuci nie zlekceważyli ostrzeżenia. Wiedzieli doskonale, że tygrysa niełatwo można dostrzec w gęstwinie, lecz pawie i małpy, często napadane przez małe tygrysięta, zaprawiające się w ten sposób do samodzielnych łowów, niemal zawsze zdradzają jego obecność. Małpy w nocy nieraz dają się podejść panterze lub wężowi dusicielowi, natomiast podczas dnia zawsze pamiętają o obowiązku ostrożności. Nie mylą się nigdy, co do rodzaju zwierzęcia czatującego w gęstwinie; jeżeli to będzie dzik lub sarna, zachowują się spokojnie, ponieważ nic im od nich nie zagraża, lecz gdy jest to tygrys bądź pantera, wówczas krzykiem ostrzegają swe towarzyszki.

Tomek porozumiewawczo spojrzał na ojca. On również zrozumiał, co oznaczał niepokój pawi i małp. To tygrys musiał podnieść się ze swego legowiska.

W tej właśnie chwili maharadża wypalił w górę ze sztucera.

Na to hasło od strony rzeki rozległy się krzyki oraz huk broni palnej. Ostatnie ogniwo łańcucha obławy zostało zamknięte. Gdzieś z prawej strony zatrzeszczały krzewy. Kilka słoni zatrzymało się wyczekująco. Olbrzymie zwierzęta na pozór zdawały się być zupełnie spokojne, lecz nerwowe ruchy trąb węszących wokół i gniewny błysk ślepi zdradzały ich wielkie rozdrażnienie. Był to nieomylny znak, że w pobliżu znajdował się tygrys.

Maharadża oraz dwaj Anglicy trzymali już w rękach broń gotową do strzału. Lewe skrzydło obławy zacieśniało krąg. Pod potężnymi, słupowatymi nogami słoni łamały się krzewy. W dali rozbrzmiał straszliwy pomruk, przypominający przeciągły, żałosny jęk, i powtarzał się jeszcze kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu.

Słonie poruszały wachlarzowatymi uszami, przestępując jednocześnie z nogi na nogę. Tomek drgnął usłyszawszy głębokie, gardlane pojękiwanie. Potem rozległo się groźne warczenie.

Zanim Tomek zdążył wypatrzyć tygrysa, słoń maharadży uniósł do góry trąbę. Maharadża błyskawicznie przyłożył sztucer do ramienia i nacisnął spust.

Huk strzału oraz przeraźliwy ryk ranionego zwierzęcia zlały się w jedno. Wysmukłe, giętkie, cynamonowobrunatne cielsko, pokryte czarnymi pręgami, skręciło się w gąszczu zieleni jak sprężyna. Ryk rozwścieczonego tygrysa skonał w grzmocie dalszych strzałów.

To pułkownik Burton i generał Mac Donald dobijali zranione zwierzę.

Święty słoń, dosiadany przez maharadżę Alwaru, wolno zbliżył się do drgającego jeszcze cielska tygrysa. Przetoczył je trąbą po ziemi, po czym wysoko podrzucił w powietrze. Gdy martwy tygrys upadł tuż u jego nóg, uniósł trąbę i krótkim trąbieniem obwieścił zwycięstwo.

Mosiężne trąby, rogi i bębny rozhuczały się w dżungli. Przy ich wtórze nagonka znów ruszyła w kierunku brzegu rzeki.

— Nie ma co gadać, zmyślnie wytresowali te słonie. Widziałeś, jak trąbami dawały znak do strzału? — powiedział bosman do Tomka, kiedy znaleźli się obok siebie.

— Naprawdę wspaniała tresura. W dogodnej do strzału chwili słonie same zatrzymują się i ruchem trąby przynaglają myśliwego — entuzjazmował się Tomek.

— Jak widać słonie są nie zastąpione do polowań na tygrysy — dodał bosman. — Koń dawno by już "posiał cykorię", a tymczasem poczciwe słonisko, chociaż podrażnione jest do najwyższego stopnia widokiem drapieżnika, stoi spokojnie i jeszcze człowiekowi ułatwia zadanie.

— To prawda, konie lękają się tygrysów i za żadne skarby nie podejdą do nich.

— Słuchaj, brachu, jeżeli oni będą tak rąbali do każdego napotkanego zwierzaka, to nie dadzą nam okazji do schwytania żywcem tygrysa — zaniepokoił się marynarz.

— Niech się pan nie obawia, maharadża nie zrezygnuje łatwo z podniecającego widowiska — odpowiedział Tomek wzruszając ramionami. — Jestem niemal pewny, że tutaj znajduje się więcej tygrysów.

Głębokie, jakby gardłowe pojękiwania, dobiegające z głębi gąszczu, zdawały się potwierdzać jego słowa. Wkrótce na lewym skrzydle obławy rozległy się strzały, a potem ryk trafionego zwierzęcia.

Brzeg rzeki zapewne znajdował się już bardzo blisko. Ciężkie słonie coraz głębiej zapadały nogami w miękką, podmokłą ziemię, coraz wyraźniej było słychać okrzyki ludzi płynących w łodziach.

Wilmowski dotąd spokojnie obserwował przebieg polowania i czujnie nadsłuchiwał odgłosów znad rzeki. Teraz dał znak siedzącemu za nim Hindusowi, aby podał mu rozwidlony na jednym końcu drąg. Jednocześnie zawołał do swych towarzyszy, by przygotowali się do łowów.

Bosman niedbałym ruchem ujął widły, sprawdził ich wytrzymałość, po czym wygodnie usiadł na grzbiecie słonia, beztrosko rozglądając się po chaszczach. Tomek natomiast z niepokojem myślał o schwytaniu żywego tygrysa. Tygrysy radżputańskie należały, według zdania wielu myśliwych, do największych okazów tych zwierząt w Indiach. Miały one być nie tylko większe, lecz również i silniejsze, od najbardziej znanych tygrysów bengalskich. Polując na nie, taki doświadczony łowca jak Smuga omal nie stracił życia.

Tomek nie lękał się niebezpieczeństwa, lecz zdawało mu się, iż tak hałaśliwe polowanie w obecności słoni rozdrażnionych widokiem tygrysów nie stwarzało odpowiednich warunków do chwytania żywych drapieżników. Ponadto nie był pewny, czy w krytycznej chwili będą mogli liczyć na skuteczną pomoc krajowców nie obeznanych z tego rodzaju łowami. Tymczasem pomoc ta była konieczna, a najmniejsza nieostrożność lub zawahanie się w decydującym momencie mogły spowodować nieobliczalne następstwa.

Tomek nieznacznie zerknął na przykucniętego za nim na słoniu Hindusa. Półnagi krajowiec jedną ręką przytrzymywał się uprzęży, podczas gdy w drugiej ściskał rozwidlony drąg.

"Może jakoś to będzie", pomyślał Tomek, pokrzepiony na duchu dość raźną miną towarzysza łowów. Przypomniał sobie, że przed wyruszeniem na polowanie, ojciec kilkakrotnie tłumaczył przydzielonym przez wielkiego radżputa pomocnikom, na czym polega ich rola.

Wzmożona wrzawa od strony rzeki przerwała rozmyślania chłopca. Na prawym skrzydle łańcucha obławy znów gęsto padały strzały, nie musiały wszakże być celne, gdyż nie towarzyszyły im skowyty śmiertelnie ranionych zwierząt. Słonie tymczasem wciąż parły na przód, zacieśniając krąg. Podrażnienie łagodnych zazwyczaj olbrzymów wzmogło się na dźwięk gniewnego, głuchego ryku w gęstwinie.

Na rozkaz Wilmowskiego mahuci siedzący za Tomkiem i bosmanem skierowali swoje słonie jeszcze bliżej zwierzęcia niosącego maharani. Cztery słonie szły teraz niemal tuż obok siebie. Wilmowski przykucnął, przytrzymując się uprzęży, i tak, gotów do skoku na ziemię, pilnie przepatrywał wzrokiem wierzbowy gąszcz.

Naraz słoń generała Mac Donalda przystanął raptownie i uniósł trąbę w górę. Zaledwie Anglik dojrzał pręgowate cielsko bestii, pospiesznie nacisnął spust. Chybił wprawdzie, lecz kula musiała przelecieć blisko łba tygrysa, bo zdezorientowany i przestraszony rzucił się wprost pod nogi słonia maharadży. Sztucer Manibhadry plunął ogniem, choć strzały nie mogły dosięgnąć tygrysa, kotłującego się między nogami słonia. Święty słoń w lot zrozumiał

sytuację, toteż cofnął się gwałtownie i trąbą usiłował schwycić drapieżnika. Ten jednak z nieprawdopodobną zręcznością wyrwał mu się spod nóg.

Piękna maharani znajdowała się najbliżej swego małżonka. Mahut kierujący jej słoniem krzykiem usiłował zmusić zwierzę do cofnięcia się, aby w ten sposób umożliwić Wilmowskiemu strzał do tygrysa. Niestety rozdrażniony słoń nie zrozumiał bądź też nie chciał wykonać rozkazu. Zamiast cofnąć się, odważnie zaatakował drapieżnika.

Szare, olbrzymie cielsko zazwyczaj ociężałego słonia stało się naraz niezwykle ruchliwe. Rozgniewany niebezpieczną bliskością tygrysa, usiłował chwycić go trąbą, to znów próbował przygwoździć do ziemi swoimi długimi kłami. Krzyk przestraszonych kobiet znajdujących się na rozjuszonym słoniu — w każdej chwili groziło im wypadnięcie z lektyki — jeszcze bardziej podniecał go do walki. Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze, bowiem słonie Manibhadry, generała Mac Donalda i pułkownika Burtona okrążyły szalejącego tygrysa, uniemożliwiając mu ucieczkę.

Drapieżnik swym przeszło dwumetrowym cielskiem niczym błyskawica rzucał się na słonia, by zaraz jeszcze szybciej cofać się przed morderczymi ciosami trąby i kłów. Musiał być zaprawiony w takich zapasach, gdyż więcej teraz okazywał gniewu niż strachu. Walczące desperacko zwierzęta wirowały jak olbrzymie szaro-brunatne bąki, a myśliwi zamarli niemal z przerażenia, nie mogąc użyć broni palnej.

Naraz słoń maharani potknął się: tygrys nagłym, jak mgnienie oka, skokiem znalazł się na jego głowie. Mahut stoczył się na ziemię. Śmierć zajrzała w oczy księżnej i jej służebnych. Zanim jednak nastąpiła katastrofa, Wilmowski, obok którego przypadkiem znalazł się rozszalały słoń, przeskoczył na jego grzbiet odgradzając lektykę od tygrysa. Drewnianymi widłami zmiótł pręgowane cielsko z głowy słonia i sam zsunął się za nim na ziemię.

Tygrys upadł na grzbiet. Wilmowski znalazł się tuż obok niego. Nie tracąc przytomności umysłu, przytrzymał drapieżnika rozwidlonym drągiem. Swoją śmiałość prawdopodobnie przypłaciłby życiem, gdyby przyjaciele nie pospieszyli mu z pomocą. Na szczęście nieustraszony bosman nie zawahał się ani chwili; zeskoczył na ziemię i teraz, w najkrytyczniejszym momencie, swoimi widłami również przygwoździł drapieżnego kota.

Żerdź złowieszczo zatrzeszczała pod naporem mocarnych rąk marynarza. Zwierzę, niemal pozbawione tchu, stękało boleśnie. Mimo to prężyło cielsko, by strząsnąć przytłaczające je do ziemi drągi. Potężne łapy uzbrojone w mocne pazury usiłowały sięgnąć ludzkich ciał, ale zanim oszołomiona bestia zdołała zebrać się w sobie do dalszej rozpaczliwej walki, nadbiegł Tomek z trzema Hindusami. W jednej chwili trzy pary wideł unieruchomiły tylną część ciała tygrysa. Tomek wprawnie związał mu rzemieniem najpierw tylne łapy, a potem zaczął krępować przednie, zręcznie unikając wyszczerzonych kłów.

Podczas gdy trzej biali łowcy zmagali się z tygrysem, inne nie mniej groźne niebezpieczeństwo zawisło nie tylko nad nimi. Oto słoń maharani, ogarnięty bojowym

szałem, wciąż rwał się do tygrysa. Tylko szybka, skuteczna interwencja mahutów, którzy cielskami innych słoni zatarasowali mu drogę, zapobiegła tragicznemu zakończeniu łowów.

Tymczasem maharadża i obydwaj Anglicy czynili wszystko, co było w tej sytuacji możliwe, aby ocalić księżnę. Osaczono z boków rozszalałe zwierzę i uwolniono z lektyki przestraszoną władczynię Alwaru oraz jej służebne.

Dzięki energii mahutów słonie w końcu uspokoiły się na tyle, że niefortunni myśliwi mogli zsiąść z nich na ziemię. Manibhadra z małżonką i Anglikami zbliżyli się do łowców tygrysa akurat w chwili, gdy Tomek kończył wiązać jego przednie łapy.

Trzej biali przyjaciele odetchnęli widząc, iż maharani nic się nie stało. Twarz jej była wprawdzie jeszcze poszarzała ze strachu, lecz wzrok jej już uważnie śledził zręczne ruchy Tomka krępującego tygrysa. Ten zaś, zawiązawszy drapieżnikowi łapy, podniósł z ziemi kawał grubej gałęzi, wydobył z kieszeni rzemienną pętlę i ponownie pochylił się nad tygrysem, który warcząc głucho, obnażył kły. Tomek podsunął mu pod nos gałąź. Tygrys nagłym zrywem poderwał łeb i paszczą chwycił kij, miażdżąc go kłami. Tomek, w tej właśnie chwili, drugą ręką zarzucił mu na pysk rzemienną pętlę. Z kolei zacisnął rzemień i zawiązał sprawnie w rodzaj kagańca.

Tomek wyprostował się; jego towarzysze odrzucili rozwidlone drągi.

— No, no, niczego sobie polowanko — odezwał się bosman rozprostowując plecy. — Niewiele brakowało, żeby tygrys nas złapał, a nie my jego. Skoro jednak udało się, to ofiaruj go teraz, Tomku, pięknej damie.

— Bosman ma rację, ciebie księżna prosiła o tygrysa, więc dokonaj ceremonii wręczenia tego... kłopotliwego daru — dodał Wilmowski.

Tomek uśmiechnął się słuchając tych uwag. Pochylił się przed księżną i rzekł po angielsku:

— Cieszymy się, iż wasza książęca wysokość szczęśliwie uniknęła złej przygody. A oto tygrys, którego obiecaliśmy schwytać.

— Thank you![*] — odparła księżna jeszcze lekko drżącym głosem.

[*] . Thank you (czytaj thenk ju) po angielsku — dziękuję panu.

TAJEMNICE INDYJSKICH FAKIRÓW

Następnego dnia po dramatycznym polowaniu na tygrysy maharadża wyprawił w swym pałacu przyjęcie, aby uczcić szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej przygody. Trzej Polacy byli oczywiście najbardziej honorowymi gośćmi. Oprócz nich zostali również zaproszeni pułkownik Burton i generał Mac Donald. Obydwaj Anglicy, zazwyczaj wyniośli i chłodni w obcowaniu z ludźmi innych narodowości, jakby zapomnieli o swej charakterystycznej narodowej dumie. Głośno chwalili odwagę oraz przytomność umysłu polskich łowców, a pułkownik Ralf Burton nie odstępował niemal ani na krok Wilmowskiego, usiłując wciągnąć go w rozmowę na różne tematy.

Wilmowski na początku rozmowy zachowywał uprzejmą rezerwę. Sam odzywał się mało, pozwalając mówić Anglikowi. Wszakże po pewnym czasie zaczął zwracać baczniejszą uwagę na słowa Burtona, ponieważ wydało mu się, że nagła zmiana w zachowaniu się Anglika i cała ta rozmowa miały jakiś ściśle określony cel.

— Przepraszam, iż wspomnę pewną drażliwą sprawę, lecz muszę to uczynić, aby pan o mnie źle nie sądził — mówił Burton pochylając się nieco ku Wilmowskiemu. — Chodzi mi o słowa wypowiedziane przez pana, gdy ostrzegałem, że gepard księżnej jest naprawdę bardzo niebezpieczny.

Wilmowski z ukosa spojrzał na Anglika, słuchając jego wyjaśnień:

— W Indiach nie ceni się tak życia ludzkiego, jak my to zwykliśmy czynić w Europie. Członkowie niższych kast są niczym dla uprzywilejowanych arystokratów. Gdybyśmy od razu usiłowali zmienić tutaj zwyczaje zakorzenione od wieków, to chyba bezpowrotnie stracilibyśmy Indie. Niech mi pan wierzy, że Hindusi jeszcze obecnie są pod wieloma względami barbarzyńcami. Anglicy mają tu do spełnienia wielką misję cywilizacyjną.

Wilmowski milczał w dalszym ciągu, tylko lekko ironiczny uśmiech błąkający się na jego ustach świadczył, iż nie został przekonany zasłyszanymi argumentami. Burton zauważył ten uśmiech, lecz mówił dalej, przyjaznym tonem:

— Wprowadzenie odpowiednich zmian w tak wielkim i ludnym kraju nie jest łatwe. Mimo to właśnie Brytyjczycy zakazali matkom w Indiach składać w ofierze krokodylom na pożarcie niemowlęta i znieśli okrutny zwyczaj "sati", który nakazywał wdowom, aby dla udokumentowania swej miłości do zmarłego małżonka dzieliły z nim całopalny stos pogrzebowy*.

— Nikt chyba nie odmawia tych zasług Anglikom — odezwał się Wilmowski. — Według mego zdania, w miarę ogólnego rozwoju cywilizacji, u wielu ludów samorzutnie zanikają zbyt surowe obyczaje. Podróżując po różnych kontynentach nabrałem przekonania, że "uszczęśliwianie" krajowców wbrew ich woli nie wychodzi im na dobre.

— Rzecz oczywista, że w tych sprawach można mieć różne zapatrywania — powiedział Burton ściszonym głosem. — Cenię ludzi o szerokim światopoglądzie. Wśród samych Hindusów również są podzielone opinie co do naszej roli w ich kraju. Najlepszym tego przykładem jest maharadża Alwaru, jego małżonka i jej brat Pandit Davasarman. Maharadża oraz Davasarman sprzyjają Anglikom, podczas gdy młoda księżna jest naszym nieprzejednanym wrogiem.

— Czyżby? — szczerze zdziwił się Wilmowski.

— To smutna prawda — potaknął Burton, — Z tego też względu w obecności Anglików maharani zawsze okazuje większą sympatię gościom innych narodowości.

Informacja ta ubawiła Wilmowskiego, lecz nie pokazał tego po sobie.

— Na szczęście maharadża rządzi księstwem, a nie jego młoda małżonka — rzekł, bacznie obserwując Burtona.

— Niestety, księżna niczym nie przypomina na ogół potulnych wobec mężów Hindusek. To wykształcona osoba, potrafiła wyzwolić się z przesądów upośledzających kobietę w Indiach. Dzięki temu przebywa tutaj z nami jak równa z równymi. Zazdrosny maharadża jest bezwolnym narzędziem w jej ręku. Właściwie to ona rządzi Alwarem!

Przy ostatnich słowach twarz Anglika nabrała wyrazu głodnego sępa, krążącego od dawna nad upatrzonym łupem. Zaraz wszakże się opanował i ciągnął dalej swobodnym tonem:

— Oczywiście wszystko to nie ma większego znaczenia dla naszych stosunków w tym kraju. Władcy poszczególnych księstw przemijają, a my — pozostajemy. Zrozumienie tej prawdy niezmiernie ułatwia podróż po Indiach.

— Dziękuję za "uprzejmą" radę — odpowiedział Wilmowski oschłym tonem, zrozumiawszy już teraz, do czego Burton zmierzał.

— Och, czyżbym się źle wyraził?! Nasza poufna rozmowa nie dotyczy panów, posiadających angielskie paszporty. Ponadto towarzystwo Pandita Davasarmana zapewni panom wolny przejazd nie tylko przez Indie. Mogą panowie całkowicie zaufać swemu

---

*** . Hindusi palą na stosie ciała zmarłych. Wykonywanie zwyczaju "sati" zostało zakazane w 1829 roku przez angielskiego gubernatora w Indiach lorda Bentincka.**

przewodnikowi. To człowiek pewny i uczony, a także doskonale przygotowany do penetracji krajów niedostępnych dotąd dla Europejczyków.

Wilmowski zdumiał się, czyżby Burton był tą "osobistością", u której Smuga zabiegał o uzyskanie zezwolenia na odbycie wyprawy? Jego dwuznaczne wypowiedzi świadczyły, że orientował się w jakim celu przybyli do Indii, podczas gdy oni sami nie byli dotąd tego świadomi. Ogarnął go niepokój. Czyżby Smuga naprawdę dał się uwikłać w jakąś intrygę polityczną? Postanowił natychmiast wyjaśnić niepokojącą sprawę. Pochylił się ku Burtonowi i zapytał:

— Panie pułkowniku, powiedział pan za dużo lub... za mało! Chciałbym wiedzieć, gdzie znajduje się mój przyjaciel Smuga, po co wezwał nas tutaj i co wspólnego ma z tym wszystkim Pandit Davasarman, o którym się tyle nam mówi?

— Ho, ho, a to szelma z naszego gospodarza! Nie wiedziałem nawet, iż posiada tak piękne tancerki ukryte w świątyni w dżungli — cicho zawołał Burton, jakby w ogóle nie słyszał pytania Wilmowskiego. — Niech pan spojrzy, ile zachwytu maluje się we wzroku pana przyjaciela! Nawet tak opanowany pan Tomek zdaje się być nimi oczarowany!

Wilmowski już nie ponowił pytania. Zrozumiał, że nie otrzyma na nie odpowiedzi. Zaczął zastanawiać się, dlaczego wokół tajemniczego wezwania Smugi panowała jakaś dziwna zmowa milczenia. Jednocześnie mimo woli obserwował taniec powabnych bajader[*].

Trzy młodziutkie tancerki, ubrane w muślinowe, luźne szarawary, złociste napierśniki oraz w przeźroczyste welony na głowach, tańczyły w takt staroindyjskiej melodii, niepokojącej wschodnim rytmem i barwą tonów. Brzęk srebrnych dzwoneczków przytwierdzonych do szerokich bransolet, które dziewczęta nosiły na nogach powyżej kostek, mieszał się ze śpiewnymi dźwiękami sarod-tamburyny[*], grą fletów i huczeniem bębnów. Smukłe sylwetki tancerek rzucały ruchliwe cienie na białe, marmurowe ściany sali, oświetlone migotliwym blaskiem płonących pochodni.

Wilmowski niełatwo ulegał nastrojowi. Zwrócił uwagę na syna i marynarza. Bosman Nowicki, zerkając co chwila na indyjskie bajadery, opowiadał zapewne jakieś wesołe przygody maharadży i generałowi Mac Donaldowi, którzy słuchali tego z dużym zainteresowaniem. Tomek natomiast bawił rozmową piękną maharani. Księżna, jakby chcąc dokuczyć Anglikom, przyjaźnie uśmiechała się do młodego Polaka, coraz częściej opuszczała rąbek sari osłaniający jej piękną twarz, a gdy bajadery po ukończeniu tańca wybiegły z sali, podarowała Tomkowi na pamiątkę pobytu w Alwarze drogocenny pierścień z brylantem. Tomek zażenowany tak kosztownym upominkiem wzbraniał się go przyjąć.

— Chcę, aby pierścień ten zawsze przypominał panu, młody sahibie, Indie. Jeślibyś go nie przyjął, mogłabym przypuszczać, iż przyjaźń księżnej Alwaru jest ci przykra — rzekła maharani.

---

[*] . Bajadery — dworskie zawodowe śpiewaczki i tancerki jednocześnie, biorące udział także w obrzędach religijnych w hinduskich świątyniach.

[*] . Sarod-tamburyna — rodzaj harmonii, narodowy instrument indyjski.

Tomek zaczerwienił się, wkładając pierścień na mały palec lewej dłoni. Nie mógł przecież obrazić życzliwej księżnej odmową.

W chwili gdy maharani wręczała Tomkowi pierścień, Wilmowski dostrzegł cień niezadowolenia na twarzy Burtona i jego znaczące spojrzenie na nieco zadumanego maharadżę. Nasunęło to Wilmowskiemu obawę czy Tomek, który wszędzie z największą łatwością zdobywał sobie przyjaciół, tym razem nie przyczyni im jakichś niepotrzebnych kłopotów w wypełnieniu zagadkowych planów Smugi. Bosman akurat przerwał swe opowiadanie i sięgnął po czarkę z aromatyczną herbatą, wobec czego Wilmowski skorzystał z okazji, by nawiązać ogólną rozmowę.

— W Europie wiele słyszałem o niezwykłych wprost umiejętnościach indyjskich jogów i fakirów. Jak dotąd jednak, mimo że od kilku dni przebywam w ojczyźnie tajemnej wiedzy, widziałem zaledwie jednego fakira... i to jeszcze w dodatku w Anglii, gdzie popisywał się w cyrku różnymi sztuczkami — głośno zagadnął, zerkając nieznacznie na syna, pasjonującego się takimi tematami.

Wilmowski nie pomylił się w swych rachubach. Bosman pierwszy natychmiast zapomniał o czarce z herbatą i zawołał tubalnym głosem:

— Święta prawda! Byliśmy wtedy razem w cyrku! Ten brodaty chudzielec kładł się gołymi plecami na deskę nabitą gwoździami, wsuwał do gardła noże, łykał ogień i czarował węże. Zręczne to były sztuczki!

— Ojcze, chyba zapomniałeś o ulicznym zaklinaczu węży, którego spotkaliśmy podczas pobytu w Bombaju. Sprzeczaliśmy się nawet, czy jego węże miały usunięte zęby jadowe — zauważył Tomek, przerywając prowadzoną półgłosem rozmowę z maharani.

— Według mego zdania, zaklinacze nie są kuglarzami — powiedział Wilmowski. — Dlatego też stwierdzam, że dotąd nie widzieliśmy w Indiach fakirów.

— Bardzo chciałbym zobaczyć prawdziwego fakira — porywczo rzekł Tomek.

Maharadża Manibhadra uśmiechnął się i biorąc z rąk służącego krótką, nabitą tytoniem, zapaloną fajeczkę odezwał się:

— Postaram się zaspokoić panów ciekawość. Zanim jednak to uczynię, może pan pułkownik Burton zechce wyjaśnić panom właściwe znaczenie słów: fakir i jog. Pułkownik podczas długiego pobytu w Indiach wykazał wiele zainteresowania nie tylko dla spraw politycznych naszego kraju, lecz również dla tajemnej wiedzy naszych świętych mężów, a także dla intrygujących sztuczek kuglarzy. Toteż obecnie, jak sądzę, jest nie lada znawcą w tej dziedzinie.

Anglik nachmurzył się, ponieważ w słowach maharadży wyczuł ukrytą drwinę, ale mimo to odpowiedział swobodnym tonem:

— Chętnie to uczynię, ponieważ wielu Europejczyków mylnie interpretuje obydwa słowa. "Fakir" pochodzi z języka arabskiego i oznacza ubogiego, żebrzącego mnicha muzułmańskiego, który ślubował ubóstwo. Natomiast jogiem nazywa się w Indiach

człowieka studiującego tajemne siły natury i stosującego w tym celu, w myśl hinduskiej filozofii, specjalny system skomplikowanych ćwiczeń "yoga" dla opanowania własnego ducha i ciała.

— Bardzo proszę, niech nam pan wytłumaczy, na czym polega ów system joga? — wtrącił zaciekawiony Tomek.

— Jog ślubuje ubóstwo, porzuca własne ognisko rodzinne i zamieszkuje w jakimś pustkowiu z dala od ludzi. Wyszukany przez niego guru, czyli nauczyciel, udziela mu wskazówek, jakie ma przyjmować pozycje ciała, wykonywać ruchy oraz uczy go świętych formułek. Po opanowaniu tej podstawowej wiedzy, jog zaczyna naukę oddychania, siedzenia oraz rozmyślania. Jeżeli zdoła skutecznie przebrnąć przez wszystkie trudne ćwiczenia, zostaje poddany praktykom pokutniczym. Nie są one łatwe. Pokutnik bądź ślubuje na długie lata milczenie, bądź też wysiaduje w upale słonecznym przy płonących ogniskach, lub przebywa przez szereg dni w wodzie wysuwając z niej tylko głowę, a czasem całymi godzinami trzyma wyciągniętą w górę jedną bądź obydwie ręce. Ponadto musi odbyć kilka pielgrzymek do świętych miejscowości.

Gdy jog pomyślnie przebrnie ten jakby "nowicjat", otrzymuje tytuł "sannyasi". Teraz dokonuje swego obrzędowego pogrzebu, oznaczającego symboliczną śmierć ciała oraz narodziny do życia duchowego. Po tej ceremonii sannyasi uważany jest za świętego człowieka, a w końcu może osiągnąć najwyższy stopień świętości stając się paramahamsą.

Wspólną cechą muzułmańskiego żebrzącego mnicha-fakira i hinduskiego joga, przyjmującego po ukończeniu nowicjatu tytuł sannyasi jest to, że obydwaj ślubują żyć w ubóstwie. Jest to wszakże jedyna łącząca ich cecha.

Nie mają też nic wspólnego z tak zwanymi przez nas w potocznej mowie "fakirami-kuglarzami", pokazującymi dla zarobku zręczne, na pozór nawet "cudowne" sztuczki.

— Faktycznie jasno nam to szanowny pan wytłumaczył — rzekł bosman. — Ponieważ jednak nie znam się na arabskich, ani na hinduskich praktykach religijnych, przeto więcej interesują mnie ci fakirzy-kuglarze. Ciekaw jestem, czy istnieją jeszcze tacy w Indiach?

— A jakże, istnieją i podobnie jak zaklinacze węży, mają nawet swój odrębny cech. Zdaje się, że jego wysokość maharadża Alwaru przygotował dla nas jakąś niespodziankę. Wobec tego może ujrzymy prawdziwego indyjskiego sztukmistrza.

Zaledwie pułkownik Burton wypowiedział te słowa, maharadża Manibhadra czterokrotnie klasnął w dłonie. Przed ucztującymi gośćmi pojawił się stary, przygarbiony Hindus trzymający w rękach płaski, zamknięty koszyk. Biednie ubrany starzec, miał na głowie turban z trzema pięknymi pawimi piórami — oznaką zaklinaczy węży. Zatrzymał się przed maharadżą, postawił swój koszyk obok, po czym złożywszy dłonie na piersiach, nisko skłonił się władcy Alwaru.

Manibhadra lekko pochylił głowę. Dał znak ręką, aby zaklinacz węży popisał się swoimi umiejętnościami.

Starzec postawił płaski koszyk na środku sali i otworzył wieko. Na dnie kosza spoczywał zwinięty w kłąb żółtawo-popielato-niebieski wąż. Zaklinacz przykucnął nie opodal koszyka, po czym wydobył spod chałata instrument przypominający wyglądem klarnet i przytknąwszy go do ust, zaczął grać powolną, żałosną, monotonną melodię.

Po krótkiej chwili wąż uniósł się nieco, wyprostował swe lśniące cielsko. Sprawiał wrażenie, jakby siedział na zwiniętym ogonie.

— Nalla-pamba, okularnik, chyba ma więcej niż półtora metra długości — szepnął Burton w kierunku łowców, z zainteresowaniem przyglądających się niezwykłemu widowisku.

— Śliczny okaz kobry — odparł również szeptem Wilmowski.

Wąż początkowo nie próbował opuścić kosza. Teraz zaczął objawiać niepokój. Stawał się coraz bardziej ruchliwy. Rozwinął tarczę na karku, ukazując na niej rysunek do złudzenia przypominający okulary. Na stronie brzusznej przedniej części tułowia kobry widniały trzy poprzeczne czarne pręgi. Podrażniony gad głośno sykał i żywo poruszał wytkniętym z paszczy językiem. Zaklinacz bez przerwy grał monotonną melodię na swym instrumencie. Kobra kilka razy rzuciła się w jego kierunku, jakby go chciała ugryźć, lecz zaklinacz wpatrywał się w nią uporczywie, nie usuwając się ani na krok.

Monotonna melodia rozbrzmiewała bez przerwy. Wąż z wolna zaczął zapadać w stan jakiegoś sennego upojenia. Jego oczy, gorejące jeszcze przed chwilą wściekłością i nienawiścią, teraz spoglądały w nieruchomym osłupieniu.

Zaklinacz węży, wciąż grając, powoli zbliżył się do kobry. Na króciutką chwilę dotknął nosem, a potem językiem głowy węża. Kobra przebudzona nagle z dziwnego, jakby letargicznego snu, z wściekłością rzuciła się na swego pogromcę, lecz ten w porę zdołał od niej odskoczyć. Po chwili kobra znów uspokoiła się, wtedy zaklinacz zamknął koszyk.

— Do licha, jeśli wąż nie jest pozbawiony zębów jadowitych, to ten człowiek ryzykował życie — zawołał Wilmowski niedowierzająco.

— Czy podobna sztuka byłaby warta rupii, gdyby kuglarz nie ryzykował życia? — odezwał się maharadża, obrzucając wszystkich białych sahibów kpiącym wzrokiem. — Łatwo można sprawdzić, czy ta kobra ma wyrwane zęby jadowe. Czy któryś z panów ma na to ochotę?

— Tylko niewierny Tomasz chciał wszystko sprawdzać osobiście — odparł bosman swobodnie. — Moim wszakże zdaniem zaklinacz nie byłby na tyle głupi, by całował się z jadowitym wężem.

Maharadża znów klasnął w dłonie. Na salę wbiegł służący z dwoma kurczakami w koszyku.

— Przekonywanie się, czy nalla-pamba posiada zęby jadowe nie jest zbyt przyjemne, lecz może teraz sprawdzi pan, czy te kurczaki są żywe i zdrowe? — z humorem zwrócił się maharadża do bosmana.

— Ho, ho, nawet znam się coś niecoś na tym, bo zanim jeszcze zostałem bosmanem, kucharzowałem na jednym starym pudle podczas rejsu do Jokohamy[*] — odparł bosman.

Ochoczo zbliżył się do służącego trzymającego koszyk z kurczakami, po czym zbadawszy dokładnie ptaki, rzekł:

— Zdrowe jak ryby, chociaż nie bardzo odkarmione. Co mam teraz robić?

— Nic, szlachetny sahibie. Resztę wykona zaklinacz węży — wyjaśnił maharadża.

Stary zaklinacz wziął jednego kurczaka i zbliżył się do kosza z uwięzioną w nim kobrą. Zaledwie odkrył wieko, wąż natychmiast uniósł się szybko. Pochylił płaski łeb i rozpostarł tarczę, na której błysnęły brudnobiałe okulary otoczone czarną obwódką. Jego ślepia gorzały wściekłością. Dojrzał Hindusa trzymającego ptaka. Zaklinacz nie zwracał uwagi na podniecenie rozgniewanego gada — podsunął mu kurczę. Kobra przez chwilę przyglądała się kurczęciu, po czym nagłym ruchem rzuciła się na nie, otwierając szeroko paszczę. Widać było, jak wyprostowują się osadzone w górnej szczęce jadowe zęby, które w zamkniętej paszczy, niby ostrza w złożonym scyzoryku ułożone były w specjalnych zagłębieniach.

Tomek krzyknął ostrzegawczo. Wiedział, że podczas otwierania paszczy i unoszenia się jadowitych zębów, spływa do nich jad z naciskanego mięśniami gruczołu. Gdy jad ten, o składzie zbliżonym do trupiego, dostanie się do krwi człowieka, lub zwierzęcia, wywołuje szybki rozkład ciałek krwi i powoduje śmierć w bardzo krótkim czasie.

Nikt nie zwrócił uwagi na okrzyk Tomka, gdyż kobra, błyskawicznie wysunęła łeb do przodu i zatopiła w ptaku swe zęby. Kurczę zatrzepotało w ręku zaklinacza. Atak kobry trwał nie dłużej niż mgnienie oka. Zaklinacz cofał się już od kosza z rozwścieczonym gadem. Teraz puścił wolno ukąszone przez węża kurczę, po czym zaraz podsunął mu drugie.

Podczas gdy uwolnione kurczęta wędrowały po posadzce strosząc piórka, kobra, sycząc głośno, wpijała swój zimny wzrok w ludzkie twarze. Mijała minuta za minutą. Kurczęta trzepotały skrzydełkami, a kobra głośno sykała rozglądając się dokoła.

Hindusi, u których kobra odgrywała ważną rolę w podaniach religijnych, spoglądali na gada z nabożną czcią oraz strachem. Pozostając od wieków pod wpływem braminów, uważali wyczyny zaklinaczy węży za objawy ich nadprzyrodzonej siły.

W przeciwieństwie do hinduskich krajowców, trzej biali łowcy zwierząt oraz obydwaj Anglicy w inny sposób oceniali intrygujące widowisko.

— Jak pan sądzi, czy ta kobra jest naprawdę jadowita? — półgłosem odezwał się generał Mac Donald do Wilmowskiego.

— Chyba tak! Zresztą wkrótce się o tym przekonamy — odparł Wilmowski. — Kurczaki rozstrzygną nasze wątpliwości.

---

[*] . Jokohama (po japońsku Yo'ko ha'ma — strona płaskiego brzegu) miasto i handlowy port morski w północno-wschodniej części wyspy Honsiu (Hondo) w Japonii.

— Święta prawda, lecz dlaczego nie rzuciła się na tego cwaniaka z fujarką? — szeptem zapytał bosman. — Jeżeli kurczaki zdechną, to uwierzę, iż zaklinacz potrafi kumać się z gadami. To nieczysta moc.

— Głupstwa pleciesz, bosmanie — odpowiedział Wilmowski wzruszając ramionami, — Trudno zaprzeczyć, że zaklinacze poufałym obcowaniem z jadowitymi gadami budzą ogólny podziw dla swych umiejętności. Mimo to nie są oni obdarzeni jakąkolwiek nadprzyrodzoną mocą. Po prostu posiadają umiejętności postępowania z wężami oraz dobrze znają ich naturę. Zaklinacz zbliża się do węża dopiero wtedy, gdy gad się uspokaja. Poza tym, jak słyszałem, wielu zaklinaczy ginie od ukąszeń swych pupilów.

— Patrzcie, panowie! Kurczaki zdychają! — zawołał Tomek.

Jedno z kurcząt przewróciło się na posadzkę. Kilkakrotnie wyprężyło nogi, a następnie znieruchomiało. W parę minut później drugi ptak również legł martwy. Było to widomym dowodem, że kobra mogła w każdej chwili pozbawić życia zaklinacza węży. Europejczycy ujęci jego odwagą ofiarowali mu w nagrodę kilka rupii.

Niebawem zaklinacz oddalił się wraz ze swoim śmiercionośnym koszykiem. Maharadża znów klasnął w dłonie. Sześciu Hindusów wniosło na żelaznych prętach dużą, płaską, miedzianą tacę, napełnioną żarzącym się węglem drzewnym. Za nimi pojawił się przygarbiony, chudy starzec o twarzy okolonej długim, gęstym, siwym zarostem. Usiadł obok tacy, krzyżując podwinięte nogi. Założył ręce na piersiach i popadł w zamyślenie. Jego oczy przesłonięte nieco kosmykami krzaczastych brwi nie odzwierciedlały ani cienia zainteresowania dla półgłosem żartujących białych gości.

— Sahibowie chcieli ujrzeć prawdziwego indyjskiego fakira. Oto jeden z mistrzów w tym zawodzie. Może zdoła zabawić panów swymi sztuczkami — powiedział maharadża, z trudem tłumiąc szelmowski uśmiech, wyrażający pewność, iż spłata białym gościom doskonałego figla.

— Wygląda na to, że fakir będzie piekł kurczaki zakatrupione przez okularnika — szepnął bosman.

— Co też pan opowiada! — oburzył się Tomek. — Pokpiwał pan również z zaklinacza węży, lecz gdy kurczaki zdechły, to zrzedła panu mina.

— Słuchaj, brachu, jadowity okularnik to nie micha z czerwonymi węgielkami — odciął się marynarz. — Masz jednak rację, lepiej nie łapać ryb przed niewodem. Może kuglarz połknie płonące węgle?

Obydwaj przyjaciele przerwali cichą wymianę zdań; w tym właśnie momencie fakir drgnął, jakby zbudził się z głębokiego snu. Dopiero teraz zaczął zdradzać zainteresowanie gośćmi zgromadzonymi na sali. Przenikliwym wzrokiem wodził od twarzy do twarzy. Nie pominął nikogo. Służbę indyjską zaledwie musnął spojrzeniem, trochę dłużej spoglądał na maharadżę, po czym kolejno wpatrywał się w białych sahibów. Tomkowi i bosmanowi niewiele poświęcił uwagi, lecz Wilmowskiego mierzył swym wzrokiem bardzo długo. Potem

obydwaj Anglicy stali się przedmiotem jego zainteresowania, a w końcu przyglądał się przez chwilę pięknej maharani.

Niezwykłe zachowanie się fakira zmuszało wszystkich do milczenia i skupienia uwagi. Wytworzyła się podniecająca tajemniczością atmosfera. Naraz fakir odezwał się:

— Może któryś ze szlachetnych sahibów zechce sprawdzić, czy węgle wypełniające tacę naprawdę płoną i parzą?

Po doświadczeniu z jadowitą kobrą jakoś nikt nie kwapił się do okazania swoich wątpliwości. Fakir wodził wzrokiem po twarzach białych gości. Po dłuższej chwili wpił wzrok w oczy Tomka i rzekł cichym, sugestywnym głosem:

— Zbliż się do mnie, szlachetny, młody sahibie!

Tomek przez moment jakby się wahał, lecz mimo to poszedł do fakira, przyklęknął i wsunął dłoń ponad tacę. Żar zmusił go do cofnięcia ręki.

— Skoro już przekonałeś się, sahibie, że ten ogień naprawdę parzy, to proszę stań tu obok mnie i przyglądaj się pilnie — powiedział fakir. Po chwili zaczął śpiewać cichym głosem jakąś dziwną pieśń. Słaby początkowo głos stopniowo nabierał coraz większej mocy, aż w końcu wypełnił całą salę drgającą fanatyzmem melodią. Oryginalna pieśń niepokoiła słuchaczy i jednocześnie zmuszała ich do skupiania uwagi na niepozornym fakirze, którego wzrok błądził teraz gdzieś ponad głowami widzów. Na twarzach Hindusów odmalował się wyraz upojenia. Czy to pod wpływem słów pieśni, śpiewanej w nieznanym Tomkowi języku, czy też na jakiś niemy znak fakira, kilku hinduskich służących zgromadzonych na sali, jeden za drugim, poczęło wolno zbliżać się do tacy wypełnionej żarem węglowym. Zasłuchani w dziki, płomienny śpiew fakira, bez pośpiechu przechodzili bosymi stopami przez rozżarzone węgle. Na twarzach ich nie było widać jakichkolwiek oznak bólu, ani poparzeń na stopach.

Tomek również pozostawał w pewnej mierze pod wrażeniem niezwykłej sceny i pieśni, lecz jednocześnie przez cały czas głowił się, na czym polegała sztuczka indyjskiego fakira? W końcu ciekawość, tak właściwa młodemu wiekowi, wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Spojrzał na towarzyszy. Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy w napięciu obserwowali przechodzących przez ogień Hindusów. Tomek szybko zdjął obuwie i skarpetki. Podszedł do magicznej tacy. Stało się to właśnie w chwili, gdy fakir przerwał swój śpiew. Zaledwie Tomek dotknął stopą węgli, jeszcze szybciej odskoczył, głośno sykając z bólu.

Maharadża poruszył się zaniepokojony i zawołał pospiesznie:

— Nie powinieneś tego czynić, sahibie, ogień nie parzy jedynie podczas śpiewu fakira. Może mam polecić służbie, aby zaraz sprowadziła lekarza?

— Och, nie, nie! To drobiazg — zaprotestował Tomek, zawstydzony swym nieprzemyślanym czynem.

— A to ciekawa sztuczka! Jeszcze dotąd nie widziałem czegoś podobnego, chociaż przypatrywałem się różnym wyczynom fakirów — odezwał się pułkownik Burton.

— Doskonała robota. Zapewne ulegliśmy zbiorowej hipnozie[*] — stwierdził Wilmowski.

— Więc ty, Andrzeju, przypuszczasz, że ten fakir nas uśpił? — zdziwił się bosman. — To przecież niemożliwe! Raz już jeden taki magik próbował mnie uśpić, ale nic z tego nie wyszło. O mało sam się nie kimnął. Przed chwilą uszczypnąłem się, za przeproszeniem, w pośladek i stwierdziłem, że nie śpię.

— Zbytnia ciekawość czasem nie popłaca. Przecież zdarzają się na świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom — powiedział maharadża.

Stary fakir zniknął już z sali ze swoją płonącą misą, a Tomek zbliżył się do maharani i wiódł z nią cichą, ożywioną rozmowę. Wilmowski spostrzegł to niebawem. Podszedł do syna i zapytał:

— No, jak tam, Tomku, czy nie pomyślałeś o nałożeniu opatrunku na stopę?

— Nie potrzeba, ojcze. Wcale mnie nie boli — odparł Tomek.

— Jeżeli oparzelina rozjątrzy się w trzewiku, łatwo może nastąpić zakażenie. Pamiętaj, w jakim klimacie się znajdujemy. Radzę pójść do domu i nałożyć opatrunek.

Tomek uśmiechnął się niedowierzająco. Przecież zraniona przed kilkoma dniami dłoń bosmana goiła się bardzo szybko. Chciał zaoponować, lecz powstrzymał się spojrzawszy na ojca. Wilmowski nieznacznie mrugnął do niego okiem.

— Jak zwykle masz rację, ojcze. Lepiej nie ryzykować... Pójdę do naszej kwatery i zrobię opatrunek — odpowiedział.

— Może tutaj wezwiemy lekarza? — zapytał maharadża, który znalazł się akurat obok grupki rozmawiających.

— Nie zakłócajmy całemu towarzystwu przyjemnej zabawy takim drobiazgiem. Tomek doskonale sam sobie poradzi — stanowczo zaoponował Wilmowski.

— Ale niebawem wróci pan do nas? — spytał maharadża.

— Rozsądniej będzie opatrzyć oparzelinę. Radzę po nałożeniu opatrunku położyć się i odpocząć — odpowiedział Wilmowski, uprzedzając syna.

— Oczywiście, ojcze, uczynię, jak radzisz — odparł Tomek.

Przeprosił wszystkich za mimowolnie wywołane zamieszanie, po czym skłonił się i wyszedł. Piękna maharani miała tak bardzo zawiedzioną minę, że Wilmowski szczerze ucieszył się odprawieniem syna do domu.

---

[*] . Hipnoza to stan odrętwienia podobny do snu. Osoba zahipnotyzowana wykonuje bezwzględnie wszystko, co nakazuje jej hipnotyzer.

KRADZIEŻ PIERŚCIENIA

Tomek powoli wracał przez park do myśliwskiego domku. Idąc zastanawiał się, dlaczego natychmiast ojciec skorzystał z tak błahego powodu, by go wyprawić z pałacu maharadży jeszcze przed zakończeniem przyjęcia.

"Gdyby ojcu naprawdę chodziło o moje oparzenie, to na pewno wróciłby razem ze mną do domu — monologował w myśli. — Nie, to był jedynie pretekst, bo przecież ojciec mrugnął okiem, udając niepokój o ewentualną możliwość powikłań z powodu zakażenia. Może w takim razie nie wypadało mieszać się do sztuczek fakira? Lecz przecież kuglarz sam mnie prosił o sprawdzenie, czy żar pali się i parzy. Wszyscy żartowali i nikt nie brał mi tego za złe. Nie, to nie o to chodziło."

Zamyślony szedł coraz wolniej. Srebrzysty blask księżyca w pełni dyskretnie wkradał się między drzewa. W górze na pogodnym niebie błyszczały gwiazdy. W ciszy parnego wieczoru słychać było rechot żab, a od czasu do czasu rozlegał się krzyk nocnych ptaków uganiających za żerem.

Tomek wyszedł z parku na polanę. Po przeciwnej stronie widać było myśliwski domek maharadży i otaczające go rozłożyste platany. Tomek zatrzymał się; dopiero teraz spostrzegł, iż wieczór jest bardzo jasny. Spojrzał w niebo. Olbrzymia tarcza księżyca zdawała się zwisać tuż nad czarną linią drzew pobliskiej dżungli. Widok księżyca w pełni przypominał mu towarzyszkę wielu przygód — Australijkę Sally. Podczas wspólnego pobytu u jej stryja, szeryfa Allana w Nowym Meksyku[*], w takie właśnie księżycowe wieczory Tomek z Sally i jej matką zazwyczaj przebywali do późna na werandzie i gawędzili na różne tematy, przeważnie dotyczące jego łowieckich przygód. Twarz Tomka wypogodziła się na wspomnienie Sally. Postanowił zaraz napisać do niej kilka słów.

"Wprawdzie wysłałem do Sally list z Bombaju, ale mogę napisać również i dzisiaj, skoro, prawdę mówiąc, tęskno mi trochę za tą <<sikorką>> monologował w myśli. — Muszę powiadomić ją o okropnej przygodzie w Bombaju i jaką to niespodziankę sprawił nam pan

---

[*] . Nowy Meksyk — południowo-zachodni stan w USA.

Smuga swoją nieobecnością. Sally przecież nic jeszcze nie wie o naszym niezwykłym polowaniu na tygrysy i o pierścieniu ofiarowanym mi na pamiątkę przez księżnę Alwaru."

Naraz ogarnął go niepokój, czy rezolutna Sally nie będzie miała mu za złe przyjęcia pierścienia od maharani. Sally zawsze dąsała się, gdy w jej obecności rozmawiał z innymi dziewczętami.

"Do licha, na śmierć zapomniałem, że ta mała jest zazdrosna. Czyż mogłem jednak być dla księżnej mniej uprzejmy, skoro okazała tyle życzliwości?" — zafrasował się Tomek i nagle... nagle zrozumiał, dlaczego ojciec wyprawił go do domu.

"Na pewno popełniłem nietakt, zbyt długo rozmawiając z maharani — robił sobie surowe wyrzuty. — Jak mogłem zapomnieć, że w Indiach kobiety nie przebywają na ogół w towarzystwie obcych mężczyzn. Prawdopodobnie mimo woli znów palnąłem jakieś głupstwo..."

Jak niepyszny wrócił do domu. Zapalił w izbie kaganek oliwny i zdjął trzewik, aby założyć opatrunek na oparzelinę. Chociaż był w nie najlepszym humorze, parsknął głośnym śmiechem, gdy spojrzał na obnażoną stopę. Nieznaczne zaczerwienienie nie mogło spowodować jakichkolwiek komplikacji.

"Ojciec miał rację, to chyba była hipnoza. Maharadża zapewne również o tym wiedział, a ja, ja znów się wygłupiłem. Skoro wszakże ojciec odgadł prawdę, to musiał także wiedzieć, że nic poważnego mi nie grozi. Wobec tego odprawił mnie do domu jedynie ze względu na księżnę" — pomyślał ciężko wzdychając.

Zakłopotany usiadł na posłaniu. Nie miał jakoś odwagi do napisania listu do Sally. Oczywiście mógł jej nic nie wspominać o pierścieniu maharani, lecz wtedy wyglądałoby to tak, jakby chciał ją oszukać. Tego Tomek nigdy by nie uczynił. Postanowił odłożyć pisanie listu do dnia następnego. Wyciągnął się w ubraniu na miękkich matach. Zaczął rozmyślać, w jaki sposób powinien opisać wydarzenia minionego wieczoru.

Czas wolno mijał... Tomek wciąż spoczywał na posłaniu. Sennym wzrokiem śledził biegającą po suficie zwinną, barwną toke. Niestrudzenie łowiła owady siadające w jej pobliżu. Ładne zwierzątko miało bladoniebieskawy tułów, upstrzony okrągłymi, ceglasto-czerwonymi plamami. Dzięki poduszeczkom, czyli jakby rozszerzeniom z poprzecznie ułożonych listków skóry, o różnej wielkości i kształcie, jakie toke posiadała na połączonych błonami palcach czterech łap, swobodnie biegała po gładkim suficie i ścianach[*].

Tomek nie dziwił się obecności gekkona w mieszkaniu i nawet nie próbował go wypłoszyć. W Indiach jaszczurki są powszechnym zjawiskiem nie tylko w domach mieszkalnych. Spotyka się je również w pomieszczeniach urzędów i w sklepach. Prowadzą

---

[*] . Toke (Gecko verticillatus) należy do rzędu gadów łuskonośnych, które dzielą się na 3 podrzędy: jaszczurki (Lacertilia), kameleony (Rhipidoglossa) i węże (Ophidia). Jaszczurki tworzą największy podrząd. Liczba ich znanych gatunków dochodzi do 2000. Dzielimy je na 12 rodzin. Wśród nich znajduje się rodzina gekkonów, które w różnych odmianach żyją we wszystkich ciepłych krajach. Długość tułowia gekkonów dochodzi do 35 centymetrów. Prócz owadów pożerają inne gatunki gekkonów, własne młode, a nawet myszy. Same często padają ofiarą węża indyjskiego.

przeważnie nocny tryb życia: we dnie śpią w norach lub w szczelinach murów, a po zapadnięciu zmroku rozpoczynają łowy na wszelkie owady, oddając tym człowiekowi przysługę. Toke niezmordowanie chwytała komary wlatujące do oświetlonej izby i niebawem znalazła się na ścianie tuż przy posłaniu.

Tomek uniósł się na łokciu, aby lepiej przyjrzeć się pożytecznemu, oryginalnemu gadowi. Toke trochę przestraszona nadęła się, szeroko otworzyła pyszczek i głośno zasyczała, spoglądając na niego swymi czujnymi oczkami. Tomek, nie chcąc spłoszyć jaszczurki, z powrotem nieruchomo legł na macie, a ona prowadziła dalej swoje łowy, nie zwracając już na niego uwagi.

W miarę upływu czasu Tomek odczuwał coraz większą senność, mimo to postanowił czekać na powrót ojca i bosmana. Pragnął jeszcze tego wieczoru zapytać ich, czy przypadkiem jego zachowanie się podczas uczty u gościnnego maharadży mogło spowodować jakieś nieprzewidziane kłopoty.

Gdyby znał treść rozmowy ojca z pułkownikiem Burtonem, nie miałby powodu do jakichkolwiek obaw. Albowiem rozsądny Wilmowski, nieświadom dotąd tajemniczych planów Smugi, na wszelki wypadek wolał nie drażnić obecnych na uczcie obydwóch Anglików, reprezentujących brytyjskie czynniki urzędowe w Indiach, tak jawnie okazywaną przez księżnę sympatią dla Polaków. Ponadto, zasugerowany słowami Burtona, zaczął obawiać się, czy zazdrosny maharadża właściwie ocenia pewną poufałość swej małżonki wobec Tomka. Z tych też jedynie względów skorzystał z nadarzającej się okazji i wysłał syna do domu, nie mając oczywiście o nic do niego żalu. Tomek niestety tego nie wiedział i dlatego, w miarę jak przedłużała się nieobecność ojca, odczuwał coraz większe zakłopotanie. A tymczasem zupełnie inne i realne niebezpieczeństwo czaiło się już w bliskości myśliwskiego domku...

Skrzek przebudzonej papugi rozbrzmiał niemal tuż nad głową skulonego zakapturzonego człowieka, przyczajonego w krzewach okalających półkolem myśliwski domek na skraju dżungli. Tajemniczy człowiek skulił się jeszcze bardziej. Na moment przywarł do pnia drzewa. Minęła chwila, zanim mężczyzna, zakutany razem z głową w coś w rodzaju opończy z kapturem, zaczął skradać się znowu. Przystanął dopiero tuż obok rozłożystego platanu. Spojrzał w górę na konary zwisające ponad dachem myśliwskiego domku; spod rozchylonego nieco kaptura ukazała się twarz osłonięta szeroką, czarną maską. W dwóch podłużnych wycięciach błysnęły oczy.

Groźny mężczyzna długo wpatrywał się w małe zakratowane okienko, rozjaśnione odblaskiem płonącego wewnątrz kaganka oliwnego. Czas mijał, a światło nie gasło. Zakapturzony człowiek, uspokojony zapewne kompletną ciszą, ostrożnie wspiął się na pień drzewa. Po kilku minutach był już na grubym konarze ponad domkiem. Bezszelestnie opuścił się na płaski dach i podpełzł do kwadratowego otworu. Bambusowa krata nie

stanowiła zbyt wielkiej przeszkody dla tajemniczego mężczyzny. Zręczne dłonie prześliznęły się pomiędzy prętami, wyciągnęły zatyczkę przytrzymującą skobel, po czym bezgłośnie otworzyły kratę.

Zakapturzona głowa pochyliła się nad otworem w dachu. Czujne oczy penetrowały wnętrze domu. W pierwszej izbie nie było nikogo. W półmroku nieśmiało migotały odblaski oliwnego kaganka, płonącego w drugim pomieszczeniu, oddzielonym od pierwszego jedynie lekką, przejrzystą zasłoną. Nie opodal tej właśnie zasłony, na niskim posłaniu z mat, leżał młody, biały mężczyzna. Usnął zapewne, ponieważ przez dłuższy czas nie wykonywał najmniejszego ruchu. Upewniwszy się iż więcej nikogo nie ma w tej chwili w domku, zakapturzona postać wycofała się z otworu i strząsnęła z siebie opończę.

Przedtem tajemnicze indywiduum przypominało swym wyglądem oraz ruchami przygarbionego, dziarskiego starca. Obecnie nie można było mieć już jakichkolwiek wątpliwości. Na dachu domku znajdował się dobrze zbudowany, zwinny mężczyzna w średnim wieku. Podejrzany sposób, w jaki tam wtargnął, szeroka, czarna maska osłaniająca twarz i bezgłośne, ostrożne ruchy świadczyły dobitnie o złych zamiarach.

Mężczyzna przerzucił opończę przez lewe ramię. Z kieszeni spodni wydobył kilka małych kamyków. Znów pochylił się nad otworem w dachu. Jeden po drugim wrzucił do wnętrza izby trzy kamyki, bacznie obserwując spoczywającego na matach młodzieńca; ten ani drgnął na odgłos kamyków uderzających o posadzkę.

"Śpi, śpi już na pewno..." — pomyślał zamaskowany intruz, usiadł na dachu, a następnie opuścił nogi w otwór. Stopami namacał szczeble bambusowej drabinki. Cicho jak zjawa zszedł po niej na dół. Ostrożnie zbliżył się do zasłony przedzielającej obydwie izdebki. Teraz mógł już dokładnie przyjrzeć się spoczywającemu na macie białemu chłopcu. Ten nie spał jeszcze, lecz w mdłym świetle kaganka widać było wyraźnie, iż z coraz większym trudem walczy z ogarniającą go sennością. Już tylko od czasu do czasu nieco unosił powieki, by zerknąć na jaszczurkę biegającą po ścianie za owadami.

Zamaskowany mężczyzna wyjął spod koszuli bambusową rurkę i mały skórzany woreczek. W rurkę wsypał z woreczka jakiegoś proszku, po czym uchyliwszy zasłonę przedzielającą obydwie izby, wysunął ją w kierunku głowy leżącego. Lekkie dmuchnięcie rozpyliło proszek w powietrzu nad twarzą na wpół uśpionego Tomka. Tylko czujna toke spostrzegła niecny czyn złoczyńcy, nadęła się i głośno syknęła.

Tomek ocknął się z półsnu. Spojrzał na rozgniewaną jaszczurkę umykającą po ścianie w kierunku szczeliny. Naraz poczuł łaskotanie w nosie. Kichnął potężnie, co zmusiło go do wydobycia z kieszeni chusteczki, lecz potem znów ułożył się wygodnie i z powrotem zamknął oczy.

Na odgłos kichnięcia intruz drgnął nieprzyjemnie zaskoczony, jakby ono było dlań jakąś złowróżbną przestrogą.

— O, patronko nasza, święta bogini Bogiri Mahalakshmi, dlaczego mi dzisiaj nie sprzyjasz?[*] — wyszeptał zakłopotany.

Ogarnięty przesądną obawą już miał zamiar wycofać się z ryzykownego przedsięwzięcia, gdy naraz ujrzał na palcu Tomka brylant błyszczący w pierścieniu podarowanym przez maharani. Nie mógł wprost oderwać od niego wzroku. Widać było, iż toczy ciężką walkę wewnętrzną. To cofał się w głąb izby, to znów powracał do zasłony, a za każdym razem rozognionym wzrokiem szukał błysku pierścienia.

"O święta patronko, wybacz mi ten jeden, jedyny w życiu raz, iż lekceważę twą przestrogę — szeptał. — Ostrzegłaś mnie, lecz powiedz sama, czy nadarzy mi się po raz drugi tak wspaniała okazja? Wiem, że po otrzymaniu tak jawnego znaku powinienem ulepić twój nowy posążek i złożyć dodatkową ofiarę w świątyni... Wybacz mi ten jeden raz! Gdy posiądę pierścień, ofiaruję ci dar tak kosztowny, jakiego jeszcze nigdy nie otrzymałaś od Crima".

Trochę uspokojony złożonym ślubowaniem jeszcze raz wydobył bambusową rurkę, napełnił ją usypiającym proszkiem i wydmuchnął go w kierunku głowy młodzieńca.

Minęła dłuższa chwila. Pierś Tomka unosiła się równomiernym oddechem. Mężczyzna w masce stał cierpliwie. Pilnie nadstawiał ucha, czy ktoś niepowołany nie zbliża się z zewnątrz. Wokół trwała niczym nie zmącona nocna cisza. Nałożył więc na siebie opończę, okrył głowę kapturem i wśliznął się do sąsiedniej izby. Ostrożnie, krok za krokiem, zbliżał się do posłania. Zatrzymał się tuż przed uśpionym. Chwilę badawczym wzrokiem przyglądał się jego twarzy, potem przykucnął przy nim. Końcami palców delikatnie ujął pierścień. Na nieszczęście dla niego mały w obwodzie, kobiecy pierścień mocno tkwił na palcu Tomka. Przygotowany widać i na to sprytny złodziej zwilżył palec śpiącego oliwą z kaganka i jeszcze raz zabrał się do zdejmowania pierścienia. Szło mu to bardzo opornie. Podenerwowany niepowodzeniem, zaczął uciskać palec i ciągnąć pierścień. Zaabsorbowany całkowicie swoim trudnym zadaniem nie spostrzegł, iż Tomek wolno uchyla powieki.

Tomek budził się naprawdę. Pierwsza porcja usypiającego proszku uleciała wraz z kichnięciem, druga — nie zdążyła jeszcze wywrzeć odpowiedniego skutku na silnym organizmie młodego podróżnika. Zamaskowany intruz za wcześnie przystąpił do działania, toteż Tomek, chociaż był już trochę oszołomiony, poczuł, że ktoś ściąga mu pierścień z palca. Zaprawiony podczas wypraw łowieckich do niebezpieczeństw, niczym nie zdradził

---

[*] W Indiach, jako jedynym kraju na Ziemi, zawodowi przestępcy tworzą odrębną, własną kastę hinduską. Są oni znani pod nazwą "Crims". Kasta obejmuje podobno około 10 milionów członków. Crimowie za patronkę swą uważają boginię Bogiri Mahalakshmi. Aby uniknąć usunięcia z kasty, co dla wszystkich Hindusów jest największą zniewagą, każdy Crim musi przynajmniej raz do roku dokonać kradzieży. Są oni bardzo przesądni i zabobonni. Jeżeli Crim spotka mleczarkę, bądź też kogoś niosącego pieniądze, ryż, rybę lub wodę — uważa to za dobry znak, natomiast za zły dla siebie omen poczytuje na przykład: wycie szakala, skrzek kani, przebiegnięcie białego kota, napotkanie zawodowych płaczek itd. Kichnięcie czyjeś w pobliżu traktuje jako znak swej patronki, bogini Bogiri Mahalakshmi, iż tego dnia nie sprzyja ona jego przedsięwzięciu.

swego przebudzenia, aczkolwiek serce żywiej zabiło w jego piersi na widok zamaskowanego mężczyzny.

Spod wpółprzymkniętych powiek w wielkim napięciu wpatrywał się w tajemniczą zakapturzoną głowę oraz twarz ukrytą pod czarną maską. Czyżby to był człowiek z blizną na twarzy, który w Bombaju zabił Abbasa? Przecież przypuszczali, że morderca zdołał w jakiś sposób poznać tajemnicę Smugi i pragnął pokrzyżować jego plany. Mógł więc również po dokonaniu niecnego czynu śledzić ich i skrycie przybyć za nimi do Alwaru. Wypatrując blizny na twarzy zamaskowanego mężczyzny, Tomek jednocześnie starał się obmyślić jakiś plan działania w tej groźnej sytuacji. Nie miał przy sobie broni. Przed udaniem się do pałacu schował rewolwer do walizki. Napastnik chyba był uzbrojony; ponadto jego wspólnicy mogli czaić się w pobliżu. Cóż Tomek miał począć? Myśli jak błyskawice przelatywały mu przez głowę, lecz żaden z pomysłów nie wydawał się rozsądny.

"Do licha, na razie mam przed sobą tylko jednego przeciwnika, potem zaś zobaczymy, co z tego wyniknie..." — myślał.

Nie poruszając lewą ręką, z której palca ściągano mu pierścień, Tomek nagłym ruchem prawą dłonią chwycił za kaptur osłaniający złodzieja. Ten nie stracił przytomności umysłu. Nim Tomek zdołał się podnieść, przycisnął go do maty całym ciężarem swego ciała, kleszczowym chwytem obezwładnił lewą dłoń i zdarł pierścień z palca. Teraz gwałtownie odskoczył od Tomka, pozostawiając zdarty z głowy kaptur w jego ręku. Tomek poderwał się z posłania. Wtedy właśnie otrzymał cios pięścią w podbródek. Zatoczył się na ścianę.

Złodziej jednym skokiem dopadł do kaganka oliwnego. Silne dmuchnięcie pogrążyło wnętrze mieszkania w kompletnych ciemnościach.

Tomek szybko ochłonął po niespodziewanym uderzeniu. Zaledwie usłyszał szelest kroków, natychmiast odważnie rzucił się w pogoń. Wbiegł do drugiej izby, złodziej właśnie znikał w otworze sufitu. Rozważny i przezorny Tomek nie zaryzykował wyjścia na dach. Tam przecież mógł napastnik czatować na niego i ogłuszyć uderzeniem, a może nawet zabić, gdyby wynurzył głowę z otworu. Tak rozumując cicho otworzył nie zaryglowane drzwi i wybiegł na zewnątrz, kierując się ku platanowi rosnącemu za domem. Tamtędy złodziej musiał zejść z dachu na ziemię.

Odetchnięcie czystym, świeżym powietrzem całkowicie przywróciło Tomkowi sprawność fizyczną. Szybko okrążył dom. Złodziej akurat zeskakiwał z drzewa. Ujrzawszy nadbiegającego Tomka, zaczął umykać w kierunku dżungli. Tomek bez wahania podążył za nim.

Od dżungli dzieliło ich około dwustu metrów. Księżycowa noc była bardzo jasna. Tomek biegł za złoczyńcą, który co chwila oglądał się za siebie.

"Jeżeli nie zdołam go dogonić, zanim skryje się w dżungli, umknie bezkarnie — przemknęło Tomkowi przez myśl. — Gdybym miał przy sobie broń, łatwo bym go zatrzymał."

Niestety rewolwer spoczywał bezużytecznie w walizie. Tomek był bezbronny, lecz podniecony napadem nie odczuwał strachu przed walką z umykającym złoczyńcą. Jeśli schwytany okazałby się mordercą Abbasa, pomściłby śmierć niewinnego człowieka i jednocześnie mógłby odzyskać ukradziony depozyt oraz pierścień maharani. Rozgniewany i zdecydowany na wszystko przyspieszył biegu.

Ciemna dżungla była już bardzo blisko. Odległość między biegnącymi zmniejszała się z każdą chwilą. Tomek zaprawiony do długich, nużących marszów potrafił zdobywać się na najwyższy wysiłek. Obecnie dzieliło go od umykającego zaledwie kilkanaście kroków. Wkrótce wpadli pomiędzy drzewa. Tomkowi wyrwało się niemal dziękczynne westchnienie — znał tę ścieżkę z rozpoznawczego wypadu do dżungli sprzed trzech dni. Dzięki temu teraz z łatwością orientował się w terenie. Domyślił się również, dokąd złodziej zamierza umknąć, bowiem ścieżka wiodła do małej hinduskiej świątyni ukrytej w dżungli.

Złoczyńca, zaniepokojony zapewne bliskością ścigającego, coraz to spoglądał za siebie. W pełnym pędzie wbiegli na urwistą drożynę, wijącą się nad brzegiem rozległego bagniska. Tomek natychmiast przypomniał sobie setki głodnych krokodyli, które uprzednio widział wylegujące się na kępach moczarów. Przezornie zwolnił tempo pościgu, albowiem stoczenie walki na tak urwistej, wąskiej ścieżynie groziło śmiercią w straszliwych paszczach gadów.

Najbliższe chwile potwierdziły słuszność jego obaw. Niefortunny złoczyńca pragnął zapewne za wszelką cenę umknąć pogoni, albowiem pędził dalej, nie zważając na niebezpieczeństwo. Nagle potknął się, upadł i stoczył się w bagnisko. Tomek wzdrygnął się usłyszawszy plusk wody. Ciche dotąd bagno nagle ożyło. Słychać było wyraźnie, jak krokodyle z trawiastych kęp zsuwają się do wody i płyną pośpiesznie ku brzegowi kłapiąc paszczami. Każda sekunda zwłoki groziła straszliwą katastrofą. Tomek kilkoma susami dobiegł do miejsca, gdzie uciekający wpadł w bagno i teraz bezskutecznie próbował wydostać się na brzeg. Tomek chwycił jego wyciągniętą dłoń. Gwałtownym ruchem dźwignął go w górę. Pomógł mu powstać z ziemi. Przyśpieszony głośny oddech złoczyńcy wymownie świadczył o jego dużym zmęczeniu. Mimo to zaledwie znalazł pewne oparcie pod stopami, zaraz strząsnął ze swego ramienia dłoń Tomka. Odskoczył błyskawicznie, po czym ostrzegł stłumionym, rwącym się głosem.

— Precz stąd, lub zginiesz... sahibie!

Tomek był zaskoczony reakcją złoczyńcy. Przecież najprawdopodobniej uratował mu życie! Nie spodziewał się takiej niewdzięczności. Oburzony, bez namysłu zawołał:

— Zaczynam żałować, że ci pomogłem przed chwilą. Zdejmij natychmiast maskę z twarzy lub wrzucę cię z powrotem do bagniska! Może jesteś nie tylko nocnym złodziejem, lecz i podstępnym mordercą!

— Więc giń, głupcze! — syknął tamten.

Brylant na jego palcu błysnął w świetle księżyca. Nagłym uderzeniem pięści chciał strącić Tomka ze ścieżki w grzęzawisko. Tomek uchylił głowę; zdradziecka pięść zaledwie

otarła się o jego ramię. Złoczyńca nie zaryzykował nowego ciosu, zaczął znów szybko uciekać.

Tomek teraz zupełnie zapomniał o ostrożności. Oburzony do głębi duszy rzucił się w szaleńczy pościg. Po kilku minutach dobiegł do rozwidlenia ścieżyny i pognał za uciekającym ku świątyni.

W jasnym świetle księżyca białe mury ostro rysowały się na tle czerni dżungli. Napastnik wbiegł do tajemniczej budowli. Tomek ostrożnie przystanął w progu.

Wnętrze hinduskiej świątyni tonęło w półmroku. W migotliwym świetle płonącej pochodni widać było w głębi żółtą kotarę. Tomkowi zdawało się, iż za nią właśnie zniknął złoczyńca. Stał niezdecydowany. Nieufnym wzrokiem spoglądał na widniejące wzdłuż ścian posągi bożków i bogiń, demonów, przerażających maszkar półludzi i półzwierząt.

Rychło ochłonął z pierwszego przykrego wrażenia. Już się nie wahał dłużej. Ostrożnie zamknął za sobą ciężkie podwoje, aby utrudnić złoczyńcy ewentualną ucieczkę, po czym ruszył w głąb mrocznej świątyni.

Uchylił kotary. Oczom jego ukazał się duży posąg czwororękiej bogini. Kamienne bóstwo w jednej ręce dzierżyło nóż, w drugiej głowę ludzką, a dwoma pozostałymi zdawało się jakby kogoś przyzywać. Jedynym strojem odrażającego bóstwa był zwisający wokół bioder pas kamiennych rąk ludzkich. W refleksach migotliwego, czerwonawego światła posąg sprawiał wrażenie żywej, poruszającej się groźnej istoty.

"Krwiożercza bogini Kali" — szepnął Tomek.

Obszedł posąg dookoła, ostrożnie stąpając między leżącymi na posadzce świeżymi kwiatami. Teraz dostrzegł w ścianie niski, ciemny otwór. Zagłębił się w zatęchły korytarz. Drgnął, gdy obok jego głowy zatrzepotał się jakiś stwór. Tomek pomyślał, że to zapewne nietoperz. Nie ociągając się ruszył dalej wzdłuż ściany. Wkrótce ujrzał pasmo migotliwego światła. Dotarł do końca korytarza. Przylgnął całym ciałem do ściany. Ostrożnie wychylił głowę.

Przed kamiennym posągiem jakiejś bogini siedział z podwiniętymi nogami mężczyzna w masce. Z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy, uspokojony, spoglądał właśnie na swój łup, leżący na jego otwartej dłoni. Widocznie już nie spodziewał się tutaj pościgu.

Tomek ruszył ku niemu. Miękki dywan zaścielający posadzkę tłumił ostrożne kroki. Przystanął tuż za zamaskowanym mężczyzną, pochylił się nad nim i nagłym ruchem schwycił swój pierścień. Zaskoczony złoczyńca oniemiał w pierwszej chwili, zaraz jednak znalazł się z Tomkiem twarzą w twarz.

— Giń, przeklęty sahibie... — krzyknął stłumionym ze wściekłości głosem, dobywając zza pasa sztyletu.

Tomek odzyskawszy pierścień, machinalnie nałożył go na palec. Nagle ujrzał błysk stali, błyskawicznie uskoczył w bok, po czym prawą dłonią chwycił rękę napastnika w przegubie, a lewą nacisnął jego łokieć. Gwałtownym szarpnięciem powalił na ziemię złoczyńcę, który

krzyknął z bólu i upuścił sztylet. Tomek przygniótł leżącego przeciwnika kolanami, przytrzymał w kleszczowym uścisku obezwładnioną zręcznym chwytem jego rękę, drugą zaś swą dłoń wyciągnął ku zamaskowanej twarzy.

— Precz — krzyknął przerażony złoczyńca.

Wolną ręką próbował osłonić twarz. Tomek już miał zerwać maskę, gdy naraz usłyszał kobiecy wzburzony głos:

— Puść go, sahibie, i tak został już dostatecznie ukarany.

Tomek obejrzał się bezgranicznie zdumiony. W progu korytarza stała młoda księżna Alwaru. Zaskoczony jej obecnością w nocy w leśnej świątyni, przerwał walkę. Zwolnił złoczyńcę z kleszczowego chwytu, podniósł się i skłonił przed maharani.

Złoczyńca dźwignął się z ziemi. Chyłkiem podążył ku korytarzowi, prześliznął się obok księżnej i znikł w mroku. Maharani szczelnie otulona we wzorzystą, jedwabną chustę zbliżyła się do Tomka.

— Nie jesteś zbyt ostrożny, młody sahibie — powiedziała. — Najpierw pozwalasz sobie ukraść pierścień, a potem lekkomyślnie zapuszczasz się samotnie do świątyni hinduskiej, by u stóp bogini Bogiri Mahalakshmi, patronki złoczyńców, walczyć o swą zgubę. Nie jest to ani roztropne, ani... bezpieczne. Gdybym nie przybyła w porę, po tym, co się zdarzyło, jeden z was musiałby zginąć.

— Wcale nie miałem zamiaru karać złodzieja śmiercią, chociaż on, jak mi się wydaje, nie miał zbyt dużych skrupułów — odparł Tomek. — W jaki sposób wasza książęca wysokość dowiedziała się o kradzieży pierścienia?

— Zdradziła mi to święta bogini Kali, na której cześć odbędą się dzisiejszej nocy przy pełni księżyca religijne tańce — odparła maharani, po czym roześmiała się beztrosko i dodała: — Musisz stąd odejść, ponieważ bajadery przygotowują się już do obrzędu.

Tomek z uwagą przyglądał się maharani. Przecież zachowanie jej wyraźnie wskazywało, iż znała tajemniczego złoczyńcę. Nagle zauważył porzucony w czasie walki sztylet. Podniósł go. W rękojeści wysadzanej brylantami tkwił wielki, krwawy rubin. Tomek doskonale pamiętał tę drogocenną broń. To był sztylet maharadży.

Zaskoczony tak niezwykłym odkryciem, spojrzał zdumiony na księżnę. Swobodnie patrzyła na niego, lekko się uśmiechając.

— A więc poznałeś sztylet? Oczywiście, taki sam posiada mój mąż — powiedziała. — Swego czasu polecił snycerzowi wykonać trzy identyczne sztylety. Jeden z nich zatrzymał dla siebie, drugi dał memu bratu, a trzeci... to jest właśnie ten trzeci. Nazwisko właściciela nic by ci nie powiedziało, więc po prostu zatrzymaj sztylet na pamiątkę i... zapomnij o wszystkim. Indie są krajem pełnym dziwnych tajemnic. Lecz chociaż mogą się u nas dziać niezwykłe dla Europejczyka rzeczy, to, jak sam doświadczyłeś na sobie, bogowie nasi czuwają nad bezpieczeństwem tych, których my bardzo lubimy. Przyrzeknij, że zapomnisz o wszystkim... szlachetny sahibie.

— Wasza książęca wysokość przeszkodziła mi zdjąć maskę z twarzy tego... człowieka — powiedział Tomek. — Zanim cokolwiek przyrzeknę, muszę upewnić się, czy ma on szeroką bliznę na twarzy. Czy wasza książęca mość może mi to wyjawić?

— On na pewno nie ma blizny na twarzy. Cóż złego uczynił ci tamten człowiek? Czy to miało miejsce w Alwarze?

— Człowiek z blizną na twarzy zabił w Bombaju urzędnika linii okrętowej, u którego pan Pandit Davasarman i pan Smuga pozostawili dla nas list oraz cenny depozyt.

— Och, sahibie! Ręczę ci moim słowem, że złodziej pierścienia nie miał i nawet nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Czy teraz przyrzekniesz zapomnieć o tym przykrym wydarzeniu?

— Już zapomniałem — szepnął Tomek bardzo zmieszany. — Na dowód tego oddaję waszej książęcej wysokości sztylet i proszę o zwrócenie go właścicielowi.

Piękna maharani przestała się uśmiechać. Wzięła sztylet i chowając go pod chustę rzekła cicho:

— Twój ojciec i przyjaciel rozmawiają teraz z Panditem Davasarmanem. Przybył zaledwie przed godziną. Wracaj więc szybko do domu, ponieważ usłyszysz od nich ciekawe nowiny. Dobranoc, miły sahibie.

— Czy pan Smuga również przyjechał? — zapytał Tomek.

— Nie, jutro razem z moim bratem wyruszycie do niego.

— Dziękuję za dobrą wiadomość. Dobranoc!

Księżna uśmiechnęła się smutno, a potem przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ciemny korytarz, którym odszedł młody człowiek.

PANDIT DAVASARMAN

Tomek zatrzymał się niezdecydowanie przed werandą. Drzwi do mieszkania były szeroko otwarte, tak jak je pozostawił, wybiegając za unoszącym skradziony pierścień złodziejem. Cisza oraz ciemność zalegały wnętrze domu. Ojciec i bosman zapewne nie powrócili jeszcze dotąd z uczty w pałacu maharadży. Nieobecność ich ułatwiała Tomkowi dotrzymanie przyrzeczenia danego księżnej, że nie powie nikomu o kradzieży pierścienia. Jeżeli bowiem towarzysze zastaną go w domu, z całą pewnością niczego się nie domyślą, a tym samym nie będą również o nic pytali. Należało jedynie przedtem przywrócić porządek w mieszkaniu i usunąć ślady walki. Dom ział niepokojącą ciemnością. Tomek nie był pewny, czy podczas jego nieobecności jakiś zabłąkany tygrys lub pantera[*] nie przyczaiły się w mieszkaniu bądź też czy niefortunny złoczyńca, który wcześniej od niego opuścił świątynię, nie pokusił się o ponowienie napadu z ukrycia w opuszczonym domku.

Tomek rozważał swe szanse, a jednocześnie nasłuchiwał, czy nie dojdą go jakieś podejrzane odgłosy.

"Drzwi otwierają się do wewnątrz, jeżeli zdążę wśliznąć się za nie, to osłonią mnie na chwilę, a potem zorientuję się, co mam dalej robić" — postanowił w myśli.

Nie miał zbyt wiele czasu do stracenia. Wszedł na werandę. Stąpając na palcach krok za krokiem dotarł do progu izby, a potem szybkim skokiem skrył się za drzwiami. W domku w dalszym ciągu panowała cisza. Tomek wydobył z kieszeni zapałki. W mieszkaniu nie było nikogo. Szybko zamknął i zaryglował drzwi, założył bambusową kratę w otworze wiodącym na dach. W kwadrans później rozebrany leżał na swoim posłaniu. Teraz nie obawiał się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Jego niezawodny kolt wyglądał spod poduszki.

Mimo późnej pory nie mógł zasnąć. Niezmiernie był ciekaw wyników rozmowy swoich towarzyszy z Panditem Davasarmanem. Niecierpliwie oczekiwał na ich powrót i rozmyślał o

---

[*] **Pantera, czyli lampart (Felis pardus), żyje na ogromnych obszarach Azji i Afryki. Gatunek ten dzieli się na pewną liczbę podgatunków, różniących się mniej lub bardziej barwą oraz wielkością ciemnych plam na skórze. Podgatunek zamieszkujący Azję zwiemy panterami, natomiast afrykańskie okazy nazywamy lampartami. Obydwa podgatunki są niezwykle zwinne i podstępne. Odznaczają się krwiożerczością i zuchwałością.**

niezwykłym, intrygującym wydarzeniu z pierścieniem. Księżna znała złoczyńcę. Jej oświadczenie, że nie posiadał blizny na twarzy odsuwało od niego posądzenie o dokonanie zabójstwa w Bombaju. Kim wobec tego naprawdę był ów złodziej? Tłumaczenie księżnej o istnieniu trzech identycznych sztyletów mogło być po prostu zmyślone dla osłonięcia niecnego czynu jej małżonka. Dlaczego jednak opływający w bogactwa maharadża dopuszczałby się kradzieży pierścienia podarowanego przez żonę? Było to dla Tomka niezrozumiałe.

Fakt schronienia się złodzieja w samotnej świątyni, ukrytej w dżungli, w dociekaniach Tomka uporczywie kojarzył się z posągiem okrutnej bogini Kali, czczonej przez Thugów. Ci zawodowi przestępcy tworzyli swego czasu, szczególnie w północnych Indiach, potężne bandy. Dusili lub truli swe ofiary, kradli, znajdując do tego podnietę w wierzeniach sekty religijnej. Ryzykowali wszystko bez jakiejkolwiek obawy, przekonani byli bowiem, że każdy Thung, zabity podczas zbójeckiej wyprawy, natychmiast dostanie się do raju. Istniał w Indiach okres, kiedy działalność Thugów sparaliżowała nawet handel pomiędzy miastami, ponieważ nikt nie był pewny, czy uda mu się szczęśliwie powrócić do domu. Były to wszakże czasy dość odległe, albowiem w latach tysiąc osiemset trzydziestych Anglicy rozgromili Thugów. Wyniszczenie ich przyczyniło się do wydatnego zmniejszenia liczby mordów na tle religijnym, lecz mimo to w Indiach nadal działała szeroko rozprzestrzeniona kasta Crimów — zawodowych złodziei, uznających za swą patronkę boginię Bogiri Mahalakshmi. Właśnie u stóp jej posągu Tomek odnalazł złodzieja pierścienia.

Tajemnicza świątynia na odludziu mogła być kiedyś zbudowana przez Thugów lub Crimów. Ponieważ znajdowała się na prywatnych terenach łowieckich maharadży, można było przypuszczać, iż władcy Alwaru byli w jakiś sposób związani z przestępczą kastą. Tomek przecież słyszał już dawniej, że nieraz nawet bardzo bogaci Hindusi z pobudek religijnych byli członkami bandy Crimów. Każdy Hindus musi przynależeć do kasty, w której się urodził. Jeśli więc ktoś z przodków maharadży Manibhadry należał kiedyś do Crimów, to i Manibhadra, nie chcąc narazić się na hańbiące w mniemaniu krajowców usunięcie z kasty, musiałby dokonywać przestępstw.

"Może maharadża jest członkiem albo nawet hersztem bandy Crimów? — rozmyślał Tomek. — Tłumaczyłoby to przynajmniej ten niezrozumiały w innym przypadku czyn. A może maharani mówiła prawdę o tych trzech sztyletach?"

Rozmyślania Tomka przerwały odgłosy rozmowy prowadzonej już w pobliżu myśliwskiego domku. Niebawem na werandzie zadudniły ciężkie kroki bosmana Nowickiego.

— Pewno śpi już nasze biedne chłopczysko — mówił marynarz tubalnym głosem. — Zupełnie słusznie ma do nas żal. Moim zdaniem niepotrzebnie wyprawiłeś go do domu. Cóż nas obchodzą Burton i ten milczek Mac Donald?! Niechby się wściekali ze złości, że piękna

maharami bardziej lubi Polaków niż Anglików. Aż zazdrościłem Tomkowi, gdy z nim tak miło gruchała...

— I o to również chodziło, bosmanie — sumitował się Wilmowski. — Wydawało mi się, że maharadża był z tego trochę niezadowolony.

— Ech! Tomek poza Sally świata bożego nie widzi i tylko patrzyć, jak się jej oświadczy, a ty do niego z pretensjami o maharani! Czysta niesprawiedliwość!

— Ciszej mów, bosmanie! Zbudzisz Tomka. Już nie wiem, który raz tłumaczę ci, że nie mam do niego o nic pretensji i nawet żałuję...

W tej chwili Tomek rozradowany otworzył drzwi na oścież, wołając:

— Wcale nie śpię i wszystko słyszałem. Cieszę się, ojcze, że nie masz do mnie żalu. Martwiłem się o to czekając na wasz powrót.

— Nigdy nie kłopocz się na zapas. Po prostu jestem czasem zbyt ostrożny. Ale dostałem za swoje, ponieważ bosman przez całą drogę dosadnie wyrażał niezadowolenie. Mamy dla ciebie ciekawą nowinę. Pandit Davasarman przyjechał do Alwaru.

— Czyżby sam przyjechał? — pytał Tomek, nic nie wspominając, iż wie o jego przybyciu.

— Tak, Tomku! To właśnie wzmogło nasz niepokój. Pandit Davasarman ma razem z nami jechać do Smugi, który jakoby obecnie przebywa w Szrinagarze w Kaszmirze[*] — odparł Wilmowski chmurząc czoło. — Podobne postępowanie zawsze tak zrównoważonego Smugi wydaje mi się bardzo dziwne.

— Czy pan Smuga nie przysłał dla nas listu? — indagował Tomek.

— Nie, ani słowa — potwierdził bosman.

— To naprawdę bardzo dziwne — rzekł Tomek. — Czy powiedzieliście Panditowi Davasarmanowi o tragicznej śmierci pana Abbasa?

— Oczywiście, Tomku, przecież to on prosił Abbasa o oddanie Smudze przysługi. Pandit Davasarman był bardzo zaskoczony morderstwem — wyjaśnił Wilmowski. — Odnieśliśmy wrażenie, że domyśla się, kto był zabójcą, aczkolwiek nie powiedział nam tego wręcz.

— Prawda to rzetelna, umie on trzymać język za zębami — wtrącił bosman — pewny jestem, że wie więcej, niż mówi!

— Niewiele dowiedzieliśmy się od Pandita Davasarmana. Miejmy nadzieję, że w Szrinagarze zastaniemy naszego przyjaciela i dowiemy się, o co chodzi.

Tomek położył się na macie. Bosman z fajką w zębach przysiadł na brzegu posłania. Wilmowski natomiast rozebrał się i wszedł do łazienki.

---

[*] . Kaszmir (Kush'mer) — górski kraj w zachodnich Himalajach. Stamtąd, doliną górnego Indusu, prowadzi bardzo trudne przejście na wyżyny Tybetu. W 1587 r. Kaszmir stał się częścią cesarstwa Mongołów, w drugiej połowie XVIII w. został podbity przez szacha Afganistanu, potem zagarnęli go Sikhowie i wcielili do swego królestwa, a w końcu stał się prowincją Indii Brytyjskich. Obecnie jest jednym ze stanów Unii Hinduskiej. Stolicą Kaszmiru jest Szrinagar, czyli Święte miasto, malownicze miasto, słynne z wiszących ogrodów.

Tomek pozostał sam na sam z przyjacielem. Skwapliwie skorzystał z okazji, by zasięgnąć dalszych informacji.

— Czy dobrze bawiliście się po moim wyjściu z pałacu? — zagadnął.

— Niezgorzej, chociaż nie wiem, czy to by ciebie ciekawiło — odparł bosman. — Podfruwajki, czyli tak zwane tutaj bajadery, tańczyły ładne kawałki. Niczego sobie widowisko!

— Maharani zapewne przez cały czas dotrzymywała wam towarzystwa — wypytywał Tomek, pilnie przypatrując się przyjacielowi.

— A jakże, opuściła nas dopiero po przybyciu swego brata, Pandita Davasarmana.

— Czy maharadża wyszedł razem z nią?

— Skądże znowu? Jak mógł z nią wyjść, kiedy go już nie było?

— Czyżby wyszedł wkrótce po mnie?

— No tak — potwierdził bosman. — Powiedział, że wróci wkrótce, ale już go nie widzieliśmy, bo tymczasem przyszedł ten Davasarman i maharani zaproponowała, żebyśmy w trójkę z twoim ojcem pogadali na osobności.

Tomek zamilkł z wrażenia. Maharadża mógł być owym złodziejem pierścienia!

— Więc Pandit Davasarman nic więcej nie mówił wam o panu Smudze? — zagadnął po chwili, aby usprawiedliwić przed bosmanem własne podniecenie.

— Niewiele, kochany brachu, niewiele — odpowiedział marynarz ciężko wzdychając. — Krótko tylko oświadczył, że razem pojedziemy do Smugi, który oczekuje nas w Kaszmirze.

— Czy nie pytaliście go, dlaczego pan Smuga wezwał nas do Indii?

— Pytaliśmy o to, a jakże! Ale on wciąż powtarzał: "Szikar Smuga sam wyjawi szlachetnym sahibom swoje zamiary" — nic więcej nie można było z niego wyciągnąć.

— Co to wszystko może znaczyć? — głowił się Tomek.

— Ha, powiem tylko, że mój bosmański nos niucha zbliżanie się piekielnego sztormu. Pewno czeka nas diabelski taniec. Nie będziemy chyba narzekali na nudy podczas tej wyprawy!

— Byle tylko panu Smudze nie groziło niebezpieczeństwo, zanim dotrzemy do niego.

— Nie martw się, brachu! Nie należy on do takich, co to pozwalają sobie bezkarnie w kaszę dmuchać. Ojciec twój mówi, że cała ta sprawa cuchnie polityką.

— Żebyśmy chociaż wiedzieli, jaką rolę odgrywa Pandit Davasarman. Czy jest on naprawdę życzliwy panu Smudze? Zanim się o tym przekonamy, musimy mieć go dobrze na oku.

— O to bądź spokojny. Nie chciałbym być w jego skórze, gdyby naszemu druhowi z przeciwnej strony dmuchał w żagle.

Tomek bardzo źle spał tej nocy. Niezwykły splot wydarzeń nie dawał mu spokoju. Snuł najrozmaitsze domysły na temat tajemniczego zachowania się Smugi, próbując powiązać w

logiczną całość zaskakujące ich niespodzianki. Wydawało mu się, że skoro Smuga ufał Panditowi Davasarmanowi, to on mógł dać wiarę słowom maharani. Ona zaś zaręczyła, iż złodziej pierścienia nie ma blizny na twarzy. Wobec tego nie był mordercą z Bombaju. Wniosek ten znajdował pewne potwierdzenie w słowach ojca i bosmana Nowickiego, którzy odnieśli wrażenie, że Pandit Davasarman domyśla się, kim był człowiek z blizną. Gdyby morderca i złodziej pierścienia stanowili jedną i tę samą osobę, to prawdopodobnie przebywałaby ona obecnie, jako posiadacz jednego z trzech sztyletów podarowanych przez maharadżę, w najbliższym jego otoczeniu, a tym samym byłaby doskonale znana Panditowi Davasarmanowi. Wówczas tenże inaczej musiałby zareagować na wieść, iż ktoś mu bliski zamordował nieszczęsnego urzędnika linii okrętowej.

Kim w takim razie byli obydwaj złoczyńcy? Tomek zastanawiał się, dlaczego maharani przeszkodziła mu w zerwaniu maski, zakrywającej twarz złodzieja pierścienia? Dlaczego prosiła, aby zapomniał o napadzie i kradzieży?

"Gdybym tylko mógł sprawdzić, czy istnieją trzy takie same sztylety — rozmyślał. — Bo przecież maharani mogła powiedzieć nieprawdę, chcąc skierować podejrzenia na mylne tory".

Zaledwie świt wkradł się przez okratowane okienko, Tomek zły i niewyspany zerwał się z posłania. Szybko ubrał się i wymknął z domu nie budząc nikogo. Zdawało mu się, że poranna przechadzka po parku uspokoi jego wzburzone myśli. Poza tym chwilowo pragnął unikać rozmów z ojcem i bosmanem, bowiem ogarniały go wątpliwości, czy słusznie postępuje, ukrywając przed nimi dziwne wydarzenie z pierścieniem. Uniesiony szlachetnością, przyrzekł pięknej maharani nie mówić nikomu o kradzieży, a teraz wstydził się swego postępowania wobec towarzyszy. Dotąd przecież nigdy nie mieli przed sobą tajemnic. Dlatego też wolał nie przebywać z nimi sam na sam do czasu nadejścia Pandita Davasarmana, z którym mieli pójść do pałacu, by pożegnać się przed wyjazdem z uprzejmymi władcami Alwaru.

Zamyślony, z daleka okrążył pałac, zerkając na słonie dokonujące przy pomocy mahutów porannej toalety, po czym zboczył w długą, ocienioną aleję. Po pewnym czasie, zmęczony bezcelowym wałęsaniem się, usiadł na ławce pod platanem. Niebawem jakieś ożywione szepty przerwały jego rozmyślania. Zaczął nasłuchiwać. Wkrótce zorientował się, skąd dochodziły go odgłosy rozmowy. Powstał z ławki i podkradł się do rosnącego za nią długiego żywopłotu. Ostrożnie rozchylił gałęzie.

W tym właśnie miejscu żywopłot oddzielał posiadłość maharadży od kilku wieśniaczych chat widocznych w pobliżu. Tuż przy krzewach ujrzał Tomek dwóch chłopców i dziewczynkę w wieku około dziesięciu lat, przykucniętych przed starszym mężczyzną. Rozmawiali w nieznanym Tomkowi języku hindustani, lecz mimo to łatwo domyślił się, że przedmiotem ich zainteresowania było kilkanaście kur żerujących nie opodal jednej z chat.

Mężczyzna wskazywał na nie ręką i mówił coś półszeptem, a dzieciarnia słuchała go pilnie niczym wykładu nauczyciela w szkole.

W końcu pierwsza podniosła się dziewczynka i wolno ruszyła w kierunku pobliskiego domku. Tomek uważnie ją obserwował, albowiem zachowywała się tak, jakby odtwarzała wyuczoną przez starszego mężczyznę rolę. Zrywała kwiaty, a jednocześnie coraz bardziej zbliżała się do chatki. Tymczasem starszy mężczyzna podzielił pomiędzy chłopców garstkę nie łuszczonego ryżu wydobytego z woreczka. Malcy natychmiast wepchnęli ryż do ust i żując go powoli, razem ze swoim opiekunem pilnie obserwowali krążącą teraz wokół domu dziewczynkę.

Naraz nadbiegła mała kobieta odwróciła się do chłopców, po czym wpięła sobie kwiatek we włosy. Jakby na umówione hasło chłopcy podkradli się do stada kur. W odpowiednim momencie wypluli na ziemię sklejone śliną kulki z niełuszczonego ryżu. Dwie najbliższe kury łapczywie rzuciły się na nie. Zdradliwe smakołyki okazały się niełatwe do przełknięcia, toteż obydwa ptaki zaczęły się dławić. Chłopcy korzystając z chwilowej bezsilności kur porwali je i pomknęli z łupem do mężczyzny oczekującego na nich pod żywopłotem. Teraz również i dziewczynka przyłączyła się do nich.

Mężczyzna skinieniem głowy pochwalił dzieci, wepchnął kury do worka i wszyscy chyłkiem oddalili się od miejsca kradzieży.

Tomek zdumionym wzrokiem spoglądał za uciekającymi. Słyszał już dawniej od ojca, że Crimowie bardzo chętnie widzą jak największą liczbę dzieci we własnych rodzinach, a często porywają nawet i obce, by szkolić je w sztuce złodziejskiej. Toteż obecnie nie miał jakiejkolwiek wątpliwości, że owi dwaj chłopcy i dziewczynka byli młodymi adeptami niecnego rzemiosła, a mężczyzna ich nauczycielem. Tomek, do głębi oburzony na mężczyznę, który nie wahał się deprawować dzieci, miał ochotę dogonić go i dać mu odpowiednią nauczkę. Zrozumiał jednak, że takim odruchem nie zdoła zmienić zwyczajów od wieków zakorzenionych w Indiach. Tutaj, w kraju tak bogatym, a zarazem tak bardzo ubogim, dzieci już od najmłodszych lat musiały pomagać rodzicom w zarabianiu na codzienny chleb. Przejeżdżając przez Indie, Tomek widział dzieci pracujące na plantacjach przy zbiorze herbaty, bawełny i maku. Nic więc dziwnego, że również zawodowi złodzieje odpowiednio "przygotowywali" swoje potomstwo do pracy.

Widok tej smutnej, a zarazem w pewnym sensie komicznej sceny upewnił Tomka, że w pobliżu prywatnej rezydencji maharadży grasowała banda zbrodniczych Crimów. Czyżby wobec tego sam maharadża również do niej należał? Pełen sprzecznych uczuć powrócił do myśliwskiego domku.

Ojciec i bosman zajęci byli przygotowaniami do wyruszenia w drogę. Teraz już lada chwila spodziewali się przybycia Pandita Davasarmana. Dzięki temu udało się Tomkowi pierwszym lepszym wytłumaczeniem usprawiedliwić swą przydługą nieobecność. Niewiele

się odzywał, za to stale wychodził na werandę pod pretekstem sprawdzenia, czy nie nadchodzi Pandit Davasarman.

Niezwykła w tym dniu małomówność Tomka niebawem zwróciła uwagę bosmana. Kilkakrotnie zagadywał przyjaciela, ale ten zbywał go lakonicznymi odpowiedziami. Bosman zdziwiony jego zachowaniem powiedział o tym Wilmowskiemu:

— Coś Tomek dzisiaj nie w humorze. Zapewne ma do nas żal za wczorajszy wieczór. A może też i co innego go gnębi? Nic nie gada i jakiś taki zamyślony. Nie zauważyłeś, Andrzeju?

— Masz rację. Nie przypuszczam jednak, aby przejął się przedwczesnym opuszczeniem przyjęcia. Za rozsądny na to. Może ma dzisiaj po prostu swój "zły dzień" lub też jak i my niepokoi się o Smugę. Wiesz przecież, że za nim przepada. Ja również wciąż gubię się w domysłach, co ma oznaczać intrygujące zachowanie się Jana.

— Dowiemy się prawdopodobnie w Szrinagarze. Czy mi się coś przywidziało, czy też Tomek ma na brodzie siniaka? Zupełnie jak od uderzenia pięścią...

— Nic nie zauważyłem — odparł Wilmowski.

— No to przyjrzyj mu się nieznacznie.

— Wydawało ci się chyba, mroczno tu w izbie.

— Mroczno czy nie mroczno, a mnie się wydaje, że siniak na brodzie jest, chociaż wczoraj na uczcie na pewno go nie miał.

— Do licha, powiedz jasno, o co ci chodzi?

— O co ma chodzić? — oburzył się bosman. — Po prostu mówię, że Tomek na uczcie jeszcze nie miał siniaka, a dzisiaj ma! Założę się nawet o butelczynę jamajki...

— Więc twierdzisz, że ma siniaka, jak od uderzenia pięści? — zastanowił się Wilmowski.

— No, nareszcie skapowałeś, o co mi chodzi. Najlepiej wyjdź za nim na dwór i nieznacznie puść oczkiem na jego brodę. Coś on mi niewyraźny dzisiaj...

Wilmowski szybko zamknął walizkę. Właśnie skończył ją pakować i wyszedł za Tomkiem na werandę. Niebawem powrócił zafrasowany.

— To dziwne, ale masz rację — rzekł zmieszany. — Tomek ma siniaka na podbródku. Wieczorem wcale tego nie zauważyłem.

— Może przewrócił się wczoraj wracając do domu? A może też dzisiaj spotkał się z kimś podczas porannej wycieczki? Nie, moje bosmańskie oko nigdy mnie nie myli. To jest siniak od rąbnięcia pięścią w brodę. Znam się coś niecoś na tym. Mało to razy miałem podobne siniaki? Ciekawe, co znów i kiedy zmalował ten chłopak?

Z wejściem Tomka do pokoju, przerwali rozmowę. Chłopiec w ubraniu wyciągnął się na macie i nic nie mówiąc spoglądał w sufit. Po jakiejś chwili Wilmowski usiadł obok niego. Jeszcze raz nieznacznie spojrzał na jego podbródek. Teraz, gdy Tomek leżał, ciemny siniak był doskonale widoczny. Podczas obfitującej w różne przygody włóczęgi po świecie Wilmowski, mimo spokojnego usposobienia, widział już nie jedno. Sądząc więc po kolorze

siniaka, doszedł do wniosku, że przypadkowe, czy też umyślne uderzenie, które wywołało taki skutek, musiało mieć miejsce dnia poprzedniego. Ponieważ na uczcie w pałacu Tomek nie miał jeszcze tego znaku na podbródku, wobec tego coś nieprzyjemnego musiało zdarzyć się nieco później, kiedy sam wracał lub wrócił do domu.

— Coś taki markotny dzisiaj? Może źle się czujesz, Tomku? — zagadnął Wilmowski.

— Wcale nie jestem markotny i czuję się doskonale, ojcze. Dlaczego mnie pytasz o to? — zdziwił się Tomek.

— Tak mało mówisz do nas, jakbyś się gniewał o coś. Czy przypadkiem nie przydarzyło ci się coś nieprzyjemnego? Masz dużego siniaka na podbródku.

— Mam siniaka na... Och, do licha, nic o tym nie wiedziałem?! — zawołał Tomek, usiłując ukryć zmieszanie.

Poderwał się, usiadł na posłaniu i wydobywszy z kieszeni małe lusterko spojrzał w nie szybko. Ciężkie westchnienie mimo woli wyrwało się z jego piersi. Na podbródku widniał ciemny, prawie niebieski znak.

"To pewno po tym podstępnym uderzeniu na ścieżce przy krokodylach, albo też może po pierwszym starciu w domu" — pomyślał zły na siebie, iż tego nie zauważył. Wtedy byłby to jakoś upozorował. Zmieszany spoglądał w lusterko, zastanawiając się gorączkowo, co ma powiedzieć ojcu.

Wilmowski tymczasem udawał, że nie zwraca na niego uwagi. Tym niemniej spod oka spoglądał na syna trochę zaintrygowany i zaniepokojony. Upewnił się równocześnie, że Tomek nic nie wiedział o siniaku.

— Chyba cię nieco zamroczyło po takim uderzeniu — odezwał się bosman z głupia frant.

Tomek zaczerwienił się; nie mógł wyznać prawdy, a jednocześnie nie chciał skłamać. Na całe dla niego szczęście w tym kłopotliwym momencie rozległy się kroki na werandzie i zaraz ktoś zastukał we framugę drzwi.

— Prosimy! — powiedział Wilmowski.

Do pokoju wszedł niezbyt wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o mocno ogorzałej twarzy ze spiczastą, czarną bródką i krótko przyciętymi włosami. Miał na sobie europejskie ubranie koloru khaki, a głowę jego okrywał mały, biały turban.

— Witamy pana — odezwał się Wilmowski, podając mu rękę. — To mój syn, Tomek, który wcześniej wyszedł wczoraj z pałacu i dlatego nie miał przyjemności poznać pana. Tomku, to jest właśnie pan Pandit Davasarman.

Tomek odetchnął z ulgą. Oto nadeszła nieoczekiwana pomoc. Z wdzięcznością spojrzał na brata maharani. Teraz ojciec i bosman na pewno zapomną o niefortunnym siniaku. Pandit Davasarman na moment dłuższy przytrzymał w powitaniu dłoń Tomka. Ten znów się zmieszał, czując na sobie badawczy, czujny wzrok Hindusa.

— Słyszałem już o panu wiele pochlebnych słów od mojej siostry. Twierdzi, że jest pan najszlachetniejszym białym dżentelmenem, który kiedykolwiek odwiedził Alwar — powiedział Davasarman, uwalniając jednocześnie dłoń Tomka.

— Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na tak dobrą opinię — bąknął Tomek opuszczając głowę, gdyż zdawało mu się, że i Davasarman ciekawie zerka na jego podbródek.

— Wszystkie kobiety, prawdziwe kobiety, najbardziej cenią w mężczyźnie odwagę, rycerskość i szlachetność — dwuznacznie rzekł Davasarman. — Toteż cieszę się niezmiernie, iż tak zacnych będę miał towarzyszy podróży.

— Podobno dzisiaj mamy wyruszyć z Alwaru. Jesteśmy nawet spakowani — odparł Tomek pospiesznie, aby skierować rozmowę na mniej niepewne tematy.

— Wszystko już przygotowałem do drogi — wolno powiedział Davasarman. — Możemy wyruszyć, kiedy tylko panowie sobie życzą. Jednocześnie chciałem przeprosić w imieniu szwagra i siostry, iż nie będą mogli osobiście panów pożegnać. Właśnie wczoraj wieczorem szwagier pośliznął się na schodach i zwichnął sobie ramię. Oczywiście żona musi go pielęgnować i stąd cała przykrość.

Tomek cofnął się o krok. Bladość pokryła jego twarz. Więc to jednak owym niefortunnym złodziejem pierścienia był maharadża, któremu Tomek, stosując niezawodny chwyt bosmana, zbyt mocno wykręcił ramię!

Pandit Davasarman nie spuszczał wzroku z trzech białych sahibów. Doskonale uchwycił wrażenie, jakie sprawiły na Tomku jego słowa, a także wyraz szczerego zaniepokojenia oraz współczucia dla maharadży, malujący się w oczach Wilmowskiego i bosmana, którzy przecież niczego się nie domyślali i teraz nie zwracali na Tomka uwagi.

Tomek tymczasem zdołał się opanować. Nie wiedział jeszcze, czy Davasarman został wtajemniczony w szczegóły wydarzeń minionego wieczoru, lecz to przecież było mniej ważne.

Davasarman uśmiechnął się życzliwie do Tomka, po czym znów powiedział:

— Teraz mogę dokończyć oficjalnej misji. Otóż szwagier mój jest bardzo zasmucony, ponieważ przez własną nieostrożność i lekkomyślność nie może panów osobiście pożegnać. Przesyła więc przeze mnie pewien drobiazg na pamiątkę. Myślę, iż najlepiej uczynię wręczając go młodemu panu Wilmowskiemu, który zyskał tyle przyjaznych uczuć księcia oraz jego małżonki.

Mówiąc to wydobył spod surduta dość długi przedmiot owinięty w barwny jedwab i podał go Tomkowi. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia. Tomek, patrząc prosto w oczy Davasarmanowi, przesunął dłonią po spowitym w jedwab podarunku. Wiedział już, co przysłał mu książę Alwaru. Na rękojeści owiniętego sztyletu wyczuł dłonią duży guz. To zapewne ten wielki krwawy rubin. Szybko odwinął jedwab.

— Sztylet maharadży — szepnął zdumiony.

— Zgadłeś, sahibie, to jest sztylet maharadży Manibhadry, wykonany dla niego przez najlepszego hinduskiego mistrza w tym zawodzie — potwierdził spokojnie Davasarman. — Ze sztyletem tym maharadża nigdy się nie rozstawał. W dowód przyjaźni, która zawsze potrafi wiele wybaczyć, przesyła go panu.

Wilmowski i bosman odruchowo spojrzeli na siebie. Bosman nieznacznie dotknął ręką podbródka i znacząco mrugnął okiem.

W DRODZE DO SZRINAGARU

Pociąg coraz bardziej oddalał się w kierunku północnym od Alwaru. Mijał bambusowe chaty, rozrzucone wśród poletek obsianych ryżem, bobem i tytoniem, zatrzymywał się na brudnych stacyjkach miasteczek o zaniedbanych budynkach, przemierzał połacie podmokłej dżungli, bądź zbitej gęstwy krzewów bambusowych, cierni i kęp trzciny.

Po kilkugodzinnej jeździe pociąg zbliżał się do Delhi, dawnej stolicy Wielkich Mogołów[*] Starodawne miasto pierwotne zwało się "Dilli", co w sanskrycie oznacza "próg". Nazwa ta doskonale charakteryzowała geograficzne i polityczne znaczenie miasta. Spoglądając na mapę Półwyspu Indyjskiego widzimy, że leży ono na zachodnim krańcu Niziny Hindustańskiej w środku północnych Indii. Na zachód od Delhi bieleją piaski rozległej Pustyni Thar, obrzeżonej na południu Górami Arawali, które dwoma rozmytymi erozją odgałęzieniami sięgają w pobliże miasta. Na wschód rozciąga się urodzajna dolina świętego Gangesu, usiana rozlicznymi miastami, wśród których królują sławne jako święte Benares i Allachabad. Znad górnego Indusu nad górny Ganges prowadzi odwieczny naturalny szlak. Tędy szły najazdy wojowniczych ludów na Indie. Stamtąd przyszli Ariowie, Persowie, Grecy pod dowództwem Aleksandra Wielkiego, Afgańczycy, a potem na czele wielkich hord mongolskich Tamerlan i Baber, który dał początek dynastii Wielkich Mogołów. Miasto, założone w XIII wieku przez mahometańską dynastię, było niszczone tak przez Tamerlana jak i Babera, bo ktokolwiek chciał panować nad żyzną doliną Gangesu, ten musiał przekroczyć zagradzającą drogę rzekę Dżammę[*] oraz zdobyć leżące na jej brzegu święte miasto Delhi.

Gdy pociąg przejeżdżał przez Delhi, Pandit Davasarman opowiedział towarzyszom o wspaniałych zabytkach architektury mahometańskiej i hinduskiej znajdujących się w mieście. Davasarman był skarbnicą wiedzy o swym kraju, umiał przy tym ciekawie mówić, toteż Tomek, Wilmowski i bosman zasypywali go pytaniami o różne szczegóły.

---

[*] . Należy pamiętać, że Tomek przeżywał swe przygody w Indiach w roku 1907, kiedy to stolicą brytyjskich Indii była Kalkuta. Dopiero w 1912 roku Delhi ogłoszono stolicą Indii. W pobliżu starodawnego miasta Anglicy wybudowali nowoczesne miasto — Nowe Delhi.

[*] . Dżamma — dopływ Gangesu.

— Słyszałem, że kiedyś w Delhi Hindusi powstali przeciwko Anglikom i podobno dali im wtedy niezłego łupnia — zagadnął marynarz. — Ciekaw byłbym coś niecoś o tym usłyszeć, bo jak widzę mrowie Hindusów i garstkę Anglików rządzących się tutaj jak szare gęsi, to aż podziw mnie bierze, że tak dacie się za nos wodzić.

Wilmowski i Tomek zaczęli nieznacznie dawać przyjacielowi znak, aby nie pytał przychylnego Anglikom Hindusa o drażliwą historię wielkiego powstania indyjskiego, lecz nie zdołali go powstrzymać.

Davasarman uśmiechnął się przyjaźnie do bosmana, co nie uszło uwagi Tomka, i odpowiedział:

— Mówisz, sahibie, że na garstkę Anglików przypada mrowie Hindusów? Anglicy doskonale potrafią działać na swoją korzyść i dlatego zjednali sobie wiernych sojuszników wśród Hindusów. Dzięki temu są panami kraju. To urodzeni konkwistadorzy*. Trzeba przyznać, że w krytycznych chwilach potrafią zdobywać się na bohaterstwo.

— Czy to ma znaczyć, że dzielnie bili się w powstaniu? — zapytał bosman.

— Proszę posłuchać, jeżeli ciekawi to panów. Ściśle mówiąc, powstanie nie rozpoczęło się w samym Delhi, lecz w Merath*, leżącym nieco dalej na północy, w prowincji Agra-Oudh. Otóż hinduskim patriotom zdawało się, że mając tak liczebną przewagę nad Brytyjczykami, mogą siłą zrzucić z karku jarzmo nałożone przez kolonizatorów. Widzieli w tym jedyny ratunek przed nędzą i klęskami głodu, nękającymi większość ludności Indii. To przede wszystkim było głównym podłożem wielkiego indyjskiego powstania, które wybuchło najpierw w Agra-Oudh*.

Walkę rozpoczęli sipaje, to jest żołnierze indyjscy w służbie angielskiej. Bezpośrednim pretekstem do wybuchu buntu były represje stosowane przez Brytyjczyków za odmowę wyciągania zębami przybitek ładunków* przy nabijaniu broni. Były one natarte wołowym i świńskim tłuszczem. Bunt solidarnie podnieśli sipaje wyznania hinduskiego i mahometańskiego, albowiem pierwsi uważali, że naruszono ich dogmat świętości krowy, a drudzy czuli się zbrukani z powodu nieczystości świni. Tak więc w niedzielę 10 maja 1857 roku w Merath wybuchło powstanie. Zbuntowani sipaje wtargnęli do Delhi, zabili wszystkich Europejczyków przebywających w mieście, po czym ogłosili powrót cesarstwa Mogołów. W pobliżu bramy kaszmirskiej znajdował się arsenał. Anglicy nie mogąc go obronić, a także nie

---

* . Konkwistadorzy — po hiszpańsku zdobywcy.

* . Merath — Meerut.

* . Agra-Oudh — Zjednoczone Prowincje Agra i Oudh znajdują się w północnej części Unii Hinduskiej. Na północy i północno-wschodzie graniczą z Tybetem i Nepalem, na wschodzie z Biharem, na południu i południowo-zachodzie z centralnymi Indiami, a na zachodzie — z Pendżabem. W tych dwóch prowincjach na przestrzeni wieków rozgrywały się dzieje hinduskie.

* . Pocisk broni palnej wypełniony materiałem wybuchowym zamykała przybitka papierowa, nasycona dla zabezpieczenia przed wilgocią tłuszczem. Aby mógł nastąpić zapłon materiału wybuchowego, żołnierz, przed wprowadzeniem pocisku do komory karabinu, musiał wyciągnąć przybitkę zębami. Pociski takie były używane we wszystkich armiach prawie do końca XIX w.

chcąc, aby broń i amunicja wpadły w ręce powstańców, wysadzili się w powietrze razem z całym arsenałem.

— No, no, nie spodziewałbym się tego po Anglikach — niedowierzająco bąknął bosman.

— Tak jednak było. Zarzewie buntu ogarniało coraz to inne miejscowości. W Lakhnau* również chwycono za broń. W pałacu rezydencji zamknęło się około trzech tysięcy osób, w tym tysiąc mężczyzn, Europejczyków. Resztę stanowiło pięciuset wiernych Anglikom sipajów — przeważnie Sikhów*, pięćset kobiet i dzieci oraz tubylcza służba.

Siły powstańców wzrastały z dnia na dzień. Szybko topniejąca garstka Anglików i Sikhów miała przeciwko sobie całe wrogie miasto, liczące około siedmiuset tysięcy ludności i trzydzieści tysięcy zbuntowanych żołnierzy. Śmierć codziennie zbierała obfite żniwo. Dopiero po miesiącu z pomocą oblężonym przybył pułkownik Havelock z tysiącem ośmiuset żołnierzami, pozostałymi mu po walkach podczas przedzierania się przez kraj ogarnięty powstaniem. Przez osiemdziesiąt dni oblężeni odpierali zaciekłe ataki, śmierć i głód stale zaglądały im w oczy, lecz kto tylko umiał władać bronią, walczył na wałach. Obrońca Lakhnau, Sir Lawrence, śmiertelnie ranny, jeszcze na łożu śmierci wydawał rozkazy. Mimo szaleńczej odwagi zginęliby wszyscy, gdyby w końcu Sir Colin Campbell nie przybył z odsieczą na czele dziesięciotysięcznej armii. Wówczas kilku możnych maharadżów pospieszyło Anglikom z pomocą. Brytyjczycy stłumili powstanie, a potem pomścili się na przeciwnikach. Burzyli całe osady i nie pozwalali na ich odbudowę, aby dla przyszłych pokoleń hinduskich były widocznym przykładem kary.

W rezultacie powstania została rozwiązana Kompania Wschodnio-Indyjska, reprezentująca od 1600 roku interesy brytyjskie w Indiach. Wprowadzono urząd wicekróla, mianowanego przez króla angielskiego. Cały kraj podzielono na Indie brytyjskie, rządzone bezpośrednio przez angielskich gubernatorów i Indie tubylcze, składające się z setek państewek różnych radżów i maharadżów, którym przydzielono angielskich rezydentów.

Jak więc z tego wynika, Brytyjczycy potrafią doskonale bronić swych interesów. Musimy się od nich wiele nauczyć, jeżeli chcielibyśmy kiedyś pokusić się o uzyskanie niezawisłości.

— Faktycznie zręcznie oni sobie tutaj radzą, ale nie mogliby tak podskakiwać bez waszej pomocy — rzekł bosman, wysłuchawszy zajmującej opowieści. — Dziwne to, że Sikhowie tak bardzo ich kochają.

— O ile dobrze pamiętam, Sikhowie nie zawsze popierali Anglików, wiedli nawet z nimi wojnę — zauważył Wilmowski.

— Odmienne wierzenia religijne stanowią odwieczną kość niezgody, tkwiącą wewnątrz narodu hinduskiego — wyjaśnił Pandit Davasarman. — W stosunku do wyznania muzułmańskiego i hinduizmu, sikhizm był bardzo postępową religią. Ponieważ zyskiwała

---

* . Lakhnau — dawniej stolica królestwa Ud, obecnie miasto okręgowe w prowincji Agra-Oudh.

* . Sikhowie (Sikh) — wyznawcy powstałej w Pendżabie sekty religijnej. Sikhowie głosili wiarę w jednego boga, równouprawniali kobiety, zarzucali kastowość, palenie wdów (zwyczaj sati), bałwochwalstwo oraz używanie tytoniu i wina.

ona licznych zwolenników, Sikhowie byli prześladowani tak przez mahometan, jak i przez hinduistów.

Dla własnej obrony zostali zmuszeni do zorganizowania się we wspólnotę religijno-wojskową. Potem w okresie czterystuletniego istnienia wykazali nie tylko wiele męstwa, lecz stali się naprawdę doskonałymi żołnierzami. W 1764 roku ogłosili niepodległość swego państwa, obejmującego Pendżab*, Kaszmir i dolinę środkowego Indusu. Nie mogło się to podobać Brytyjczykom. Toteż w 1849 roku pokonali Sikhów. Ci ostatni, od urodzenia przywykli do rzemiosła wojennego, nie mogąc dalej stawiać oporu Anglikom, przeszli do nich na służbę. Odtąd Anglicy zyskali w Sikhach gorących, ślepych popleczników*.

— Krótko mówiąc, niepotrzebne wśród Hindusów waśnie religijne pomagają Anglikom w kaptowaniu sprzymierzeńców — orzekł bosman.

— Będziemy przejeżdżali przez Amristar, w którym znajduje się największa świętość Sikhów, złota świątynia Harmandir ze świętą sadzawką nieśmiertelności — powiedział Pandit Davasarman, jakby chciał zmienić temat rozmowy.

Na podobnych pogawędkach czas szybko mijał. Po kilkunastu godzinach pociąg wjechał na równinę Pendżabu i zbliżał się do jego stolicy — Lahaure. Na uprawnych polach widać było rowy irygacyjne. Olbrzymią aluwialną* równinę Pendżabu, okoloną od północy i wschodu pogórzami Himalajów, a od zachodu górami Sulejmańskimi, odwadniał Indus oraz jego pięć głównych dopływów. Sądząc po rozległych uprawach pszenicy, ryżu, bawełny, trzciny cukrowej i oliwek, większość ludności Pendżabu trudniła się zapewne rolnictwem oraz chowem bydła.

Tomek uważnie chłonął mijane krajobrazy. Tak jak w drodze do Alwaru, tak i obecnie zapisywał w notatniku ważniejsze stacje, a więc: Delhi, Ambala, Ludhijana, Jalandhar, Lahaure. Już niewiele stacji dzieliło ich od krańcowego etapu kolei żelaznej, ponieważ szlak wiodący w kierunku granicy Kaszmiru kończył się w Rawalpindi. Stamtąd mieli wyruszyć w dalszą drogę do Szrinagaru konno lub dyliżansem.

Nasi podróżnicy z uczuciem ulgi myśleli o opuszczeniu dusznego wagonu kolejowego. Oto kończyły się tchnące żarem niziny. Na północy wystrzelał ku niebu zachodni kraniec Himalajów — najwyższych gór świata — osłaniający Indie od północy potężnym dwa tysiące dwustukilometrowym, lekko wygiętym na południe i szerokim na dwieście kilometrów łukiem. Przez okna wagonu płynął już orzeźwiający oddech gór.

---

* . Pendżab (Pan jab' — pięciorzecze Dżehlam, Czenab, Rawi, Bias, Satledż) — dawniej Północno-Zachodnia Prowincja Brytyjskich Indii. Rzeka Indus z dopływami. Siedzibą gubernatora Lahaure (Lahore), w lecie górska Szimla. W 1947 r. Pendżab podzielono na dwie części: Pendżab Wschodni wszedł w skład Unii Hinduskiej i Pendżab Zachodni, to jest obecny Pakistan Zachodni, który łącznie z oddalonym od niego o 1600 km Pakistanem Wschodnim, zwanym również Bengalią Wschodnią, tworzy jedno państwo — Pakistan. Jest to jedyne na świecie państwo, posiadające enklawę, to jest terytorium oddzielone od macierzystego, obszarem innego państwa (Unii Hinduskiej).

* . W "nagrodę" za wierną służbę w dniu 13 kwietnia 1919 r. w Amristarze angielski generał Dyer rozkazał strzelać do Sikhów, demonstrujących przed pałacem gubernatora przeciwko wydaleniu z kraju dwóch przywódców politycznych. Anglicy zabili wówczas 279 osób.

* . Powstałą z osadów rzecznych: żwirów, piasków, mułów.

Tylko bosman nie zachwycał się perspektywą wędrówki górskiej. Nie lubił chodzenia po górach i zawsze twierdził, że wytrząsanie brzucha po wertepach nie licuje z godnością bosmańską.

Rawalpindi była bazą strategiczną Anglików. Świadczyła o tym liczba koszar wojskowych. Wszędzie widać było uzbrojonych Gurkhów, to jest strzelców wywodzących się z górali nepalskich. Tu rozpoczynała się jedyna droga łącząca Indie z Kaszmirem. Tutaj też mieściła się główna kwatera angielskiej północnej armii w Indiach.

Wyruszenie z Rawalpindi do Szrinagaru wymagało załatwienia wielu urzędowych formalności. Teraz dopiero trzej biali łowcy mogli należycie ocenić wpływy Pandita Davasarmana. Jego krótka wizyta u angielskiego dowódcy podziałała niby różdżka czarodziejska. W przeciągu kilkunastu minut wystawiono im konieczne dokumenty.

— Proszę, proszę, ten Davasarman musi być dużą szyszką, skoro tak wielki mir posiada u Anglików — zauważył bosman, gdy Hindus na chwilę się oddalił. — Trochę poszwargotał z pułkownikiem i już mamy papierki potrzebne do drogi.

— Pułkownik Burton zapewniał mnie, że Pandit Davasarman ułatwi nam podróż — odparł Wilmowski. — Skoro teraz sami przekonaliśmy się o jego dużych wpływach, trzymaj, drogi bosmanie, swój język nieco na wodzy, gdy z nim rozmawiasz.

— Słuszna uwaga, jak zwykle masz rację, Andrzeju. Chociaż gdy opowiadał w pociągu o powstaniu Hindusów, to w jego słowach nie było zbyt wielkiej miłości do Anglików.

— Dziwne to wszystko... — mruknął Tomek, widząc nadchodzącego Pandita Davasarmana.

— Teraz musimy postarać się o jak najszybszy środek lokomocji, byśmy zdążyli dotrzeć do Szrinagaru jeszcze przed burzą, sygnalizowaną przez stację meteorologiczną — odezwał się Davasarman. — Proponuję wynająć tonga* One najlepiej nadają się na tutejsze złe górskie drogi. Natomiast bagaże polecimy przewieźć pocztowym ekka*.

— Jak długo będziemy jechali do Szrinagaru? — zapytał Tomek.

— Zmieniając zaprzęgi co pięć mil, możemy przybyć tam w kilkanaście godzin — wyjaśnił Davasarman. — Trochę będzie to męczące, lecz warto się pospieszyć, zanim burza uniemożliwi przejazd.

— Zgoda, nie traćmy czasu. Chcemy jak najszybciej zobaczyć pana Smugę — powiedział Wilmowski. — Jak długo będą w drodze nasze bagaże?

— W przeciągu dwóch dni powinny znaleźć się w Szrinagarze. Teraz zabierzemy tylko najniezbędniejsze drobiazgi. Chodźmy do mego znajomego, trudniącego się tutaj przewozem pasażerów i poczty.

Właściciel stacji dyliżansów nisko skłonił się przed Panditem Davasarmanem i białymi sahibami. Był to wysoki, tęgi Kaszmirczyk o przebiegłym wyrazie twarzy.

---

* . Tonga — zgrabny, dwukonny powozik.

* . Ekka — powolny, prymitywny wehikuł używany do przewożenia poczty.

— Jak się masz, Babukhanie! Udajemy się do Szrinagaru i chcielibyśmy twoimi tonga dojechać do Baramoula, gdzie wynajmiemy łodzie. Ty i woźnice otrzymacie dobry dastur*, jeżeli będziemy z was zadowoleni — powiedział Davasarman.

— Salam*, szlachetny panie — odparł Babukhan, jednocześnie przykładając prawą dłoń do czoła. — Nie potrzebujesz mówić o dastur, ponieważ już znam twoją szczodrobliwość. Niestety dwa tonga nie pomieszczą sahibów i bagaży. Wiesz dobrze, o radości moich oczu, że droga jest bardzo zła.

— Wiem, wiem, czcigodny Babukhanie. Tonga zabiorą tylko nas, natomiast bagaże zaraz wyślesz pocztowym ekka. Spiesz się, mało mamy czasu. Biuro meteorologiczne sygnalizuje burzę nadciągającą z gór.

— Rzekłeś, szlachetny i szczodrobliwy panie. Już biegnę wydać odpowiednie dyspozycje.

Babukhan wyszedł z domu. Donośnym głosem, wzmocnionym zapewne nadzieją otrzymania sutego napiwku, nawoływał woźniców do pośpiechu.

— Tonga są dwuosobowe, wobec tego młody pan Wilmowski i ja, jako najlżejsi, pojedziemy jednym powozem, zabierając niezbędny bagaż, a panowie obydwaj wsiądą do drugiego. W ten sposób będziemy mogli jechać z jednakową szybkością — zaproponował Davasarman.

— Bardzo słusznie — poparł go Wilmowski. Wolał nie zostawiać sam na sam dobrodusznego bosmana z Panditem Davasarmanem.

Nim minęło pół godziny, dwa lekkie tonga zatrzymały się przed domem. W pierwszym z nich zajęli miejsce Tomek i Davasarman. Oprócz umówionej zapłaty, Babukhan musiał otrzymać znaczny dastur, gdyż "salamy" płynęły z jego ust wartko, niczym potok górski. Woźnice zasiedli na kozłach, Babukhan jeszcze raz pochylił się przed Davasarmanem i przyłożywszy dłoń do czoła rzekł:

— Salam, szlachetny panie! Niech wszechmocny Allach* czuwa w drodze nad tobą lub jeśli wolisz, niech ci towarzyszą Sziwa, Wisznu bądź jakaś można, a zarazem piękna bogini!

— Salam, czcigodny Babukhanie! Niech i tobie wszyscy bogowie przynoszą zdrowie i... szczęście w zdobywaniu majątku — odpowiedział Pandit Davasarman, domyślnie mrugając okiem do mahometanina.

Woźnice, dwaj rośli Pendżabczycy, trzasnęli z batów w powietrzu. Tonga ruszyły w drogę.

Tomek zadumanym wzrokiem wodził po niezwykłej panoramie rozpościerającej się przed jego oczyma. Na północy, na tle czystego nieba, piętrzyły się pokryte śniegiem szczyty zewnętrznych Himalajów. Świeży powiew górskiego wiatru przyjemnie orzeźwiał po długiej, męczącej podróży równinami Indii. Ile to razy słyszał Tomek w szkole, że Himalaje tworzą

---

* . Dastur — nazwa datku, napiwku w Azji.

* . Salam (Salaam) — pozdrowienie używane przeważnie przez mahometan, odpowiednik "witaj", "bądź pozdrowiony".

* . Allach — bóg mahometański.

najwybitniejszą na ziemi granicę klimatyczną między południowo-azjatyckim obszarem monsunowym, a Środkową Azją o klimacie wybitnie lądowym! Tędy również, przez obszary Kaszmiru, wiódł jeden z odwiecznych szlaków komunikacyjnych z Indostanu do Tybetu, Pamiru i Chińskiego Turkiestanu. Tutaj, na tym szlaku, ścierały się najstarsze kultury.

Tomek błądził wzrokiem po ubielonych śniegiem łańcuchach górskich i jednocześnie rozmyślał, w jakim celu Smuga zapuścił się w głąb Azji. Czego lub kogo tam szukał? Czy miał zamiar zaproponować im udział w wyprawie, o której wspominał w swoim liście? Co go łączy z tajemniczym Panditem Davasarmanem?

Odruchowo spojrzał na siedzącego obok Hindusa. Pandit Davasarman nie zachwycał się majestatycznym widokiem gór. Zdawał się drzemać, opuściwszy głowę na piersi. Tomek wpatrywał się w niego badawczym wzrokiem. Hindus intrygował go coraz bardziej. Pułkownik Burton twierdził, iż maharadża Alwaru i Davasarman sprzyjają Anglikom. Trudno było w to powątpiewać; Davasarman cieszył się wielkim zaufaniem u władz angielskich, czego dał dowody, uzyskując, z pominięciem wszelkich formalności, zezwolenie na wjazd do Kaszmiru. Z drugiej jednak strony, jak dziwnie brzmiała w jego ustach opowieść o wielkim powstaniu indyjskim. Ponadto, czy nie pokpiwał z hinduskich bożków w rozmowie z mahometaninem Babukhanem?

"W każdym razie musi być niezwykłym człowiekiem, jeżeli Anglicy tak się z nim liczą" — pomyślał Tomek.

Prawdopodobnie pod wpływem wzroku Tomka Hindus podniósł głowę.

— Bywa pan chyba częstym gościem w tych stronach, skoro nie ciekawi pana tak malowniczy widok gór — odezwał się Tomek.

— Nieskazitelna biel śniegu zalegającego szczyty męczy mój wzrok. Podczas wędrówki po Tybecie nabawiłem się choroby oczu — odpowiedział Davasarman.

— Zapewne zwiedził pan kawał świata. Takie ekspedycje do niezbadanych krajów są bardzo niebezpieczne. Czy nie obawia się pan stale ryzykować własnego życia?

Hindus uśmiechnął się i odparł pytaniem na pytanie:

— Czy narażanie własnego życia podczas łowów na dzikie zwierzęta, nigdy nie budziło w panu zastrzeżeń? Wydaje mi się, że... lubicie swój niebezpieczny zawód!

— Oczywiście, proszę pana, chwytanie i oswajanie zwierząt daje nam wiele zadowolenia.

— A widzi pan! Ukończyłem studia i przeszedłem specjalne przeszkolenie, przygotowujące do badania nieznanych krajów Azji. Nigdy nie jestem pewny, czy powrócę szczęśliwie z wyprawy, lecz mimo to chętnie ryzykuję życie. Wzajemne poznanie się zbliża narody. Czy to nie jest warte kilku nędznych istnień ludzkich?

— Oczywiście, jeżeli tak spojrzymy na tę sprawę. Słyszałem szereg zajmujących opowieści o niezwykłych przygodach pundytów.

— Często nazywa się nas pundytami, aczkolwiek określenie to pochodzi od słowa "pandit", tytułu przysługującego bramińskim uczonym — wyjaśnił Davasarman.

— Czy mógłbym wiedzieć, do jakich krajów odbywał pan wyprawy? Pasjonuję się takimi opowieściami...

— Oczywiście, dla przyjaciół moje wyprawy nie są tajemnicą. Trzykrotnie odwiedzałem Tybet, przewędrowałem Turkiestan Chiński, dwukrotnie byłem w Pamirze, raz nad Jeziorem Bajkalskim i w Afganistanie. Nie wspominam o krajach obecnie należących już do Wielkiej Brytanii.

— To pan musiał wędrować przez całe lata! — zawołał zdumiony Tomek.

— Przeszło dziesięć lat strawiłem na przemierzaniu Azji — odparł Davasarman. — Przekroczyłem już czterdziestkę, lecz jak pan widzi, piesze wędrówki dobrze konserwują człowieka. Nie wyglądam na tyle, prawda?

— Oczywiście, że nie! Czy pan dawno zna pana Smugę?

— Poznaliśmy się na polowaniu w Bengalii. Stare to dzieje... Szikar Smuga jest nadzwyczaj dzielnym mężczyzną.

— O tak! To wspaniały człowiek! Od chwili, gdy poznałem pana Smugę, zawsze marzę, aby stać się takim jak on — impulsywnie powiedział Tomek.

— Ma pan wszelkie dane po temu — poważnie rzekł Davasarman. — Posiadacie obydwaj bardzo wiele podobnych cech. Moja siostra, Sita, pierwsza mi to powiedziała, zanim osobiście poznałem pana.

— Czy pan ma na myśli księżnę Alwaru?

— Tak, mogę pana zapewnić o jej przyjaźni. Była bardzo zmartwiona tym... przykrym incydentem z pierścieniem.

Tomek zamilkł speszony. Davasarman uśmiechnął się, po czym zapytał:

— Czy słyszał pan w Indiach o Crimach?

— Nawet czytałem o nich w jakiejś książce podróżniczej.

— Mamy sporo czasu, więc opowiem panu zabawną, autentyczną historię. Otóż zrządzeniem losu, dwóch bardzo zamożnych kupców należało do kasty Crimów. Oczywiście nie mieli jakiejkolwiek potrzeby dokonywania przestępstw, lecz nie chcąc naruszać kastowego rytuału, odwiedzali się raz do roku i podczas wizyty wzajemnie zabierali sobie nieznacznie jakiś przedmiot mniej więcej równej wartości. W ten sposób wilk był syty i owca cała. Pewnego razu do jednego z nich zawitał miły gość. Brat owego kupca ofiarował gościowi ładne pudełko do betelu. Podsunęło to myśl niefortunnemu Crimowi, iż chociaż raz w życiu mógłby ucieszyć swoją patronkę, boginię Bogiri Mahalakshmi, prawdziwym występkiem, dokonanym według zasad obowiązujących złodziejską kastę. Postanowił ukraść gościowi pudełko do betelu, a potem po złożeniu ofiary bogini, podarować mu jeszcze bardziej kosztowny upominek. Naprędce obmyślił plan działania. W nocy zakradł się do pokoju swego gościa. Na nieszczęście, ów Crim z przypadku, dokonując po raz pierwszy prawdziwej kradzieży, nie miał wprawy koniecznej w tym rzemiośle. Gość nie tylko się przebudził, lecz omal nie rozpoznał złodzieja. Sprawa nabrałaby nieprzyjemnego rozgłosu,

gdyby brat kupca, wiedziony jakimś przeczuciem, nie zdążył w porę interweniować. Gość domyśliwszy się prawdy, okazał wiele wyrozumiałości i szlachetności, czym zyskał sobie przyjaźń kupca oraz całej jego rodziny.

— Każdy człowiek choćby raz w życiu popełnia jakiś błąd. Och, przed nami jakaś zagroda, a przy niej konie! — powiedział Tomek, szczerze rad, iż nadarzyła się okazja do przerwania kłopotliwej rozmowy.

— Tutaj zmienimy zaprzęgi — wyjaśnił Davasarman.

Wymiana koni trwała zaledwie kilka minut, po czym tonga pomknęły dalej po wyboistym trakcie przez malownicze doliny oraz zalesione wysoczyzny. W miarę oddalania się od Rawalpindi, kraj stawał się coraz bardziej górzysty. Zbocza gór pokrywały lasy jodłowe i cedrowe*. Wokół rozrzuconych tu i tam gospodarstw rosły drzewa owocowe, a na polankach kwitły fiołki. Początkowo okolica przypominała włoskie zbocza Alp, im jednak tonga pięły się wyżej po zygzakowatej drodze, nabierała coraz bardziej surowego, dzikiego wyglądu.

Woźnice, zachęceni obietnicą sutego dasturu, stale przynaglali konie, mimo że szybka jazda po wąskiej, wyboistej, krętej drodze często groziła stoczeniem się w przepaść. Przed każdym zakrętem donośnie trąbili w małe rogi, aby ostrzec wozy dążące z przeciwnej strony. Wymijanie się pojazdów zakrawało na karkołomną sztukę, toteż Tomek co chwila oglądał się na wóz ojca i bosmana.

Wkrótce wjechali w dolinę rzeki Dżehlam*, wzdłuż której przebiegała granica pomiędzy Indiami Brytyjskimi i terytoriami należącymi do maharadży Kaszmiru. W wiosce Kohala Tomek przeżył nie lada wzruszenie, bowiem tonga w pełnym pędzie przejechały przez wysoki, chybotliwy most z pni drzewnych luźno przerzuconych nad głębią i opartych tylko końcami na belkach, wysuniętych nieco z obu brzegów koryta rzeki. Na woźnicach huśtający się most nie robił żadnego wrażenia. Zatrzymali powozy przed jednym z domków, opatrzonym szyldem z napisem w języku angielskim i perskim: "Komora Celna". Tutaj również musiano dobrze znać Pandita Davasarmana, ponieważ celnik po kilku ugrzecznionych "salamach" skwapliwie orzekł, że myśliwi oraz podróżnicy wolni są od opłacania cła.

Pandit Davasarman dopilnowywał przeprzęgania koni. Bosman zaraz skorzystał z okazji, aby użalić się przed przyjaciółmi:

— Nie spodziewałem się nigdy, że taki rozsądny człowiek jak Smuga będzie narażał nas na skręcenie karków na górskich wertepach — mówił rozprostowując swe olbrzymie, obolałe cielsko. — W dryndzie ciasno i niewygodnie, trzęsie tak okropnie, że najgorsza huśtawka na morzu podczas sztormu jest niewinną kołysanką, a w dodatku wszystko to odbywa się na głodniaka. Taka droga nadaje się tylko dla tutejszych pustelników uprawiających głodówkę.

— Mnie także kiszki marsza grają — wtrącił Tomek.

---

* . Cedr himalajski w języku sanskryckim "deva dara — święte drzewo" stanowi doskonały budulec. Rośnie również w Europie.

* . Dżehlam — Jhelum.

Wilmowski też był głodny, więc wszyscy razem z Davasarmanem wstąpili do oberży i posilili się naprędce, po czym w nieco lepszych humorach wsiedli do tonga.

Od Kohala droga ciągnęła się wzdłuż stromego lewego brzegu rzeki Dżehlam. Musieli zwolnić tempo jazdy. Miejscami wąski, wyboisty trakt wiódł po prostu przez przewieszki nad prostopadłymi ścianami skalnymi, to znów znikał w ciemnych tunelach wydrążonych w skałach. Często zagradzały drogę osuwiska ze zboczy górskich, pasażerowie wysiadali wtedy z tonga, a woźnice, narażeni w każdej chwili na stoczenie się w przepaść, przeprowadzali pojazdy przez zdradliwe miejsca. Po tak męczącym i denerwującym odcinku drogi zatrzymali się na nocny wypoczynek w Domel. Była tu dość liczna kolonia wojowniczych Sikhów, wyróżniających się nie tylko wyglądem zewnętrznym, lecz także i zwyczajami. Fizycznie byli znacznie lepiej rozwinięci niż Hindusi. Nosili długie włosy zwinięte w węzeł ukryty pod turbanem i okazałe brody. Na przegubach ich rąk połyskiwały metalowe bransoletki — widomy znak należenia do klasy wojowników. Kobiety Sikhów nie zakrywały swoich twarzy i w pełni zażywały swobody. Chodziły po wsi razem z mężczyznami i ciekawie przyglądały się białym podróżnikom.

Zaledwie świt rozproszył mroki nocy, tonga wyruszyły w dalszą drogę. W Uri podróżnicy napotkali mały garnizon sipajów, ubranych w jasnoczerwone pończochy, niebieskie tuniki zdobione czerwienią, żółte, luźne spodnie i czerwone turbany. Około południa byli już w pobliżu Baramoula, skąd resztę drogi do Szrinagaru, wynoszącą około pięćdziesięciu kilometrów, mieli przebyć statkiem po krętej rzece Dżehlam i jeziorze Wular.

Niebawem wydostali się z wąwozu, zwanego często "bramą Kaszmiru", na skraj rozległej kotliny śródgórskiej. Tutaj łańcuchy gór oddalały się od doliny rzeki, ustępując miejsca uprawnym polom. Porywista, hucząca dotąd wodospadami Dżehlam przemieniła się na tym odcinku w wolno płynący strumień. Zaraz za miastem rozciągał się szeroki, zielony, równinny płaskowyż, ginący w dali u stóp zamglonych, pokrytych wiecznym śniegiem i lodem gór.

Bosman, a nawet i Tomek, po karkołomnej jeździe powozem, odetchnęli z ulgą na widok doongah, szumnie zwanej przez Pandita Davasarmana "statkiem". Była to oryginalna łódź, podobna do chińskiej dżonki, której część środkową osłaniał dwuspadzisty dach z mat, podtrzymywany drągami. Była ona równocześnie domem mieszkalnym przewoźników, czyli tak zwanych hanjisów. Tworzyli oni w Kaszmirze oddzielną kastę i stanowili mahometańską sektę, niezbyt przestrzegającą przepisów Koranu*. Wraz z całą rodziną, a więc kobietami i dziećmi, zamieszkiwali w doongah. Łódź popychali długimi kijami, bądź też ciągnęli ją na linach idąc po brzegu.

Hanjisi, tak jak całe Baramoula wraz z jego mieszkańcami, byli brudni i niechlujni. Olbrzymi drab usłużnie sypał "salamami", lecz jednocześnie przebiegłym, chytrym spojrzeniem taksował białych sahibów. Podejrzany wygląd przewoźników nie mógł budzić

* . Koran — święta księga mahometan; zawiera zasady religii i przepisy, jak należy żyć i postępować.

zaufania, toteż Pandit Davasarman uspokoił swych towarzyszy, iż nie potrzebują niczego się obawiać, ponieważ według prawa obowiązującego w Kaszmirze, cały okręg odpowiadał za napad na cudzoziemca.

Szybko dobili targu, po czym rozlokowali się w obszernej łodzi. Hanjisi ochoczo ujęli w dłonie długie drągi; zaledwie odbili od brzegu, rozpoczęli chóralny śpiew. Biali sahibowie bez żalu żegnali brudną, zaniedbaną Baramoulę. Płynęli wzdłuż brzegów tonących w soczystej zieleni. W sadach obok drzew morwowych widać było grusze, czereśnie, jabłonie, drzewa orzechowe, brzoskwiniowe, kasztany i winną latorośl. W bujnej trawie ścielącej się pomiędzy drzewami rosły barwne lilie i irysy. Podziwiając tę uroczą krainę ogrodów i łąk odurzających zapachem kwiatów, dotarli na nocleg na wybrzeże jeziora Wular, a następnego dnia, wkrótce po świcie, znajdowali się już w pobliżu Szrinagaru, nad którym, na tle wspaniałej, dzikiej, skalnej panoramy, dominowały — szczyt Tacht-e-Sulejman[*], tak zwany Tron Salomona oraz Hari Parbat, więzienie i forteca wzniesione na wierzchołku kopulastej góry.

[*] . Tacht-e-Sulejman (z arabskiego) — nazwa po angielsku: Takht-i-Sulaiman.

W AZJATYCKIEJ WENECJI

Tomek siedział w doongah zakotwiczonej w jednym z licznych kanałów przecinających miasto. Łódź stała przy brzegu ukryta przed słońcem w cieniu zwisających nad wodą konarów drzew jaworowych. Tomek położył sobie na kolanach deskę i na tym zaimprowizowanym na poczekaniu stole rozpoczął pisanie listu:

Szrinagar w Kaszmirze, dnia 30 VI 1907 r.

Kochana, Miła Sally!

Niepokoisz się zapewne tak długim brakiem wiadomości ode mnie. W liście z Bombaju opisałem ci tragiczny wypadek, jaki nas spotkał zaraz po wylądowaniu w Indiach. Obiecałem wówczas napisać następny po spotkaniu Pana Smugi. Miało to nastąpić w Alwarze, dokąd polecił nam przyjechać nasz wspólny Przyjaciel. Niestety, Pana Smugi nie zastaliśmy w Alwarze i nawet nie ujrzeliśmy Go do tej pory, mimo że jadąc Jego tropami zawędrowaliśmy aż do Szrinagaru w Kaszmirze.

Muszę Ci wyjaśnić wszystko dokładniej, ponieważ cała sprawa przybiera coraz bardziej dziwny, a nawet tajemniczy obrót. Do Alwaru przybył po nas brat księżnej (wielkiej przyjaciółki Pana Smugi), Pandit Davasarman. Oznajmił nam, iż Pan Smuga czeka na nas w Szrinagarze. Spory to szmat drogi od Alwaru, lecz natychmiast ruszyliśmy na spotkanie. Na ostatniej stacji kolei żelaznej w kierunku północnym wysiedliśmy z pociągu w Rawalpindi, skąd pojechaliśmy dalej w tak zwanych tutaj "tonga", to jest lekkich powozikach. Pan Bosman narzekał cały czas, ponieważ trakt łączący Rawalpindi z Szrinagarem został ukończony siedemset lat temu i obecnie stanowi wyboistą, niebezpieczną górską drogę. Wiesz przecież, jak Bosman bardzo nie lubi gór!

Na szczęście uniknęliśmy stoczenia się w przepaść i dotarliśmy do Szrinagaru — prawdziwej azjatyckiej Wenecji. Gdyby nie troska o Pana Smugę, byłbym zachwycony niezwykłym pięknem okolicy. Niestety znów spotkał nas zawód. Zamiast Pana Smugi zastaliśmy tutaj jedynie służącego Pandita Davasarmana, który oznajmił, że Pan Smuga musiał w pilnej sprawie wyjechać do Leh i tam będzie na nas czekał. Trudno byłoby mi

opisać nasze rozczarowanie i niepokój, a szczególnie gniew Pana Bosmana. Leh bowiem znajduje się w Ladakhu, zwanym również Małym Tybetem. Odległy jest od Szrinagaru o około dwa tygodnie konnej jazdy. Pan Bosman nawymyślał Panditowi Davasarmanowi i zagroził, że nie chciałby znaleźć się w Jego skórze, gdyby przypadkiem Pan Smuga okazał się już tylko duchem, a nie żywym człowiekiem.

Pandit Davasarman z niezwykłym spokojem przyjął wybuch Bosmana. Ludzie Wschodu są fatalistami; uważają, że bez woli Boga włos z głowy im spaść nie może. Toteż niewzruszenie oświadczył, iż jedynie Pan Smuga może wyjawić nam, w jakim celu ściągnął nas do Azji Środkowej. W takiej sytuacji jesteśmy zmuszeni ruszyć dalej w drogę. Naprawdę nie wiem, co mam o tym myśleć. Pandit Davasarman jest niezwykle zamożnym człowiekiem, a ponadto dobrze znanym tutaj badaczem krajów Azji. W jakim celu miałby nas wprowadzać w błąd lub źle życzyć Panu Smudze?

Fakty są jednak faktami i, niestety, musieliśmy pogodzić się z rzeczywistością. Toteż postanowiliśmy jak najszybciej wyruszyć do Leh. Niestety już drugi dzień tkwimy w Szrinagarze i czekamy na przybycie naszych bagaży. Miały być wysłane za nami wozem pocztowym. Jak do tej pory, jeszcze nie nadeszły. Pandit Davasarman poinformował nas, że następny odcinek drogi wiedzie przez wyłącznie górską krainę. Doradził uzupełnić ekwipunek, a przede wszystkim nabyć praktyczne na taką podróż skórą kryte kuferki, tak zwane "yakdan". Służą one do przewożenia osobistych rzeczy i jednocześnie w obozowisku z powodzeniem zastępują łóżko. Yakdan posiada z boku żelazne uchwyty. Jeżeli więc rozstawi się dwa takie kuferki i w otwory uchwytów zamocuje się końce kijów z przymocowanym do nich grubym płótnem, to tworzą wygodne w tych surowych warunkach posłanie. Ponadto jeden yakdan jest zwyczajowo uznanym ładunkiem dla jednego kulisa, a dwa stanowią ładunek dla jaka, konia lub muła. Posiadanie takich powszechnie tu używanych kuferków znacznie ułatwia podróż i oszczędza niepotrzebnych targów przy wynajmowaniu sił transportowych. Biorąc to pod uwagę, ojciec i Pan Bosman udali się z Panditem Davasarmanem do centrum miasta w celu poczynienia zakupów. Musimy również zaopatrzyć się w ciepłe kurtki z owczej skóry oraz wysokie, jarkendzkie buty filcowe, ponieważ one tylko chronią dobrze w czasie burz śnieżnych w górach.

Na mnie osobiście Pandit Davasarman sprawia bardzo korzystne wrażenie. Mam nadzieję, że wcześniej czy później odnajdziemy Pana Smugę, a wtedy skończą się te zmartwienia. Jak do tej pory nie wiemy, w jakim celu ściągnął nas w głąb Azji i co zamierza czynić. Bo przecież nie może tu chodzić o zwykłą wyprawę krajoznawczą. Gdy tylko dowiem się prawdy, zaraz poinformuję Cię o wszystkim. Oczywiście nie kłopocz się, gdybym nie mógł zbyt szybko napisać. W centralnej Azji nie ma kolei. Listy przenoszone są przez gońców, uzbrojonych w dzidy obwieszone muszelkami i dzwonkami, którymi pobrzękują dla odstraszenia zwierząt podczas wędrówek przez niezamieszkałe okolice. Łatwo domyślisz się,

że ten sposób przesyłania korespondencji nie jest zbyt pewny, chociaż podobno dość rzadko zdarzają się napady na samotnych listonoszy.

Jak już zaznaczyłem, ojciec z bosmanem robią zakupy, a ja pozostałem w częściowo krytej łodzi, zwanej "doongah" i piszę do Ciebie. Muszę jeszcze wytłumaczyć Ci, dlaczego zamieszkaliśmy w łodzi zamiast w hotelu. Otóż w Kaszmirze Europejczykom nie wolno posiadać własności ziemskiej. Maharadża wprawdzie przeznaczył kilka willi do dyspozycji Europejczyków, lecz w czasie letniego skwaru, panującego na nizinach Indii, Kaszmir roi się od angielskich urzędników. Wszyscy nie mogą pomieścić się w domach i dlatego wiele rodzin wynajmuje doongah, na których mieszka się zupełnie znośnie. Taki już tu panuje zwyczaj. Nie tracimy na tym wiele, ponieważ mieszkając pod gołym niebem mamy doskonałą okazję do podziwiania malowniczych widoków. W porównaniu z upalnymi nizinami indyjskimi i górami skutymi wiecznym lodem, kaszmirska dolina stanowi prawdziwy raj, a Szrinagar azjatycką Wenecję. Do miasta najdogodniej wjeżdża się jedną z licznych arterii wodnych. Rzeki i jeziora połączone są sztucznymi kanałami, po których pływają shikarah, rodzaj chyżych gondoli wyścielonych poduszkami. Na rzece pełno najrozmaitszych łodzi oraz barek przewożących towary, a doongah we dnie i w nocy wożą pasażerów. Z nadbrzeża wiodą ku rzece szerokie schody. Kobiety czerpią wodę wiadrami, wyznawcy braminizmu dokonują obrzędowych kąpieli, a muzułmanie zachowują się tak hałaśliwie, że aż uszy puchną.

Samo miasto składa się z wąskich uliczek, zabudowanych wielopiętrowymi domami, przeważnie zdobionymi sztukateriami. Najdziwniejsze są dachy domostw. Na większości z nich rośnie trawa i kwiaty. Nawet dachy hinduskich świątyń oraz meczetów muzułmańskich pokryte są warstwą ziemi, na której bujnie krzewi się roślinność. Nie masz pojęcia, jaki to egzotyczny, niezapomniany widok. Spotyka się tu resztki ruin dawnych pałaców jeszcze sprzed muzułmańskiego najazdu. Nad miastem, niby olbrzymi pomnik, wznosi się góra, zwana Tronem Salomona, uwieńczona starodawną świątynią sprzed około dwóch tysięcy lat. Druga natomiast budowla dominująca nad Szrinagarem budzi bardzo przykre uczucia. Jest to fort i więzienie Hari Parbat.

Ogrody rosnące na dachach ponad ulicami oraz gondole pływające po kanałach nie są jedynymi atrakcjami miasta. Największe wrażenie sprawiają pływające ogrody na jeziorze Dal. Wyobraź sobie duże jezioro, a na nim setki sztucznych wysp i wysepek. Dawniej okolica ta była miejscem wypoczynku i zabaw dla azjatyckich władców, dzisiaj natomiast słynne w świecie pływające ogrody używane są przez wieśniaków do hodowania warzyw. Ciekawy jest sposób, w jaki one powstają. Otóż najpierw wycina się rośliny wodne na głębokości około trzech stóp pod powierzchnią wody, a potem wplątuje się w ich łodygi sitowie oraz trzcinę. Na utworzoną w ten sposób matę nakłada się cienką warstwę błota, co w końcu tworzy jakby podwodną tratwę. Dwa przebite przez nią i wetknięte w dno jeziora bambusowe kije utrzymują całość w jednym miejscu. Po upływie kilku miesięcy pływająca tratwa przemienia

się w prawdziwy ogród warzywny, w którym rosną arbuzy, ogórki, pomidory itp. Kaszmirczycy w większości są mahometanami, lecz rządzą tutaj hinduiści. Z tego względu muzułmanie muszą przestrzegać obrządków religijnych kasty rządzącej. Dawniej za zabicie krowy, czczonej przez hinduistów, groziła kara śmierci, obecnie otrzymuje się wyrok dożywotniego więzienia. Groźne mury Hari Parbat są ostrzeżeniem dla mahometan.

Nie jestem pewny, czy mój opis właściwie odzwierciedla oryginalność i piękno Kaszmiru. Dodam jeszcze, że Europejczykowi trudno przecisnąć się przez ludną i gwarną ulicę. Handlarze oraz rzemieślnicy natarczywie wpychają każdemu do rąk swe towary bądź proponują usługi. Nie można się od nich opędzić. Kaszmirczycy wykazują zabawne, a nawet śmieszne u tak okazałych fizycznie ludzi skłonności. Śmiech, płacz i czcza gadanina miesza się u nich przysłowiowo w jednej torbie. Mahometanie, dla odróżnienia się od Hindusów, usiłują wszystko robić odwrotnie. A więc inaczej zawiązują turbany bądź zapinają chałaty, na konia wsiadają z lewej strony, tak jak my, podczas gdy Hindusi czynią to z prawej. W rzeczywistości jednak różnice te są bardzo powierzchowne. Muszę jeszcze zaspokoić Twoją ciekawość, co do stroju kobiet. Otóż noszą one luźne szaty, niby nocne koszule, przeważnie w jasnych kolorach. Głowy spowijają w lekkie welony. Lubują się we wszelkiego rodzaju ozdobach, noszą je w uszach, na szyjach, na rękach i nogach. Muzułmanki ubierają się na czarno i chodzą szczelnie zawoalowane.

Muszę zakończyć list, ponieważ już i tak stanowi kilkugodzinną lekturę. Co porabiasz po powrocie ze szkoły do domu? Czy dobrze się bawisz? Czy Twój Kuzyn często przychodzi?

W następnym liście opiszę polowanie na tygrysy w Alwarze. Mam nadzieję, iż niebawem spotkamy Pana Smugę, a wtedy wszyscy będziemy lepszej myśli. Czekaj cierpliwie na wiadomość ode mnie i bądź spokojna o nas, nawet gdyby list się opóźniał. Serdecznie ściskam Cię, Kochana Sally, i przesyłam pozdrowienia dla Twego Stryjka.

Tomek

P. S.

Po polowaniu na tygrysy otrzymałem od księżnej Alwaru piękny pierścień z brylantem. Przeznaczyłem go dla Ciebie jako upominek z Indii. W Szrinagarze kupiłem kilka misternie wykonanych bransolet. Jedna z nich ma przymocowane srebrne dzwoneczki.

Twój Tomek.

Tomek zaklejał właśnie kopertę listu, gdy na brzegu w pobliżu doongah zatrzymał się dwukołowy wóz załadowany pakunkami, eskortowany przez jego towarzyszy.

— Hej, brachu, pomóż nam wyładować te wszystkie graty! — zawołał bosman machając ręką do przyjaciela.

Tomek wybiegł na wybrzeże. Zdumiony spoglądał na ogromną stertę pakunków, jakby nie dowierzał własnym oczom.

— Czy mamy to wszystko zabrać w drogę? — zapytał.

— A jakże! Czeka nas około dwóch tygodni konnej jazdy do Leh, a na trakcie dotąd nie pobudowano sklepików — odparł bosman. — Bierzemy nawet zapas paszy dla koni.

— Tomek jeszcze nie wie, że posiadamy dziesięć wierzchowców — wtrącił Wilmowski.

— To już nawet wynajęliście konie? — dziwił się Tomek. — Przecież nasze bagaże nie nadeszły jeszcze z Rawalpindi!

— Właśnie nadeszły, nie dalej jak przed godziną. Zaraz baczniej nadstawisz ucha, gdy usłyszysz, że mamy szkapy, chociaż ich wcale nie kupiliśmy. Zostawił je tutaj dla nas szanowny pan Smuga, kapujesz teraz? — powiedział bosman.

Tomek pomedytował chwilę, po czym zapytał:

— Kto i kiedy powiedział wam o tych wierzchowcach?

— A któż mógłby powiedzieć, jak nie ten milczek hinduski? — burknął bosman.

— Jeżeli wiedział o pozostawionych tutaj dla nas koniach, to musiał również wiedzieć, iż w Szrinagarze nie zastaniemy pana Smugi. Po co wobec tego wprowadzał nas w błąd?

— Pandit Davasarman twierdzi, że wiadomość o zakupieniu koni przez Smugę przywiózł jego służący, który zakomunikował mu o tym, gdy chciał wynająć wierzchowce do Leh — wyjaśnił Wilmowski.

— Dlaczego nie powiedział tego od razu wczoraj? — indagował Tomek.

— No, mój drogi, jak chyba zauważyłeś, oni obydwaj nie są zbyt rozmowni — odparł ojciec.

— Wygląda, jakby pan Smuga planował jakąś wspólną wyprawę...

— I mnie również tak się zaczyna wydawać. Czy nie świadczy o tym obecność w naszym gronie hinduskiego pundyty? To wymarzony przewodnik na wyprawę po terenach Azji — powiedział Wilmowski.

— Święta prawda! Jestem już pewny, że tu święci się coś niedobrego — dodał marynarz. — Skąd wszakże możemy mieć pewność, że te dwa milczki mówią prawdę? Przecież to oni powiedzieli nam o koniach zostawionych przez Smugę.

— Musimy zachować pewną ostrożność, dopóki nie odnajdziemy naszego przyjaciela — rzekł Wilmowski. — Teraz wyładujmy sprawunki, bo tylko patrzeć Pandita Davasarmana z bagażami z Rawalpindi.

Wkrótce sterta paczek leżała na brzegu tuż przy doongah obok ośmiu nowych Yakdan. Oprócz kuferków Wilmowski kupił cztery kitla, to jest kosze do zabrania najniezbędniejszych w drodze prowiantów oraz trzy brezentowe namioty. Wśród przywiezionych na wozie zapasów znajdowały się: herbata, cukier, mąka, ryż, zupy w proszku, marmolada, tłuszcz, a także świece i spirytus do maszynki do gotowania. Ponadto każdy z trzech podróżników otrzymał futrzaną kurtkę oraz czapkę i wysokie filcowe buty.

Niebawem zjawił się Pandit Davasarman z bagażami przywiezionymi z poczty. Wspólnie zabrali się do ładowania yakdan i kitla. Udadżalaka, służący Davasarmana, wykazał wiele

wprawy w przygotowaniach do drogi. Od razu można było poznać, iż to dla niego nie pierwszyzna. Zaledwie ukończyli pakowanie, Pandit Davasarman odezwał się:

— Jeżeli sahibowie sobie życzą, możemy jeszcze dzisiaj wyruszyć łodzią do Ganderbalu, gdzie oczekują na nas konie. Warto się pospieszyć, w nocy spadł w górach śnieg. Droga nie będzie łatwa, a mamy do przebycia dziewiętnaście marszów.

— Dobrze, ruszajmy — zdecydował Wilmowski.

— Proszę pana, przed wyjazdem ze Szrinagaru chciałbym wysłać list do Europy. Czy będziemy przechodzili w pobliżu poczty? — zwrócił się Tomek do Davasarmana.

— Zajmę się tym, proszę mi go tylko dać, a niezwłocznie będzie wysłany do Rawalpindi — odpowiedział Davasarman.

Tomek wydobył z kieszeni list, a Davasarman natychmiast zawołał:

— Udadżalaka! Zanieś zaraz list sahiba do biura Babukhana i zapowiedz, że mają go wysłać jeszcze dzisiejszą pocztą.

— Tak jest, Pandicie! — służbiście powiedział Udadżalaka, stając przed Davasarmanem wyprężony jak struna.

— Spiesz się, za pół godziny odjeżdżamy.

Udadżalaka oddalał się sprężystym krokiem. Bosman przyglądając się mu z upodobaniem, rzekł:

— Szanowny pan ma dobrego służącego. Wymusztrowany niczym żołnierz.

Mówiąc to porozumiewawczo mrugnął do przyjaciół, ponieważ podejrzewał, iż Davasarman umyślnie wprowadził ich w błąd, przedstawiając Udadżalakę jako służącego. Davasarman wszakże nie okazał zmieszania i spokojnie wyjaśnił:

— Udadżalaka jest sierżantem pułku strzelców indyjskich. Towarzyszył mi w większości wypraw, podczas których pełnił jednocześnie funkcję służącego. To pewny i odważny człowiek.

— Dlaczego nie nosi munduru, skoro jest wojskowym? — zapytał Tomek.

— Obcy ubiór wojskowy zwraca na siebie uwagę, a tego należy unikać podczas nieoficjalnych wypraw badawczych. Proponowałbym przygotować się teraz do odjazdu. Oto są już nasze doongah.

MROŹNE TCHNIENIE TYBETU

Dość wygodny przejazd łodziami ze Szrinagaru do wsi Genderbal, ukrytej w cieniu platanów-olbrzymów, nasi podróżnicy mogli traktować jako przyjemny wypoczynek w porównaniu z oczekującą ich konną jazdą.

W Ganderbalu zatrzymali się na nocleg w karawanseraju[*], gdzie zastali wierzchowce, jakoby pozostawione przez Smugę. Zaraz po przybyciu do oberży Pandit Davasarman oświadczył, że muszą wynająć kilka koniuchów do prowadzenia jucznych koni oraz służących do osobistych posług. Przeciwko temu ostatniemu bosman energicznie zaprotestował.

— Ejże, szanowny panie, po jakie licho potrzebna nam służba? — mówił oburzony. — Koniuchy do doglądania szkap, zgoda, i co najwyżej jakiś kucharczyk do pitraszenia przekąsek. Resztę zawsze robimy sami. Prócz chłopaka okrętowego, który i tak nie umiał dobrze wyczyścić do glansu butów, nigdy nie miałem służby osobistej.

— Szlachetny sahibie, widzę że po raz pierwszy znajdujesz się w kraju, gdzie obowiązują odmienne zwyczaje — odparł Pandit Davasarman nie zmieszany protestem. — Tutaj biali nie wykonują pospolitych prac. Stracilibyśmy szacunek krajowców, gdybyśmy postępowali inaczej. Podczas organizowania karawany zazwyczaj najmuje się: babu — tłumacza, szuprassi — gońca, kucharza, lokaja, czyściciela butów, koniuchów i tragarzy, a niektórzy biali biorą nawet: fryzjera, szewca, krawca itp.

— To może również najęlibyśmy kogoś do nabijania mojej fajki tytoniem? — zakpił bosman.

— Nikt by się temu nie dziwił, co najwyżej patrzono by na pana z większym szacunkiem — odpalił Davasarman.

— Potrafię i bez tego nauczyć każdego szacunku dla siebie — mruknął bosman.

---

[*] . Karawanseraj — w Indiach i krajach tatarskich miejsce do zakwaterowania podróżnych. Seraj w języku perskim oznacza pałac sułtana.

— Najlepiej pozostawmy panu Panditowi Davasarmanowi wolną rękę w sprawie zorganizowania karawany — wtrącił Wilmowski. — Prosimy jednak, aby nie przesadzał pan z tą osobistą służbą.

— Moim zdaniem musimy wynająć koniuchów, kucharza, trzech służących do prac obozowych, babu i szuprassi — stanowczo rzekł Davasarman. — Zaraz zawołam lumbadara* i dokładnie omówię z nim całą sprawę.

— Bardzo prosimy, niech się pan tym zajmie — zakończył Wilmowski rozmowę.

Tego dnia wszyscy wcześnie udali się na spoczynek, lecz następnego ranka byli ubrani do drogi, zanim słońce zdążyło rozproszyć nocne mroki. Kończyli śniadanie, gdy na kamienistym podwórzu karawanseraju rozległ się stukot końskich kopyt.

— Ciekaw jestem, dlaczego Pandit Davasarman i sierżant Udadżalaka nie jedzą razem z nami śniadania — zagadnął Tomek. — Czyżby obrazili się na nas?

— Nie dziwiłbym się im, bo "kochany" bosman często nie liczy się ze słowami i zbyt skory jest do zwady — powiedział Wilmowski. — Wczorajsza rozmowa na temat służby była nieco za ostra.

— Na nerwy mi działa ten książęcy krewniak. Każdy człowiek w miarę możności powinien sam siebie obsługiwać, a nie innym, tak samo jak i on dobrym ludziom, kazać sobie, za przeproszeniem, dłubać w nosie. U moich staruszków, w domu na Powiślu, żadnej służby nie było. Obecny tutaj pan bosman nosił wodę w konwi i korona nie spadła mu z głowy — bronił się marynarz. — Po co mamy niepotrzebnie wydawać ciężko zarobione pieniądze?

— Dobrze pan mówi, panie bosmanie, ale nic na to nie możemy poradzić. Co kraj, to inny obyczaj, więc lepiej niech pan nie spogląda zezem na Pandita Davasarmana, bo z tego nic dobrego dla nas nie wyjdzie — wtrącił Tomek.

— Pal go sęk. Zamknę jadaczkę na kłódkę, a wy go jakoś ułagodzicie — pojednawczo rzekł bosman.

W tej chwili do izby wszedł Udadżalaka. Stanął na baczność i zameldował:

— Zgłosił się nasz nowy babu, czy szlachetni sahibowie zechcą z nim porozmawiać?

— Spocznij, sierżancie, spocznij, jesteśmy zwykłymi cywilami, nie rób więc sobie zbytnich ceregieli — odezwał się bosman, jakby już zapomniał, że przyrzekł nie mieszać się do rozmów z Hindusami.

Wilmowski trącił go pod stołem. Udadżalaka uśmiechnął się i odparł:

— Tak jest, szlachetny sahibie, dziękuję! Czy mogę wprowadzić babu?

— A gdzież to podziewa się Pandit Davasarman? On dowodzi naszą karawaną, wobec czego babu powinien zwrócić się do niego — powiedział Wilmowski.

— Pandit polecił mi przedstawić nowego babu sahibom — padła odpowiedź.

---

* . Lumbadar — przedstawiciel mieszkańców wioski, który pośredniczy w wynajmowaniu tragarzy, zakupie żywności i pobiera opłaty.

Wilmowski i Tomek z wyrzutem spojrzeli na bosmana. On również zrozumiał, iż Davasarman jest urażony.

— Wobec tego niech wejdzie ten babu — zgodził się Wilmowski.

Udadżalaka uchylił drzwi i przyzwalająco skinął głową. Do izby wszedł nowo przyjęty tłumacz i przewodnik. Był to niezbyt wysoki mężczyzna, odziany w gruby wojłokowy płaszcz, przepasany skórzanym pasem, nabijanym srebrnymi guzami. Obuwie miał filcowe. Spod pilśniowej czapy, z podwiniętymi do góry dwiema klapkami na uszy, opadały na ramiona dwa czarne warkoczyki, z wplecionymi w nie czerwonymi wstążeczkami. Za pasem zatknięty miał kukri, to jest krótki, zakrzywiony nóż o szerokim ostrzu, używany przez Gurkhów.

— Jestem nowym babu, sahibie — cicho rzekł przybysz.

Podróżnicy spoglądali na niego zdumieni, albowiem wydawało się im, iż znają już skądś tę twarz i ten głos. Naraz Tomek podniósł się od stołu, po czym szybko podszedł do babu. Zajrzał mu prosto w twarz, a po chwili cofnął się jeszcze bardziej zdziwiony. — Domniemany babu roześmiał się, zadowolony z efektu, jaki sprawiła na sahibach jego osoba.

— Nie mylisz się, sahibie, to ja jestem od dzisiaj waszym babu — rzekł wesoło.

— Pandit Davasarman! — jednocześnie krzyknęli Wilmowski i bosman.

— Cóż ma oznaczać ta maskarada? — śmiejąc się, pytał Wilmowski.

— Niech cię wieloryb połknie! Nigdy bym nie przypuszczał, że ubiór może tak zmienić człowieka — dziwił się bosman. — Głos cię tylko zdradził, Davasarmanie.

— Od dzisiaj jestem babu, a Udadżalaka szuprassi. Od samego początku rezerwowałem dla nas te funkcje, ponieważ każdy od razu zwracałby uwagę na Hindusów podróżujących z białymi sahibami. Tymczasem wydaje mi się, że im mniej będą o nas ludzie mówili, tym lepiej na tym wyjdziemy. W Azji wszelkie wiadomości przebiegają przez kraje lotem błyskawicy, mimo iż są podawane tylko z ust do ust.

— Dlaczego wczoraj nie powiedziałeś nam o swoim zamiarze? — dopytywał się Wilmowski.

— Chciałem sprawdzić, czy poznacie mnie w tym przebraniu. Jednocześnie proszę, aby od tej chwili sahibowie nazywali mnie po prostu: babu. A teraz ruszajmy w drogę!

— Komu w drogę, temu czas — rzucił przysłowie bosman, powstając od stołu.

Niebawem znaleźli się przed domem na podwórzu karawanseraju. Oprócz pięciu wierzchowców oraz pięciu jucznych koni zastali tam siedzących na mułach trzech koniuchów, trzech służących i kucharza. Trzej łowcy, babu oraz Udadżalaka przytroczyli karabiny do łęków siodeł, po czym bez zwłoki dosiedli wierzchowców. Kopyta końskie głucho zadudniły na bruku podwórza. Świtało.

Zaraz za wsią przejechali przez most na drugą stronę burzliwego, bryzgającego białą pianą Indu*. Dość wygodny dotąd trakt przemienił się teraz w ścieżki wijące się wzdłuż brzegu rzeki na pięć długich etapów.

Podróżnicy brnęli po starych zwałach lawinowych pełnych zdradliwych szczelin, to znów zjeżdżali w lesiste doliny głośne rozkrzyczanym ptactwem, a potem znów wspinali się na pokryty żwirem i kamieniami szlak. Niewiele rozmawiali podczas tej męczącej jazdy — rzeka huczała głusząc słowa.

Na noc rozbijali namioty w małych dolinkach. Zmęczeni, spali mocno, nie zwracając nawet uwagi na możliwość niedźwiedzich odwiedzin. W ciągu tych czterech dni minęli leżące przy trakcie stacje: Kangan oraz Goond, po czym przejechali przez Gagangir i Sonamerg, czyli tak zwane "żółte łąki". Przyjęły one nazwę od żółtych krokusów pokrywających kwieciem podgórskie, pobliskie polany. Z dala w górach iskrzyła się biel śniegów, a mroźny wiatr smagający gwałtownymi porywami zmusił podróżników do nałożenia futrzanego odzienia i wojłoków.

Popasali we wsi Baltal w rozległej kotlinie, zamkniętej przez potężne przerwy skalne pokryte lodem. Tu rozkoszowali się ciszą, jaka ogarnęła ich po opuszczeniu doliny Indu, wypełnionej hukiem wartko płynącej rzeki. Osada, szumnie zwana wsią, składała się zaledwie z trzech nędznych chat. Nie opodal nich rozbili swe namioty. Przez kilka godzin wypoczywali przy ognisku, mimo duszącego i gryzącego dymu, jaki dawały karłowate brzozy służące za opał.

Wieś Baltal była graniczną osadą w Kaszmirze. Wprost na wschodzie piętrzyło się ku niebu pasmo zachodnich Himalajów, najwyższych gór świata. Przed wyruszeniem w drogę babu zaopatrzył białych sahibów w oryginalne okulary. Miały one drewniane oprawki, w których w miejsce szkieł zwisały końskie włosy. Okulary te miały chronić oczy przed porażeniem przez biel śnieżną zalegającą góry, a powodującą często tak zwaną "białą ślepotę".

Od Baltalu droga wciąż pięła się w górę, aż do Zoji-la, stanowiącej jedyne wyraźne obniżenie w wyniosłym paśmie zachodnich Himalajów*. Dojście do przełęczy nie było ani łatwe, ani bezpieczne. Ścieżka prowadziła urwistymi zboczami często nad przepaściami. Każdy nieopatrzny krok człowieka, czy zwierzęcia groził stoczeniem się w otchłań.

Pierwszy jechał babu, za nim Udadżalaka, bosman, Tomek, Wilmowski i reszta ludzi z jucznymi końmi. Bosman pobladł, bowiem jego wierzchowiec, zamiast kroczyć środkiem wąziutkiej ścieżyny, zaczął piąć się pod górę tuż nad samym skrajem przepaści. Marynarz kilkakrotnie usiłował zmusić konia cuglami do zaprzestania karkołomnych popisów, lecz wierzchowiec uporczywie wracał na skraj ścieżki.

---

* . Ind lub Indus — źródła tej rzeki są w Tybecie, górny bieg w Kaszmirze, a środkowy i dolny w Pakistanie Zachodnim.

* . Zoji-la znajduje się na wysokości 3529 m. "La" znaczy w języku tybetańskim "przełęcz", a więc jest to "przełęcz Zoji".

— Ot, durne bydlę, zupełnie mnie nie słucha — wybuchnął zdenerwowany. — Chce zlecieć w przepaść razem ze mną!

— Co się stało, panie bosmanie? — zawołał zaniepokojony Tomek.

— Nie mogę nakłonić nędznej szkapy, aby zeszła więcej na środek tej piekielnej ścieżki — odparł wzburzony bosman. — Wlecze się z uporem żwirowatym brzegiem. Zlecimy razem, jak amen w pacierzu!

Udadżalaka jadący przed bosmanem odwrócił głowę i rzekł:

— Posłuchaj mojej rady, szlachetny sahibie. Puść wolno wodze i zdaj się na instynkt konia, albowiem każde zwierzę najchętniej kroczy po tej części złej drogi, którą już przed nim przeszły bezpiecznie inne zwierzęta. Tędy najczęściej idą juczne karawany. Ładunek na grzbiecie konia grozi w każdej chwili zaczepieniem o skalną ścianę i spadnięciem w przepaść. Toteż doświadczone w marszach górskich juczne zwierzęta kroczą wydeptanym skrajem ścieżki, odsuwając się jak najdalej od zdradliwego zbocza. Nasze konie instynktownie wybierają drogę swych poprzedników i najlepiej jest w takim przypadku pozostawić im swobodę. Przyjrzyj się, sahibie, wszystkie nasze wierzchowce czynią to samo.

— To mnie przekonuje Udadżalako. Cóż jednak mogę na to poradzić, że nie lubię patrzeć w przepaść? Sami diabli to nadali — odpowiedział bosman, dodając soczyście, marynarskie słówko.

— Mam pomysł, bosmanie! — odezwał się Tomek. — Proszę zamknąć oczy. Wtedy nie będzie pan widział przepaści.

— Faktycznie niezła myśl, ale co się stanie, jeśli przypadkiem zdrzemnę się i zlecę z siodła? Pal sęk, w szczenięcym wieku przeszedłem odrę, to i teraz jakoś chyba przejdę przez te górki.

— Brawo, bosmanie! Jeszcze gotów pan polubić takie wędrówki!

— Jeśli takiego uszczypliwego pędraka jak ty polubiłem, to kto wie, może przekonam się kiedyś i do gór. Chociaż, jak do tej pory, nie zanosi się na to.

Ścieżka tymczasem pięła się coraz wyżej i wyżej. W cieniu skał panowało dokuczliwe zimno, lecz gdy szlak wynurzał się na otwartą przestrzeń, słońce mocno przygrzewało. Po kilkugodzinnej uciążliwej jeździe, ku niezmiernej uldze bosmana, osiągnęli wreszcie przełęcz. Była to słynna Zoji-la, jedno ze słynnych przejść na północ. Tutaj babu zarządził krótki postój, aby zmęczone wierzchowce mogły nieco odetchnąć.

Z języka lodowcowego, odległego zaledwie o jakieś trzysta metrów, wypływał wartki strumień, który tu na przełęczy tracił pęd i nawet tworzył zakola, by nieco dalej zmienić się znów w spieniony, spadający po skalnych progach potok. Podczas zimowych zawiei, trwających tutaj szereg miesięcy, przełęcz była niedostępna i wręcz niebezpieczna dla ludzi i zwierząt. Świadczyły o tym bielejące w słońcu szkielety mułów oraz cmentarzyk ułożony z kamiennych płyt. Porywisty wiatr, wiejący bez przerwy, uprzykrzał wypoczynek.

— Niczego sobie wycieczka! W mieście morderstwo, a w górach szkielety bydląt i cmentarz witają nas na początku wędrówki — mruknął marynarz.

— Nie utyskuj, bosmanie, lepiej obejrzyj się za siebie — zawołał Wilmowski.

Na południowym zachodzie widać stąd było cichą zieloną dolinę Kaszmiru. Bosman uśmiechnął się, wspominając odurzający zapach kwiatów, gondole pływające po kanałach oraz śpiew pięknych dziewcząt. Markotnie spojrzał z kolei ku północy, gdzie rozciągała się nieprzystępna, wyżynna pustynia.

Z przełęczy Zoji-la można było zaobserwować zasadniczy kontrast między krainami południa i północy. Zachodnie pasmo Himalajów stanowi wyraźną granicę pomiędzy roślinnością Kaszmiru i Ladakhu oraz pomiędzy Indiami i Wyżyną Tybetańską. Dzieli ono Kaszmir na dwie części. W każdej z nich panują inne klimaty i zamieszkują odmienne ludy, o różnych kulturach. Na południe od gór w malowniczych, dobrze nawodnionych dolinach mieszkają Ariowie — hinduiści i mahometanie. Na północ od nich rozpościera się niegościnna pustynna wyżyna — kraina Mongołów — buddystów. Mimo iż Ladakh politycznie należy do Kaszmiru, faktycznie stanowi nierozerwalną geograficzną i kulturalną jedność z chińskim Tybetem. Ladakh to przedsionek Tybetu.

Tu za Zoji-la podróżnicy przeżywali bardzo denerwujące chwile. Oto zza załomów skał wyłoniła się przed nimi karawana zdążająca w przeciwnym kierunku. Rozległy się pospieszne okrzyki poganiaczy zwierząt. Obydwie grupy przystanęły natychmiast. Poganiacze karawany pnącej się na siodło przełęczy wcisnęli się wraz z końmi w małe skalne nisze, aby umożliwić przejście schodzącym z góry. Dopiero wtedy Pandit Davasarman dał swoim znak do marszu.

Czoła podróżników, a nawet i poganiaczy przywykłych do takich wędrówek, zrosiły się potem przy wymijaniu karawany stojącej pod skalną ścianą. Konie ocierały się o siebie bokami, stękały przerażone, z trudem utrzymywały równowagę na krawędzi ścieżki. Bosman byłby naprawdę przymknął oczy, lecz "salamy" zmuszały go do wymiany uprzejmych pozdrowień z obcymi wędrowcami. Byli to mahometańscy pielgrzymi ze Wschodniego Turkiestanu, którzy z rodzinnego Jarkendu wyruszyli do Mekki* — świętego miasta mahometan. Podróż ich miała trwać w obydwie strony około jedenastu miesięcy, jechali więc ze swym dobytkiem zapakowanym w wielkie toboły. Na nich siedziały kobiety otulone wraz z głowami w obszerne białe opończe. Czarne, nieco skośne oczy, ciekawie zerkały spod zasłon. Mężczyźni trzymając konie za uzdy krótko przy pyskach, aby stały spokojnie, pozdrawiali obcych podróżników. Mahometanie z Jarkendu ubrani byli w długie, podbite futrem kaftany oraz w płaskie, obramowane futrem czapki i w wysokie, miękkie buty. Wołając "salam", uroczyście się pochylali w pokłonie ze złożonymi na brzuchu rękami, aczkolwiek nie było to łatwe ze względu na niepokój wierzchowców. Nasi podróżnicy odpowiadali na uprzejme powitania i mimo że wymijanie karawany było bardzo

---

*** . Mekka — miasto w Arabii.**

niebezpieczne, ciekawie obserwowali mieszkańców dalekiego Turkiestanu. Podziwiali ich odwagę i podjęte ryzyko. Iluż bowiem pielgrzymów ginęło podczas długiej, niebezpiecznej wędrówki.

Przez następnych kilka dni jechali wzdłuż burzliwego, rozcinającego tę partię gór strumienia Dras. Na noclegi zatrzymywali się wśród rumowisk skalnych, które stanowiły prawdziwe królestwo świstaków*. Według wierzeń buddystów dusza zmarłego złośliwego człowieka wciela się po śmierci w świstaka. W okolicy roiło się od nich, ponieważ nie doznawały krzywdy ze strony przesądnych Tybetańczyków, a niedźwiedzi strzegły się pilnie. Zmyślne zwierzątka przypominały Tomkowi widziane w Meksyku pieski stepowe*. Chcąc lepiej przyjrzeć się azjatyckim, na postoju podkradł się z bosmanem do żerującego stadka. Udało im się nawet osaczyć jedno zwierzątko. Zagnane pomiędzy głazy, wcale nie okazało bezradności. Przewróciło się na wznak i broniło ostrymi pazurami. Z desperacką wściekłością chwytało zębami za kij podsuwany przez Tomka.

Nie na wszystkich chota haziri, to jest biwakach, udawało się im rozpalać ognisko. Jedyny bowiem opał stanowiła znajdowana po drodze Boortsa lub Eurotia, roślina przypominająca wyglądem koper. Jej łodygi często zastępowały zwierzętom paszę. Wydzielała olejek pachnący jak kamfora. Nasycone nim świeże, ścięte, zielone rośliny paliły się znacznie lepiej niż suche.

Pandit Davasarman był nieocenionym organizatorem poszczególnych etapów drogi, toteż względnie szybko dotarli doliną Saru do jedynej na szlaku mieściny, wyposażonej w skromny bazar i szpitalik. Stąd niedaleko już było do Shergolu, pierwszej najdalej na zachód wysuniętej osady buddystów.

W dolinie Wakka z daleka ujrzeli zbudowany wysoko na skale klasztor buddyjski. Przebywali w nim Czerwoni Lamowie. Tak jak ich tybetańscy bracia — Żółci Lamowie, podlegali Wielkiemu Dalajlamie w Lhasie. Davasarman znał te zakątki i informował współtowarzyszy o życiu lamów, nigdy nie rozstających się z młynkiem modlitewnym oraz różańcem. W każdym klasztorze przebywała mała grupa lamów, zajmujących się wyłącznie czynnościami religijnymi, natomiast większość członków społeczności klasztornej wykonywała ciężkie prace gospodarskie.

W pobliskim miasteczku karawana zagłębiła się w labirynt starannie zbudowanych z gliny domków o płaskich dachach.

Na nich sterczały wysokie kije obwieszone białymi szmatkami* i czarnymi ogonami jaków. Na dachach siedzieli w milczeniu, jakby pogrążeni w kontemplacji mężczyźni,

---

* . Świstak — gryzoń z rodziny wiewiórkowatych. Wydaje donośny świst, stąd nazwa. W Azji gatunek środkowoazjatycki (Arctomys caudatus).

* . Amerykańskie pieski stepowe (Arctomys Ludovicianus) — podobne wielkością i barwą sierści do świstaków. Żyją głównie na preriach Ameryki Północnej.

* . Buddyści posiadają tzw. młynki modlitewne, na których bębnie wypisane bądź nalepione są teksty modlitw. Buddysta kręcąc korbką bęben młynka uważa, iż odmawia modlitwę. Bębny te są różnych rozmiarów, od małych ręcznych, aż do wielkich wprawianych w ruch przez wodę strumienia. Taką samą rolę jak bębny modlitewne spełniają i flagi modlitewne, zawieszone na gałęziach drzew lub na kijach.

odziani w ciepłe kitle oraz czapki z klapkami na uszy. Na widok przeciągającej karawany podnosili się z powagą, wykrzykując jeden tylko wyraz: "dżule!"*, potem pochylali się do przodu z wielkim palcem prawej ręki wyciągniętym w górę i z językiem wysuniętym aż na brodę.

Bosman Nowicki w pierwszej chwili oniemiał z oburzenia. Poczerwieniał, zdarł konia cuglami i zatrzymał w miejscu. Unosząc się w strzemionach, zawołał do siedzących na dachu mężczyzn:

— Ach, wy bycze ogony, to tak uprzejmie witacie podróżników?! Taka to u was gościnność?!

Mężczyźni na dachu jeszcze głośniej krzyknęli "dżule" i jeszcze bardziej wysunęli języki.

Być może doszłoby do przykrego incydentu, bo bosman ogarnięty pasją zsiadł z konia, lecz na szczęście w tej chwili babu przyskoczył na wierzchowcu do marynarza i przytrzymał go energicznie za ramię.

— Stój, sahibie! Oni właśnie w ten sposób pozdrawiają! — zawołał półgłosem, po czym skinął głową ku mężczyznom, krzyknął "dżule" i tak jak oni wysunął język.

Mężczyźni uniżenie ponowili powitanie, a następnie spokojnie usiedli na dachu.

— A niech ich... — zaklął bosman i naraz zaczął się śmiać do łez. — To ma być powitanie?! — pytał, wycierając oczy. — A ja omal nie pobierzmowałem ich po krzyżu...!

Z kolei wysunął swój wielki język, co siedzący na dachu przyjęli z oznakami największego zadowolenia.

Podróżnicy rozbawieni tym pożegnaniem ruszyli w dalszą drogę. Teraz wzdłuż traktu napotykali wały padmowe, dochodzące niekiedy do stu metrów długości, usypane przez pobożnych buddyjskich podróżnych z odłamków skał, piargów i ziemi. Od góry przykrywały je płaskie kamienie, w wyrytymi na nich modlitwami. Wały padmowe jak i czorteny — kamienne słupki zdobione płaskorzeźbami oraz napisami — stawiali wyznawcy, aby wskazywały Buddzie drogę do świętej Lhasy, gdy kiedyś znów zstąpi na ziemię.

Obok tych pomników niezwykłej wprost pobożności napotkali również olbrzymi posąg Buddy wykuty w trzydziestometrowej skalnej ścianie.

Szlak karawany wiódł teraz przez urwiste góry, o krok od bezdennych przepaści. W dzień żar słoneczny prażył niemiłosiernie, w nocy dokuczał dotkliwy chłód. Często wyjeżdżali wcześnie przed świtem, aby przebyć jak największy odcinek drogi, zanim słońce roztopi zmarzłą w nocy grubą skorupę śniegu. Rozrzedzone powietrze utrudniało oddychanie i wywoływało optyczne złudzenia. Dzięki temu odległe przedmioty zdawały się być już bardzo blisko.

Po jedenastu dniach niebezpiecznej, męczącej jazdy dobrnęli do klasztoru w Spittugu, skąd zboczyli w przełomy Indusu na wschód. Teraz mieli przed sobą rozległy szmat

---

Wiatr porusza papierkami bądź szmatkami z wypisanymi na nich modlitwami i w ten sposób pacierz "jest odmawiany" na intencję tego, kto wywiesił "flagę".

* . Dżule, tzn. sługa pański.

piaszczystego pustkowia. Na jego krańcu rysowały się wieże zamku radży Ladakhu, a nieco wyżej nad nim klasztor buddyjski — gompa.

KLASZTOR W HEMIS

Oto zbliżali się do Leh — stolicy Ladakhu. Nawet nie musieli popędzać utrudzonych koni. Wyciągały one szyje na widok domostw, potrząsały łbami, jakby chciały zrzucić z siebie pustynny kurz, rżały i samorzutnie przyspieszały kroku. Jeźdźcy również z radością zdążali do gwarnego miasta, rozpościerającego się u stóp masywu skalnego. Doskonale już było widać siedzibę dawnych królów Ladakhu i klasztor. Poszczególne kondygnacje kilkupiętrowego pałacu zwężały się ku górze. Na płaskich dachach roiło się od ludzi.

Bosman osłonił dłonią oczy od słońca, by lepiej widzieć.

— A niech to wieloryb połknie, coś niezwykłego musi dziać się w mieście. Widzę gromady ludzi na dachach domów. Przypatrują się czemuś w dole na ulicy — zauważył po chwili.

— Ma pan rację, ja też to spostrzegłem — przytaknął Tomek.

W tej chwili potężny okrzyk uniósł się nad miastem.

— Co tam się dzieje, do licha? — powiedział bosman. — Może to jakaś rewolucja?

Wstrzymali konie, gdy reszta zbliżyła się, Tomek zawołał:

— Na dachach domów pełno ludzi i słychać krzyki. Właśnie zastanawiamy się, co to może oznaczać?

— Prawdopodobnie mieszkańcy Leh przyglądają się grze w polo[*] rozgrywanej na placu bazaru — poinformował Pandit Davasarman, a po chwili dodał: — Oczywiście, że się nie mylę, teraz na pewno jedna z drużyn wbiła gola. Słyszycie panowie orkiestrę? W ten sposób czci się tutaj każdą bramkę zdobytą przez drużynę.

Od strony miasta dobiegały odgłosy trąb i dudnienie bębnów. Niebawem karawana dotarła do szeroko otwartej bramy w murach okalających miasto i wjechała w ulicę rynkową, wysadzaną wysokimi topolami. Zazwyczaj tutaj odbywały się targi, lecz tego dnia wszystkie

---

[*] . Polo — gra podobna do hokeja, rozgrywana na kucach, w której bierze udział po czterech jeźdźców w każdej drużynie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa twórcami znanej już w starożytności gry w polo (a także w szachy i wielu innych) byli Chińczycy. Prawidła gry nie uległy zmianom na przestrzeni niemal tysięcy lat. Uprawiana jest z wielkim zamiłowaniem w Indiach i w krajach Azji Środkowej, skąd przejęli ją Europejczycy.

bazary były pozamykane, ponieważ na środku szerokiej ulicy ośmiu zręcznych jeźdźców rozgrywało mecz, obserwowany przez tłum kibiców. Wszędzie było pełno ludzi. Stali wzdłuż domów, wyglądali z okien, spoglądali z dachów. Wśród widzów przeważali Ladakhowie, lecz nie brak było Hindusów, Kaszmirczyków, Tybetańczyków, a nawet i kupców z odległego Chińskiego Turkiestanu. Mieszczanki wyróżniały się szykownymi ubiorami w porównaniu z baryłkowatymi wieśniaczkami, które nosiły grube suknie sięgające kostek i okrywały się owczymi skórami.

Karawana stanęła na skraju bazaru przed rozbawionym tłumem.

— Będziemy chyba musieli poczekać tutaj aż do zakończenia gry — odezwał się Wilmowski do Pandita Davasarmana. — Gdzie spodziewa się pan zastać pana Smugę?

— O tym dowiemy się od angielskiego rezydenta, przede wszystkim jednak musimy ulokować w karawanseraju naszych ludzi. Wszyscy są bardzo zmęczeni — odpowiedział babu.

— Czy daleko stąd do karawanseraju?

— Znajduje się przy końcu ulicy.

— Ten mecz może trwać jeszcze dość długo — zafrasował się Wilmowski. — Nie przedostaniemy się teraz...

— Dlaczego, sahibie? — roześmiał się babu. — Jedziemy!

Uderzył konia piętami, za nim ruszyła cała karawana. Koń Pandita Davasarmana wcisnął się w tłum widzów odwróconych plecami do bramy. Ktoś krzyknął oburzony i kilkanaście rąk wyciągnęło się ku cuglom wierzchowca, lecz naraz ucichły wszelkie protesty — Ladakhowie ujrzeli białych sahibów; natychmiast pospiesznie zaczęli się rozstępować, aby przepuścić karawanę. Mężczyźni kłaniali się uniżenie.

— Proszę, jacy to grzeczni ludzie — z uznaniem rzekł bosman, gdy karawana wyjechała na wolną przestrzeń. — Czy to zwyczaj miejscowy nakazuje im kłaniać się tak nisko wszystkim przybyszom?

— Według tutejszych zwyczajów wymienia się pozdrowienia nawet z obcymi ludźmi, lecz Brytyjczycy nauczyli Ladakhów oraz innych mieszkańców Azji szczególnego szacunku dla białej rasy. Nie doceniasz, szlachetny sahibie, przywileju, jaki daje ci tutaj kolor twej skóry — ironicznie odparł Davasarman.

Dobroduszny marynarz nie wyczuł drwiny w jego głosie, toteż z uznaniem skinął głową i rzekł:

— Wielka to zasługa Anglików, że wprowadzili grzeczność oraz dobre obyczaje.

— Nie było to wcale takie trudne. Bij, sahibie, tak jak oni szpicrutą, gdy ktoś niezbyt szybko ustępuje ci z drogi, a dokonasz tego samego "dobrego" dzieła.

— Kpisz pan chyba ze mnie! — zdumiał się bosman.

— Nie kpię, tylko dobrze znam angielską szkołę grzeczności.

— To znaczy, że ci nieszczęśni ludzie wzięli nas za Anglików?

— Oczywiście, w innym przypadku byliby uprzejmi, lecz nie wykazywaliby uniżoności powodowanej strachem przed białymi kolonizatorami.

— Tfu, do stu beczek zjełczałego tranu! Jak widzę, krajowcy słusznie nie mają zbyt wielkiego nabożeństwa do Anglików. Słyszałeś, Tomku?

— Słyszałem, panie bosmanie. Zaraz odniosłem wrażenie, że biorą nas tutaj za Brytyjczyków.

Wjechali na podwórze karawanseraju. Udadżalaka zajął się sprawami gospodarskimi. Dopilnował rozjuczenia koni, ulokował je w stajni, a także wypłacił należność ludziom wynajętym w Ganderbalu. Podróżnicy umyli się, przebrali w czyste ubrania, naprędce zjedli posiłek, po czym bez zwłoki wyruszyli do siedziby angielskiego rezydenta. Mieszkał on nie opodal rynkowej ulicy w obszernym, wygodnym domu otoczonym małym ogródkiem.

Hinduski służący wprowadził ich do salonu. Po kilku minutach pojawił się wysoki, opalony mężczyzna. Przyjaźnie skinął głową Panditowi Davasarmanowi i podał mu rękę.

— A to są zapewne panowie zapowiedziani przez mile u nas widzianego pana Smugę? — zapytał rezydent zwracając się do podróżników.

— Tak, Sir Younghusband, szlachetni sahibowie dążą na spotkanie z Szikarem Smugą — potwierdził Pandit Davasarman i kolejno dokonał prezentacji.

Rezydent przywitał się z podróżnikami, poprosił ich, aby usiedli.

— Czy bardzo uciążliwą mieli panowie podróż? Słyszałem, że śnieg spadł w górach — zagadnął.

— Jazda była dość męcząca. W niektórych miejscach śnieżyca zasypała przejścia. Musieliśmy wyruszać w drogę przed świtem, aby minąć je, zanim słońce roztopi zmrożoną w nocy pokrywę. Mimo to udało się nam przebyć całą trasę w ciągu jedenastu dni — odpowiedział Wilmowski.

— Zaraz spostrzegłem, że panowie są zaprawieni do odbywania długich marszów. Wcale nie widać po was zmęczenia, chociaż zaledwie dwie godziny temu obserwowałem wasz wjazd do miasta. Wtedy właśnie przyglądałem się grze w polo.

— Chętnie byłbym przyjrzał się rozgrywce, gdyby to nie opóźniło spotkania pana Smugi — wtrącił Tomek.

— Pan Smuga również ucieszy się przybyciem panów. Niecierpliwie oczekuje na was — powiedział rezydent uśmiechając się do młodzieńca.

— Więc nareszcie ujrzymy naszego przyjaciela! — zawołał Tomek uradowany.

— Zastaniecie go, panowie, w klasztorze w Hemis, odległym stąd o jeden dzień konnej jazdy — wyjaśnił rezydent. — Jeżeli wyruszycie jutro o świcie, to przy okazji będziecie mogli ujrzeć ciekawe buddyjskie misterium, odbywające się raz do roku w tamtejszym klasztorze. Zazwyczaj ściągają na nie pielgrzymi z bardzo odległych okolic, nawet z Lhasy.

— Jak to, więc pana Smugi nie ma w Leh?! — zmartwił się Tomek, spoglądając niespokojnie na ojca i bosmana.

— Nasz przyjaciel jakoś stał się bardzo nieuchwytny. Dążymy za nim aż z Bombaju i wszędzie, dokąd przybywamy, zastajemy jedynie wiadomość o nim — odezwał się Wilmowski.

— Widocznie istnieją ku temu ważne powody. Nie wątpię, że sam wyjaśni je panom w Hemis — spokojnie odparł rezydent.

— A jeśli go tam nie zastaniemy? — powątpiewająco mruknął bosman.

— Pan Smuga zaledwie dwa dni temu udał się z nowo zakupionymi końmi do Hemis, gdzie miał na panów oczekiwać. Gdyby zmienił zamiar, na pewno dałby mi znać o tym — stanowczo oświadczył rezydent. — Nie widzę powodu do niepokoju o niego.

— Powód może by się i znalazł — odpalił bosman. — Przybywamy z Europy na wezwanie przyjaciela. Obiecuje czekać w Bombaju. Tam zamiast niego wita nas morderca, a on stale wymyka nam się z rąk jak kamfora.

Rezydent obrzucił podróżników przenikliwym wzrokiem. Potem pytająco spojrzał na Pandita Davasarmana, jakby od niego oczekiwał wyjaśnień.

— Sahib Smuga za moim pośrednictwem pozostawił w Bombaju u pracownika linii okrętowej list oraz depozyt dla swych szlachetnych przyjaciół. Otóż urzędnik ten, Abbas, został zamordowany w chwili, gdy oddawał sahibom to, co u niego pozostawiliśmy. Po dokonaniu zabójstwa morderca umknął, zabierając depozyt — powiedział Pandit Davasarman.

— To naprawdę niezwykle intrygujące — zdumiał się rezydent. — Może panowie zechcieliby opowiedzieć mi coś więcej o tym dziwnym wydarzeniu?

Wilmowski spełnił jego życzenie, a wtedy rezydent rzekł:

— Hm, więc mówi pan, że morderca miał szeroką bliznę na twarzy. To naprawdę zastanawiające... W każdym razie musiał w jakiś sposób poznać zamiary pana Smugi. W innym przypadku nie mógłby wiedzieć, że pozostawiono dla was złoto u Abbasa. Miejscowa policja przeprowadzała śledztwo w Bombaju, a więc posiada panów zeznania jako świadków. To dobrze, w wolnej chwili zajmę się tą sprawą.

— Czy panu wiadomo, w jakim celu Smuga sprowadził nas aż do centralnej Azji? — zapytał Wilmowski.

— Tylko w ogólnych zarysach, lecz nie jestem upoważniony do wyjaśnień na ten temat. Niebawem pan Smuga osobiście wszystko panom wyjawi. Przy okazji chciałbym zapytać, czy panowie podróżują na angielskich paszportach?

— Tak, czy życzy pan sobie je obejrzeć?

— Bardzo proszę, muszę odnotować panów przybycie do Ladakhu.

Rezydent uważnie przeglądał dokumenty, robił jakieś notatki. W końcu znów zwrócił się do Wilmowskiego.

— Jak wynika z paszportów, wszyscy panowie pochodzą z Warszawy, która obecnie należy do Rosji. Czy wobec tego posiadacie jakieś dokumenty wydane przez władze rosyjskie?

— Oczywiście, lecz w obecnej naszej sytuacji nie są one aktualne — odparł Wilmowski, zaintrygowany zapytaniem rezydenta.

— Czy nikt z panów przypadkiem nie posiada autentycznego paszportu rosyjskiego?

— Owszem, ja mam, ponieważ całkowicie legalnie wyjechałem za granicę — odezwał się Tomek.

— Czy ma go pan przy sobie? — indagował rezydent.

— Nie, znajduje się w bagażach w karawanseraju.

— W Leh?

— Oczywiście.

— To bardzo dobrze. A czy pozostali panowie również posiadają w Leh jakieś dokumenty rosyjskie?

— Posiadamy, ale naprawdę nie rozumiem, o co panu chodzi? — zniecierpliwił się Wilmowski. — Czy angielskie paszporty nie są wystarczające?!

— Ależ, są doskonałe! O tamte historie pytałem jedynie... z własnej ciekawości. Proszę mi nie brać tego za złe — usprawiedliwił się rezydent.

Pospiesznie zwrócił podróżnikom dokumenty, po czym zaprosił ich na herbatę i szklaneczkę whisky[*]. Po godzinie wracali do karawanseraju. Niewiele rozmawiali po drodze, uzgodnili jedynie z Panditem Davasarmanem, iż nazajutrz rankiem wyruszą do Hemis. Wkrótce po powrocie do oberży, Davasarman wyszedł na miasto pod pretekstem poczynienia zakupów; nasi podróżnicy pozostali. Zaledwie Hindus oddalił się z izby, Tomek rzekł do ojca i bosmana:

— Czy zauważyliście, iż rezydent wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Davasarmanem, gdy powiedziałem o moim rosyjskim paszporcie?

— I mnie też się tak wydawało — potwierdził bosman.

— Ja nic nie zauważyłem, ponieważ siedział do mnie bokiem — powiedział Wilmowski, marszcząc brwi. — Ciekawe, o co mu chodziło? Czyżby... nie, to niemożliwe, aby Smuga poważył się na takie szaleństwo!

— Co masz na myśli, ojcze? Wyjaśnij nam, proszę!

— Zdawało mi się, że odgadłem zamiary Smugi, ale to jest naprawdę niemożliwe, więc lepiej dajmy pokój niedorzecznym domysłom. Smuga sam wyjaśni całą sprawę.

— Na frasunek najlepszy trunek. Mam tu pod ręką butelczynę jamajki, więc wypijmy po łyku dla nabrania humoru — zaproponował bosman.

— Wolę filiżankę czarnej kawy, której nie piłem już od wyjazdu z Bombaju. Czy masz ochotę na kawę, ojcze? — zapytał Tomek.

---

[*] . Whisky (fonet. "łyski") — napój alkoholowy wyrabiany z jęczmienia w Szkocji i Irlandii.

— Chętnie napiję się kawy i kieliszek rumu — potwierdził Wilmowski.

— Wobec tego przygotuj także dla mnie kubek kawy — dodał bosman. — Czuję, że Smuga wdał się w jakieś ciemne interesy, ale pal je sęk! Naprawdę rad go zobaczę.

Pandit Davasarman po powrocie do karawanseraju zastał swych towarzyszy na pogawędce przy czarnej kawie. Na uprzejme zaproszenie Wilmowskiego usiadł w ich gronie. Tomek przyrządził dla niego kubek kawy, po czym zaczął wypytywać o uroczystości w klasztorze w Hemis, o których uprzednio wspomniał rezydent.

— Jest to naprawdę bardzo oryginalne buddyjskie misterium — wyjaśnił Davasarman. — Lamowie, poprzebierani za różne maszkary, starają się odtworzyć obraz życia pozagrobowego, by w ten sposób przyzwyczaić wiernych do okropności, na jakie będą narażeni po śmierci.

— Niezłe to musi być przedstawienie, skoro ludziska przybywają na nie nawet z dalekiego Tybetu — zauważył bosman.

— Prawdę rzekłeś, sahibie — przytaknął Davasarman. — Ponadto klasztory w Hemis, Spittugu i w Sakarze są prawdziwymi bastionami buddyzmu w Ladakhu, a z nich najświętszy i najbogatszy jest właśnie klasztor w Hemis. Według zdania tak znanego badacza Azji Środkowej jak sir Younghusband został on zbudowany na wzór klasztoru dalajlamy w Lhasie.

— Sir Younghusband? — zdziwił się Tomek. Czyżby pan miał na myśli angielskiego rezydenta w Leh?

— Tak, o nim właśnie mówię. To jeden z nielicznych Europejczyków, który widział Lhasę — odpowiedział Davasarman.

— Więc to jest ten znany angielski podróżnik? — pytał Tomek.

— Zgadłeś, sahibie! To jest sir Francis Younghusband[*]. Już od roku przebywa w Kaszmirze jako angielski rezydent.

Wilmowski zdziwiony spojrzał na Pandita Davasarmana.

— O, do licha, przecież pan przedstawił mi rezydenta jako sir Younghusbanda! jak to się mogło stać, że od razu nie zwróciłem uwagi na tak dobrze znane mi nazwisko! — zawołał pospiesznie.

— A cóż w tym nadzwyczajnego? — zapytał bosman Nowicki wzruszając ramionami.

— Younghusband odgrywa niepoślednią rolę w zakulisowych działaniach Brytyjczyków w Azji Środkowej — odparł Wilmowski.

— Ach, więc to tak się sprawy mają — mruknął marynarz. — No, no, ciekawe, jakie to interesy łączą z nim pana Smugę.

— Niebawem dowiemy się wszystkiego — rzekł Tomek, nieznacznie mrugając do bosmana, aby nie wygadał się z czym niepotrzebnym.

---

[*] . Sir Francis Edward Younghusband urodził się w Murree w Indiach Brytyjskich w 1863 r., a zmarł w 1942. Zwiedził Mandżurię i pierwszy przebył w 1887 r. w poprzek Azję Środkową. Badał góry Karakorum i Pamir. W 1903 do 1904 z gen. Mac Donaldem prowadził ekspedycję wojskową do Tybetu. Jako rezydent angielski przebywał w latach 1906-1909 w Kaszmirze. W 1919 r. został przewodniczącym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

Marynarz dostrzegł znaki dawane przez przyjaciela. Zaraz też zaczął z innej beczki:

— Szkoda, że tak późno dowiaduję się, jaką to ważną figurę mieliśmy przyjemność poznać. Chętnie pogadałbym z panem Younghusbandem o tutejszych krajach, skoro jest takim znawcą polityki. Dobrze to przecież wiedzieć, co w trawie piszczy.

— Ja również żałuję, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nie zwróciłem uwagi na nazwisko rezydenta — przyznał Wilmowski.

— Nie wykorzystaliśmy tak wspaniałej okazji — z żalem powiedział Tomek. — Myślę jednak, że pan Pandit Davasarman również dobrze zna sprawy Azji Środkowej. Przecież odbywał pan niebezpieczne wyprawy do różnych krajów. Na pewno moglibyśmy wiele od pana usłyszeć.

— Święta racja, opowiedz pan z łaski swojej o tutejszych podróżnikach. Zawsze chętnie słuchamy takich historii — przyłączył się bosman do prośby Tomka.

— Wydaje mi się, że panów szczególnie ciekawią ekspedycje sir Younghusbanda — rzekł Davasarman.

— Chcielibyśmy usłyszeć o znanych badaczach Azji Środkowej — odparł Tomek. — Wiem coś niecoś o panu Younghusbandzie i Sven Hedinie[*], ale na tym też kończą się moje wiadomości.

— Niełatwo jest opowiadać o ekspedycjach odkrywczych, których działalność nie została jeszcze dotąd zakończona — rozpoczął Davasarman. — Do połowy XIX wieku Azja Środkowa wraz z górami granicznymi była niemal zupełnie nie znana, a o wielu obszarach Azji wiemy bardzo mało nawet i dzisiaj. Szczególnie niedostępna okazała się Wyżyna Tybetańska, dostępu do niej bowiem bronią najwyższe góry świata, surowy klimat oraz nieufni wobec obcych przybyszów mieszkańcy, otaczający niezwykłą tajemnicą święte dla nich miasto Lhasę.

Pierwsze intrygujące wieści o niektórych krajach Azji Środkowej dotarły w XIV wieku do Europy za pośrednictwem takich podróżników, jak: Rubruk, Marco Polo[*] i Odorico da Pordenone. Później do Tybetu przenikali z Chin jezuici. Klaproth zebrał w pewną całość wyniki ich spostrzeżeń. Na początku XIX wieku Manning oraz Huc i Gabet badali poszczególne szlaki, wszakże mimo to Tybet nadal pozostawał okryty mrokiem tajemnicy. Każdemu Europejczykowi groziła tam śmierć, więc Anglicy wpadli na pomysł, by

---

[*] . Hedin Sven Anders, szwedzki badacz Azji, urodził się w 1865, zmarł w 1952. Po podróżach do Persji, Samarkandy, Kaszgaru działalność swą skupił głównie na Azji Środkowej. Począwszy od 1894 r. w czasie kilku wypraw przebył Pamir, pustynię Takla Makan, dotarł do jeziora Łob-nor, przez góry Kunlun i północny Tybet doszedł do Pekinu. Wzdłuż rzeki Tarym i jeziora Łob-nor znów udał się do Tybetu, lecz nie dotarł do Lhasy. Potem przez Persję i Indie Brytyjskie, mimo przeszkód czynionych przez Anglików, przedostał się przez Leh do Tybetu, gdzie odkrył źródła Brahmaputry, Indusu i Satledżu. Odkrył również pasmo Transhimalajów, zwanych odtąd Górami Hedina. Przyczynił się głównie do zbadania Azji Środkowej, a szczególnie Tybetu.

[*] . Marco Polo, Wenecjanin, urodził się w 1254 r., zmarł w 1324. Był najwybitniejszym europejskim podróżnikiem średniowiecza. Jego opowieści o niezwykłym bogactwie Wschodu zostały wówczas przyjęte z wielką niewiarą, lecz mimo to wraz z relacjami Rubruka przyczyniły się do poznania wielu krajów azjatyckiego kontynentu.

wykształcić szereg topografów hinduskich. Ci, tak zwani w potocznej mowie "pundyci" lub "panditowie", znając język i zwyczaje, zaczęli przekradać się do niegościnnego kraju. Oczywiście większość z nich ginęła bez śladu, a tylko kilku szczęśliwcom udało się dotrzeć do Lhasy. Jeden pundyta przez jakiś czas nawet przebywał w tym świętym dla buddystów mieście, udając pobożnego pielgrzyma. Pundyci Nain Singh i Krishna Ugyen Gyatso szczególnie wsławili się badaniami w Tybecie.

— To podobne do Anglików, oni lubią wyjmować kasztany z ognia cudzymi rękami — wtrącił bosman. — A o sobie to szanowny pan nic nie wspomni?

— Nie odbywam wypraw w celach wyłącznie odkrywczych. Poza tym jako żołnierz jestem szczególnie zobowiązany do utrzymania w tajemnicy wykonywanych zadań — odparł Pandit Davasarman. — Moja działalność przeważnie skupia się wokół krajów Azji Środkowej, bezpośrednio graniczących z Indiami Brytyjskimi. Chyba sahibowie zdają sobie sprawę, że im mniej się wie o zawiłych sprawach pogranicza, tym bezpieczniej odbywa się podróż po tych dzikich pustkowiach. Wracając jednak do historii odkryć, na początku drugiej połowy XIX wieku bracia Schlagintweit urządzili wypad poza góry Karakorum. Po nich Hayward i Shaw dotarli do Jarkendu oraz Kaszgaru we Wschodnim Turkiestanie, a Carey do zachodniego Tybetu i Kotliny Tarymskiej. Zaledwie siedemnaście lat temu obecny rezydent w Kaszmirze, sir Francis Younghusband, jako pierwszy przeszedł w poprzek Azję Środkową, idąc od Pekinu ku zachodowi. W latach 1903-1904 razem z generałem Mac Donaldem znów udał się do Tybetu i po raz pierwszy w historii tego kraju zmusił Tybetańczyków do wpuszczenia europejskiej ekspedycji do Lhasy.

— Przepraszam, że przerywam, ale czy generał Mac Donald, bawiący na polowaniu w Alwarze, był właśnie tym współtowarzyszem Younghusbanda w ekspedycji do Tybetu? — zaciekawił się Wilmowski.

— Nie mylisz się, sahibie — powiedział Pandit Davasarman.

— Co krok, to nowy prorok — burknął bosman. — Po nitce dojdziemy do kłębka...

Wilmowski skarcił go wzrokiem; marynarz umilkł, Davasarman tymczasem ciągnął dalej:

— U schyłku XIX wieku Capus i Bonvalot dokonali pierwszego przejścia przez Pamir, potem ten ostatni odbył wyprawę naukową w poprzek Tybetu od Taszkientu do Hanoi. Również w tym czasie Amerykanin Rockhill zapuścił się w głąb Tybetu, lecz nie udało mu się osiągnąć Lhasy. Poważne zdobycze naukowe przyniosły wyprawy Dutreuil du Rhinnsa i Grenarda. Wreszcie od 1894 roku sahib Sven Hidin rozpoczął swoje wielkie wyprawy. Jak słyszałem ostatnio, udało mu się zmylić czujność sir Younghusbanda i niedawno przedarł się z Leh do południowego Tybetu, gdzie podobno jeszcze przebywa*. W północnym Tybecie kilka lat temu prowadził badania Flichner i Tafel. Zaledwie rok temu Bruce i Layard wyruszyli z Leh, by przez Tybet, góry Kunlun i pustynię Gobi dojść aż do Pekinu. W ten

* . Mowa o wyprawie Sven Hedina w latach 1906-1908, podczas której, mimo utrudnień poczynionych przez Anglików, odkrył źródła Brahmaputry, Indusu i Satledżu.

sposób Europejczycy powoli przenikają do tajemniczych krajów Azji Środkowej, lecz mimo to Tybet w dalszym ciągu zamknięty jest przed nimi.

— Jak wynika z pana opowieści, Anglicy nie popierają wypraw Sven Hedina, chociaż zależy im na poznaniu Tybetu — zauważył Tomek.

— To nie jest takie proste, mój drogi — wtrącił Wilmowski. — Sven Hedin nie działa z ramienia Brytyjczyków. Dlatego też utrudniają mu badania, jak i innym podróżnikom obcych państw, które wszelkimi sposobami starają się ugruntować swoje wpływy w krajach Azji Środkowej. Należy wspomnieć przecież, że w czasie gdy Anglicy badali z południa wyżyny środkowo-azjatyckie, od strony północnej przedsiębrali wyprawy podróżnicy wysyłani przez rząd rosyjski. Na przykład w połowie XIX wieku Piotr Siemionow-Tiańszański*, jeden z najwybitniejszych rosyjskich badaczy Azji, jako pierwszy zbadał góry Tien-szan, tworzące zaporę pomiędzy posiadłościami rosyjskimi w Azji a Środkową Azją i tym samym utorował Rosji drogę w głąb kontynentu. Potem miały miejsce badania Weniukowa we Wschodnim Turkiestanie oraz Siewiercowa* w Tien-szanie i Pamirze. Szczególnie duże znaczenie miały cztery wielkie wyprawy Mikołaja Przewalskiego, dzięki którym po raz pierwszy gruntownie zostały zbadane prawie nieznane obszary Kotliny Tarymskiej oraz północnego Tybetu. Przewalski także zapuścił się w głąb Tybetu, przekroczył Góry Marco Polo i dopiero w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów od Lhasy władze tybetańskie zmusiły go do zawrócenia z drogi. Wykonał zdjęcia kartograficzne na trasie 30 000 kilometrów, odkrył dzikiego wielbłąda i dzikiego konia, nazwanego potem koniem Przewalskiego*. Także rosyjski badacz Potanin dwukrotnie podróżował po wschodnim Tybecie.

— Ojcze, nie wspomniałeś nic o generale Bronisławie Grąbczewskim — przypomniał Tomek.

— Zaraz o nim powiem, bo niemałe osiągnięcia w badaniu Azji Środkowej mają również i Polacy w służbie rosyjskiej. Do najwybitniejszych z nich należy właśnie Grąbczewski*.

---

* . Siemionow-Tiańszański Piotr, jeden z najwybitniejszych rosyjskich badaczy Azji, urodził się w 1827, zmarł w 1914. Zapoczątkował badanie Azji Środkowej od strony północnej. Pierwszy zbadał góry Tien-szan, odkrył górny bieg Syr-darii, badał Turkiestan Rosyjski. Zgromadził zbiory botaniczne, zoologiczne i geologiczne. Od gór Tien-szan otrzymał swój zaszczytny przydomek.

* . Siewiercow Mikołaj, rosyjski zoolog i badacz Azji Środkowej, urodził się w 1825, zmarł w 1885. Badał niziny nad Morzem Kaspijskim i Aralskim. Nad Syr-darią został poważnie ranny. Kontynuował badanie Tien-szanu, początkowo pracował między jeziorem Issyk-kul a Taszkientem, a następnie w środkowej części obszaru źródłowego Syr-darii. Stworzył podstawy do poznania geografii, geologii i zoologii badanych obszarów.

* . Przewalski Mikołaj, generał, rosyjski badacz Azji, urodził się w 1839, zmarł w 1888. Najwybitniejszy rosyjski podróżnik i odkrywca. Badał Kraj Ussuryjski, a potem w czterech wyprawach prowadził naukowe badania w północnej części Azji Środkowej. Odkrył jezioro Łob-nor, północny łańcuch gór Kunlun — góry Ałtyn-tag na północnej krawędzi Tybetu. Próbował dotrzeć do Lhasy. Zmarł podczas czwartej wyprawy w pobliżu jeziora Issyk-kul. Odkryty przez niego dziki koń został nazwany jego imieniem — Equus przewalski.

* . Grąbczewski Bronisław, polski badacz Azji, urodził się na Kowieńszczyźnie w 1854, zmarł w Warszawie w 1926. Z wykształcenia geolog. W wojsku rosyjskim dosłużył się rangi generała. Brał udział w ekspedycji wojskowej do Turkiestanu, po czym przez 7 lat badał kraje Azji Środkowej. Do Polski powrócił w 1920 roku. W czasie wypraw zebrał 36 000 różnych okazów etnograficznych i przyrodniczych. Grąbczewski opisał swe podróże w trzytomowym dziele pt. "Podróż do Azji Środkowej" wydanym w Polsce w latach 1924-1926.

Badał on Turkiestan, Kaszgarię, góry Tien-szan, Pamir, góry Hindukusz w Afganistanie i północno-wschodnie krańce Tybetu. Podczas wszystkich wypraw gromadził zbiory przyrodnicze, etnograficzne, sporządzał mapy, i zdjęcia marszrutowe w krajach zupełnie nie zbadanych, czym poważnie przyczynił się do rozszerzenia wiadomości o Azji Środkowej. Pan Younghusband na pewno zna generała Grąbczewskiego, bo, jak słyszałem, wyprawy ich spotkały się swego czasu w Pamirze.

— Ekspedycje Grąbczewskiego wywołały wśród Anglików poważny niepokój. Zna go więc nie tylko sahib Younghusband — powiedział Pandit Davasarman uśmiechając się zagadkowo.

— W czasie badań prowadzonych przez Grąbczewskiego inny polski geolog, Karol Bohdanowicz*, wyruszył w 1888 roku z wyprawą badawczą Piewcowa — ciągnął Wilmowski. — Polak ten dokonał pierwszych zdjęć geologicznych we wschodniej części Tien-szanu, w górach Kunlun i Ałtyn-tag na pograniczu Tybetu.

Wilmowski zaczął nabijać fajkę tytoniem, a Pandit Davasarman uśmiechnął się i rzekł:

— Ekspedycje rosyjskie nie mogły się podobać Anglikom. Góry Hindukusz stanowią naturalną granicę pomiędzy Indiami a Rosją i Turkiestanem Chińskim. Niektóre wojownicze ludy zamieszkujące pas przygraniczny Kaszmiru nie sprzyjały Brytyjczykom. Rozbójniczy Kandżuci — dzielący się na Hunzów i Nagarów — zawsze uważali Chiny i Rosję za największe potęgi świata. Pozostawali w szczególnie dobrych stosunkach z władzami Turkiestanu Chińskiego, gdzie w okolicy Jarkendu król Hunzów posiada prywatną jagir, czyli ziemię, nadaną w zamian za pomoc udzieloną Chinom podczas tłumienia powstania w 1847 roku w Turkiestanie. W tej to posiadłości schronił się też po zajęciu państwa Kandżutów przez Anglików. Brytyjczycy bardzo obawiali się wpływów rosyjskich w pogranicznych krajach, których ludy opierały się zakusom Wielkiej Brytanii. Zrozumieli, że krajowcy, dowodzeni przez rosyjskich oficerów, stanowiliby groźną siłę, toteż zbrojnie zajęli nadgraniczne państewka, potem zaś kierowali do zagrożonych rejonów wysłanników, aby ci obserwowali wszelkie poczynania Rosjan.

— Och, to może pan jest również takim wysłannikiem? — zawołał Tomek.

— Stąd zapewne i to przebranie — dodał bosman. — No, no, nie myślałem, żeś pan taki ryzykant!

— Pozory często mylą. Czas nam już udać się na spoczynek, dobranoc sahibom — zakończył dyskusję Pandit Davasarman, po czym zaczął przygotowywać się do snu.

— Nie lada to ptaszek — mruknął marynarz.

---

* . Bohdanowicz Karol, polski geolog i podróżnik, urodził się w Inflantach w 1864 r., zmarł w Warszawie w 1947. Brał udział w wyprawie geologicznej na Ural, w Kraju Zakaspijskim i na pograniczu Persji. W 1888 r. razem z Piewcowem badał Turkiestan Chiński, gdzie poczynił zdjęcia geologiczne. Bohdanowicz badał tereny Syberii, przez które później przechodziła kolej transsyberyjska i w Czeremchowie odkrył bogate złoża węgla kamiennego. Prowadził badania nad dolnym Amurem, nad Morzem Ochockim i na Kamczatce oraz na Półwyspie Czukockim i na Alasce. Był profesorem w Instytucie Geologii w Petersburgu, a po powrocie do Polski w 1919 roku objął katedrę w Akademii Górniczej w Krakowie. Razem z Rosjaninem Obruczewem opracował pierwszą geologiczną mapę Syberii.

— Tak, tak, wszystko przemawia za tym, że przystraja się w obce piórka — szeptem powtórzył Tomek.

— Skoro opowieści skończone, to kładźmy się spać, panowie. Szybciej nam minie czas do spotkania z panem Smugą — głośno odezwał się bosman.

NOC TAJEMNIC

Nazajutrz podróżnicy zerwali się z posłań tuż przed świtem. Wkrótce byli gotowi do drogi. Ku swemu zdziwieniu na dziedzińcu przy koniach ujrzeli trzech nowych hinduskich służących. Tak jak Udadżalaka, postawą swoją sprawiali wrażenie żołnierzy odzianych w cywilne ubrania. Każdy z nich posiadał karabin i kukri za pasem.

— Jak widzę, powiększyła się nasza kompania — zawołał zdumiony bosman Nowicki, podchodząc do Davasarmana. — Jeżeli dalej tak pójdzie, to zapewne niezadługo będzie nam towarzyszyła cała armia indyjska!

— To byłoby trochę za dużo, szlachetny sahibie. To moi towarzysze dawnych wypraw. Jesteśmy już w komplecie — odparł spokojnie Davasarman. — Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy następną noc spędzić w Hemis.

Na szerokiej ulicy rynkowej ziemia tłumiła odgłos końskich kopyt. Mimo wczesnej pory panował tam już ożywiony ruch. Kupcy rozkładali stragany w podcieniach domów, bądź na ulicy. Obok prasowanej w cegiełki tybetańskiej herbaty, worków soli, ryżu, wełny oraz skór leżały wspaniałe kaszmirskie dywany, piękne szale, ladakhijskie srebrne ozdoby dla kobiet wysadzane kamieniami, a także całe worki błękitno-zielonych turkusów z Chińskiego Tybetu. Stragany zapełniano wojłokowymi strojami, obuwiem, rozmaitymi naczyniami, bańkami z naftą, latarkami, świecami, cebulą, paszą dla zwierząt i wieloma innymi produktami. Na targowisku przewijał się tłum kupujących z wszystkich sąsiednich krajów.

Karawana wolno zbliżała się ku bramie miasta. Podróżnicy ochoczo odpowiadali na sypiące się zewsząd "salamy" i "dżule". Pandit Davasarman rozpoznawał po strojach głowy mieszkańców różnych zakątków Azji. Ladakhowie i Tybetańczycy nosili czapki z materiału z klapami na uszy. Ich kobiety, o grubych, tatarskich rysach, przykrywały głowy peyrakami* nabijanymi turkusami.

Kaszmirczycy oraz Hindusi wyróżniali się turbanami i czerwonymi fezami, Baltowie spiczastymi wojłokami, a Turkiestańczycy futrzanymi czapkami. Barwny tłum uprzejmie

---

* . Peyrak — skórzana ozdoba w rodzaju pasa, przykrywającego wierzch głowy i część pleców, nabijana turkusami. O zamożności właścicielki peyraku świadczy liczba i rozmiar turkusów, toteż nieraz peyraki przedstawiają dużą wartość.

pozdrawiał i rozstępował się przed karawaną białych sahibów, która wkrótce wyjechała poza miasto w szczerą pustynię.

Teraz babu skierował się ku północy wzdłuż wałów padmowych i czortenów, wskazujących pobożnym pielgrzymom drogę do najbardziej czczonego przez buddystów w Ladakhu klasztoru w Hemis. Kręty, urwisty trakt wciąż piął się pod górę odnogą doliny Indusu. Biali sahibowie wymijali wolniej ciągnące karawany pielgrzymów, z którymi wymieniali pozdrowienia.

Widoczność stawała się coraz gorsza. Opadająca na ziemię mgła nadawała błękitnemu dotąd niebu żółtawy odcień. To wiatr niósł z odległych pustyń wzbite przez burzę obłoki pyłu.

Wierzchowce z trudem pięły się pod górę, często przystawały, by odpocząć. Jeźdźcy nie popędzali koni, suche, rozrzedzone powietrze im także dawało się we znaki*. Odetchnęli z niezmierną ulgą, gdy pod wieczór ujrzeli przed sobą na zboczach górzystego masywu białe zabudowania starożytnego klasztoru w Hemis. Na płaskich dachach wielopiętrowych budowli chwiały się od podmuchów wiatru duże parasole oraz łopotały modlitewne chorągwie. U stóp klasztoru widniały liczne namioty pielgrzymów.

— Ten klasztor bardziej przypomina fortecę, niż świątynię — zawołał Tomek, przyjrzawszy się potężnym murom.

Wjechali na wąski podwórzec klasztoru, ozdobiony wysokimi drągami, na których powiewały czarne ogony jaków i modlitewne chorągiewki. Rozległe budynki o płaskich dachach piętrzyły się na stoku góry niby pueblo* Indian północnoamerykańskich, różniły się jednak od tamtych licznymi galeriami, balkonami oraz zewnętrznymi schodami łączącymi poszczególne kondygnacje budowli.

Był to prawdziwy labirynt domów, dziedzińców, krużganków oraz ciemnych korytarzy, kryjących w swoim wnętrzu sześć świątyń i cele lamów.

Gwałtowne ujadanie czarnych psów uwięzionych na łańcuchach wywabiło na podwórze kilku lamów, odzianych w czerwone spódnice oraz szale osłaniające tylko prawe ramię. Na głowach nosili czerwone małe czapki z klapkami na uszy. Lamowie, z nieodłącznymi bębenkami modlitewnymi w rękach, mamrotali formułki religijne, przerywając pacierz jedynie na krótką chwilę, gdy rozmawiali z podróżnikami.

Pandit Davasarman musiał być dobrze znany czerwonym lamom. Witali go "dostojnymi dżulami", nie zważając na różnicę wyznań, albowiem buddyści zawsze raczej litowali się nad innowiercami, wyobrażając sobie, jakie to przykrości oczekują ich w przyszłych wcieleniach.

Jak spod ziemi wyrośli przed karawaną lamowie-robotnicy, by rozjuczyć konie i zaprowadzić je do stajen. Jeden z lamów wskazał podróżnikom drogę do pomieszczeń przeznaczonych dla nich na odpoczynek. Wszystkie bagaże zostały złożone w większej izbie,

---

* . Hemis leży na wysokości około 4000 metrów.

* . Pueblo — wielopiętrowa budowla służąca za wspólne mieszkanie plemieniu Indian, zwanych Pueblosami. Zamieszkują oni Meksyk i południowo-zachodnie stany USA.

łączącej się z kilkoma mniejszymi, przypominającymi ubogie, klasztorne cele. Zastali w nich już przygotowane posłania z mat.

Zaledwie znaleźli się w swej kwaterze, Wilmowski przytrzymał lamę-przewodnika za ramię mówiąc:

— Dostojny lamo, przybyliśmy z bardzo daleka, aby zobaczyć się z szikarem Smugą. Czy możesz nas zaraz do niego zaprowadzić?

— Nie, lepiej mu teraz nie przeszkadzać. On sam przyjdzie do swych przyjaciół, gdy ostatecznie przekona się, iż żaden człowiek nie może zmienić tego, co mu los przeznaczył. Czekaj cierpliwie, szlachetny sahibie, szikar Smuga przyjdzie do was, zanim słońce ponownie rozproszy mrok nocy — zagadkowo odparł lama.

— Czyżby już nadszedł czas? — zapytał Pandit Davasarman.

Lama skinął głową, po czym kręcąc młynek modlitewny zniknął w mrocznym korytarzu.

— Cóż to wszystko znaczy? — zwrócił się Wilmowski do Davasarmana. — Nie lubię, gdy się próbuje grać ze mną w kotka i myszkę. Co ukrywasz przed nami, Pandicie Davasarmanie?

— Lepiej wal, brachu, prosto z mostu, bo mnie również zaczyna brakować cierpliwości. Nic nie rozumiem z tego, co rzekł ten kręci-młynek — zaperzył się bosman, kładąc swą ciężką rękę na ramieniu Pandita Davasarmana.

Hindus wahał się jeszcze. Zmarszczywszy brwi poważnie spoglądał w twarze białych sahibów, lecz po chwili namysłu powiedział:

— Mogę jedynie wyjaśnić słowa lamy. Otóż szikar Smuga przebywa obecnie przy łożu ciężko chorego, a nawet prawdopodobnie konającego człowieka. Lama jest przekonany, iż chory już nie doczeka świtu. Gdy skona, szikar Smuga przyjdzie do nas.

— A więc tak się rzeczy mają! — zawołał bosman.

— Kim jest ów ciężko chory człowiek? — pytał Wilmowski, nie spuszczając wzroku z Hindusa.

— To biały sahib, ale proszę, nie pytajcie mnie o nic więcej, ponieważ jedynie szikar Smuga może zaspokoić waszą ciekawość — stanowczo odpowiedział Pandit Davasarman.

— Ejże, szanowny panie, nie tak ostro, bo tu przecież nie chodzi o zwykłą babską ciekawość! Dopóki nie ujrzę Smugi, będę dobrze cię miał na oku — zagroził bosman.

Davasarman przeciągle spojrzał marynarzowi w oczy, ale doskonale zapanował nad sobą.

— Dobrze, nie oddalę się od ciebie ani na krok, biały sahibie, wkrótce jednak przekonasz się, iż nie byłem upoważniony do udzielania wyjaśnień — odparł.

— Niepokoimy się o naszego przyjaciela, proszę więc nie gniewać się na nas — wtrącił Tomek.

— Skoro czekaliśmy tyle czasu, to możemy poczekać jeszcze kilka godzin na wyjaśnienia — dodał Wilmowski. — Warto teraz zakrzątnąć się koło kolacji. Jestem już porządnie głodny.

W milczeniu zaczęli się posilać. Po skończeniu kolacji zapalili fajki. Nikt nie usiłował nawet nawiązywać rozmowy. Trzej biali podróżnicy wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z korytarza. Zdenerwowani i podnieceni rozmyślali o Smudze.

Pandit Davasarman pykał fajeczkę, obrzucając towarzyszy poważnym, pełnym skupienia spojrzeniem. Zaledwie wytrząsnął popiół z fajki, skinął wszystkim głową i zaczął przygotowywać się do snu. Tomek pierwszy poszedł w jego ślady. Szybko rozebrał się, układając ubranie tuż przy posłaniu. Następnie położył się na matach i okrył grubym kocem. Po chwili odwrócony twarzą do ściany udawał, że śpi; cierpliwie czekał, dopóki w kwaterze nie zgaszono kaganka.

Tomek czujnie nasłuchiwał. Łowił uchem oddechy śpiących towarzyszy, a jednocześnie zwracał pilną uwagę na odgłosy dochodzące z korytarzy. Ciche, jakby ukradkowe stąpania przywodziły mu na myśl postacie lamów kręcących młynki modlitewne. W miarę jak czas upływał, szmery na korytarzach stawały się coraz rzadsze, aż w końcu zupełnie zamarły.

Tomek ostrożnie wyśliznął się spod koca. Usiadł na posłaniu i po ciemku zaczął się ubierać. Przez cały wieczór rozmyślał o Smudze, czuwającym przy śmiertelnie chorym człowieku. Kim mógł być ten nieszczęśliwiec? Niewątpliwie musiał być dla Smugi kimś bardzo bliskim, jeśli nie odstępował go w tragicznej chwili życia. Tomek szczerze współczuł Smudze, chciał służyć mu pomocą i pociechą. Szczególny niepokój Tomka budziło wspomnienie mordercy z Bombaju — człowieka z blizną na twarzy. Może obecnie czai się gdzieś w pobliżu Smugi — by zabić go tak, jak przedtem zabił Abbasa? A może ten konający człowiek był również jego ofiarą?

Jeśli Smuga naprawdę znajdował się w klasztorze i czuwał przy chorym, to odnalezienie ich nie powinno być zbyt trudnym zadaniem. Tak rozumując postanowił pomyszkować po zakamarkach klasztornych.

Obawa o przyjaciela spędziła sen z jego powiek, coraz straszniejsze myśli przychodziły do głowy.

Smuga przecież musiał czuć się zagrożony, skoro prosił ich o pomoc i o jak najszybsze przybycie do Indii. Tymczasem już od kilku tygodni dążyli jego tropem, który w końcu doprowadził ich do ponurego, buddyjskiego klasztoru. A może Smuga ukrywał się tutaj przed jakimiś wrogami? Może Pandit Davasarman i wszyscy inni nie mówili im całej prawdy?

Wkrótce Tomek był już ubrany. Wsunął rewolwer za pas spodni, po czym prawie bezszelestnie zbliżył się do maty osłaniającej otwór drzwiowy. Ostrożnie wychylił głowę. Odblask rozjarzonego gwiazdami nieba nieśmiało wpełzał przez wąskie okienka do ciemnego korytarza.

Gdzieś w głębi migotał oliwny kaganek.

Tomek wymknął się zza zasłony na mroczny korytarz. Krok za krokiem posuwał się wzdłuż ściany w kierunku płonącego kaganka. Przed każdym otworem wiodącym do celi, przystawał i nasłuchiwał. Wszędzie panowała niczym nie zmącona cisza. Płonący kaganek

znajdował się już zaledwie o kilkanaście metrów od niego. Naraz usłyszał szmer kroków. Przylgnął do zimnego muru. Zorientował się, że korytarz, którym dąży, łączy się z poprzeczną, rozjaśnioną teraz migotliwym światłem, galerią. Jacyś ludzie zbliżali się do załomu korytarza. Tomek gorączkowo rozejrzał się wokoło. O wyciągnięcie dłoni spostrzegł wejście do celi. Bez namysłu wśliznął się za zasłonę. Teraz uchylił maty i przez szczelinę zerknął na zewnątrz.

W czerwonym odblasku pochodni zatańczyły na ścianach duże, nieforemne cienie.

W sąsiedniej galerii ukazał się dwurząd lamów. Jedni nieśli zapalone pochodnie, inni kręcili modlitewne młynki, mamrocąc święte buddyjskie formuły. Głuchy pomruk modlitw lamów pełzł po korytarzach.

Tomek nieco więcej uchylił zasłony, by odblask płonących pochodni pozwolił mu rozejrzeć się po przypadkowej kryjówce. Znieruchomiał obejrzawszy się za siebie. Tuż obok spał na macie jakiś człowiek przykryty kocem. Tomek odruchowo cofnął się i naraz coś szorstkiego dotknęło jego twarzy. Z trudem stłumił okrzyk mimowolnego przestrachu. Odwrócił się szybko. Odetchnął z ulgą! Czerwony odblask padł właśnie na zawieszone na kółku odzienie śpiącego mnicha, o które się otarł. Tomka jakby olśniło. Pospiesznie zdjął z koła ubranie i gdy tylko lamowie zniknęli w głębi galerii, wysunął się znów na korytarz. Przy mdłym świetle kaganka ubrał się w czerwoną spódnicę, ramiona owinął szerokim szalem i wcisnął na głowę czapę.

Tak przebrany, śmielej podążył w kierunku, w którym dopiero co zniknął dwuszereg lamów. Minął galerię, by zapuścić się w inny korytarz. Po kilkunastu krokach znów przystanął. Tuż za pobliskim zakrętem rozbrzmiały uderzenia dzwonka. Powtarzały się w krótkich, regularnych odstępach czasu.

"Zapewne w pobliżu znajduje się świątynia — pomyślał Tomek. — Do niej to szli lamowie".

Nasłuchiwał dłuższą chwilę. Srebrzysty dźwięk rozlegał się nieprzerwanie. Tomek podkradł się do załomu ściany. Teraz usłyszał plusk płynącej wody. Zajrzał do sąsiedniego korytarza. O kilkanaście kroków przed nim, w samym rogu, stał duży bęben modlitewny, zaopatrzony z jednej strony w koło z poprzecznymi łopatkami, które zanurzały się w strumieniu wartko płynącej wody w kamiennym kanaliku. Woda uderzając o łopatki wprawiała je w ruch i w ten sposób bęben wolno obracał się dookoła swej osi.

Za każdym pełnym obrotem rozlegał się głos dzwonka przymocowanego do koła.

Tomek zbliżył się do bębna oświetlonego przez zatkniętą w ścianie pochodnię. Duży walec pokrywały wyryte na nim święte formułki i modlitwy. W myśl buddyjskich wierzeń, bęben obracający się bez przerwy, przekazywał Bogu ludzkie prośby oraz dziękczynienia.

Tomek uśmiechnął się na widok tak niezwykłej naiwności. Szedł dalej, zagłębił się w jeszcze jedno odgałęzienie korytarza. Niebawem znów usłyszał pomruk ludzkich głosów. Przygarbiony niczym wiecznie zamodlony lama, śmiało ruszył przed siebie. Po chwili, jakimś

zapewne bocznym wejściem, wszedł do rozległej świątyni. Przystanął za jednym z kilku błyszczących srebrem i złotem grobowców-czortenów.

Nieznacznie rozglądał się po świątyni. Przed ołtarzami płonęły niezliczone kaganki oliwne. W powietrzu unosił się ciężki, mdły zapach kadzideł. Przed olbrzymim posągiem oraz wieloma posążkami Buddy modlili się czerwoni lamowie. Gdzieś w głębi rozbrzmiewał głos dzwonków i huk bębna. Dźwięki ich mieszały się z modłami mnichów. Sufit tonął w półmroku. Rozwieszone na nim malowidła smoków i poczwar, zdawały się ożywać w otaczających je chmurach dymów kadzielnych.

Tomek poczuł się trochę nieswojo w tej dziwacznej świątyni, toteż gdy kilku mnichów opuszczało bocznym wyjściem przybytek Buddy, wysunął się za nimi. Nikt z lamów nie zwrócił uwagi na wędrującego na końcu szeregu skulonego "mnicha".

"Wracają tą samą drogą, którą przyszedłem do świątyni — mruknął Tomek dla dodania sobie odwagi. — Zaraz za zakrętem będzie bęben modlitewny poruszany przez wodę".

Z zadowoleniem stwierdził, że nie stracił orientacji w labiryncie klasztornych korytarzy. Znaleźli się w galerii. Tomek kroczył za lamami. Szli teraz jakimś nowym korytarzem. Naraz orszak zatrzymał się; jeden z lamów uchylił ciężkiej zasłony i w milczeniu skinął głową. Czterech lamów zniknęło w celi, podczas gdy czterech innych wyszło z niej i przyłączyło się do orszaku. Zaledwie lamowie ruszyli w głąb korytarza, Tomek wiedziony intuicją wśliznął się za zasłonę.

W obszernej celi na stosie mat spoczywał niesamowity człowiek. Całą głowę i część twarzy leżącego pokrywał długi, siwy zarost. Dłonie złożone na piersiach ostro odcinały się bielą od czerwieni szala okrywającego jego ramiona. Nie to jednak nadawało mu niesamowity wygląd. Miękki koc okrywający go opadał luźno na matę, tak jakby ów mężczyzna w ogóle nie posiadał nóg. Gdy Tomek przyjrzał się jego nieruchomej twarzy, oświetlonej kagankami umieszczonymi u wezgłowia — zrozumiał, iż mężczyzna już nie żyje.

Wzrok Tomka objął teraz czterech lamów siedzących na podwiniętych nogach z jednej strony łoża. Kręcili bębenkami swych młynków modlitewnych i odmawiali święte formułki. Po drugiej stronie zmarłego, w głębi celi, na stosie poduszek siedział biały mężczyzna. Plecami i głową opierał się o ścianę, a jego przymknięte powieki sprawiały wrażenie, iż jest pogrążony we śnie.

Tomek drgnął. Jakże dobrze znał tę piękną, męską twarz pełną stanowczości! Nie mógł go zmylić nawet długi, czarny zarost. To był jego ukochany przyjaciel — Jan Smuga, w którego poszukiwaniu przybyli w głąb Azji do tego ponurego, buddyjskiego klasztoru. Tomek, głęboko wzruszony, wolno zbliżył się do przyjaciela. Z wrażenia nie mógł wymówić słowa, więc tylko oparł dłoń na jego ramieniu.

Ten zaledwie uchylił powiek. Musiał być bardzo zmęczony, bo musnął wzrokiem postać stojącego przed nim "lamy" i cicho wypowiedział kilka słów w nieznanym języku.

"Nie poznał mnie" — pomyślał Tomek i nachyliwszy się do Smugi zawołał zrozpaczony:

— To ja, Tomek, czy pan mnie nie poznaje?!

Na dźwięk tego głosu Smuga poderwał się z poduszek. Spoglądał przenikliwym, zdumionym wzrokiem.

— Czy pan mnie nie poznaje? — ponowił Tomek zapytanie.

— Do diabła, ten mnich przemawia głosem Tomka — mruknął Smuga.

Nagłym ruchem ściągnął "uszastą" czapę z głowy domniemanego lamy. Zaledwie ujrzał płową czuprynę, porwał chłopca w ramiona. Długo ściskali się w milczeniu. W końcu Smuga ochłonął z wrażenia i rzekł:

— Poznałem cię jedynie po głosie. Od kiedy to zostałeś lamą? Gdzie ojciec, gdzie bosman i Pandit Davasarman?

Tomek odetchnął pełną piersią.

— Dzisiejszego wieczoru przybyliśmy do Hemis. Lamowie nie chcieli nas do pana zaprowadzić. Mówili, że pan czuwa przy konającym człowieku. Gdy wszyscy posnęli, wykradłem się z kwatery, aby pana odszukać, bo myślałem, że może będę mógł w czymś pomóc. Po drodze zabrałem śpiącemu lamie ten strój i myszkowałem po klasztorze tak długo, aż trafiłem tutaj.

Nikły uśmiech rozchmurzył twarz Smugi.

— Dawno nie widzieliśmy się, mój drogi, więc zapomniałem, że tobie nigdy nie brak oryginalnych pomysłów — powiedział. — Nie byłem przygotowany na taką niespodziankę. Lamowie spodziewali się, iż on umrze tej nocy, dlatego widocznie dopiero rano chcieli mnie zawiadomić o waszym przybyciu. Dla nich doczesne sprawy nie mają zbyt wielkiego znaczenia, aczkolwiek wiedzą przecież, iż oczekuję na was z wielką niecierpliwością.

Wskazał leżącego na matach mężczyznę i dodał ze smutkiem.

— To jest mój przyrodni brat, Tomku. Czy spostrzegłeś, iż nie ma obydwóch nóg? Zmarł przed trzema godzinami. Już nie męczy się dłużej...

— To bardzo przykre... Dlaczego pan go przywiózł w głąb Azji? — szepnął Tomek.

— Nie przywiozłem go do Hemis. On ściągnął mnie tutaj, lecz to długa historia.

Na dworze ozwało się przeciągłe, jękliwe, głębokie huczenie mosiężnych trąb. To lamowie z dachów świątyń oznajmiali wschód słońca.

— Już świta... Chodźmy do naszych towarzyszy. Wstali już zapewne i niepokoją się o ciebie — powiedział Smuga. — Mojemu bratu nie jesteśmy potrzebni. Dla niego skończyły się kłopoty.

— Czy pana brat był buddystą? — nieśmiało zapytał Tomek, zerkając na mnichów mamroczących modlitwy.

— Och nie! Po prostu przyzwyczaił się do lamów, którzy oddali mu wielką przysługę. Ponieważ otaczali go troskliwą opieką, więc nie chcę pozbawiać ich tej drobnej przyjemności. Niech w swój, nieco zabawny sposób modlą się za niego. Chodźmy, Tomku...

Smuga podszedł do łoża, pochylił się nad zmarłym. Łagodnym ruchem odgarnął długie włosy z czoła. Przez chwilę wpatrywał się w zastygłe rysy, potem cofnął dłoń, ujął Tomka pod ramię i wyprowadził go z celi.

Donośne huczenie trąb lamów przebudziło Wilmowskiego i jego towarzyszy. Oczywiście zaraz spostrzegli nieobecność Tomka. Zaniepokojeni tym ubierali się pospiesznie, gdy Tomek i Smuga weszli do kwatery.

— Oto i nasza zguba — zawołał bosman na widok wchodzących. — Jak tylko nie znaleźliśmy cię w betach, od razu pomyślałem, że postanowiłeś nabić w butelkę kręci-młynków i na własną rękę odszukać naszego kumpla. No i miałem rację! Nareszcie mamy pana Smugę!

Długo witali przyjaciela, a on nie mniej od nich cieszył się, ściskając ich serdecznie. Smuga opowiedział, jak nie poznał Tomka w przebrania buddyjskiego mnicha, z czego natychmiast skorzystał bosman, by zażartować:

— Miałem, moi panowie, zamiar wynająć jakiś jachcik i wypuścić się z Tomkiem na dłuższą morską wyprawę, ale teraz wolę z tego zrezygnować — mówił. — Bo skoro w Australii Tomek przystał do rozbójników, w Afryce przedzierzgnął się w murzyńskiego czarownika, w Ameryce został indiańskim wodzem, a teraz lama z niego jak się patrzy, to przecież gdybyśmy wyruszyli w morze, jak amen w pacierzu, zamieniłby się w wieloryba i tyle byśmy go już widzieli!

— Przestań żartować, bosmanie — skarcił go Tomek. — Przyrodni brat pana Smugi umarł tej nocy.

— Co ty gadasz, brachu? Czyżby po nieszczęsnym panu Abbasie teraz przyszła kolej na szanownego brata pana Smugi?! Ha, jeśli to nowa sprawka tego draba z blizną na gębie, to czas najwyższy dobrać się do jego skóry — zawołał do głębi oburzony marynarz. — Za dużo trupów pozostawiamy na naszej drodze podczas tej wyprawy!

— Janie, nigdy nie słyszałem od ciebie o twoim bracie! — wtrącił zaniepokojony Wilmowski. — Czy umarł naturalną śmiercią, czy też może to znów tragiczny wypadek?!

Smuga zdumiony spojrzał na podnieconych przyjaciół.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi?! — odezwał się po chwili zaniepokojony. — Czy może coś nieprzyjemnego przytrafiło się Abbasowi?

— Święta racja, przecież pan nic nie wiesz o tym — pospieszył z wyjaśnieniem bosman. — Ten biedak Abbas został zamordowany akurat wtedy, gdy wręczał nam list i depozyt. Zabił go drab o gębie przeciętej szeroką blizną.

Smuga oniemiał zaskoczony usłyszaną wiadomością. Wkrótce jednak gniewnie zmarszczył brwi i pytająco spojrzał na Pandita Davasarmana. Ten zapewne zrozumiał nieme pytanie.

— Zdałem już dokładną relację sir Younghusbandowi — odrzekł. — Obiecał zająć się odszukaniem mordercy. Nie ujdzie on karzącej ręki sprawiedliwości.

— Ej, panie Davasarman, przecież przy nas nie mówiłeś o tym z rezydentem — zaperzył się bosman.

— Zaraz po naszej wspólnej wizycie jeszcze raz odwiedziłem sir Younghusbanda — wyjaśnił Hindus.

Wilmowski opowiedział przebieg wypadków w Bombaju. Kończył właśnie mówiąc:

— Morderstwo dokonane na Abbasie, a potem przedłużająca się podróż twoim tropem, Janie, niepokoiły nas bardzo. Muszę nawet wyznać, że czasem byliśmy nieufni w stosunku do pana Pandita Davasarmana, za co teraz serdecznie przepraszamy.

— Faktycznie wyglądał nam pan trochę podejrzanie, ale prawda jak oliwa zawsze na wierzch wypływa. Teraz już zgoda między nami — dodał bosman. — Chyba nie będziesz się pan boczył na nas?

Pandit Davasarman złożył ręce jak do modlitwy, skłonił głowę i rzekł:

— Troska o przyjaciela jest dowodem szlachetności serca. Nie można się o to gniewać.

— To ja naraziłem was na niepokój, a Pandita Davasarmana na wasze podejrzenia — odezwał się Smuga. — Ostrożność nakazywała mi wstrzymać się z wszelkimi wyjaśnieniami. Niestety, nie przewidziałem, że nieszczęście zupełnie przypadkowo może dotknąć tego poczciwego Abbasa. Domyślam się, kto jest jego mordercą. Wy również za chwilę zrozumiecie wszystko. Opowiem historię mego brata. Należy wam się wyjaśnienie, w jakim celu prosiłem was o przybycie do Hemis.

— Teraz to już nic pilnego — powiedział Wilmowski. — Widzimy cię w zdrowiu, a o to przecież głównie nam chodziło. Janie, wyglądasz mizernie. Zapewne długo czuwałeś przy chorym? Może wypocząłbyś najpierw?

— Święte słowa, skoroś pan zdrów i cały, nie ma pośpiechu z wyjaśnieniami — dodał dobroduszny bosman.

— Wprawdzie nie spałem dwie noce, ale nie jestem zbytnio zmęczony — odparł Smuga. — Surowe górskie powietrze dobrze mi służy. Nawet to niebezpieczne drżenie dłoni ustało zupełnie[*]. Obecnie strzelam tak celnie jak dawniej.

— Wspaniała nowina! — zawołał uradowany Tomek.

— Wyśmienita! Musimy ją oblać butelczyną prawdziwej jamajki — dodał bosman.

— Doskonała myśl, bosmanie! Przy szklanicy oraz fajce łatwiej mi będzie opowiedzieć wam moją niezwykłą historię — zachęcił Smuga.

Zasiedli na matach. Bosman ochoczo napełnił kubki rumem, zapalili fajki. Smuga wydmuchnął kłąb błękitnego dymu, po czym zaczął mówić:

---

[*] . Podczas łowów w Afryce Smuga został zraniony zatrutym nożem, na skutek czego nabawił się drżenia prawej dłoni. Odtąd nie był pewny celności swych strzałów. Opis tego wydarzenia Czytelnik znajdzie w powieści pt. "Tomek na Czarnym Lądzie".

— Moja lakoniczna depesza sprawiła wam wiele niepokoju, wszakże zrozumiecie, że nie mogłem inaczej postąpić. Zamierzam udać się na bardzo ryzykowną wyprawę, której powodzenie, jak potwierdziło moje smutne wydarzenie w Bombaju, głównie zależy od zachowania całej sprawy w ścisłej tajemnicy. Dlatego też usilnie was proszę, abyście natychmiast zapomnieli o wszystkim, co wam powiem, jeśli oczywiście uznalibyście swój udział w wyprawie za niemożliwy.

— Możesz na nas liczyć, Janie — poważnie zapewnił Wilmowski. Inni potakująco skinęli głowami.

— Po śmierci matki odziedziczyłem trochę pieniędzy i wtedy to wyruszyłem na włóczęgę po świecie. Od czasu do czasu pisywałem listy do mego ojczyma i przyrodniego brata, którzy zamieszkiwali w Warszawie. Już około dwóch lat pracowałem u Hagenbecka, gdy nagle w 1887 roku Michał, mój przyrodni brat, został aresztowany za udział w tajnej organizacji polskiej. Wywieziono go na Sybir i wkrótce słuch po nim zaginął. Ojczym, zgnębiony losem Michała, zmarł w rok później. Byłem przekonany, że więcej już nie usłyszę o przyrodnim bracie. Kilka miesięcy temu nieoczekiwanie otrzymałem list z Indii. Po długich dwudziestu latach dowiedziałem się, że Michał, straszliwie okaleczony, przebywa w buddyjskim klasztorze w Hemis. W liście pisanym przez obcego człowieka usilnie prosił mnie o zachowanie w ścisłej tajemnicy wiadomości o jego odnalezieniu się w Indiach. Dlatego właśnie nie powiedziałem wam o tym i natychmiast udałem się w podróż do Hemis.

Po przybyciu do klasztoru ujrzałem mego biednego brata. Nie byłem już w stanie pomóc mu w czymkolwiek. Był to tylko strzęp dzielnego niegdyś człowieka. Z ogromnym wzruszeniem wysłuchałem jego niezwykłej historii. A było to tak.

W drodze na Syberię grupa zesłańców, w której znajdował się mój brat, spotkała wyprawę odkrywczą Piewcowa, udającą się do Azji Środkowej. Uczestniczył w niej polski geolog i podróżnik, Karol Bohdanowicz. Znał on mego brata, jako dobrze zapowiadającego się geologa, toteż za pośrednictwem Piewcowa, wyjednał przydzielenie go do wyprawy badawczej. Zaręczył, iż po zakończeniu badań skazaniec uda się dobrowolnie do miejsca zesłania. Wyprawa podążyła do Chińskiego Turkiestanu i w pogranicznych górach założyła bazę. Oczywiście Bohdanowicz, wbrew własnemu zaręczeniu, nie miał zamiaru namawiać brata do powrotu do miejsca zesłania. Toteż gdy w 1890 roku kończyli badania na północnym pograniczu Tybetu, doradził mu i ułatwił ucieczkę. Pewnej nocy brat zabrał objuczonego niezbędnymi zapasami konia i umknął z obozu. Zaszył się w dziczy górskiej. Po oddaleniu się wyprawy z okolicy przez długie lata wędrował po górach Ałtyn-tag.

Smuga wypił spory łyk jamajki, po czym mówił dalej:

— Zapewne pamiętacie doskonale dwóch poszukiwaczy złota, O'Donnellów, których Tomek uratował w Australii przed buszrendżerami[*]. Otóż tak jak oni w górach Nowej Południowej Walii, mój brat znalazł w górach Ałtyn-tag w strumieniu rodzime złoto,

---

[*] **. Buszrendżerzy — australijscy bandyci.**

naniesione przez wodę*. Przez kilka miesięcy wydobywał je własnymi rękami, po czym ukrył w bezpiecznym miejscu. Postanowił wrócić po skarb w liczniejszym gronie.

Przedtem jednak musiał wydostać się z mało znanego, dzikiego kraju. Oczywiście droga przez Rosję była dla niego zamknięta. W Turkiestanie Chińskim również nie mógł czuć się bezpieczny. Piewcow według wszelkiego prawdopodobieństwa rozgłosił tam o jego ucieczce. Wobec tego postanowił przejść przez Tybet do Kaszmiru. Z woreczkiem pełnym złota wyruszył w szaleńczy marsz. Trudno zrozumieć, w jaki sposób zdołał dotrzeć do granicy Ladakhu. Katastrofa zaskoczyła go dopiero w górach Karakorum już w pobliżu Hemis. Mianowicie trzej tybetańscy przewodnicy ujrzeli na śniegu na przełęczy jakieś tajemnicze ślady stóp, które według ich mniemania miał pozostawić legendarny stwór — Śnieżny Człowiek. Przesądni krajowcy odmówili dalszego towarzyszenia bratu, obawiając się ewentualnego spotkania z tym stworem.

Brat oczywiście nie wierzył w bzdurne przesądy. Był już jednak straszliwie wyczerpany ustawicznym czuwaniem, ponieważ przewodnicy od szeregu dni odmawiali dalszego udziału w wyprawie. Toteż pozwolił im odejść i sam ruszył ku Hemis oddalonemu zaledwie o dwa dni marszu. Jeszcze na przełęczy zaskoczyła go straszliwa burza śnieżna. Wkrótce padł mu jedyny juczny jak. Brat nie miał siły rozpiąć namiotu. Rankiem przypadkowo znalazł go pewien człowiek na wpół żywego, przysypanego śniegiem. W tym akurat czasie podążał tamtędy lama z klasztoru w Hemis. Zastał on Abdul Mahmuda, przekupnia z Leh, nad nieprzytomnym bratem. Razem przewieźli go do Hemis, gdzie na skutek odmrożenia trzeba było amputować mu obydwie nogi. Zaraz po odzyskaniu przytomności brat podyktował znającemu język angielski Mahmudowi list do mnie, adresowany do Hamburga na ręce pana Hagenbecka. Lamowie natychmiast wysłali pismo. Mahmud tymczasem nie oddalał się od ciężko chorego mego brata. Cierpliwie czekał na mój przyjazd. Wiedział, że brat wkrótce umrze. Wiedział również, że na przechowaniu u lamów znajduje się jego woreczek ze złotem.

— Czy Mahmud miał szeroką bliznę na twarzy? — zagadnął Tomek.

— Oczywiście, to on na pewno jest mordercą Abbasa — potwierdził Smuga. — Często widywałem go w Hemis. Prawdopodobnie śledził mnie potem w drodze do Bombaju, dokąd musiałem się udać w celu uzyskania zezwolenia władz na swobodne przekroczenie granicy podczas zamierzonej wyprawy. Zapewne miał zamiar napaść na mnie, ponieważ wiedział, że zabrałem z sobą część złota.

Jadąc do Bombaju, wstąpiłem do Alwaru, aby namówić mego przyjaciela, Pandita Davasarmana, do udziału w wyprawie i prosić go o pomoc w zdobyciu zezwolenia od władz angielskich. Bo muszę wam jeszcze wyjaśnić, że mój brat poinformował mnie o skarbie ukrytym w górach Ałtyn-tag oraz wręczył mi dokładny plan umożliwiający odnalezienie złota. Nieszczęśliwiec na łożu śmierci przez cały czas marzył o ofiarowaniu połowy skarbu towarzyszom niedoli zesłanym na Syberię. Dał mi nazwiska, adresy. Błagał, abym wydobył

---

* . Nowa Południowa Walia — jeden z 6 stanów Związku Australijskiego.

złoto z ukrycia i przekazał połowę według jego dyspozycji. Nie mogłem odmówić ostatniej, jedynej prośbie skazanego na śmierć tak mi bliskiego człowieka. Obiecałem wypełnić jego wolę.

Pandit Davasarman przez przyjaźń dla mnie zgodził się na udział w wyprawie. Razem udaliśmy się do Bombaju i to właśnie, jak obecnie się domyślam, pomieszało szyki knującemu złe zamiary Mahmudowi. Nie mógł dokonać napadu na nas dwóch, więc zapewne jak cień dążył za nami i szpiegował. W Bombaju nie zastaliśmy generała Mac Donalda, od którego należało uzyskać zezwolenie na wyprawę. Powiedziano nam, że przebywa w Delhi, wobec czego zaraz wyruszyliśmy w drogę. Mahmud musiał podpatrzyć, jak pozostawialiśmy dla was list i depozyt u Abbasa. Potem czekał tylko na sposobną chwilę, aby ukraść złoto.

— To jest bardzo prawdopodobne — dorzucił Wilmowski. — Wątpię jednak, czy on odważy się teraz na powrót do Leh. Będzie obawiał się, że ty i pan Pandit Davasarman zidentyfikujecie go jako mordercę Abbasa.

— Mahmud wiedział, że zabrałem od lamów tylko połowę złota — rzekł posępnie Smuga. — Tego niestety nie ukrywałem przed nim, bo przecież podstępnie wkupił się w łaski mego brata. To chytra sztuka. Zapewne pokusi się jeszcze o dostanie w swoje ręce drugiej połowy zawartości woreczka.

— Można by tu zaczaić się na niego — poddał bosman.

— Niech szlachetni sahibowie pozostawią tę sprawę sir Younghusbandowi — zauważył Pandit Davasarman. — Jestem pewny, że zdoła schwytać mordercę.

— Pandit ma rację. Younghusband potrafi wytropić go nawet pod ziemią — potwierdził Smuga. — Nie mówmy już więcej na ten temat... oczywiście do pewnego czasu. W Azji wszelkie wiadomości, a szczególnie intrygi, obiegają kraj lotem błyskawicy.

— Teraz już wiecie, dlaczego wezwałem was do Indii — dalej mówił Smuga. — Obawiałem się opisywać całą sprawę w liście. W celu odnalezienia skarbu należy przedrzeć się przez tereny należące do Rosji i Chin. Nawet nieumyślne rozgłoszenie wiadomości o zamierzonej wyprawie mogłoby okazać się szczególnie niebezpieczne dla ciebie, Andrzeju, oraz dla bosmana.

Prosiłem Pandita Davasarmana, aby w czasie drogi do mnie nie rozmawiał z wami na temat mego brata i wyprawy. Wiedziałem, że będziecie się niepokoili o mnie, lecz właśnie ten szczerze okazywany przy wielu okazjach niepokój, moim zdaniem, doskonale powinien ukrywać przed zbyt ciekawymi osobami właściwy cel naszego spotkania i Indiach. Niestety otrzymana w Delhi wiadomość o poważnym pogorszeniu się stanu zdrowia mego brata zmusiła mnie do natychmiastowego przyjazdu do Hemis. Z tego powodu nie mogłem czekać na was w Alwarze, jak to uprzednio planowałem. Wybaczcie mi więc tę może przesadną ostrożność i tajemniczość, lecz postępowałem tak jedynie przez wzgląd na wasze bezpieczeństwo.

Wszystko przygotowałem do drogi. Muszę jednak jeszcze raz uprzedzić, że wyprawa jest bardzo ryzykowna i zrozumiem was, jeśli nie zechcecie na nią pójść.

Smuga zaczął nabijać fajkę tytoniem. Wilmowski pierwszy przerwał kłopotliwe milczenie.

— Po rozmowie z sir Younghusbandem w Leh, który natarczywie wypytywał nas o rosyjskie dokumenty osobiste, przyszło mi na myśl, iż zamierzasz jakąś wyprawę na tereny należące do Rosji. Obecnie moje obawy potwierdziły się; to oczywiste szaleństwo, Janie. Linia graniczna pomiędzy Indiami a Rosją jest na pewno doskonale strzeżona przez obydwie strony. Wpadlibyśmy jak mysz w pułapkę.

— Ryzyko jest duże, aczkolwiek starałem się przewidzieć niebezpieczeństwo grożące podczas wyprawy — przyznał Smuga. — Poczyniłem nawet pewne kroki. Powinny one ułatwić nam wykonanie tego szalonego przedsięwzięcia. Władze angielskie w Indiach sprzyjają ekspedycji.

— Czy bezinteresownie? — zagadnął Wilmowski.

— O to nie można posądzać Anglików — odparł Smuga. — Oni są bardzo ciekawi wszystkiego, co się dzieje w Rosyjskim Pamirze i Chińskim Turkiestanie. Dlatego zgodzili się ułatwić przejście z Indii do Pamiru pod warunkiem, iż będzie mi towarzyszył ich wywiadowca. Pan Pandit Davasarman zgodził się na ochotnika i... mogłem przyjąć ten warunek.

— Powiem szczerze, towarzystwo angielskiego wywiadowcy powiększa jeszcze i tak już ogromne niebezpieczeństwo — stwierdził Wilmowski.

— To zależy jedynie od składu osobowego wyprawy. Wszyscy uczestnicy muszą przemykać się w obcych krajach w przebraniu. Jeżeli wszyscy również potrafią trzymać język na wodzy, niebezpieczeństwo nie będzie tak duże. Ruch na uczęszczanych od wieków traktach jest znaczny, łatwo się można prześliznąć. Natomiast na bezdrożach kilku dobrze uzbrojonych, pewnych ludzi da sobie radę. Pan Davasarman posiada kontakty w wielu krajach Azji Środkowej. Podjął się też roli przewodnika wyprawy.

— Czy przypadkiem nie trzeba będzie jechać przez góry? — zapytał bosman.

— I to przez nie byle jakie!

Bosman posmutniał, ciężko wzdychając.

— Proponujesz szaleństwo, Janie — spokojnie powiedział Wilmowski.

— Nie przeczę, lecz czym byłoby dla mnie życie bez takich szaleństw? Nie zależy mi na tym złocie. Nie pragnę go dla siebie. Mimo to muszę dotrzymać obietnicy danej bratu. Poza tym, czyż wszyscy badacze tych regionów byli mniej szaleni ode mnie? Podczas wyprawy na pewno dotrę do miejsc, których nie dotknęła dotąd stopa białego człowieka. To posiada dla mnie niezmierny urok i gotów jestem ponieść znaczne ryzyko.

Podniecony Tomek nie spuszczał oczu ze Smugi. Naraz podniósł się i stanął przed ojcem.

— Wyprawa jest naprawdę szaleńcza. Ty, ojcze, i pan bosman nie możecie w niej wziąć udziału, lecz mnie władze rosyjskie nie uczynią krzywdy. Legalnie opuściłem Polskę. Nie gniewaj się, ojcze, i nie miej żalu, idę z panem Smugą. Zawsze marzyłem o takiej wspaniałej wyprawie!

Wilmowski siedział zadumany. W końcu spojrzał synowi prosto w oczy.

— Nie mogę ci tego zabronić, Tomku. Na twoim miejscu uczyniłbym to samo.

Uradowany młodzieniec rzucił się ojcu na szyję, ściskał go i całował. Bosman pociągnął łyk jamajki.

— Góry, i to nie byle jakie, a pal je sęk! Pewno będziemy mieli okazję pomacać kogo po łepetynie. Idę z wami! Kiedy wyruszamy? — rzekł śmiejąc się rubasznie.

— No tak, pozostało tylko ustalić termin wyruszenia w drogę — odezwał się Wilmowski.

— Jak to, ojcze, czy naprawdę i ty chcesz pójść na tę szaleńczą wyprawę? — zawołał zdumiony Tomek.

— Oprócz pana Pandita Davasarmana będę w waszym towarzystwie drugim rozsądnym człowiekiem. Myślę, że przydam się wam podczas wyprawy — odpowiedział Wilmowski, uśmiechając się poważnie. — Kiedy wyruszamy, Janie?

— Jutro o świcie, jeśli nie jesteście zbyt zmęczeni — odparł Smuga.

— A więc jutro — potwierdził Wilmowski.

— Panowie, wznoszę toast za powodzenie wariackiej wyprawy — zawołał bosman, nalewając rumu do kubków.

GNIAZDO ROZBÓJNIKÓW

Przez przeszło trzy tygodnie uczestnicy "szaleńczej" wyprawy podążali z Hemis do Gilgit, najdalej na północ wysuniętego angielskiego posterunku, panującego nad wszystkimi przełęczami gór Hindukusz.

Niemal niemożliwe byłoby opisać przeżywane przez naszych podróżników dzień po dniu wszystkie trudy i niebezpieczeństwa, jakie napotykali na swej drodze.

Początkowo jechali traktem, którym przybyli z Szrinagaru do Leh. Dopiero za oazą Kargil, mniej więcej w połowie drogi, zboczyli na północ ku miasteczku Gilgit.

W Tomka notatniku podróży pojawiły się nowe nazwy: Chorbatla[*], osada Goma Hanu, mieścina Chorbat, Lunkha, Kapalu, Skardu, Bannok-la, Astor i Gilgit. Cały ten odcinek drogi, podzielony na trzydzieści dwa uciążliwe, niebezpieczne marsze, wynosił ponad pięćset kilometrów.

Już sama panorama roztaczająca się z siodła przełęczy Chorbat napełniała mężne serce bosmana Nowickiego uczuciem prawdziwego niepokoju. Za górskimi lodowcami, spełzającymi długimi językami, które łączyły się w potrzaskane szczelinami i zasypywane przez lawiny pola lodowe, wystrzelały ku niebu skaliste szczyty. Na północy groźnie piętrzył się łańcuch Karakorum z potężnym K 2[*], ustępującym wysokością jedynie najwyższemu szczytowi Ziemi — Mount Everest[*] w Himalajach[*]. Karakorum tworzy naturalną barierę pomiędzy Baltistanem i Chińskim Turkiestanem. Za przełęczą Chorbat, w osiedlu Goma Hanu, kończył się kraj buddystów. Dalej rozciągał się mahometański Baltistan, obramowany przez Himalaje, łańcuchy Hindukuszu, Karakorum i Wyżynę Tybetańską.

---

[*] . Chorbat-la (po tybetańsku "la" znaczy "przełęcz") znajduje się na wysokości 5089 m.

[*] . Angielscy topografowie nadawali różnym szczytom orientacyjne nazwy szyfrowe wedle kolejności pomiaru; np.: Karakorum 1 (K 1) itd. Poszczególne nazwy nadawane górze K 2 nie przyjęły się, dopiero w pierwszej połowie XX w. otrzymała ona nazwę krajową Czogori, czyli Góra Gór. Wysokość jej wynosi 8611 m.

[*] . Mount Everest (Czomolungma = Bogini Matka Gór) — najwyższy szczyt świata, ma 8848 m wysokości. Nazwa jego pochodzi od imienia hinduskiego topografa płk George'a Everesta, dyrektora Survey of India.

[*] . Himalaje — w języku sanskryckim: Hema Alaia, czyli Kraina Śniegu.

Chorbat-la zaśnieżona i mroźna, zdawała się być siedliskiem wszystkich złych wiatrów świata. Toteż podróżnicy poczuli się znacznie raźniej, gdy po zejściu z przełęczy arktyczna niemal okolica zmieniła się nie do poznania. Łagodniejsza od doliny Indusu dolina rzeki Szajok[*] witała ich subtropikalną zielenią. Tutaj w zacisznych głębokich dolinkach kwitły morele, czereśnie, orzechy włoskie, a grzędy pól uwieszone na zboczach żółciły się zbożem, groszkiem i lucerną. Kobiety kryły się przed podróżnikami w ulepionych z gliny domach bez okien, natomiast półnagie dzieci oraz mężczyźni, zawsze gotowi do drobnych usług, gromadzili się wokół obozowiska.

W Baltistanie niezbyt często napotykali skupiska ludzkie. Cała kraina nosiła jeszcze wyraźnie piętno rabunkowych najazdów wojowniczych Kandżutów oraz fanatycznych mahometan z sekty Suni.

Drogi, a raczej ścieżki górskie, wiodły przez gorące piaski, rumowiska i osypiska. Te ostatnie trzeba było czasem omijać, pnąc się na granie górskie, bądź też przemykać się ponad nimi po rusztowaniach zawieszonych u zboczy skalnych. Podróżnicy nie tracili zbyt wiele czasu na wypoczynek.

Warunki atmosferyczne pogarszały się i lada tydzień mogły uczynić Baltistan na długi czas całkowicie niedostępny. Wobec tego spieszyli się, aby uniknąć przykrych, a nawet groźnych niespodzianek.

Z doliny rzeki Szajok znów przeszli w dziką dolinę Indusu. W Skardu przeprawili się na drugi brzeg rzeki na gupsarach, to jest tratwach, sporządzonych z nadętych powietrzem kozich skór, przykrytych lekkimi drewnianymi rusztowaniami. Kilka godzin odpoczywali w dawnej stolicy Baltistanu. Była to mała osada o kilkudziesięciu glinianych domkach i bazarze, wobec których prawdziwie imponująco wyglądał zbudowany na skale wojskowy fort otoczony murem z wieżycami.

Po opuszczeniu osady podróżnicy wkrótce zaczęli zbliżać się do przełęczy Bannok. Na zboczach górskiego pasma zieleniły się sosny, wiązy i jałowce, lecz w górach i na przełęczy szalała śnieżna zawieja. Odetchnęli lżej dopiero w pobliżu Astor, gdzie zaczęli schodzić z gór ku drodze wiodącej do Gilgit. Szczególnie bosman Nowicki poczuł się raźniej, gdyż za chwilę kończyła się karkołomna jazda. Na nocleg zatrzymali się niemal na progu szerokiej, posępnej doliny. Podczas gdy wysoko w górach panowała surowa zima, tutaj w dolinie trwało upalne lato. U podnóża górskich zboczy kwitły róże, storczyki i bławatki.

Czas do zapadnięcia zmroku podróżnicy spędzili bardzo pracowicie: napełniali wory świeżą wodą, gromadzili paszę dla koni i drzewo na opał, albowiem dolina Astor była w rzeczywistości kamienistą, jałową, dziką pustynią, pod każdym względem niegościnną tak dla ludzi jak i zwierząt.

Wczesnym wieczorem udali się do namiotów na spoczynek. Noc na pustkowiu minęła spokojnie. Zaledwie różowy świt wkradł się w dolinę, w pobliżu obozowiska rozbrzmiały

---

[*] . Szajok — Shayok.

strzały karabinowe. Tomek i jego towarzysze natychmiast zerwali się z posłań. Z bronią w ręku co prędzej wybiegli z namiotów.

Huk strzałów nadal rozbrzmiewał w górach. Zaniepokojeni spojrzeli w tamtym kierunku.

Z przełęczy po stromym stoku zjeżdżał na koniu samotny jeździec. O dwieście lub trzysta metrów za nim gnali dwaj inni i gdy tylko wyłaniał się zza załomów skalnych, natychmiast prażyli do niego z karabinów.

— Do licha, zabiją go ci zbóje! — zawołał Wilmowski, przyjrzawszy się nierównej walce.

— Zamiast się bezczynnie gapić, panowie, wspomóżmy słabszego — pospiesznie doradził bosman.

— Wybiegniemy mu naprzeciw i powstrzymamy napastników — gorączkował się Tomek.

Pandit Davasarman w milczeniu przyglądał się przez lornetkę pościgowi. Po czym schował ją do futerału i jak zwykle opanowany, rzekł:

— Przede wszystkim powinniśmy się przekonać, po czyjej stronie jest prawo. Nie zawsze słabszy ma słuszność. Wobec tego proponuję najpierw zatrzymać uciekającego, a potem razem z nim poczekać na pościg. Wtedy z łatwością dojdziemy prawdy.

— Święta racja, szanowny panie — przyznał bosman. — Bierzmy się do dzieła.

Zanim jednak zdążyli wmieszać się do walki, uciekający powstrzymał konia, zeskoczył z siodła i podparłszy broń na głazie, strzelił. Jeden z pędzących za nim wierzchowców stanął dęba, po czym upadł na bok i zaczął staczać się po stoku góry. Niefortunny jeździec w ostatniej chwili ześliznął się z grzbietu rumaka. Tylko dzięki głazowi na skraju drożyny uniknął upadku w przepaść.

Uciekający znów dosiadł swego wierzchowca i pognał ku dolinie, co chwila oglądając się za siebie.

— Cwana sztuka! — z uznaniem zauważył bosman. — Teraz chyba da sobie radę ze zbójami.

— Zuch z niego, wyrwie się pogoni — powtórzył Tomek.

— Musimy go zatrzymać — stanowczo powiedział Smuga. — Nie mam zaufania do ludzi, którzy w tak rozległym dzikim kraju zabijają konie.

— Cóż miał robić? Ich jest dwóch, a on jeden — oburzył się Tomek.

— Szlachetny młody sahibie, nie bierz przedwcześnie niczyjej strony — spokojnie powiedział Pandit Davasarman. — Osaczmy go tak, aby nie mógł nam się wymknąć.

— Ruszcie wszyscy tyralierą naprzeciw niego — szybko zadecydował Smuga. — Natomiast ja z bosmanem ukosem podbiegniemy do stoku góry. Gdyby próbował wyminąć was, wpadnie wprost w nasze ręce.

Przewidywania Smugi sprawdziły się niebawem. Jeździec, ujrzawszy przed sobą kilku uzbrojonych mężczyzn, bez chwili wahania skierował swego konia wzdłuż stoku góry.

Dwóch goniących, na widok tego, co działo się w dolinie, zaczęło raz po raz strzelać w powietrze, jakby chcieli zwrócić na siebie uwagę nieoczekiwanej pomocy.

Zaledwie Smuga to spostrzegł, zawołał do biegnącego obok niego marynarza:

— Bosmanie, ten zuch nie może nam umknąć! Jeśli nie usłucha naszego wezwania, strzelaj i.... mierz dobrze!

— Aj, aj, kapitanie! Lubię męską decyzję, polegaj na mnie — ochoczo odkrzyknął bosman i wielkimi susami wyprzedził swego towarzysza.

Mimo olbrzymiego cielska był zwinny jak sarna. Dobiegł do stoku góry, zanim jeździec zdążył ich minąć. Zagrodził mu drogę trzymając broń w pogotowiu. Uciekający, zaskoczony jego widokiem, wypalił pospiesznie z karabinu, po czym zboczył w górę na stok.

Kula bzyknęła w pobliżu głowy bosmana.

— O, draniu! Potrafisz kąsać — krzyknął marynarz.

Błyskawicznie przyłożył karabin do ramienia. Huknął strzał. Koń uciekiniera upadł, a następnie potoczył się po stoku. Powlókł za sobą jeźdźca.

Bosman podskoczył ku niemu.

Jeździec zdołał w końcu uwolnić swą stopę ze strzemienia. Trochę oszołomiony podniósł się z ziemi. Ujrzał bosmana. Padając zgubił karabin, lecz nie był jeszcze zupełnie bezbronny. Zdecydowany na wszystko wydobył zza pasa długi nóż.

Bosman zatrzymał się o kilka kroków przed nim. Ujrzał na jego twarzy szeroką bliznę. Natychmiast skierował lufę swego karabinu wprost w pierś przeciwnika.

— Rzuć nóż i łapy do góry — rozkazał ostro.

Może uciekinier nie usłuchałby rozkazu, ale w tej samej chwili Smuga ukazał się zza krzewów.

— Ręce do góry, Abdul Mahmudzie, lub strzelam! — ostrzegł stanowczym głosem.

Po krótkim wahaniu Mahmud rzucił nóż na ziemię i podniósł w górę dłonie.

— Czego chcecie ode mnie?! — krzyknął z trudem tłumiąc wściekłość.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał Smuga podchodząc bliżej ku niemu.

— Nie znam ciebie, przeklęty niewierny! — zaprzeczył Mahmud.

— Czy mego brata również nie znałeś?

Zanim mógł odpowiedzieć, nadbiegli Pandit Davasarman, Wilmowski, Tomek i hinduscy żołnierze. Pandiy Davasarman dał znak, aby wszyscy cierpliwie czekali na nadejście pogoni. Wkrótce też ścigający, jeden na koniu, drugi pieszo, zbliżyli się do nich. Teraz zdjęli białe burnusy z kapturami, pod którymi uprzednio kryli mundury armii maharadży Kaszmiru. Stanęli przed Panditem Davasarmanem na baczność.

— Dzielnie spisaliście się, ptaszek wpadł w sidła, a nam przecież tylko o to chodziło — pochwalił Davasarman. — Co macie z nim zrobić? Jaki jest rozkaz sir Younghusbanda? Czy zabierzecie go z sobą do Leh?

— Ukarzemy go według miejscowego zwyczaju — odparł jeden z żołnierzy.

— Słusznie, szkoda dla niego kuli. Wykonujcie swoją powinność.

Żołnierze przystąpili do schwytanego. Jeden z nich odezwał się:

— Abdul Mahmudzie, jesteś aresztowany za morderstwo dokonane w Bombaju na pracowniku linii okrętowej. Ukradłeś również własność obecnych tu sahibów. Zwróć im ją, zanim zostaniesz ukarany.

— Nigdy nie dostaniecie już tego złota, przeklęci... — warknął Mahmud.

— Zrewidować go! — rozkazał Pandit Davasarman.

Żołnierze nic nie znaleźli przy Mahmudzie. Nie tracąc dłużej czasu Pandit Davasarman polecił nałożyć mu więzy i wszyscy razem powrócili do obozu.

— Co macie zamiar z nim uczynić? — zapytał Wilmowski Davasarmana.

— Wkrótce przekonasz się, szlachetny sahibie. Bądź spokojny, poniesie zasłużoną karę.

W pół godziny później jechali dalej posępną doliną Astor. Nowy szlak, ukończony zaledwie przed kilkoma laty, biegł między dwoma starymi gościńcami. Na każdym z nich nawet para mułów nie mogła się wyminąć. W lecie panował tutaj upał nie do zniesienia, zaś w zimie trakt stawał się zupełnie niedostępny z powodu nagłych, bardzo zimnych wiatrów, burz śnieżnych i mrozów. W ten sposób Gilgit przez dwie trzecie roku pozostawało całkowicie odcięte od Kaszmiru. Zapuszczając się w groźną dolinę Astor, karawany musiały zabierać wodę, paszę dla zwierząt i opał. Jako widomy znak niebezpieczeństwa często bieliły się przy drodze szkielety ludzkie i zwierzęce.

Po kilku godzinach marszu Pandit Davasarman zboczył nad bryzgający białymi pianami Indus. Obydwaj kaszmirscy żołnierze nadmuchiwali powietrzem gupsar, po czym rozwiązawszy ręce Mahmudowi, zmusili go do wejścia z worem umocowanym na sznurze w nurt rzeki.

Pandit Davasarman stał na brzegu z karabinem gotowym do strzału. Mahmud poszarzały na twarzy desperacko walczył z ostro rwącym nurtem rzeki. Dzięki temu, że gupsar uwiązany był na linie, zdołał jakoś uniknąć rozbicia o ostre głazy. Wkrótce wyczerpany wydostał się na przeciwny stromy brzeg. Wtedy żołnierze z powrotem przyciągnęli zaimprowizowaną tratwę.

Biali podróżnicy w milczeniu przyglądali się niezwykłej scenie. Mahmud przykucnął na głazie po drugiej stronie rzeki.

— Cóż to ma znaczyć, panie Pandicie Davasarman? Czy macie zamiar zostawić tego łotra na wolności?! To ma być kara za niecne morderstwo? — zdziwił się bosman.

— Uspokój się, szlachetny sahibie — odparł Davasarman. — Spotkała go okrutniejsza kara, niż myślisz. Według miejscowego zwyczaju, obowiązującego od wieków, skazańców przyprowadza się w tę okolicę, by pozostawić ich tutaj na drugiej stronie rzeki własnemu losowi. Dotąd żaden z nich nie zdołał stamtąd umknąć. W tym dzikim, niedostępnym i jałowym kraju bezbronny człowiek musi zginąć z głodu lub też dostaje się w ręce nie mniej dzikich krajowców, którzy zabiją go bądź sprzedadzą w niewolę. Nie na darmo przecież ten kraj zwie się często Syberią Kaszmiru...

— Ha, skoro tak, to Bóg z nim! Zasłużył sobie na to — mruknął dobroduszny bosman i zaraz odwrócił uwagę, by nie patrzeć na samotnego człowieka, siedzącego na przeciwległym brzegu.

Kaszmirczycy, wynagrodzeni przez Smugę, otrzymali ponadto od Pandita Davasarmana jednego konia w zamian za zabitego i zaraz wyruszyli w powrotną drogę do Leh. Nasi podróżnicy natomiast zapuścili się dalej w dolinę Astor. Wkrótce znaleźli się w Dardistanie, obejmującym dwa dominia maharadży Kaszmiru: Astoria i Gilgi, a także dwa małe chanaty Hunzów i Nagarów oraz niepodległą republikę Yasin.

Podczas drogi Pandit Davasarman wyjaśnił swym towarzyszom, w jaki sposób doszło do nieoczekiwanego przez nich schwytania Abdul Mahmuda. Otóż sir Younghusband przypuszczał, że morderca nie zadowoli się podstępnie ukradzioną częścią złota. Według zdania rezydenta chciwość powinna go zmusić do pokuszenia się o zdobycie reszty własności Smugi. Żeby dokonać tego, Mahmud musiałby tropić swą ofiarę, w nadziei, że w dzikich pustkowiach łatwiej uda mu się posiąść cały łup. Dlatego też sir Younghusband polecił dwom wytrawnym wywiadowcom udać się za karawaną podróżników. Jedynie Pandit Davasarman powiadomiony był o zamiarze sir Younghusbanda, by w odpowiednim momencie mógł przyjść z pomocą pościgowi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności morderca został schwytany i surowo ukarany.

Przez szereg dni biali podróżnicy pozostawali pod wrażeniem tego wydarzenia. Im bardziej poznawali dzikość kraju oraz im więcej dowiadywali się o jego rozbójniczych mieszkańcach, tym mniej zaciętości odmalowywało się na ich twarzach na wspomnienie Abdul Mahmuda — tajemniczego człowieka z blizną na twarzy.

Gilgit witało ich sadami dojrzewających brzoskwiń i purpurowymi od gron winnicami. Sąsiedztwo i opieka garnizonu wojskowego umożliwiały ludności osiadłe życie. Mężczyźni prezentowali się tutaj nieco okazalej, a kobiety nie zakrywały twarzy welonami i nie stroniły od przybyszów.

Karawana zatrzymała się w pobliżu angielskiej agencji, umieszczonej w willi w uroczym ogrodzie.

— Do stu beczek zjełczałego tranu, nie spodziewałem się, że w tym piekielnym kraju ujrzę jeszcze taki sielski obrazek — odezwał się bosman, zsiadając z konia.

— Przeżyliśmy dwadzieścia pięć dni straszliwej mordęgi — odpowiedział Tomek. — Mamy już jednak kawał drogi poza sobą.

— Ładna mi pociecha — ironizował bosman. — Nie patrz za siebie, lecz przed siebie, a zrzednie ci mina!

Tomek uśmiechnął się, spojrzawszy na otaczające ich zewsząd skalne masywy. Nim minęła godzina, rozjuczyli konie, odprowadzili je do stajni, po czym sami zasiedli przy długim stole w prymitywnie urządzonej oberży. Wszyscy byli bardzo zmęczeni, wobec czego zaraz po posiłku udali się na spoczynek.

Następnego ranka Smuga i Pandit Davasarman, przebrani i odświeżeni, udali się z wizytą do angielskiego rezydenta w Gilgit. Ich towarzysze pozostali w oberży, ponieważ nie goląc za radą Smugi zarostów na twarzach, woleli nie pokazywać się na ulicach miasteczka.

Oficjalna wizyta musiała zapewne przemienić się w poufną, długą naradę, ponieważ obydwaj kierownicy ekspedycji powrócili dopiero około południa. Zaraz też polecili podać obiad w zacisznej izbie, aby móc bez przeszkód porozmawiać z przyjaciółmi. Gdy służba wniosła posiłek, Smuga zamknął drzwi i dopiero wtedy odezwał się ściszonym głosem:

— Przynoszę dobre wiadomości, sir Younghusband dotrzymał słowa. Na jego polecenie tutejszy rezydent sprytnie przygotował przemycenie nas przez granicę. Za dziesięć dni będziemy w Rosyjskim Pamirze, skąd łatwo już przedostaniemy się do Chińskiego Turkiestanu.

— W jaki sposób przekroczymy granicę Pamiru? — zapytał Tomek, obrzucając Smugę błyszczącym z podniecenia wzrokiem.

— Będziemy eskortowali karawanę przemytników — wyjaśnił Smuga. — Oni znają najbardziej pewne przejścia. W Pamirze włączymy się jako goście do orszaku weselnego, który akurat będzie wtedy przejeżdżał w pobliżu granicy.

Bosman zarechotał basem, podczas gdy Tomek niecierpliwie indagował:

— Po co nam ta heca z weselem? Czy nie lepiej, abyśmy jak najmniej zwracali na siebie uwagę?

— Pochwalam ostrożność Tomka. Oberżysta mówił mi, że obecnie w Pamirze nie jest zbyt spokojnie — zauważył Wilmowski.

Teraz z kolei Smuga cicho roześmiał się, a potem powiedział:

— I ty, i Tomek mielibyście rację, lecz w tym szczęśliwym przypadku oblubienica jest Kirgizką*. Wy przecież nie wiecie, w jaki sposób odbywa się kirgiskie wesele. Otóż, moi drodzy, przeprowadzenie panny młodej do domu męża jest nie byle jaką uroczystością, bowiem orszak weselny przewozi jednocześnie posag oblubienicy. Nikt nie zwróci uwagi na naszą małą karawanę, gdy wmieszamy się między juczne zwierzęta niosące toboły z dobytkiem młodej pary. Z domu weselnego niedaleko już do granicy Chińskiego Turkiestanu. Toteż potem odjedziemy bez przeszkód razem z gośćmi weselnymi. W ten sposób zmylimy zaostrzoną czujność posterunków rosyjskich.

— Jak amen w pacierzu, nikt by tego lepiej nie wykombinował — zdumiał się bosman.

— Hm, pomysł naprawdę wydaje się dobry — przyznał Wilmowski.

— Dobry?! To za mało, jest wprost doskonały — entuzjazmował się Tomek.

Pandit Davasarman z zaciekawieniem przysłuchiwał się rozmowie. Wilmowski spojrzał na niego. Na twarzy Hindusa błąkał się zagadkowy uśmiech. Wilmowski zmarszczył brwi, jakby sobie przypomniał coś nieprzyjemnego.

---

* . Kirgizi zamieszkują głównie w Kirgiskiej SRR, graniczącej z Tadżycką SRR, która obejmuje także Pamir.

— Janie, a co będzie przewoziła eskortowana przez nas karawana przemytników? — zapytał po chwili.

— Część posagu panny młodej, to jest kaszmirskie dywany, wojłoki i szale — odparł Smuga.

— Widzę, że weźmiemy udział w weselu jakiejś zamożnej kirgiskiej rodziny, skoro stać ją na bogaty posag. Zastanawia mnie fakt, iż weselnicy chcą mieszać się w niebezpieczne sprawy. Chyba nie czynią tego z sympatii dla nas?

— Oni specjalnie tak ustalili termin wesela, aby móc osłonić przed Rosjanami przerzut przemytu.

— Czyżby dywany i szale przedstawiały dla nich tak niezwykłą wartość? — dopytywał się Wilmowski.

— Nie mylisz się, szlachetny sahibie. Stanowią one dar thuma, czyli króla Hunzów, dla pana młodego — wtrącił Pandit Davasarman.

— Rzecz oczywista, iż za wspaniałomyślnością thuma Hunzów kryją się sprytni Anglicy — poufnie dodał Smuga.

— Kim wobec tego jest ów pan młody? — dziwił się Wilmowski.

— Panem młodym jest Naib Nazar, wnuk słynnego Sachib-Nazara[*] — wyjaśnił Pandit Davasarman.

— Nie słyszałem o takiej osobistości w historii Azji Środkowej — powiedział Wilmowski. — Z jakiego powodu stał się tak sławny?

— Sachib-Nazar był nadzwyczaj zuchwałym rozbójnikiem pamirskim. Ograbiał nie tylko kupieckie karawany, lecz napadał również na mieszkańców sąsiednich krajów. Łupił i brał w jasyr nawet rosyjskich Kirgizów w dolinie Wielkiego Ałtaju — wyjaśnił Davasarman, tłumiąc wesołość na widok zaskoczenia malującego się na twarzach towarzyszy.

— No, no, w niezłej kompanii pojedziemy na wesele — mruknął bosman. — Całe szczęście, że chyba nie będziemy musieli trzymać z nimi dzieci do chrztu...

— Czy ten Naib Nazar również uprawia zbójecki proceder? — zaciekawił się Tomek.

— W każdym razie już nie tak jawnie, jak jego dziadek, gdyż miałby do czynienia z Rosjanami, panującymi obecnie w Pamirze[*] — odpowiedział Smuga nie mniej rozbawiony od Pandita Davasarmana.

— Czy to nie podejrzane, że zazwyczaj skąpi Anglicy ofiarowują kosztowne upominki potomkowi pamirskiego zbója? — zauważył Wilmowski.

— Cóż w tym dziwnego? Widocznie opłaca się im popierać wszelkie niespokojne elementy w kraju sąsiada-konkurenta, jakim niewątpliwie w Azji Środkowej jest dla nich

---

[*] . Sachib-Nazar oraz jego synowie byli słynnymi, krwawymi rozbójnikami pamirskimi w ostatnich latach XIX w. Posiadali rozległą siatkę wywiadowczą tak w rosyjskiej Ferganie, jak i w Szrinagarze, dzięki czemu wiedzieli o każdej bogatszej karawanie wyruszającej w drogę. Gen. Grąbczewski w znacznej mierze przyczynił się do likwidacji przestępczej bandy w Ferganie, gdzie za pieniądze angielskie często wszczynała fermenty.

[*] . Rosjanie zajęli Pamir w 1891 r. Obecnie wchodzi w skład Tadżyckiej SRR.

Rosja — odparł Smuga. — Nic nam jednak do tego, skoro, jak powiedział bosman, nie będziemy kumotrami, ani jednych, ani drugich.

— Gdzie spotkamy się z karawaną przemytników? — zapytał Wilmowski.

— Wyruszy ona z Baltit, siedziby króla Hunzów. On właśnie jest oficjalnym ofiarodawcą ślubnego podarunku.

— A więc idziemy do kraju zbójów oraz łowców niewolników, bo przecież Hunzowie i Nagarzy, zwani Kandżutami, byli postrachem wszystkich ludzi mieszkających między Afganistanem a Jarkendem — niechętnie rzekł Wilmowski. — Musimy pilnie czuwać, aby nam nie spłatali jakiegoś figla.

— Bądź spokojny, szlachetny sahibie, znajdujemy się pod opieką Anglików, którzy od chwili pokonania Kandżutów zdobyli sobie u nich niejakie wpływy — wtrącił Pandit Davasarman. — Przechodziłem już dwukrotnie przez ten dziki kraj i znam Nazim Chana, króla Hunzów. Tym niemniej zachowamy konieczną ostrożność.

Na tym skończyła się rozmowa, choć Wilmowski podejrzewał, że Pandit Davasarman nie zdradził im wszystkiego, co wie o podejrzanym przemycie. Zamyślony kurzył fajkę i z coraz większym niepokojem spoglądał na towarzyszy z zapałem czyszczących broń.

Przez trzy dni trwały przygotowania do drogi. Smuga i Pandit Davasarman z niezwykłą starannością dokonywali przeglądu sprzętu obozowego, miał on bowiem służyć im aż do końca wyprawy. Przede wszystkim zakupili w Gilgit dwa namioty o podwójnie szytych ściankach, zapewniających utrzymanie wewnątrz wyższej temperatury i ciepłe worki do spania, używane przez uczestników wypraw wysokogórskich. Oprócz tego przygotowali dwie maszynki do gotowania, zapas paliwa do nich, żywność, tytoń, dwa lekkie oskardy, trzy łopaty, latarki na świece i inne drobiazgi, konieczne w niezamieszkałych okolicach. Było to raczej skromne wyposażenie jak na wielotygodniową wyprawę, ale Pandit Davasarman odradzał obciążać się zbyt dużym bagażem. Jego zdaniem powodzenie wyprawy zależało w dużej mierze od szybkiego przemknięcia się przez Pamir i Chiński Turkiestan aż za miasta Chotan i Kerija[*], leżące u stóp gór Kunlun oraz ich odnogi — Ałtyn-tag. Bardzo obciążone juczne konie uniemożliwiałyby pospieszne marsze, co było niewskazane, a w Chotanie i Keriji mogli uzupełnić zapasy żywności.

Za radą Smugi wszyscy uczestnicy ekspedycji mieli odtąd podawać się za kupców z Chińskiego Turkiestanu. W związku z tym europejskie ubrania zmienili na długie, podbite futrem kaftany, płaskie, okrągłe, obramowane futrem czapki oraz wysokie kamasze z miękko wyprawionej skóry. Sporo kłopotu nastręczało zdobycie odpowiedniego rozmiarami odzienia dla niezwykle rosłego bosmana, ale w końcu przy pomocy miejscowego krawca udało się im

[*] . Chotan (Khotan) i Kerija (Keriya) — miasta leżące w oazach Kotliny Kaszgarskiej, która łącznie z oddzieloną od niej górami Tien-szan Dżungarią tworzy chińską prowincję Sinkiang. Tędy przez tzw. "Wrota Dżungarskie" wiedzie z Chin na zachód karawanowa "droga jedwabna" przez miasta: Chotan, Jarkend i Kaszgar.

należycie przystroić marynarza. Ubiór oraz zarosty na twarzach zmieniły ich nie do poznania, toteż Smuga zacierał dłonie z zadowolenia i rokował wyprawie pomyślny przebieg.

Oprócz tego, co włożyli na siebie, zabrali jeszcze trochę ciepłej bielizny i grube, filcowe buty, jako najbardziej odpowiednie do chodzenia po śniegu. Resztę przywiezionych z Europy osobistych rzeczy spakowali oddzielnie, by odesłać je do Szrinagaru, gdzie miały oczekiwać ich powrotu.

Przed opuszczeniem Gilgit Tomek napisał list do Sally. Informował ją tylko, iż po spotkaniu ze Smugą wyruszają na daleką wyprawę, wobec czego nie powinna się niepokoić, jeżeli przez kilka miesięcy nie otrzyma od niego wiadomości. Solennie przyrzekł opowiedzieć jej wszystko po powrocie do Anglii.

Czwartego dnia po przybyciu do Gilgit opuścili miasteczko jeszcze przed wschodem słońca, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę mieszkańców. Po godzinnej jeździe wzdłuż rzeki Gilgit znaleźli się w miejscu, gdzie wpada do niej rzeka Hunza, zwana również Kandżutem. Państewka Nagarów i Hunzów leżą właśnie w odgałęzieniach górnej części doliny Hunzy, toteż karawana zboczyła wzdłuż jej biegu. Wschodzące słońce ukazało oczom podróżników dziką dolinę, otoczoną zewsząd granitowymi masywami górskimi. Droga umożliwiała względnie szybkie posuwanie się karawany, choć w niektórych miejscach należało przechodzić przez spełzające z gór wprost do rzeki języki lodowców.

Im dalej jechali, tym dolina Hunzy stawała się groźniejsza, a zarazem wspanialsza. Coraz to na niemal niedostępnych turniach dostrzegali obronne bastiony, niczym średniowieczne zamczyska. Nie tak jeszcze dawno w tym wojowniczym kraju ognie palone na szczytach górskich oznajmiały rozpoczęcie działań wojennych. Pandit Davasarman był w tych stronach, gdy Brytyjczycy dokonali ostatecznego podboju Nagaru i Hunzy. Teraz, korzystając z wolnego czasu, opowiadał towarzyszom o alpinistycznych wyczynach oddziału ekspedycyjnego podczas zdobywania* szturmem trudno dostępnych stanowisk obronnych.

Na nocleg zatrzymali się u podnóża fortu Chalt, zajmowanego przez oddział kaszmirskich sipajów. Następnego dnia około południa, zbliżali się już do stolic dwóch królestw, leżących na przeciwnych brzegach rzeki. Teraz co kilka kilometrów napotykali osady Hunzów, umocnione murami z obronnymi wieżami. W pobliżu osad w zacisznych dolinach każdą piędź ziemi wykorzystywano pod uprawę. Jakże niezwykły kontrast z śnieżno-lodową górską panoramą stanowiły dolinki o kwitnących sadach! Dawniej, w niespokojnych czasach, wieśniacy kandżuccy na noc chronili się za mury osad, teraz zamieszkiwali obok swych poletek w pozbawionych okien domkach o płaskich dachach, pokrytych gliną zmieszaną z drobno pociętą słomą. Kandżuckie domki były charakterystyczne, mianowicie dzienne światło doprowadzano do ich wnętrza przez wycięty w środku dachu duży, gwiaździsty otwór. We wszystkich wioskach spotykało się miniaturowe meczety. Większość ciężkich prac wykonywały kobiety, natomiast mężczyźni przeważnie

* . Państewka Hunzów i Nagarów zostały pokonane przez wojskową ekspedycję Brytyjczyków w 1891 r.

siedzieli w podcieniach domów i palili fajki. Mężczyźni, a nawet i starsi chłopcy nosili handżyry, długie, zakrzywione noże oraz okute żelazem pałki.

Podróżnicy minęli Nagar, ufortyfikowaną osadę z wielkimi wieżycami, po czym przez drewniany, chwiejący się pod końskimi kopytami most przejechali na drugi brzeg rzeki Hunzy, kierując wierzchowce ku doskonale widocznej na tle niebotycznych skał stolicy Hunzów, miastu Baltit.

— Ho, ho, nieźle musieli napocić się Anglicy, zanim zdobyli to rozbójnicze gniazdo — zawołał Tomek, ujrzawszy wysoko wśród skał obronny zamek.

— Teraz chyba zrozumiałeś, sahibie, dlaczego Anglicy tak bardzo obawiali się rosyjskich wpływów w Kandżucie. Gdyby Rosjanie dostarczyli Kandżutom nowoczesnej broni i amunicji, Baltit byłby nie do zdobycia — wtrącił Pandit Davasarman. — Kandżut dzięki swemu położeniu jest jakby naturalną fortecą. Zewsząd otaczają go przepaściste góry i śnieżno-lodowe, ogromne pustynie. Od strony południowej, a więc z Kaszmiru do Baltit można dotrzeć jedynie doliną rzeki Hunzy wpadającej do Gilgit, lecz ta na pozór obecnie dość wygodna droga dostępna jest jedynie przez kilka miesięcy w roku. Na wiosnę rzeka zasilana wodą z topniejących lodowców gwałtownie wzbiera i zalewa całą dolinę, odcinając ją zupełnie od Kaszmiru. Wtedy jedynie kozice oraz wytrawni alpiniści mogą pokusić się o przejście karkołomnych, skalnych ścieżyn.

— Skoro tak jest, to i Rosjanie mieli równie trudny dostęp do Kandżutu — zauważył Tomek.

— Mylisz się, sahibie — zaoponował Pandit Davasarman. — W górze doliny, a więc od strony północnej, istnieje szereg stosunkowo łatwych przejść przez góry Hindukusz do Pamiru oraz Chińskiego Turkiestanu. Tym samym Rosjanie znajdują się w dogodniejszym położeniu od Anglików.

— Właśnie z jednego z tych przejść i my skorzystamy — dodał Smuga.

Wierzchowce wolno podchodziły w górę, z terasy* na terasę. Niby potężne naturalne stopnie, wiodły one do otoczonego murem miasta. Ponad nim wznosiła się rozległa, pięciopiętrowa twierdza, zbudowana z kamieni, drzewa i suszonego w słońcu błota. Na tarasach zieleniły się uprawne pola i sady. Kobiety pracujące na polach, szczelnie opatulone w chusty, odwracały się na widok obcej karawany. Natomiast mężczyźni śmiało zaglądali jeźdźcom w oczy. Byli odziani w długie, wełniane suknie choga, przepasane szerokimi pasami, w bawełniane koszule i spodnie oraz w łapcie z nie wyprawionej skóry.

— Przyjemny ludek, nie ma co mówić — mruknął bosman, pochylając się do Tomka. — Niby to nas pozdrawiają, a ze ślepiów ich widać, że chętnie pchnęliby nożem w plecy!

---

* . Terasa lub taras — płaski, prawie poziomy próg na zboczu doliny rzeki, obrywający się stromo ku rzece. Jest wynikiem wzmożonej erozji wód.

— Może biorą nas za Anglików, chociaż w tym przebraniu więcej chyba przypominamy zbójecką bandę Ali Baby — odparł Tomek. — Mnie samemu ciarki przechodzą po krzyżu, gdy spoglądam na wasze obrośnięte twarze.

— Z kim się zadajesz, takim się stajesz — burknął bosman.

Wjechali w mury miasta. Wyglądało ono niczym piramida budynków, pnących się kondygnacjami ku bramie twierdzy; prowadziły do niej wąskie, kręte uliczki. Przed zamkniętą na łańcuch bramą stała warta uzbrojona w karabiny oraz handżyry. Pandit Davasarman nie schodząc z konia, przywołał wartę, po czym odezwał się w narzeczu burishki*.

— Powiadomcie wielkiego thuma Hunzów, Nazim Chana, iż przybył oczekiwany przez niego posłaniec od wielkich białych przyjaciół, aby uścisnąć jego dłoń!

Warta natychmiast podała tę wiadomość dalej. Podróżnicy tymczasem przyglądali się groźnemu zamczysku. Dolne piętra były całkowicie pozbawione otworów okiennych. Szczyt zamku zdobiły drewniane, misternie rzeźbione balkony, a na najwyższej wieży widać było wiszący olbrzymi, święty bęben Hunzów. Bęben ten, według wierzeń przesądnych krajowców, sam odzywał się potężnym dudnieniem, ilekroć wielki thum miał stoczyć zwycięską wojnę.

Naraz rozległ się brzęk łańcuchów. Otwarto niskie, szerokie podwoje w murze zamczyska. Przed podróżnikami pojawił się wezyr chana.

— Wielki Nazim Chan wita szlachetnych sahibów, którzy przybywają od jego przyjaciół — rzekł kłaniając się dostojnie. — Przyjmie was, gdy tylko skończy modlitwy. Szlachetni sahibowie pozostawią tutaj broń, a potem będą mogli udać się ze mną do sali przyjęć.

Pandit Davasarman ostentacyjnie zawiesił swój karabin na łęku siodła. To samo uczynili Wilmowski, Smuga, bosman i Tomek, po czym zsiedli z wierzchowców.

Wezyr Humayun przeprowadził ich przez bramę do mrocznej, rozległej sali o kamiennych ścianach. W świetle zatkniętych w mur pochodni widać było kilka granitowych filarów podtrzymujących strop oraz pośrodku sali drewnianą drabinę, znikającą w kwadratowym otworze w suficie, przez który można było wejść na wyższe piętro. Wezyr pierwszy wszedł po drabinie i pogrążył się w ciemnym otworze. Za nim udali się biali sahibowie. W ten sam sposób przechodzili na coraz wyższe piętra, aż w końcu dotarli do ostatniej kondygnacji zamku. Niektóre komnaty były obszerne i wygodne, lecz większość z nich przypominała małe, ciemne cele.

Na najwyższym piętrze komnaty dzięki dziennemu światłu wpadającemu przez okna miały nieco przyjemniejszy wygląd. Mimo to każdy zdawał sobie sprawę, iż źle przyjęty przez chana gość nie miał jakichkolwiek szans ujścia z życiem z tego labiryntu komnat i korytarzy.

*** . Narzecze to pochodzi od sanskrytu, to jest starożytnego języka literackiego Hindusów, należącego do języków indoirańskich.**

Wezyr polecił podróżnikom zatrzymać się w małej salce; sam zniknął za pięknie rzeźbionymi drzwiami następnej komnaty.

— Siedzimy teraz niczym mysz w pułapce. Gdyby te zuchy miały względem nas złe zamiary, kiepsko byłoby z nami! Pan Davasarman niby to zna tego królika rozbójników, ale kazali nam pozostawić broń przy szkapach — odezwał się marynarz.

— Nie dziw się, bosmanie! Większość władców Nagarów i Hunzów nie zmarła śmiercią naturalną. Dlatego też chanowie, obawiając się zamachu na swe życie, zachowują daleko posuniętą ostrożność — rzekł Smuga.

— W jaki sposób i dlaczego ginęli tutejsi chanowie? — zapytał Tomek.

— Te sprawy najlepiej zna Pandit Davasarman — odparł Smuga.

— Mury tego zamku mogłyby wiele powiedzieć — wyjaśnił Hindus. — Poprzednik obecnego władcy, Safdar Ali Chan, który uciekł przed Anglikami do Chin, objął tutaj władzę po zamordowaniu swego ojca* i braci. Podobnie postąpił Rajah Uzr Chan, poprzedni król Nagaru. Mianowicie chcąc usunąć ewentualnych kandydatów do tronu, zabił także swych dwóch młodszych braci. W ten właśnie sposób od wieków obejmowano rządy w Kandżucie, co często zdarza się również i w innych państwach muzułmańskich. Dlatego chanowie kandżuccy są nadzwyczaj ostrożni.

— Kto się sparzy na gorącym, ten na zimne dmucha — sentencjonalnie zakończył bosman. — Na szczęście nie jesteśmy chana krewniakami, to i nie będzie na nas dybał. Spójrzcie, panowie, przez okno! Cóż to za potężne górzysko piętrzy się tam na południu doliny? Proszę, proszę, lodowiec opuszcza się z niego aż do linii lasu!

— Spoglądasz na górę Rakaposhi, szlachetny sahibie, wysoką na 7790 metrów — wyjaśnił Davasarman.

W tej chwili drzwi otworzyły się szeroko. W progu stanął wezyr Humayun.

— Wielki król Hunzów gotów jest przyjąć szlachetnych sahibów — oznajmił.

Weszli do obszernej komnaty. Wokół ścian stała szeroka drewniana ława. Na obydwóch jej końcach wznosiły się drewniane słupy, sięgające aż do rzeźbionych belek powały. W otwartym kominku palił się ogień. Podłogę pokrywał olbrzymi, puszysty, kaszmirski dywan. Komnatę zdobiły chińskie skrzynie z wymalowanymi złotymi smokami oraz piękne wiklinowe kosze — zapewne dary chińskich protektorów chanów Kandżutu.

Nazim Chan, przyrodni brat zbiegłego króla Hunzów, był dobrze zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Siedział w głębi komnaty na wspaniale rzeźbionej ławie, przykrytej z wierzchu miękkim dywanem. Strój chana był niezmiernie kosztowny. Miał na sobie długą choga, gęsto przetykaną złotymi nićmi, od spodu podbitą śnieżnej białości piórami. Szeroki, kapiący wprost od złota pas otaczał jego biodra. Zza pasa wystawały rękojeści dwóch długich handżyrów oraz dwóch nabijanych srebrem pistoletów. Spod czapki

---

* . Miało to miejsce w 1886 roku.

w kształcie worka, bogato zdobionej złotem, opadały na policzki chana splecione w pierścienie, czarne włosy.

Nazim Chan siedział po turecku z podwiniętymi nogami. Piastował na kolanach dużego, czarnego kota. Przenikliwym, niespokojnym wzrokiem mierzył białych przybyszów. Tuż przed nim prężyła się przyboczna straż z długimi, gołymi mieczami w rękach, za ławą natomiast stali pachołkowie z barwnymi wachlarzami z piór.

Wezyr Humayun z szacunkiem zatrzymał się w pewnej odległości od chana. Skłonił się nisko.

— Dostojny, wielki królu Hunzy — odezwał się w języku angielskim. — Sahibowie w imieniu twoich możnych białych przyjaciół pragną złożyć ci pokłon.

Podróżnicy w ślad za Panditem Davasarmanem pochylili głowy, jednocześnie potrząsając wyciągniętymi przed siebie, złożonymi razem obydwiema dłońmi.

— Czy jesteś zdrów i zadowolony z podróży, Pandicie Davasarmanie? — zapytał Nazim Chan. — Angielski rezydent w Gilgit powiadomił mnie o twej nowej, tajemnej wyprawie do rozległych krajów Wielkiego Ak-Padszy*. Czy twoi towarzysze są angrezi sarkar*? Jeżeli tak, to doskonale udają krajowców.

— Pozdrawiam cię wielki, dostojny królu Hunzy — odpowiedział Pandit Davasarman. — Moi towarzysze nie są Anglikami. Pochodzą z bardzo odległego kraju, obecnie zawojowanego przez Ak-Padszę. Oni są Polakami. Kilkanaście lat temu ich rodak w służbie Ak-Padszy, generał Grąbczewski, przebywał w Kandżucie jako gość Safdar Ali Chana.

— Pamiętam go doskonale. Safdar Ali Chan twierdził, iż ten poseł przyrzekł mu poparcie Wielkiego Ak-Padszy. W mojej zbrojowni znajduje się nawet karabin podarowany przez tego posła Safdar Ali Chanowi — odparł zdziwiony Nazim Chan. — Skoro jednak sahibowie pochodzą z kraju podległego Wielkiemu Ak-Padszy, to nie widzę powodu, dla którego musielibyście przekradać się do Bam-i-Dun.ya*, również należącego do cara Rosji.

— Pozwól, wielki królu Hunzów, że ci to krótko wyjaśnię — odezwał się Smuga. — Otóż my możemy tak samo legalnie pojechać do Pamiru, jak ty mógłbyś oficjalną drogą przekazać ślubny upominek potomkowi pamirskiego rozbójnika.

Pandit Davasarman mocno zmieszał się słysząc tę śmiałą, dwuznaczną odpowiedź. Nazim Chan ostro zmarszczył brwi, lecz znany u Hunzów, a tak rzadko spotykany u Azjatów, zmysł humoru wziął górę, bo zaraz rozpogodził się i odpowiedział:

— Prawdę rzekłeś, cięty w języku sahibie. Nie moja to sprawa. Dawniej Anglicy posyłali Kirgizom podobne podarunki za pośrednictwem Afgańczyków, lecz obecnie korzystają z moich usług. Karawana składająca się z piętnastu mułów jest przygotowana do wyruszenia.

---

* . Wielki Ak-Padsza oznacza w języku kadżuckim — Wielki Biały Car, oczywiście mowa tu o carze rosyjskim.

* . Angrezi sarkar -angielscy obywatele.

* . Bam-i-Dunya — perska nazwa "Dach Świata", którą krajowcy określają Pamir.

Sadyr Chodża wraz z sześcioma ludźmi przeprowadzi was aż do aułu[*] Naib Nazara. Haj, do widzenia!

Podróżnicy z pewnym uczuciem ulgi oddalili się od malejącego wśród gór zamku króla Hunzy. Nie zatrzymywali się nawet na noclegi w wioskach i warownych osiedlach. Ku swemu zdumieniu przekonywali się naocznie, iż uprawa roli w Kandżucie nie uległa zmianom od wielu wieków. Wieśniacy orali ziemię samorodnymi sochami, a zboże młóciły zwierzęta depczące po nim kopytami. Wojowniczy mieszkańcy przy lada okazji tańczyli tak zwany "taniec z szablami". Często po zapadnięciu zmierzchu echo niosło po skalistych wąwozach dziką melodię graną na instrumentach strunowych, której wtórowało niepokojące dudnienie wojennych bębnów.

Karawana dążyła ku północy w górę doliny rzeki Hunzy. W tej części kraju nie było już traktów, czy choćby wygodniejszych dróg. Czasem nawet górskie ścieżyny urywały się na stromych stokach, wtedy jedynie instynkt wskazywał wierzchowcom pewniejsze oparcie dla kopyt. W niektórych szczególnie trudnych miejscach podróżnicy musieli zsiadać z wierzchowców, by rozjuczać konie i przeprowadzać je, przytrzymując za grzywy i ogony. Mimo przyzwyczajenia do takich przepraw zwierzęta drżały ze strachu i pokrywały się potem. Podróżnicy również przeżywali nie mniejsze emocje. Bosman, aczkolwiek nie lubił gór, teraz ku zdumieniu towarzyszy nie okazywał niepokoju na widok karkołomnych przejść. Z niezwykłą energią pomagał przeprowadzać konie, przenosił ciężkie juki i niemal każdego dnia dawał dowody swej nadzwyczajnej siły i odwagi. Toteż przydzieleni karawanie Kandżuci — na pół dziki Sadyr Chodża oraz jego sześciu towarzyszy — z coraz większym szacunkiem spoglądali na rosłego marynarza. Teraz bez słowa sprzeciwu spełniali każde jego polecenie. Rubaszny marynarz przyjacielsko poklepywał ich po plecach, a oni aż przysiadali pod "dotknięciem" jego niedźwiedziej łapy.

Już po trzech dniach wędrówki marynarz był za pan brat z Kandżutami. Widząc, iż Sadyr Chodża łakomym wzrokiem spogląda na jego doskonały karabin, bosman jako niezawodny strzelec postanowił zabawić się jego kosztem.

Podczas jednego z postojów wypatrzył bujającego w przestworzach nad nimi dużego orła. Wskazał go Sadyr Chodży mówiąc:

— Widzę, brachu, że jak kot na szperkę zerkasz na moją pukawkę. Zdmuchnij z niej tego ptaszka, a będzie twoja!

Oczu Sadyr Chodży błysnęły pożądaniem, lecz zadarłszy do góry głowę, zaraz posmutniał. Kołujący wysoko ptak stanowił bardzo niepewny cel. Mimo to pokusa była zbyt wielka, aby mógł łatwo zrezygnować z próby. Drapieżnym ruchem wyciągnął dłonie po karabin. Bosman przygotował broń do strzału i podał ją Kandżutowi.

---

[*] . Auł — Kirgizi, koczowniczy lud turecko-tatarski, dzieli się na gromady i auły.

Sadyr Chodża przyklęknął na jedno kolano, przyłożył karabin do ramienia. Mierzył długo, starannie. Bosman spokojnie nabijał fajkę tytoniem. Kilkakrotnie zdążył wydmuchnąć dym, zanim huknął strzał. Orzeł niewzruszenie kołował ponad doliną.

— Za wysoko, strzał bardzo niepewny — odezwał się Sadyr Chodża, z żalem oddając karabin.

— To się nazywa u ciebie wysoko? — odparł bosman, udając zdumienie. — Ręka ci drży, bo mierzysz zbyt długo. Pozwalam ci spróbować jeszcze dwa razy.

Sadyr Chodża znów nacisnął spust. Pocisk musiał przelecieć w pobliżu orła, ponieważ ptak zatoczył większe koło i wzbił się nieco wyżej. Niefortunny strzelec ponownie szybko zmierzył i strzelił. Orzeł wzbił się jeszcze wyżej.

— Nie udało się, nikt już nie potrafi zestrzelić tego przeklętego orła — mruknął zawiedziony Sadyr Chodża.

— Tak myślisz? Po prostu jesteś niezdarą. Spójrz, jak to się robi — odparł bosman.

Niedbałym ruchem ujął karabin, nastawił celownik, po czym zaledwie przyłożył broń do ramienia, rozbrzmiał huk strzału. Orzeł zatrzepotał skrzydłami, wzbił się jeszcze wyżej, lecz zaraz ciężko runął w dół. Za moment upadł na ziemię tuż obok Tomka.

— Niech cię licho porwie, bosmanie! Rękę masz pewną, a oko niezwykle celne — pochwalił Smuga.

— Trafił pan orła prosto w środek piersi — zawołał Tomek.

— Tomku, możesz być dumny, że miałeś tak wspaniałego nauczyciela — zauważył Wilmowski, bosman bowiem pierwszy wtajemniczał jego syna w strzeleckie arkana.

— Bosman zawsze twierdził, iż lepiej od niego mógłby nauczyć mnie strzelać tylko pan Smuga — z uznaniem mówił Tomek.

— Ha, kochana mamusia postarała się, żebym nie miał zeza w oku, zaś pewność ręki zapewne odziedziczyłem po ojcu, który samym końcem paska zawsze mógł mnie przeciągnąć kolejno po każdym pośladku — skromnie odparł bosman, rad pochwałom doskonałych strzelców.

— Musisz być czarownikiem, sahibie. Człowiek nie potrafiłby zestrzelić tego ptaka, ale nie mamy się z czego cieszyć. Orzeł upadł przed młodym sahibem! To jest bardzo zły znak dla niego — powiedział przestraszony Sadyr Chodża.

— Co ty klepiesz?! Jaki tam znów wypatrzyłeś zły znak? — ofuknął go bosman.

— Słuchaj uważnie, szlachetny sahibie: orzeł zawsze zlatuje do padliny, więc bardzo to zły znak, gdy upadnie obok człowieka — poważnie odparł Sadyr Chodża.

— Baj, baju będziesz w raju, a tam czeka na ciebie sto żon — przyciął bosman Sadyr Chodży, który jako mahometanin uznawał wielożeństwo. — Któż by wierzył w takie gusła! Nie pleć byle czego!

— Strzeż się, młody sahibie, źle ci wróży orzeł — z uporem powtórzył Kandżut.

Wszyscy tak długo żartowali z przesądnego Sadyr Chodży, aż w końcu przestał straszyć ich "złymi wróżbami" i sam zaczął śmiać się ze swych przepowiedni.

Następnego ranka wyruszyli w drogę o świcie. Był to szczególnie trudny odcinek marszu. Szlak wiódł przez żebra i żleby stromych zboczy przewieszonych nad kanionem spienionej rzeki Hunzy. Wąska ścieżka jednym brzegiem przywierała do niemal prostopadłej ściany podczas gdy drugi jej kraniec urywał się nad kilkunastometrowym, stromo opadającym stokiem, który tworzył przewieszony nad przepaścią występ skalny.

Tomek i bosman wlekli się na samym krańcu karawany tuż za ostatnim jucznym mułem. Wierzchowce szły powoli, postękując z wysiłku. Tomek wolno puścił cugle. Oparł dłonie na udach i spoglądał na stromy stok urwiska. Myślał o Sally. Wyobrażał sobie jej zachwyt, gdy usłyszy od niego o tej niezwykłej wyprawie. Sally przecież przepadała za przygodami. Na pewno będzie mu zazdrościła. Uśmiechał się do siebie na wspomnienie jej zaróżowionej z emocji twarzyczki.

Przyjemne rozmyślania nieoczekiwanie przerwał donośny łoskot. Z góry, z prostopadłej niemal ściany, posypała się lawina kamieni. Tomek odruchowo osłonił rękoma głowę. W tej samej chwili duży kamień uderzył w grzbiet jucznego muła tuż przed jego koniem. Muł upadł na przednie kolana, lecz zaraz powstał kwicząc boleśnie, raptownie cofnął się ku skalnej ścianie i zawadził o nią podłużnymi jukami. Ciężkie pakunki przekrzywiły się na jego grzbiecie. Stracił równowagę. Upadł wprost pod nogi konia Tomka, po czym rżąc przeraźliwie stoczył się na stromy stok.

Wierzchowiec Tomka, przerażony, stanął dęba na tylnych nogach. Jeździec spadł z siodła. Przez krótki moment prawa stopa uwięziona jeszcze w strzemieniu powstrzymywała go przed stoczeniem się po stromym, podciętym urwisku, lecz koń, zaledwie znów dotknął przednimi kopytami ścieżki — wierzgnął i uwolnił się od ciężaru, utrudniającego mu utrzymanie równowagi. Tomek runął na stromiznę. W tej chwili rozbrzmiał żałosny kwik muła przetaczającego się już przez skalny występ w przepaść.

Przywykły do niebezpieczeństw młodzieniec nie stracił w tak okropnej chwili przytomności umysłu. Zsuwał się na plecach, nogami do przodu w dół stoku. Grube odzienie zaczepiało o szorstką powierzchnię skały i hamowało nieco szybkość spadku. Tomek rozkrzyżował ramiona. Starał się chwycić dłońmi jakiejś wypukłości bądź szczeliny, lecz zwietrzała skała nie dawała oparcia. W olbrzymim napięciu nie słyszał nawet okrzyków grozy przerażonych towarzyszy. Kraniec podciętego stoku zwisającego nad przepaścią był coraz bliższy. Zdawało się, iż nic nie zdoła uratować go od śmierci, gdy naraz poczuł oparcie pod stopami. Natychmiast rozluźnił mięśnie i całym ciałem przywarł do skały. Przez długą chwilę, która zdała mu się niemal wiecznością, leżał nie wierząc własnemu szczęściu. W końcu jednak utwierdził się w pewności, iż już nie zsuwa się dalej.

Teraz dopiero usłyszał donośny głos bosmana.

"Trzymaj się, Tomku! Rzucam linę! Uwaga!" — wołał marynarz. Gruby sznur uderzył go wprost w twarz. Tomek powoli przysuwał lewą dłoń do głowy. Uchwycił linę, kurczowo zacisnął na niej rękę. Odetchnął głęboko pełną piersią. Drugą ręką uczepił się liny, po czym ostrożnie odwrócił się na brzuch.

— Czy możesz jeszcze popuścić sznura?! — zawołał.

— Mogę, mogę, powiedz tylko ile! — odkrzyknął bosman.

— Już dość, stop!

Usiadł na stromym stoku pochylony do tyłu dla utrzymania równowagi. Powolnymi ruchami opasał się liną, a potem zawiązał ją na piersi mocnym węzłem. Był ocalony. Rozejrzał się wokoło. O niecały metr od niego znajdował się kraniec stoku. Tam leżała jego futrzana czapa. Tomek odwrócił się do bosmana. Niezawodny w chwili niebezpieczeństwa przyjaciel stał na ścieżynie i trzymał w obydwu dłoniach drugi koniec sznura. Tomek nie mógł zdać sobie sprawy, w jaki sposób bosman zdołał w tak krótkim czasie zsiąść z wierzchowca i rozwinąć zbawczy sznur. Cała karawana przystanęła, gdy z góry posypała się lawina kamieni. Teraz wszyscy z zapartym tchem śledzili przebieg akcji ratowniczej, nie mogąc pomóc bosmanowi. Niezmierna wąskość ścieżyny uniemożliwiała prześliźnięcie się człowieka obok szeregu jucznych zwierząt. Na szczęście taki siłacz jak bosman nie potrzebował pomocy. Stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach; krople potu mimo chłodu perliły się na jego twarzy.

— Napędziłeś mi strachu! — zawołał tubalnym głosem. — Czy możesz wejść o własnych siłach, czy mam cię wciągnąć?

— Wejdę sam! Nic mi się nie stało — odpowiedział Tomek.

— Dobra nasza, polegaj na mnie! Trzymam cię jak rybę na wędce.

Wilmowski i Smuga zdjęli czapki, by wytrzeć pokryte potem czoła. Tomek tymczasem odzyskał już swą fantazję. Powstał na nogi. Zamiast piąć się pod górę, wolniutko zbliżał się do czapki, leżącej na samym skraju przepaści. Bosman ostrożnie popuszczał linę, by stale była należycie naprężona. Tomek przykucnął, podniósł czapkę i włożył ją na głowę. Spoglądał w dół urwiska. Sięgną do pasa, gdzie w futerale nosił lornetę. Przez długą chwilę patrzył w przepaść. Na dnie wąwozu spoczywał martwy muł i juki. Jeden rulon rozwiązał się podczas upadku. Wzorzyste dywany zaścielały głazy wymyte do białości przez wodę. Na dywanach i obok nich leżały długie skrzynki z amunicją i karabiny. A więc to był ów ślubny podarunek Anglików dla Naib Nazara!

Tomek schował lornetę. Pochylony do przodu, oburącz trzymał się liny wciąganej przez bosmana i krok za krokiem zbliżał się do ścieżki. Zaledwie dotknął jej stopami, marynarz schwycił go w swe ramiona. Tomek niemal zduszony uściskiem druha na chwilę stracił oddech.

— A niech cię wieloryb połknie — wysapał marynarz. — To mnie tu łydki drżą ze strachu o ciebie, a ty zamiast jak najprędzej mnie uspokoić, przez szkiełka przyglądasz się krajobrazowi! Tfu, to tak robi przyjaciel?!

— Nie gniewaj się, kochany bosmanie, nie znęciły mnie piękne widoki. Przyjrzałem się naszemu mułowi i rozsypanym jukom. Już wiem, co za upominek posyłają Anglicy temu pamirskiemu zbójowi! W dywanach są ukryte karabiny i skrzynie z nabojami.

— Fiu, fiu, to jak widzę, szykuje się jakaś porządna heca — odparł bosman, po czym, dopiero teraz, wytarł chustką pot z twarzy.

— Pomówimy o tym na wieczornym biwaku, ale teraz cicho, sza przed wszystkimi.

— Jak tajemnica, to tajemnica. Będę milczał jak grób. Możesz na mnie polegać.

PODEJRZANY ORSZAK WESELNY

Niebezpieczny wypadek Tomka wytrącił wszystkich z równowagi, toteż gdy w godzinach popołudniowych dobrnęli do małego, zacisznego wąwozu, jednogłośnie postanowili zatrzymać się w nim na nocleg. Najpierw urządzili w namiocie wygodne posłanie dla Tomka, bowiem zaczął teraz narzekać na bóle w plecach.

— Trochę jestem potłuczony, ale do jutra na pewno poczuję się lepiej — uspokajał towarzyszy. — Panie bosmanie, czy nie zrobiłby mi pan masażu?

— Zaraz to uczynię, brachu. Mogę nawet założyć się o butelkę rumu, że po marynarskim masowaniu zgrabnie zatańczysz na kirgiskim weselu.

— Bosmanie, zajmij się Tomkiem! My tymczasem uporządkujemy juki i przygotujemy posiłek. Po tym denerwującym dniu przynajmniej zjedzmy coś gorącego na kolację — powiedział Wilmowski.

Obydwaj przyjaciele weszli do namiotu. Tomek rozsiadł się wygodnie na posłaniu.

— Rozbieraj się, brachu! — polecił marynarz.

— Po jakie licho, nic mi nie jest — zaoponował Tomek.

— Przecież chciałeś, żebym zrobił ci masaż!

— To był tylko pretekst do porozmawiania z panem na osobności.

— A to cwaniak z ciebie! Pal więc sęk masaż. Wobec tego napijmy się po kubku jamajki. Tylko nie wymiguj się tym razem, bo to doskonałe lekarstwo. Twoje zdrowie!

— Dziękuję, bosmanie.

Tomek wypił łyk rumu, lecz skrzywił się i odstawił kubek.

— Pewno chciałeś pogadać o tych karabinach ukrytych w dywanach — zagadnął marynarz. — Widocznie Anglicy chcą nawarzyć piwa Rosjanom w Pamirze, skoro przemycają broń. Oj, będzie tam gorąco, gdy bandyci otrzymają nowoczesne karabiny. Niejedna karawana kupiecka nie ujrzy już swych ojczystych stron.

— Nie podoba mi się ta krecia robota — odparł Tomek. — Anglicy bez skrupułów uzbrajają bandytów, byle tylko siać zamęt po przeciwnej stronie granicy. Ilu to uczciwych ludzi straci życie od kul i karabinów przemycanych przez nas!

— Święta prawda... Pocieszam się, że podczas zbójeckich wypadów w Pamirze Naib Nazar nieraz dał się we znaki znienawidzonej przez nas carskiej armii.

— Gdyby chociaż tak naprawdę się zdarzyło! Obawiam się jednak, że w tym przypadku przede wszystkim ucierpią spokojni mieszkańcy i karawany kupieckie. Zbóje nie będą mieszali się do polityki.

— Najświętsza prawda — przyznał bosman zafrasowany. — Cóż możemy począć? Davasarman zapewne zobowiązał się przemycić karabiny, a Anglicy w zamian za to zezwolili Smudze na urządzenie wyprawy w pasie przygranicznym.

— Mimo to nie powinniśmy pomagać zbójom.

— Dobrze mówisz — rzekł z uznaniem bosman. — Może powiedzmy ojcu i Smudze o tych karabinach?

— Nie, bosmanie. Nie powinniśmy żądać od pana Smugi, aby zachował się nielojalnie wobec Pandita Davasarmana. Lepiej nic nie mówmy nikomu. Mam pewien projekt. Sami cichaczem wyjmiemy karabiny, a na ich miejsce włożymy kamienie.

— Do niczego twój pomysł. Pamirskie zbóje na pewno zechcą sprawdzić zawartość ładunku, zanim przejmą go od nas. Którykolwiek z nich wsunie łapsko w rulon i już wszystko się wyda.

— Ha, tak źle i tak nie dobrze — zmartwił się Tomek. — Mimo to nie powinniśmy przyczyniać się do rozlewu krwi.

Bosman przysiadł na posłaniu obok druha. W milczeniu wysączył trzy kubki jamajki, zakurzył fajkę, a potem odezwał się:

— Może coś da się zrobić w tej sprawie. Kładź się do łóżka i narzekaj na bóle w krzyżu. Jutro też musisz być chory. Jeśli uda się nam tylko we dwóch pozostać w obozie, kiwniemy zbója i Anglików.

— Co pan wykombinował?

— To się okaże w praniu, teraz prześpij się naprawdę, bo mam coś pilnego do załatwienia.

Bosman wyszedł z namiotu. Zbliżył się do Wilmowskiego i Smugi, dokonujących przeglądu juków oraz uprzęży koni.

— Zrobiłem Tomkowi masaż, ale chłopak nie czuje się najlepiej. Obawiam się, że jutro nie powinien jeszcze siadać na szkapę — informował ich bosman, udając zmartwionego.

— Biedny Tomek, już idę do niego — powiedział zaniepokojony Wilmowski.

— Lepiej pogadaj z nim później, Andrzeju. Akurat zasypiał, gdy wychodziłem z namiotu. Czy nie moglibyśmy jutro urządzić jednodniowego wypoczynku? To by Tomkowi doskonale pomogło na te bóle w krzyżu.

— Halo, Davasarmanie, przyjdź tu z łaski swojej razem z Sadyr Chodżą — zawołał Smuga.

— Co się stało, sahibie? — niespokojnie zapytał Pandit. — Czyżby młody sahib czuł się gorzej?

— O to właśnie chodzi. Narzeka na bóle w krzyżu — odpowiedział Smuga. — Czy możemy sobie pozwolić na urządzenie jutro jednodniowego wypoczynku? Kiedy mamy się spotkać z Naib Nazarem?

— Zastanówmy się, sahibie. Orszak weselny będzie przejeżdżał przez Wzgórze Kupców w piątek w południe. Dzisiaj mamy dopiero wtorek. Stąd do Wzgórza Kupców możemy dotrzeć w półtora dnia. Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy umożliwili młodemu sahibowi konieczny wypoczynek.

— Co sądzisz o naszym zamiarze, Sadyr Chodżo? Czy zdążymy na czas? — upewnił się Wilmowski.

— Jeśli tylko Allach zechce, to zdążymy — rzekł Kandżut.

— Miejmy nadzieję, że twój Allach okaże się dla nas łaskawy. Wobec tego jutro odpoczywamy — orzekł Smuga.

Bosman kiwnął głową na Sadyr Chodżę. Wyprowadził go poza obóz. Upewniwszy się, iż nikt nie może ich podsłuchać, zagadnął:

— Czy bardzo przypadła ci do gustu moja pukawka?

— To zaczarowana broń, z innej nie ustrzeliłbyś tego orła, sahibie — odparł Sadyr Chodża. — Wiedziałeś, że muszę chybić i dlatego drwiłeś ze mnie, pozwalając strzelać aż trzy razy.

— Chciałbyś ją mieć, co?

Sadyr Chodża chytrze spoglądał na bosmana, starając się odgadnąć jego zamiary.

— Słuchaj, brachu, podaruję ci karabin, jeśli jutro z samego rana namówisz białych sahibów na polowanie z nagonką na górskie kozice. Aż ślinka idzie do ust na świeże mięso. No, co myślisz o mojej propozycji? — kusił marynarz.

— Orzeł buja w obłokach, a kozice kryją się wysoko w górach. Niełatwo je upolować.

— Nie żądam przecież, żebyś zastrzelił kozicę. Biali sahibowie sami to uczynią. Ty namów ich tylko na polowanie.

— A jeśli nie zechcą pójść?

— Zachęć ich odpowiednio, to na pewno pójdą. Pamiętaj jednak mój zasadniczy warunek: wszyscy ludzie mają wziąć udział w polowaniu.

— Podczas drogi nigdzie nie spostrzegłem kozic — zafrasował się Sadyr Chodża.

— Głupi jesteś, brachu! Czy koniecznie musisz widzieć kozice, żeby urządzić polowanie? — oburzył się bosman. — Na każdym postoju rozkładasz dywanik i trykarz w niego głową[*], więc poproś swego Allacha, aby cię oświecił!

---

[*] . Bosman miał na myśli pokłony wykonywane przez mahometan podczas pięciokrotnie każdego dnia odmawianej przez nich modlitwy, zwanej po arabsku "salat", a polegającej na wykonywaniu odpowiednich ruchów, skłonów ciała oraz wymawiania religijnych tekstów. Salat, w myśl przepisów Koranu, musi być odprawiana w "czystym miejscu", toteż w podróży mahometanin modli się na małym dywaniku, zwrócony twarzą w kierunku Mekki — świętego miejsca muzułmanów.

— Dobrze radzisz, szlachetny sahibie, Kismet*, jeśli Allach zechce, będę miał twoją broń.

— Niech będzie, jak chcesz, stary cwaniaku, wręczę ci go w chwili wyruszenia na łowy. Zgoda?

— Rzekłeś, szlachetny sahibie!

Wieczorem uczestnicy ekspedycji odwiedzali Tomka, troskliwie wypytując go o zdrowie. Młodzieniec nieco postękiwał, narzekał na bóle krzyża i nieznacznie mrugał okiem do bosmana. Sadyr Chodża przed ułożeniem się do snu długo klęczał na swym dywaniku. Raz po razie pochylał czoło, zapewne usilnie prosząc o coś miłosiernego Allacha.

Noc minęła spokojnie. Następnego ranka podróżnicy wcześnie zerwali się z posłań, zaintrygowani krzykami Kandżutów. Lotem błyskawicy rozeszła się po obozie wieść, iż Sadyr Chodża spostrzegł na pobliskich szczytach znaczne stado dzikich pamirskich baranów.

— Guldża*! Widziałem dziesiątki sztuk dużych guldża! Były również wśród nich młode! — wołał podniecony, wskazując ręką na grupę urwistych szczytów. — O, tam właśnie je widziałem! Przed chwilą skryły się za skałami!

— Czy to na pewno były guldża? — ciekawie dopytywał się Wilmowski.

— Wielkie, zakręcone rogi guldża rozpoznam gołym okiem nawet na najdalszym szczycie — zapewnił Sadyr Chodża. — Tu łatwo byłoby je osaczyć. Liczne rozpadliny uniemożliwiają baranom szybką ucieczkę. Doskonale znam tę okolicę!

— Janie, mamy dzisiaj dzień odpoczynku, może wobec tego urządzilibyśmy małą wycieczkę, aby chociaż przyjrzeć się z bliska rzadko już obecnie spotykanym baranom pamirskim — zaproponował Wilmowski, który jako łowca zwierząt niezmiernie interesował się różnymi okazami fauny.

— Nie wiem, czy zdołamy je podejść. Barany są nadzwyczaj płochliwe. Umykają po urwiskach z niezwykłą zręcznością — odparł Smuga. — Ciekawie byłoby zobaczyć je w dzikim stanie na łonie natury...

— Sahibie, przyobiecaj dastur Mahmed Alemu, aby poprowadził nagonkę, ja zaś będę waszym przewodnikiem. Na obiad zjemy guldża — gorączkowo zachęcał Sadyr Chodża.

— Jak myślisz, Pandicie Davasarmanie, czy możemy narażać ludzi na dodatkowe marsze? — zwrócił się Wilmowski do Hindusa. — Nie chciałbym wywołać niezadowolenia. Wszyscy są zmęczeni, należy im się dzień wypoczynku.

— Moi ludzie przywykli do nużących marszów. Konną jazdę traktują jako wypoczynek. Możemy zapolować na barany — odpowiedział Pandit Davasarman.

— Mahmed Ali poprowadzi moich i sahiba Pandita Davasarmana ludzi, jako nagonkę. Spłoszą guldża akurat w naszym kierunku — wtrącił Sadyr Chodża.

*** . Kismet oznacza w języku arabskim przeznaczenie.**

*** . Nazwą "guldża" krajowcy określają podgatunek dzikich baranów żyjących jedynie w Pamirze, dla odróżnienia od gatunku argali (Ovis ammon), który w wielu podgatunkach zamieszkuje góry Azji Środkowej. Marco Polo pierwszy opisał barany pamirskie i od jego imienia otrzymały nazwę "Ovis ammon poloi"**

— Wszyscy nie możemy iść na polowanie. Przecież oprócz Tomka jeszcze ktoś musi pozostać w obozie — zauważył Wilmowski.

— Ja pozostanę z Tomkiem — odezwał się bosman, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się naradzie. — Dość już mam tego wspinania się po górzyskach, wolę tę przyjemność pozostawić wam i... baranom.

Cała gromada wybuchnęła śmiechem, słysząc tę przymówkę. Zaczęli przygotowywać się do drogi. Sadyr Chodża podszedł do bosmana. Stanął przed nim wyczekująco.

— Czekasz jak diabeł na duszę! Chodź, zarobiłeś na pukawkę! — mruknął bosman, klepiąc Kandżuta po ramieniu. — Wróćcie przed wieczorem...

Wkrótce dwie grupy łowców opuściły obóz. Bosman podparty rękoma pod boki śledził ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za zakrętem wąwozu. Przeczekał jeszcze dłuższą chwilę, nabijając fajkę i wtedy dopiero zajrzał do namiotu Tomka.

— Wstawaj szybko, brachu, mamy niezłą robótkę do odwalenia! — zawołał.

W późnych godzinach popołudniowych zakończyli ciężką pracę. Tomek zmęczony, lecz równocześnie bardzo rad z dokonanego dzieła, powrócił do łóżka i zasnął niemal natychmiast. Marynarz jeszcze raz uważnie sprawdził, czy juki ze ślubnym upominkiem dla Naib Nazara są dobrze powiązane, potem paląc fajkę doglądał zupy gotującej się w kociołku zawieszonym na drągu nad ogniskiem.

Dopiero o zmierzchu u wylotu wąwozu rozległy się głosy towarzyszy powracających z polowania. Gniewni, zmęczeni zjawili się w obozie.

— Coś wracacie z nosami zwieszonymi na kwintę — wesoło powitał ich bosman. — Ha, widzę, że nic nie upolowaliście na kolację! Nie martwcie się, ugotowałem dla was smakowitą zupę.

— Sadyr Chodża włóczył się po skałach przez cały dzień, ale nie ujrzeliśmy nawet rogów baranich — roześmiał się Wilmowski. — Jak się czuje Tomek, bosmanie?

— Prawie zupełnie dobrze. Spałaszował michę zupy. Wczoraj naprawdę martwiłem się o niego. Nawet rumu nie chciał wypić.

— Całe szczęście, że przynajmniej w piciu alkoholu nie chce ciebie naśladować. Czy już śpi?

— A jakże, zaśpiewałem mu kołysankę, żeby prędzej zasnął. Ładny musieliście mieć spacerek... Na waszym miejscu wygarbowałbym skórę Sadyr Chodży. Ma on szczęście, że nie dałem się nabrać na jego stado baranów.

— Były, szlachetny sahibie, na pewno były tam rano. Widocznie Allach nie chciał, żebyśmy je odnaleźli. Szkoda, że jutro musimy jechać. Może mielibyśmy więcej szczęścia — wtrącił Sadyr Chodża, nie wypuszczając z rąk wymarzonego karabinu.

— Przestańcie wreszcie gadać o tych baranach — mruknął Smuga.

Mimo zmęczenia Sadyr Chodża był w doskonałym humorze. Jadł za trzech, a gadał za wszystkich. Co chwila przesuwał dłonią po lufie karabinu, uśmiechając się z radości. Zwróciło to w końcu uwagę bacznego na wszystko Davasarmana. Paląc fajkę nieznacznie obserwował rozgadanego mahometanina.

"Z czego on się tak cieszy? — rozmyślał. — Sahib bosman pożyczył mu karabin na polowanie, ale jakoś teraz nie spieszy się z odbiorem. Czyżby mu go podarował? Sprawa ta wygląda bardzo podejrzanie. Za co on mu dał swój karabin...? Chyba nie za to, aby włóczył nas po górach..."

Spoglądał to na Sadyr Chodżę, to na bosmana. Naraz podniósł się i ukradkiem podszedł do juków przeznaczonych dla Naib Nazara. Szybko wsunął rękę w jeden z rulonów. Odetchnął lżej, namacawszy zimną lufę karabinu.

"Widocznie starzeję się, bo prześladują mnie dziwaczne myśli" — mruknął. Uspokojony zniknął w namiocie.

W dwa dni później, tuż przed świtem, karawana po niemal całonocnym marszu, znajdowała się już w pobliżu granicy Pamiru. Sadyr Chodża jakimś chyba psim węchem rozpoznawał kierunek w bezdrożnych wąwozach. Czasem tylko przystawał na krótką chwilę, by popatrzeć na gwiazdy migocące na niebie, lub gdy urwiste szczyty przesłaniały mu widok. Wtedy węszył jak prawdziwy ogar. Zanim słońce ukazało się na niebie, karawana zaszyła się pomiędzy skały na samej granicy.

— Tutaj będziemy czekali na Naib Nazara — odezwał się Sadyr Chodża złażąc z konia.

— Czy daleko jeszcze do Wzgórza Kupców? — zapytał Smuga.

— Gdy nastanie dzień, ujrzysz je, sahibie, jak na dłoni — odparł Sadyr Chodża. — Trzeba nieco zluźnić koniom popręgi, lecz juków nie należy zdejmować.

— Naib Nazar ma przybyć dopiero około południa. Nasze juczne zwierzęta nie mogą stać przez tyle godzin z ładunkiem na grzbiecie — zaoponował Smuga. — Musimy mieć wypoczęte konie. Jeszcze dzisiaj ruszymy w dalszą drogę.

Smuga z Panditem Davasarmanem naradzali się po cichu, po czym przywołali Udadżalakę.

— Czy orientujesz się , gdzie jesteśmy? — zapytał Pandit Davasarman.

— Tak jest — odszepnął żołnierz. — Byliśmy już w tej okolicy. O jakieś sto lub dwieście metrów stąd na północ znajduje się Wzgórze Kupców. Granica Chińskiego Turkiestanu leży na wschodzie nie dalej jak o trzydzieści kilometrów.

— Doskonale, Udadżalaka. Czy pamiętasz równie dobrze nasz dawny szlak do Chotanu?

— Tak jest, pamiętam.

— To dobrze! Kto wie, czy nie będziemy zmuszeni przemykać się dwiema partiami. Jeśli zaszłaby taka konieczność, ty poprowadzisz jedną, a ja drugą.

— Rozkaz!

— Teraz rozjucz nasze konie. Trzymaj je w pogotowiu, aby w razie konieczności można było szybko założyć juki. Rosyjskie patrole zapewne kręcą się w pobliżu. Wierzchowym koniom jedynie zluźnij popręgi. Ja z sahibami będę trzymał straż.

— Rozkaz! — szepnął Udadżalaka.

Przyczajeni wśród nagich skał z radością powitali słońce wyłaniające się zza gór. Było bardzo chłodno. Płaskowzgórza oraz doliny Wyżyny Pamirskiej leżą przeciętnie na wysokości około czterech tysięcy metrów. Z tego powodu nawet podczas krótkiego lata, trwającego tam zaledwie trzy miesiące, różnica temperatur dnia i nocy jest znaczna.

O świcie Pandit Davasarman poprowadził sahibów na skraj skalnych rumowisk, aby nieco zorientować ich w okolicy. Ukryci za głazami pilnie słuchali jego wyjaśnień.

— Ten łagodny pagórek przed nami to Wzgórze Kupców. Tutaj właśnie Sachib-Nazar często przyczajał się na karawany dążące z Chińskiego Turkiestanu do Indii. Auł Naib Nazara znajduje się obecnie około dwóch kilometrów na wschód od wzgórza. Orszak weselny nadjedzie z zachodu. Tutaj zatrzyma się na krótki wypoczynek. Ojciec panny młodej da nam znak. Wtedy przyłączymy się do orszaku, który podąży wprost do aułu Naib Nazara. Stamtąd wyruszymy razem z gośćmi weselnymi w kierunku granicy Turkiestanu. Naib Nazar udzieli wskazówek, gdzie bezpiecznie można przekroczyć granicę. W Turkiestanie nie powinniśmy natrafić na zbyt wielkie trudności, ponieważ Rosjanie pozostają z Chinami w dobrych stosunkach handlowych. Rosyjski paszport młodego sahiba ułatwi nam podróż. Teraz natomiast musimy rozstawić straże, aby nas Rosjanie nie zaskoczyli. Szikar Smuga z młodym sahibem niech pozostaną tu, gdzie jesteśmy, sahib Wilmowski i ja będziemy obserwowali południowy pas przygraniczny, a sahib bosman musi czuwać nad Sadyr Chodżą i jego ludźmi. W razie niebezpieczeństwa należy przede wszystkim juczyć konie.

Słońce zaczęło mocno przygrzewać. Tomek wydobył lornetkę. Położył się na płaskim głazie i uważnie przepatrywał okolicę. Wokół Wzgórza Kupców rozciągała się zielona równina. Między kamieniami buszowały świstaki. Ich wesołe, beztroskie harce trwały bez końca. Jedynie wystawione przez nie czujki stały "słupka" na wzniesieniach, by w porę ostrzec towarzyszy przed niebezpieczeństwem. Szeroko porozgrzebywane nory świadczyły o częstych wizytach niedźwiedzi[*], które z gór himalajskich i Wyżyny Tybetańskiej zapuszczały się w letnich miesiącach aż tutaj w poszukiwaniu obfitego żeru. W lecie często można było w Pamirze spotkać niedźwiedzia[*] o puszystym kołnierzu, rozkopującego nory świstaków lub zręcznie wyrzucającego łapą ryby z rzeki na brzeg.

---

[*] . Niedźwiedź himalajski należy do gatunku niedźwiedzi brunatnych (Ursus arctos), które w różnych odmianach miejscowych żyją od Hiszpanii po Kamczatkę i od Laponii po Liban i zachodnie Himalaje, a w Europie we wszystkich wyższych górach. Zależnie od geograficznego rozmieszczenia, poszczególne odmiany niedźwiedzia brunatnego różnią się rodzajem owłosienia, ubarwieniem i budową czaszki. Kolor ich futra przechodzi od ciemnobrunatnego do rudo- lub żółtobrunatnego.

[*] . Niedźwiedź tybetański (Ursus martimus) posiada na łopatkach, karku i szyi, puszysty kołnierz z długich włosów. Od czarnego ubarwienia odbija się na piersi biała plama w kształcie litery V lub Y.

Tomek wodził lornetą po równinie. Czasem dojrzał przemykające stadko wilków, to znów zauważył lisa skradającego się do świstaków, bądź kołującego w górze nad nimi drapieżnego orła. Po godzinie, w myśl umowy, przebudził drzemiącego Smugę. Przekazał mu lornetę. Podczas czatów zabronione były rozmowy, toteż Tomek ułożył się na głazie, po czym przymknął oczy. Nie chciało mu się spać. Z niepokojem rozmyślał o mającym nastąpić niebawem spotkaniu z Naib Nazarem.

"Jeżeli zbóje dowiedzą się prawdy, to możemy mieć sporo kłopotów — monologował w myśli. — Czy nie rozsądniej byłoby teraz wyjawić wszystko ojcu i panu Smudze? Ba, ale pan Smuga również może się rozgniewać. Nie, lepiej nic nie mówić. Musimy z bosmanem mieć szeroko otwarte oczy."

Doszedłszy do takiej konkluzji zaczął rozmyślać o Sally. Zaraz też zapomniał o Naib Nazarze, karabinach i złocie ukrytym w górach Ałtyn-tag.

Po trzech godzinach Udadżalaka przyniósł im suchy prowiant.

— Czy szlachetni sahibowie nie zauważyli nic podejrzanego — zagadnął.

— Widziałem tylko świstaki, wilki i lisa — zażartował Tomek.

— To znak, że ludzie nie kręcą się w pobliżu — odparł Udadżalaka. — Za godzinę będziemy juczyli konie.

— Jak dobrze pójdzie, to jutro przekroczymy granicę Turkiestanu — dodał Smuga, zabierając się do jedzenia.

Znów minęło około półtorej godziny. Teraz Smuga co chwila wychylał głowę zza głazu, uważnie przepatrując przez lornetę zachodnią połać równiny. Po jakimś czasie podał Tomkowi szkła mówiąc pospiesznie:

— Jadą! Spojrzyj i natychmiast zawiadom naszych! Niech nie zapomną przyciągnąć popręgów. Spiesz się, teraz każda chwila decyduje o powodzeniu naszej wyprawy!

Tomek spojrzał przez lornetę. Od zachodu zbliżała się znaczna kawalkada jeźdźców oraz jucznych zwierząt. Duże toboły miarowo kołysały się na grzbietach wielbłądów. Tomek oddał lornetę Smudze, po czym chyłkiem pobiegł między skały.

Kandżuci uprzednio zmusili juczne muły do położenia się na ziemi razem z niesionym przez nie bagażem. Teraz energicznie i szybko poderwali zdrożone zwierzęta na nogi. Natomiast biali podróżnicy, chcąc oszczędzić siły wierzchowców, w ostatniej chwili juczyli konie, przyciągali popręgi. W pół godziny później Hindusi z Udadżalaką na czele stali przy wierzchowcach, trzymając juczne konie na arkanach.

Wilmowski, Tomek i bosman podkradli się do swej przedniej straży.

— Zaraz tu będą — informował Smuga. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa zatrzymają się na odpoczynek pomiędzy wzgórzem a nami. Czy wszystko już przygotowane?

— Tak, możemy ruszyć w każdej chwili — odpowiedział Wilmowski.

— Pamiętajcie wcisnąć czapy głęboko na oczy, a brody kryć w kożuchach — upominał Smuga.

Niebawem w pobliżu Wzgórza Kupców wyłonił się orszak weselny. Na pierwszym wielbłądzie okrytym grubym, barwnym wojłokiem, siedziała otulona w futro oraz zawój na głowie piętnastoletnia dziewczyna, zapewne panna młoda. Z obydwóch jej stron dwaj jeźdźcy przytrzymywali wielbłąda za uzdę. Drugi z kolei wielbłąd obładowany był złożoną jurtą*, w której młoda para miała zamieszkać w aule męża. Dalej, również na wielbłądzie, jechała opiekunka młodej dziewczyny. Za nią ciągnął się cały korowód wielbłądów i koni, objuczonych sprzętami domowymi, skrzyniami oraz innym dobytkiem oblubienicy. Na samym końcu kilku Kirgizów pędziło woły i krowy.

Orszak przystanął nie dojeżdżając do wzgórza. Stary Kirgiz wiodący z jednej strony za uzdę wielbłąda panny młodej zeskoczył z konia. Zdjął z głowy futrzaną czapę; białą chustą trzykrotnie wytarł czoło z potu. Na ten znak Pandit Davasarman stanął na głazie i powiał nad głową chusteczką.

Kirgiz z powrotem dosiadł wierzchowca. Weselny orszak zaczął wolno zbliżać się do skalnych rumowisk.

— Na konie, włączamy się do orszaku — rozkazał Smuga.

Kirgiski korowód przysunął się do skał. Wtedy zza głazów wyłoniła się ukryta dotąd karawana. Udadżalaka wraz ze swymi ludźmi i pięcioma jucznymi końmi wcisnął się pomiędzy wielbłądy dźwigające dobytek panny młodej. Nasi podróżnicy, razem z Sadyr Chodżą, jechali obok mułów objuczonych rulonami dywanów.

Na widok kilkunastu niskich, słabo zbudowanych Kirgizów towarzyszących pannie młodej, bosman odzyskał dobry humor. Podczas czatów w rumowiskach skalnych, na równi z Tomkiem, odczuwał niepokój na myśl o rychłym spotkaniu z Naib Nazarem. Obecnie śmiał się z uprzednich obaw. Cóż im mogło grozić od tej garstki niskich, spokojnych Kirgizów?! Jeśli nawet odkryją, że zostali oszukani, to i tak dziewięciu dobrze uzbrojonych mężczyzn łatwo da sobie z nimi radę. Uspokojony takim wnioskiem wesoło mrugał do Tomka. Wkrótce jednak obydwóm spiskowcom zrzedły miny. Oto z przeciwnej strony zbliżała się do orszaku weselnego gromada jeźdźców. Galopowali szeroką ławą. Osadzili wierzchowce tuż przed wielbłądem panny młodej. Z gromady jeźdźców wysunął się na spienionym rumaku bogato odziany Kirgiz. Sprężystym skokiem zsunął się z siodła, podszedł do ojca swej małżonki; w pełnym szacunku pokłonie dotknął czołem jego strzemienia. Teraz towarzyszący mu dżygici* również zsiedli z koni. Z workami napełnionymi kumysem* zbliżyli się do orszaku.

---

* . Jurta — okrągły namiot z wojłoku używany przez kirgiskie plemiona koczownicze. Drewniany lub bambusowy szkielet okłada się wojłokami, pozostawiając z wierzchu okrągły otwór, przykrywany w zależności od pogody osobnym wojłokiem ściąganym za pomocą sznura. Na zewnątrz wojłoki jurty obwiązuje się szerokimi, kolorowymi taśmami. Podłogę zaściela się trzcinowymi matami i przykrywa się je wojłokami.

* . Dżygici — od tureckiego "dżygit" — zwinny i śmiały jeździec lub rycerz. Rosyjski wyraz "dżygitówka" oznacza konne popisy gimnastyczne górali kaukaskich, kozaków i innych.

* . Kumys sporządza się z kobylego mleka, które mieszane co najmniej przez trzy dni daje kwaskowaty, orzeźwiający napój.

Naib Nazar poczęstował kumysem swego teścia, po czym kolejno zbliżał się do wszystkich, zapraszając do swego aułu na wesele. Podróżnicy zsiedli z wierzchowców. Naib Nazar rychło ich wypatrzył stojących obok swych koni. Zaraz skierował się ku nim. Bystrym, przenikliwym wzrokiem wodził po zarośniętych twarzach. Bosman i Tomek zmieszali się pod jego natarczywym spojrzeniem. Za pasem Naib Nazara tkwiły rękojeści dwóch rewolwerów i handżyru.

— Od kogo przywozicie mi pozdrowienia? — zapytał Naib Nazar metalicznym głosem, nie spuszczając wzroku z twarzy podróżników.

— Przyjaciel z Gilgit przesyła ci pozdrowienia oraz podarunek ślubny — odparł Pandit Davasarman.

Naib Nazar uśmiechnął się; wyciągnął dłoń do Pandita Davasarmana.

— Witaj, miły posłańcu, skoro znasz umówione hasło — powiedział. — Dobrze wypełniłeś swoją misję, teraz kolej na mnie. Najpierw wszakże zapraszam was wszystkich na moje wesele. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, już gdzieś spotkaliśmy się.

— Nie mylisz się, piłem kumys w jurcie twego ojca Sachib-Nazara, gdy Rosjanie zajęli Pamir.

Naib Nazar długo przyglądał się Panditowi Davasarmanowi, po czym rzekł półgłosem:

— Więc to ty jesteś naprawdę? Tak, teraz dopiero cię poznałem. Umiesz zmieniać swoją skórę. Przybyłeś wtedy, aby przeszkodzić w zesłaniu na Sybir Hudojara Chana[*]. Spóźniłeś się i omal nie wpadłeś w ręce Rosjan. Przestraszył mnie twój wybuch gniewu. Posądzałeś mego ojca o zdradę. Zmieniłeś się od tej pory...

— A ja poznałem ciebie od razu, chociaż widziałem cię zaledwie małym chłopcem.

— Stare oczy, stara pamięć! Za dawną znajomość napij się ze mną kumysu!

Po obfitym poczęstunku połączone orszaki ruszyły do aułu. Pięćdziesięciu kirgiskich zuchów otaczało karawanę. Uzbrojeni w rewolwery, handżyry i karabiny byli pewni siebie i zachowywali się bardzo swobodnie.

— Prawdziwe zbójeckie wesele — mruknął bosman pochylając się do ucha Tomka. — krucho może być z nami...

— I to nawet bardzo krucho... — dodał Tomek.

Bosman zaklął po cichu.

— Co zrobimy, brachu? Oni palą się z ciekawości do tych dywaników. W aule, jak amen w pacierzu, zaraz zajrzą do środka.

— Źle może być z nami... — mruknął Tomek. — Musimy coś zrobić, bosmanie!

— Sam to rozumiem, ale nie wiem, co mamy zrobić? Oni obłupią nas ze skóry... Ot, nawarzyliśmy piwa!

---

[*] . Po zajęciu Pamiru w 1891 r. Rosjanie zesłali Hudojara Chana, byłego władcę Pamiru, na Sybir.

POŚCIG I WALKA

Wjazd do aułu Naib Nazara jeszcze bardziej pogorszył nastrój niefortunnych spiskowców. Pomiędzy okrągłymi jurtami nomadów kręcili się mężczyźni zbrojni w handżyry oraz okute pałki. Spode łbów spoglądali na obcych przybyszów. Zaledwie panna młoda zsiadła z wielbłąda, natychmiast z kilkoma innymi kobietami przystąpiła, w myśl kirgiskiego zwyczaju, do stawiania przywiezionej z sobą jurty. Powstało małe zamieszanie, z czego skorzystał Tomek i po cichej, krótkiej naradzie z bosmanem odwołał Smugę na ubocze.

— Nie rób posępnej miny, chłopcze. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Będzie nie lada widowisko. Jeszcze nie widziałeś kirgiskiego wesela — niefrasobliwie powiedział Smuga.

— Nie w głowie mi teraz wesele. Jeśli natychmiast stąd nie wyjedziemy, to cała nasza wyprawa zakończy się w aule Naib Nazara — ponuro odrzekł Tomek.

Smuga natychmiast spoważniał. Zbyt dobrze znał odwagę młodego przyjaciela, by mógł sądzić, iż przestraszył się na widok bandy rozbójników. Ujął go pod ramię i spojrzawszy mu prosto w oczy, krótko zapytał:

— Czy jesteś pewny, że grozi nam tutaj niebezpieczeństwo?

— Uciekajmy stąd, zanim Naib Nazar zajrzy do juków z dywanami — z naciskiem szepnął Tomek.

— Do diabła, czyżbyście z bosmanem do spółki spłatali jakiegoś szpetnego figla?! — zdumiał się Smuga. — Czy w dywanach było coś ukryte? Hm, można się było tego spodziewać! Mów krótko, o co chodzi!

— Zapewniam pana, że Naib Nazar wpadnie w szał, gdy otworzy juki...

Doświadczony Smuga nie pytał Tomka o nic więcej. Jeśli Tomek wykrył schowane w dywanach jakieś przedmioty i obecnie wyczuwał niebezpieczeństwo, to lepiej było wierzyć mu na słowo. Każda chwila zwłoki mogła przecież spowodować nieoczekiwane komplikacje.

— Chodź ze mną, później porozmawiamy. Zachowuj się spokojnie, jak gdyby nic nam nie groziło — powiedział Smuga.

Razem odszukali Pandita Davasarmana. Smuga szepnął mu kilka słów do ucha. Hindus drgnął, nieprzyjemnie zaskoczony jego słowami. Natychmiast spojrzał na Tomka, który odetchnął lżej, widząc w jego wzroku więcej podziwu niż gniewu.

— Porozmawiajmy z Naib Nazarem — zaproponował Pandit Davasarman. — Jeśli stąd uciekniemy, to i tak szybko nas dogonią. Dowiedziałem się, że Naib Nazar zaprosił komendanta rosyjskiego na wesele. Może uda się nam wykorzystać to na własną korzyść.

W trójkę podeszli do podochoconego kumysem Kirgiza.

— Naib Nazarze, chcielibyśmy porozmawiać z tobą na osobności — zaczął Pandit Davasarman.

Naib Nazar niedbałym ruchem ręki oddalił od siebie dżygitów.

— Słucham cię, sahibie. Zaraz rozpoczniemy ucztę. Na pewno jesteście głodni — uprzejmie powiedział rozbójnik.

— Nie jesteśmy głodni. Czekając ukryci w skałach mieliśmy dość czasu na jedzenie — odparł Pandit Davasarman. — Domyślasz się zapewne, iż celem naszej tajemnej wyprawy jest Chiński Turkiestan. Musimy dotrzeć tam jak najszybciej z pewną misją od przyjaciół z Gilgit.

— Czy tam również wieziecie komuś ślubny podarunek? — roześmiał się Naib Nazar.

— Może i tak!

— Przejście przez granicę macie zabezpieczone. Gdybyście napotkali jakiś posterunek rosyjski, powiecie tylko, iż jedziecie z mego wesela. Tak umówiłem się z komendantem rosyjskim, który z kilkoma oficerami niebawem przyjedzie na ucztę.

— Oni nie powinni nas tu zobaczyć, Naib Nazarze. Pamiętasz, że nie mam najlepszych wspomnień ze spotkań z nimi.

— U mnie nic wam nie grozi. Moi dżygici roznieśliby Rosjan na handżyrach.

— Wiemy, Naib Nazarze, że pod twoją opieką jesteśmy bezpieczni, lecz władza twoja kończy się na granicy Chińskiego Turkiestanu, a tam Rosjanie posiadają duże wpływy. Mogliby nam utrudnić wykonanie ważnego zadania.

— Na pewno i tam masz znajomych, tak jak w Pamirze, lecz sam najlepiej wiesz, co powinieneś czynić. Kandżuci również woleli nie spotykać się z Rosjanami. Już odjechali.

— Przyznajesz, że tak jest lepiej dla nas i... dla ciebie.

— Wobec tego jedźcie szczęśliwie. Pamiętajcie, że wracacie z mego wesela. Nikt was nie zatrzyma. Teraz napijmy się strzemiennego.

Mała karawana szybko oddalała się od aułu. W chwili gdy wyruszali w drogę, Naib Nazar już witał rosyjskich oficerów, którzy przybyli w asyście oddziału kozaków.

Pandit Davasarman stale przynaglał do pośpiechu. Do tej pory Wilmowski nie pytał o nic, chociaż zaskoczyła go decyzja natychmiastowego udania się w dalszą drogę. Teraz, gdy Udadżalaka z trzema Hindusami i jucznymi końmi znacznie wysforował się do przodu, zagadnął:

— Z jakiego powodu zmieniłeś, Pandicie, nasze plany? Przecież mieliśmy zostać do wieczora u Naib Nazara. Konie nic nie wypoczęły. Czyżby zaszło coś nieoczekiwanego?

— Wyjaśnienia należą się nie tylko tobie, lecz i mnie, szlachetny sahibie, a udzielić ich jedynie mogą sahib bosman i sahib Tomek — odpowiedział Davasarman.

— Twój syn oznajmił mi, że Naib Nazar wpadnie w szał, gdy zajrzy do juków zawierających ślubny podarunek — wtrącił Smuga. — Ponieważ znam dobrze jego oryginalne pomysły, wolałem nie czekać na rozpakowanie juków.

— Domyślałem się, iż w dywanach ukryta jest jakaś kontrabanda. Co to może być, Janie?

— Nie byłem o tym poinformowany, toteż wyjaśnienia znacznie ciekawiej będą brzmiały w relacji Tomka — powściągliwie odpowiedział Smuga.

— Dobrze, powiem wam. W dywanach ukryte są nowoczesne karabiny. Dowiedziałem się o tym, gdy muł spadł w przepaść. Przez lornetkę przyjrzałem się rozbitym jukom — jednym tchem wyjaśnił Tomek.

— I na pewno z bosmanem wyjęliście te karabiny! — zawołał Wilmowski. — Czy wiecie, że możemy zapłacić za to głowami?!

— Nie usunęliśmy karabinów, ojcze. Leżą one w dywanach, oczywiście z wyjątkiem tych, które razem z mułem spadły w przepaść.

— Więc cóż za brewerie wyprawiacie, do licha?! — rozgniewał się ojciec. — Skoro karabiny są w jukach, to przecież nic nam nie grozi.

— Karabiny znajdują się w dywanach. Sam to sprawdziłem po powrocie z polowania na guldża wyimaginowane przez Sadyr Chodżę — rzekł Pandit Davasarman. — Szikar Smuga jednak zapewnił mnie, że Naib Nazar wpadnie w szał, gdy ujrzy te karabiny.

— Mów natychmiast, co zrobiliście z karabinami! — ostro krzyknął Wilmowski.

— Powyjmowaliśmy z nich zamki...

Przez długą chwilę w milczeniu gnali po równinie.

— Czy to był twój pomysł, Tomku? — odezwał się Smuga.

— Nie, proszę pana, pan bosman to wykombinował. Ja radziłem wyrzucić karabiny, a na ich miejsce nakłaść do juków kamieni.

— Całe szczęście, że usłuchałeś rady bosmana, bo w innym przypadku nie wyjechalibyśmy żywi z aułu Naib Nazara. Widziałem, jak wsuwał rękę do rulonów z dywanami. Muszę przyznać, że nie posądzałem bosmana o tyle rozsądku.

— Ha, obcując z mądrymi ludźmi, człowiek nabiera roztropności — wtrącił skromnie bosman.

— Sahibie, dlaczego to uczyniłeś? — zapytał Pandit Davasarman.

— Tomek wyklarował mi, że Anglicy na złość Rosjanom uzbrajają bandytów i Kirgizów, aby sami łatwiej mogli rządzić się w koloniach azjatyckich. Żal nam się zrobiło spokojnych kupieckich karawan, bo przecież na nie przede wszystkim napada ten zbój pamirski. Ot i wszystko!

— Jedźmy prędzej, musimy dopędzić Udadżalakę, zanim Naib Nazar ruszy w pościg — ponaglił Pandit Davasarman.

Świsnęły arkany. Podróżnicy pochyleni w siodłach gnali po równinie. Wkrótce doścignęli juczne konie. Teraz musieli zwolnić tempo jazdy, mimo że Pandit Davasarman nie oszczędzał wierzchowców. Końskie grzbiety wkrótce pokryły się potem, a pyski zabieliły pianą. Co pewien czas któryś z jeźdźców z niepokojem spoglądał za siebie. Juczne konie postękiwały, potykały się, ale smagane arkanami wydobywały resztki sił, by nadążyć za wierzchowcami.

Minęły trzy długie godziny.

— Wykończymy całkowicie juczne konie — krzyknął Wilmowski, przytrzymując za uzdę krótko przy pysku pokryte pianą i potykające się zwierzę.

— Obejrzyj się, sahibie — odparł Pandit Davasarman. — Jeśli Naib Nazar dopadnie nas na równinie, zginiemy!

Wilmowski odwrócił się, długo spoglądał za siebie. W dali na stepie poruszały się czarne punkciki.

Znów pognali konie. Łańcuch gór Sarykolskich, oddzielający Rosyjski Pamir od Chińskiego Turkiestanu, był już bardzo blisko.

Tomek powstrzymał swego wierzchowca. Lunetą wodził po szeregu dżygitów. Pochyleni na końskie karki, zawzięcie smagali batami wierzchowce. Następnie Tomek z niepokojem spojrzał ku łańcuchowi gór.

"Dogonią nas" — pomyślał z determinacją. Szarpnął cuglami wierzchowca i pognał za towarzyszami.

— Ilu ich może być, Tomku? — zawołał Smuga, gdy młodzieniec zrównał się z nim.

— Kilkudziesięciu, dogonią nas...! Dlaczego zbaczamy ku północy zamiast wprost dążyć do gór?!

— Davasarman prowadzi, on wie, co robi!

Hindus jechał na przedzie. Bystrym wzrokiem wodził po łańcuchu górskim. W końcu wypatrzył gardziel znanego mu wąwozu. Widocznie powziął już jakiś plan, ponieważ wstrzymał konia. Gdy Udadżalaka przybliżył się do niego, szybko powiedział:

— Widzisz ten wąwóz? Wiesz, gdzie się znajdujemy. Sam poprowadzisz juczne konie. Gdy w wąwozie miniesz pierwsze skały, jedź wolno. Oszczędzaj konie.

— Niech kto inny poprowadzi juczne konie — zaoponował Udadżalaka, nie chcąc w krytycznej chwili opuścić swego dowódcy.

— Tylko ty znasz dobrze drogę, więc ty pojedziesz! Strata juków równa się kompletnej klęsce. Teraz spiesz się!

W luźnym szyku pięli się po łagodnym stoku pagórka, już wprost wiodącego do gardzieli wąskiego wąwozu. Jadąc wolno pod górę stali się doskonale widoczni dla pogoni. Zwycięski okrzyk kilkudziesięciu dżygitów, dochodzący z daleka, zmącił ciszę zalegającą nad równiną.

Podróżnicy zrozumieli, iż nie unikną walki na śmierć i życie, której wynik zdawał się być z góry przesądzony na korzyść Naib Nazara. Smuga pierwszy wydobył karabin z pochwy, wsuniętej z boku pod siodło. W tej chwili Pandit Davasarman uderzył swego wierzchowca piętami i podjechał do Smugi.

— Jeśli jeden celny strzał nie osadzi pogoni na miejscu, wszyscy zginiemy — rzekł repetując broń. — Spójrz, szikarze, na złomy skalne zalegające po obydwóch stronach wylotu wąwozu. Tam nieznacznie obydwaj się zaczaimy, podczas gdy reszta szikarów, razem z moimi żołnierzami, pojedzie dalej i zajmie pozycje wśród głazów, znajdujących się nieco głębiej w wąwozie. Gdy Naib Nazar wpadnie ze swoją bandą do wąwozu, nasi towarzysze muszą przywitać go ostrą salwą z karabinów i rewolwerów. To powinno wprowadzić na chwilę zamieszanie w szykach bandy. Wtedy jeden z nas dwóch zabije Naib Nazara.

— Czy jesteś pewny, że to powstrzyma pogoń?

— Bandyci dzielnie walczą pod dowództwem nieustraszonego wodza, lecz gdy on ginie, zazwyczaj prędko idą w rozsypkę. Poza tym to jedyna nasza szansa... Powiedz natychmiast towarzyszom, co mają czynić. Spiesz się, inaczej pogoń spostrzeże nasz manewr!

Smuga niezwłocznie porozumiał się z Wilmowskim, przekazując mu jednocześnie dowództwo nad grupą, która otwarcie miała stawić czoło napastnikom. Udadżalaka puszczony do przodu, wjeżdżał właśnie w gardziel wąwozu. Podróżnicy nie popędzali już swych zdrożonych wierzchowców. Pogoń szybko ich doganiała. Plan Pandita Davasarmana był desperacki, lecz wszyscy rozumieli, że jedynie słuszny.

Smuga z Panditem Davasarmanem wysforowali się na czoło umykającej grupki. Zaledwie wpadli za skały osłaniające wylot wąwozu, bosman i Tomek uchwycili cugle ich wierzchowców. Smuga z karabinem w dłoni zsunął się z siodła, Pandit Davasarman uczynił to samo. Obydwaj zaczęli wspinać się na blok skalny. Ostre kamienie raniły im dłonie, osuwały się spod stóp, lecz dwaj, zdecydowani na wszystko mężczyźni, nie zwracali na to uwagi. Zadyszani wpełzli na dogodnie nachyloną skałę, legli między głazami.

Ostrożnie wychylili głowy. Udadżalaka znikał z jucznymi końmi za załomem wąwozu. O jakieś czterdzieści metrów dalej od nich Wilmowski z grupką towarzyszy zsiadł z koni, zajmując obronne stanowiska za złomami kamiennymi. Triumfalne wycie rozgrzanych pogonią dżygitów już rozbrzmiewało w wąwozie szerokim echem.

Wkrótce pierwsi jeźdźcy pojawili się na spienionych rumakach. Gruchnęła salwa karabinowa. Kwik trafionych koni zmieszał się z okrzykiem wściekłości dżygitów. Celne strzały słane z ukrycia powstrzymały nieco pierwszy impet ataku, lecz coraz więcej dżygitów wpadało do wąwozu. Kryjąc się za końskimi szyjami, gromadą ruszyli na nieliczną garstkę podróżników. Znów zabrzmiały charakterystyczne salwy karabinów oraz strzały rewolwerowe. Kilku dżygitów zachwiało się w siodłach, kilku innych zwaliło się na ziemię. Bandyci nie zsiadając z koni odpowiedzieli ogniem karabinowym.

Główne siły pogoni teraz dopiero docierały do gardzieli wąwozu. Smuga i Pandit Davasarman, przyczajeni za skalną iglicą, nie zwracali uwagi na chaotyczną strzelaninę. Całą swą uwagę skupili na nadjeżdżającej gromadzie dżygitów, wśród których powinien znajdować się Naib Nazar. Zbliżała się decydująca walka.

Wataha dżygitów zatrzymała się u wejścia do gardzieli. Część z nich zeskoczyła z rumaków, by pieszo rozpocząć szturm w wąwozie. Chroniąc się za występami skalnymi mogli łatwiej zbliżyć się do strzelców ukrytych za głazami. Cichaczem wpełzli do wąwozu.

Teraz palba karabinowa znacznie przybrała na sile.

— Pandicie, wśród konnych u wylotu wąwozu musi znajdować się dowódca — szepnął Smuga. — Patrz, druga grupa dżygitów zsiada z koni.

— Jest, jest! Pochyla się na koniu i wskazuje ręką na stok góry! To Naib Nazar — szeptem odparł Pandit Davasarman. — W tej chwili na pewno poleca dżygitom wspiąć się na stok góry i od tyłu zajść naszych.

— Tak, masz rację! Na pewno chcą ich wziąć w dwa ognie, aby prędzej zakończyć walkę!

— Czas na nas, szikarze. Niedługo strzał stanie się bardzo niepewny, słońce chyli się już ku zachodowi... Żeby Naib Nazar odwrócił się do nas przodem...

— Trudno, nie możemy zwlekać. Ja strzelę pierwszy, lecz ty, Pandicie, równocześnie bierz go na muszkę karabinu. Jeśli chybię, strzelaj natychmiast po mnie. Tylko mierz spokojnie, trochę powyżej pasa...

Smuga rozpiął kożuch. Jeszcze bardziej wychylił się zza głazu. Przyłożył kolbę karabinu do ramienia. Powoli unosił lufę, trzymając palec na spuście. Starannie mierzył w głowę, troszeczkę poniżej futrzanej czapy. Spokojnie nacisnął spust.

Huk pojedynczego strzału utonął w grzmocie palby rozbrzmiewającej w wąwozie. Nagle Naib Nazar szarpnął cuglami rumaka, a potem z rozkrzyżowanymi szeroko ramionami runął z siodła wprost na ręce dżygitów.

Zaledwie ujrzeli krew spływającą po skroni wodza okrzyk wściekłości i gniewu przygłuszył huk strzałów. Zaraz też całą gromadą zaczęli przygotowywać się do szarży na garstkę przeciwników. Nawet ci, co uprzednio na rozkaz Naib Nazara zsiedli z koni, teraz wskakiwali na siodła. Widząc to Smuga i Pandit Davasarman zaczęli strzelać w bezładną gromadę. Seria strzałów zdradziła dżygitom, skąd wystrzelono celną kulę, która powaliła ich wodza. Kilku śmiałków znów zeskoczyło z koni, by zaatakować ukrytych wrogów.

Smuga spojrzał na towarzysza. Porozumieli się wzrokiem. Plan zawiódł, postanowili jednak drogo sprzedać swe życie. Pandit Davasarman spokojnie przygotowywał się do walki wręcz. Spod kożucha wydobył zza pasa sztylet. Ujął jego rękojeść w zęby, po czym sprawnie ładował rewolwer. Smuga nie był tak spokojny jak on. Nie chodziło mu wszakże o własne życie. Teraz myślał jedynie o wiernych towarzyszach walczących w głębi wąwozu. Słychać było już chrapliwe oddechy dżygitów pnących się na skałę.

Naraz na równinie rozległa się salwa karabinowa. Podniosła się olbrzymia wrzawa. Okrzyki dżygitów tym jednak razem, zamiast triumfu, wyrażały przestrach. Huk nowej salwy i jeszcze bardziej rozpaczliwe krzyki bandytów natchnęły nową nadzieją serca dwóch śmiałków szykujących się do ostatecznej rozprawy.

Smuga znów wychylił się zza głazu. Dżygici stłoczeni w bezładną gromadkę spoglądali na równinę, gdzie oddział rosyjskich kozaków w szyku bojowym odcinał im odwrót.

Teraz dopiero można było ocenić zuchwałość bandy Naib Nazara. Dżygici szybko opanowali przerażenie, jakie ogarnęło ich po niespodziewanym ataku Kozaków. Kilku konnych pospieszyło do wąwozu, by ostrzec walczącą tam czołówkę, podczas gdy inni grupowali się w małe oddziałki. W przeciągu paru minut cała banda była z powrotem na koniach. Kryjąc się za ich szyjami, dżygici rozpoczęli palbę do oddziału Rosjan. Lecz trafiła tu kosa na kamień. Niezrównani jeźdźcy, jakimi są Kozacy, zniknęli z siodeł, jakby za pociągnięciem różdżki czarodziejskiej. Spod głów koni wysunęły się lufy karabinów. Celna salwa zmusiła dżygitów Naib Nazara do rozsypki. Porwali martwe ciało swego wodza, po czym małymi grupkami usiłowali wymknąć się z potrzasku.

Smuga odetchnął głęboko, słysząc rosyjskie słowa komendy.

Kozacy tymczasem utworzyli dwa oddziały. Z gołymi szablami rozpoczęli pościg za umykającą bandą.

— Nie spodziewałem się takiej pomocy — odezwał się Smuga. — Skąd się tu wzięli Kozacy?

— Oficerowie rosyjscy byli w aule Naib Nazara, gdy ten wymknął się w pościg za nami. Musieli zaobserwować zniknięcie pana młodego wraz z gromadą dżygitów. Zapewne przypuszczali, iż planuje jakiś napad, więc wysłali za nim własny oddział wojska — odparł Pandit Davasarman. — Nie traćmy teraz czasu. Zamiast Naib Nazara wkrótce możemy mieć Rosjan na karku. Nic tu po nas!

Jak na skrzydłach zsunęli się ze skały. Zaledwie znaleźli się na dnie wąwozu, od razu ujrzeli swoich towarzyszy niespokojnie wyzierających spoza głazów. Pobiegli do nich.

— Co się tam dzieje? Chyba jakaś walka toczy się na równinie — zawołał Wilmowski.

— Oddział Kozaków gromi dżygitów Naib Nazara. Wsiadajmy na konie i umykajmy póki czas.

— Tylko bosman został lekko raniony w ramię, ale to nic groźnego, już go opatrzyliśmy — informował Wilmowski.

— Skąd się tu wzięli Kozacy? — dziwił się Tomek.

— Później czas na rozważania. Teraz na koń i w górę wąwozu za Udadżalaką. Znajdujemy się w pasie granicznym — krótko rzekł Smuga wskakując na wierzchowca.

— W drogę! — ponaglił Pandit Davasarman.

MIASTO POCHŁONIĘTE PRZEZ PUSTYNIĘ

Podczas całonocnej ucieczki przez góry podróżnicy zatrzymali się tylko jeden raz na dwugodzinny wypoczynek. O świcie dotarli do zacisznej dolinki zamieszkałej przez górskie plemię Toglików. Wioszczyna składała się z kilku brudnych, wojłokowych jurt oraz z zimnych domków zbudowanych z cegieł z wysuszonej w słońcu gliny.

Pasterze, odziani w baranie kożuchy, narzucone na bawełniane koszule i spodnie, w długie pończochy oraz skórzane łapcie, gościnnie przyjęli utrudzonych wędrowców. Pozwolili im wypocząć w jednym z pustych o tej porze roku murowanych domków. Mężczyzn tutejszych cechowała niezwykła ciekawość. Szczególnie interesowały ich różne przedmioty posiadane przez podróżników. Pandit Davasarman, jedyny znający narzecze jarkendskie, stale znajdował się pod "obstrzałem" pytań. Kobiety Toglików, w przeciwieństwie do innych mahometanek, nie kryły się przed przybyszami, tylko nie zwracały na nich uwagi. Przygotowywały pożywienie, które stanowiła przeważnie mączna zupa kraszona mlekiem, owczy twaróg oraz chleb. Na przyjęcie gości podały także środkowo-azjatycki przysmak, tak zwany "pilaw". Były to drobno pokrajane kawałki baraniny, ugotowane razem z ryżem, rodzynkami i przyprawą ostrych korzeni.

Pandit Davasarman z prawdziwie wschodnim spokojem uprzejmie odpowiadał na pytania i rozdawał drobne upominki. W ten sposób wkrótce zjednał sobie przychylność Toglików; wtedy rozpoczął pertraktacje w sprawie wymiany zmęczonych koni na nowe. Niestety biedni górale nie posiadali tylu wierzchowców. Po długich namowach udało mu się wymienić zaledwie pięć jucznych koni oraz najbardziej zmęczonego wierzchowca bosmana. Oczywiście niemałą rolę w pomyślnym zakończeniu transakcji odegrały trzy bryłki złota, które Smuga wydobył z woreczka odziedziczonego po bracie.

Cena koni była dość wysoka. Mimo to Smuga nie żałował pieniędzy, ponieważ chciał zdobyć wierzchowce zdatne do długich, męczący pochodów. Aby nadmierną hojnością nie budzić podejrzeń pasterzy, Pandit Davasarman targował się długo, w wyniku czego dodali im, wyrabiane przez siebie, piękne, wzorzyste dery na konie oraz kilka skórzanych worów na wodę.

Po dwudziestoczterogodzinnym wypoczynku opuścili gościnną wioskę. W dwa dni później osiągnęli już kotlinę rzeki Tarym, zwaną także Turkiestanem Wschodnim. Olbrzymią, owalną kotlinę z trzech stron otaczały potężne łańcuchy gór: Tien-szan, Pamirów i Kunlun. Z wnętrzem wypełnionym piaskami tworzyła groźną pustynię Takla Makan, trzecią co do wielkości pustynię Azji*. Na północy obramowywała ją rzeka Tarym*, której dopływy brały początek w niebotycznych węzłach górskich. Mieszkańcy, w większości Turcy, Kirgizi, i Chińczycy, przeważnie skupiali się w oazach u stóp gór, gdzie było więcej wody i żyźniejszej ziemi.

Podróżnicy jechali obecnie wzdłuż gór Kunlun. Po uciążliwej, kamienistej drodze zbliżali się do Karghaliku*, położonego na starym trakcie karawanowym. Bliżej miasta coraz częściej napotykali gromady górali zdążających na jarmark. Wolno torowali sobie przejazd wśród ludzi i objuczonych koszami osłów. Pandit Davasarman odpowiadał na uprzejme pozdrowienia. Inni nie znali miejscowego narzecza, więc jechali w milczeniu, by nie wzbudzać obcą mową zbytniego zaciekawienia krajowców. W dali rysowały się zabudowania miasteczka.

Pandit Davasarman pierwszy wypatrzył na drodze mały oddziałek chińskich żołnierzy. Nieznacznie polecił towarzyszom, by więcej skryli twarze w kożuchach. Bosman i Tomek wymienili wesołe spojrzenia na widok umundurowanych wojaków, bardziej bowiem przypominali oni piratów niż żołnierzy. Spod barwnych chustek, zawiązanych na tyle głowy, opadały im na plecy czarne włosy splecione w warkocz. Z tyłu i z przodu na kurtce mieli naszyte białe kwadraty z wpisanym na nich własnym nazwiskiem oraz nazwiskiem dowódcy oddziału. Całość munduru uzupełniały luźne szarawary, związane u dołu ponad kostką oraz czarne buty. Żołnierze, uzbrojeni w stare karabiny, szli gęsiego skrajem drogi. Na przedzie kroczył dowódca. Obok niego dreptał tłumacz* ubrany w długi chałat.

Dowódca niedbale przypatrywał się mijanym ludziom. Naraz dostrzegł jeźdźców zakutanych w kożuchy i ich juczne konie. Rzucił po chińsku jakiś rozkaz. Natychmiast tłumacz zawołał po tiursku:

— Skąd i dokąd jedziecie?

— Jesteśmy kupcami rosyjskimi. Jedziemy z Margielanu* do Chotanu — odparł Pandit Davasarman, zatrzymując wierzchowca przed oficerem.

Chińczyk wysłuchał tłumacza, po czym znów zadał pytanie:

---

* . Powierzchnia pustyni Takla Makan wynosi 320 000 km. kw. Jest ona po pustyni Gobi (Mongolia, Chiny) oraz pustyni Rub el-Chali (Półwysep Arabski) trzecią co do wielkości pustynią Azji.

* . Rzeka Tarym ma 2190 km długości. Ujście jej rozlewa się w błotach i jeziorze Łob-nor. Wraz z dopływami: Chotan-daria, Jarkend-daria, Kaszgar-daria i innymi, tworzy najważniejszy dział wodny kotliny Tarymu.

* . Karghalik (po chińsku: Yeh'cheng) — miasteczko o dziesięciu tysiącach mieszkańców, leżące na południe od Jarkendu, obecnie w południowo-zachodnim Sinkiangu we Wschodnich Chinach.

* . Chińczycy pogardzali miejscowym językiem tiurskim i porozumiewali się z krajowcami za pośrednictwem tłumaczy.

* . Margielan — stare miasto leżące w Kotlinie Fergańskiej (obecnie w południowo-wschodniej Uzbeckiej SRR), znane między innymi z handlu bawełną i jedwabiem.

— Po co i do kogo jedziecie do Chotanu?

— W Chotanie nie znamy nikogo. Wieziemy jedwab na sprzedaż — odpowiedział Pandit Davasarman, po czym wymownie obejrzał się na towarzyszy.

Na ten znak Smuga z bosmanem przybliżyli się do niego. Tomek oraz jego ojciec nieznacznie wsunęli prawe dłonie pod kożuchy.

— Otwórzcie juki, chcemy obejrzeć ten jedwab — rozkazał tłumacz.

— Dobrze, zaraz pokażemy wam zawartość naszych juków, ale najpierw przedstawię dowódcy pewien polecający dokument, który wieziemy do ambania* Chotanu — zgodnie powiedział Pandit Davasarman.

Gdy tłumacz powtarzał jego słowa, Pandit wolno wsunął prawą dłoń pod kożuch; lewą ściągnął uzdą łeb konia, by zmusić go do odwrócenia się bokiem do oficera. Żołnierze zatrzymali się w bezładnej gromadce za nachmurzonym dowódcą. Pandit Davasarman pochylił się ku Chińczykowi, jakby chciał podać mu dokument wydobywany spod kożucha. Nagle błyskawicznym ruchem wyszarpnął dłoń uzbrojoną w ciężki rewolwer. Zaskoczony dowódca nie zdążył się uchylić. Mocny cios rękojeścią rewolweru w głowę powalił go na ziemię. Niemal w tej samej chwili Smuga i bosman zeskoczyli z koni — wydobytymi z kieszeni rewolwerami zaszachowali zdumionych żołnierzy. Zrozumieli swą bezsilność, bo oto pięciu dalszych jeźdźców natarło na nich końmi grożąc rewolwerami i karabinami.

— Nie stawiajcie oporu, a nic wam się nie stanie — zawołał Pandit Davasarman. — Nie zabierzemy wam broni, oddajcie jedynie naboje!

Tłumacz przerażony niespodziewanym atakiem pospiesznie powtórzył żołnierzom, czego od nich żądano. Ci ostatni mimo zaskoczenia nie wykazywali przestrachu. Szeptem naradzali się między sobą.

— Bosmanie, poleciłem im oddać naboje, poproś ich, aby tak długo się nie namyślali — powiedział Pandit Davasarman płynną ruszczyzną.

Olbrzymi marynarz wsunął rewolwer za pas kożucha. Tomek i Udadżalaka zeskoczyli z koni.

— Odsuń się trochę, przyjacielu — po rosyjsku rzekł bosman do Smugi.

Sękatym łapskiem chwycił pierwszego z brzegu żołnierza za bluzę na piersiach. Jak piórko uniósł go do góry jedną ręką, a drugą wyrwał mu karabin i rzucił o ziemię. Chińczyk krzyknął coś wysokim głosem, lecz w tej chwili bosman cisnął nim w zdezorientowaną gromadkę. Jeden z żołnierzy zamachnął się na olbrzyma kolbą karabinu. Wtedy podskoczył Tomek, obydwoma rękami chwycił lufę karabinu i szarpnął do tyłu, przewracając żołnierza na ziemię. Udadżalaka kolbą uderzył w plecy najbliższego napastnika. Na tym bijatyka się skończyła.

*** . Ambań — chiński rządca.**

Chińczycy po tym krótkim, bezkrwawym oporze rzucili karabiny na ziemię. Bosman, Tomek i Udadżalaka sprawnie zrewidowali żołnierzy. Ze zdziwieniem stwierdzili, że tylko jeden z nich posiada trzy, a drugi jeden nabój. Wszystkie karabiny były nie nabite.

Dowódca tymczasem odzyskał przytomność. Ciężko dźwigał się z ziemi.

— No, no, niezbyt tęgich obrońców ma chiński cesarz — odezwał się bosman. — Proszę, chcieli nas straszyć patykami!

Dowódca krzyknął coś po chińsku.

— Czego on chce? — zapytał Pandit Davasarman tłumacza.

— Nie gniewaj się na mnie, szlachetny panie, lecz on mówi, że nie przejdzie wam to na sucho. Obiecuje zaaresztować was w Karghaliku i dostarczyć Padszy-Szab-Bekowi*.

— Bardzo dobrze, zaświadczymy, że wypełnił razem z żołnierzami swoją powinność. Teraz precz od nas, bo będziemy strzelali!

Ku zdziwieniu przestraszonych wieśniaków, karawana ruszyła z kopyta ku miasteczku. Pandit Davasarman nawet nie obejrzał się za siebie, lecz zaledwie osłonił ich pagórek, natychmiast zjechali z drogi na północ. Niebawem miasteczko oraz mury fortecy zniknęły w dali na horyzoncie. Pandit Davasarman zwolnił tempo jazdy.

— Tutaj jesteśmy bezpieczni — poinformował towarzyszy. — Nie będą nas ścigali po bezwodnych, piaszczystych wydmach.

— I my również zginiemy łatwo wśród lotnych piasków pustyni Takla Makan — wtrącił Tomek.

— Nie martw się, damy sobie radę — uspokoił go Pandit Davasarman. — W najbliższej oazie napełnimy wory wodą i zakupimy paszy dla koni. Trzykrotnie byłem już w tym kraju.

— Czegoś się pan tak przestraszył tych żołnierzy? — zagadnął bosman. — Nie dogoniliby nas pieszo.

— Czy nie zwróciło twej uwagi, szlachetny sahibie, że spośród tylu ludzi wędrujących w kierunku miasta ów oficer nas właśnie zatrzymał? Czy to nie wydało ci się podejrzane?

— Pandit Davasarman ma rację, mnie również zaskoczyła natarczywość, z jaką chciał sprawdzić zawartość juków — potwierdził Smuga. — Zachowywał się, jakby wiedział, kogo lub czego ma szukać.

— Ja także odniosłem podobne wrażenie — dodał Wilmowski. — Być może Rosjanie zawiadomili władze chińskie, iż podejrzani ludzie przekroczyli granicę Turkiestanu?

— Kto wie? Oddział Kozaków po rozgromieniu bandy Naib Nazara, na pewno rozglądał się za karawaną, która stawiła tak zacięty opór bandytom. Wiedzieli, że jesteśmy dobrze uzbrojeni — powiedział Pandit Davasarman.

— W takim razie Chińczycy nie wysłaliby na poszukiwanie patrolu bez nabojów do karabinów — powątpiewał bosman.

---

* . Nazwa naczelnika policji.

— Nie znasz tutejszych stosunków, sahibie — wyjaśnił Pandit Davasarman. — Chińscy dowódcy nie dbają o żołnierzy. Większość sum otrzymywanych na zaopatrzenie wojska zagarniają do własnych kieszeni. Tym niemniej musimy zachować ostrożność. Nie możemy stale siłą torować sobie drogi, a tym bardziej pokazywać się w miastach o licznej policji i załogach wojskowych.

— Jaką taktykę doradzasz zastosować, Pandicie? — zagadnął Wilmowski.

— Taką samą, jaką obrałem podczas mej drugiej bytności w Chińskim Turkiestanie. Wtedy również celem mojej podróży był Chotan.

— Na czym polegała owa taktyka?

— Z Karghaliku wiodą dwie drogi do Chotanu. Jedna z nich przez Guma ciągnie się wzdłuż południowego skraju pustyni Takla Makan. Druga oddala się bardziej na południe i podnóżem gór Kunlun prowadzi do Sandżu, skąd zbacza na północny wschód i w miejscowości Sanguja łączy się z pierwszą drogą. Wolę trzymać się drogi na Guma, z której w każdej chwili można zjechać w pustynię i zatrzeć za sobą ślady. Będziemy zataczali małe łuki w Takla Makan wzdłuż traktu. W ten sposób unikniemy niepożądanych spotkań. W mało uczęszczanych oazach możemy zaopatrywać się w wodę i paszę.

— Rada dobra, ani słowa! Nareszcie nie muszę wytrząsać się po górzyskach — chwalił bosman. — Pustynia przypomina mi morze. Spójrzcie tylko, piaszczyste barchany[*] z daleka wyglądają jak fale!

— W pobliżu tych okolic rosyjski podróżnik Przewalski odkrył dzikiego konia i wielbłąda[*] — wtrącił Tomek.

Kilka godzin brnęli przez szczerą pustynię. Jechali wzdłuż wysokich wydm, to znów przerzynali się przez półksiężycowate barchany utworzone przez lotne piaski. Po południu Pandit Davasarman zboczył nieco ku traktowi. Doprowadził karawanę do zagubionej w piaskach małej oazy. Kilka nędznych chatynek otaczało zajazd. Obok niego mieściła się cysterna z wodą. Podróżnicy napoili konie, napełnili wszystkie wory wodą, uzupełnili własne zapasy żywności oraz kupili paszy. Po krótkim wypoczynku znów zaszyli się w pustynię.

Podczas następnych kilku dni Pandit Davasarman z Udadżalaką urządzali zwiadowcze wypady do pobliskich oaz na drodze do Chotanu. Stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że stacjonujące w nich oddziałki wojskowe pilnie obserwowały wszystkie karawany. W takiej sytuacji ostrożność nakazywała omijanie osad. Wędrówka przez rozległe, piaszczyste wydmy Takla Makan stawała się coraz bardziej uciążliwa. Co jakiś czas rozbijali obóz w szczerej pustyni, jedynie Pandit Davasarman bądź Udadżalaka wypuszczali się wtedy do osiedli po prowiant, wodę i paszę.

---

[*] . Piaski na pustyni często układają się tu i ówdzie w wydmy w kształcie półksiężyca, czyli tak zwane "barchany", łagodnym, wypukłym zboczem zwrócone do wiatru.

[*] Przewalski odkrył wspomniane przez Tomka zwierzęta na stepowo-pustynnych równinach Dżungarii, kotlinowym obniżeniu między Ałtajem a Tien-szan.

Przez przeszło dwa tygodnie gromadka przyjaciół przedzierała się przez pustynię. Wszyscy byli już porządnie zmęczeni. Zewsząd otaczało ich bezmierne morze piasków, urozmaiconych jedynie barchanami i wydmami, osiągającymi często wysokość kilkudziesięciu metrów. Wiatr wdmuchiwał piasek do ust, nosów, uszu, wciskał go pod ubrania i do juków. Toteż gdy Pandit Davasarman oznajmił pewnego popołudnia, iż znajdują się już w pobliżu Chotanu, wszyscy, z wyjątkiem bosmana przyjęli jego słowa z prawdziwym wybuchem radości. Jedynie marynarz z niepokojem wpatrywał się w zachodnio-północny pas nieba nad linią horyzontu.

— Bosmanie, czyżby pana martwiła wiadomość, że nareszcie dobijamy do portu? — zagadnął Tomek, starając się naśladować sposób mowy przyjaciela. — A może zagustował pan w monotonnym krajobrazie pustyni?

— Nie zwijaj przedwcześnie żagli, brachu — odparł bosman. — Czy pamiętasz, jak podczas polowania na strusie emu w Australii ogarnęła nas burza piaskowa?

— Oczywiście, pamiętam! Najadłem się wtedy niemało strachu. Dlaczego akurat teraz wspomina pan o tym?

— Zerknij na niebo na północnym zachodzie!

Tomek odwrócił się w siodle. Osłonił ręką oczy.

— Hop, hop! Przystańcie na chwilę! — zawołał do towarzyszy. — Spójrzcie na północny skłon nieba!

Karawana zatrzymała się; wszyscy odwrócili głowy we wskazanym przez Tomka kierunku.

W dali na linii horyzontu niebo przybierało szarożółtą barwę.

— Pan bosman właśnie zwrócił uwagę na to zjawisko — wyjaśnił Tomek. — Niebo tak samo wyglądało w Australii, gdy podczas polowania na emu wpadliśmy w burzę piaskową.

— Nie uciekniemy przed nią. Wiatr wieje z północnego zachodu — powiedział Pandit Davasarman.

— Cieszcie się dalej, panowie. Do Chotanu mamy niedaleko — ironizował bosman. — Oj, panie Davasarman, żeby taki stary wyga nie wyniuchał w porę niebezpieczeństwa! Cackasz się pan tylko z Kitajcami*, a burzę piaskową prześlepiasz!

— Należy mi się nagana, sahibie, wkrótce rozpęta się tu prawdziwe piekło. Jedźmy jak najszybciej na wschód.

— Chcesz zboczyć z drogi do Chotanu? — zapytał Smuga.

— Tak, w tamtym właśnie kierunku natknąłem się kiedyś na dawne miasto zasypane przez piaski. Gdybym tylko zdołał je odnaleźć, mielibyśmy bezpieczne schronienie. Ono powinno być gdzieś niedaleko.

— Jedźmy, nie mamy wyboru. Nawet jeśli nie odnajdziemy ruin miasta, to i tak nie pogorszymy swej sytuacji — ponaglał Wilmowski.

---

* W średniowieczu Chiny nazywano: Cathaj, Kathay, Kithai.

Popędzili konie. Niebo coraz bardziej zasnuwało się ciemnymi chmurami. Powiał porywisty wiatr. Pod jego gwałtownym podmuchem ożyły barchany i wzgórza. Wierzchowce odwracały łby ku południowi, rżały i rwały cuglami. Naraz koń Wilmowskiego gwałtownie rzucił się w bok. Spod piasku wyłaniała się końska czaszka, z żółtymi zębami. Nieco dalej wiatr odsłaniał szkielety ludzi oraz porzucone juki.

Pandit Davasarman bez przerwy parł na wschód. Niespokojnie rozglądał się dokoła. Dotarli do znacznego, szerokiego zagłębienia, jakby traktu przecinającego pustynię z południa na północ. Konie zsuwały się w dół, powiększając niesioną wiatrem chmurę piachu. Znaleźli się w dawnym korycie wyschłej rzeki. Stąd Pandit Davasarman zawrócił na północ. Teraz jechali wprost w objęcia piaskowej burzy.

Zanim pustynia całkowicie pogrążyła się w mroku, wyczuli, że konie znów zsuwają się po piaszczystym stoku. Wiatr uderzył raz jeszcze ze zdwojoną siłą, sypnął tumanami piasku i przycichł. Wjechali do pustynnej kotliny. Wśród wydm sterczały kikuty pni obumarłych drzew. Nieco dalej majaczyły pochłonięte przez piaski pustyni ruiny tajemniczego miasta. Z szarych wydm i gór piaskowych wynurzały się fragmenty domów z topolowego drzewa oraz z trzciny, polepionej biało malowaną gliną. Wierzchowce strzygły uszami i stawały dęba, gdy mijali rozwiane przez wichury grobowce. Gdzieniegdzie z rozbitych drewnianych trumien sterczały owinięte łykiem szkielety ludzkie.

Zatrzymali się przed na pół zasypanym domem. Przed wejściem stał posąg Buddy. Z filozoficznym spokojem wschodniego mędrca spoglądał w dal szarymi, zamyślonymi oczami. Nieczuły na tragedie ani złudne, doczesne triumfy ludzi drwił sobie z zaborczych piasków groźnej pustyni, z buranów* i stuleci, które minęły od chwili, gdy ogłosił światu narodziny nowej religii.

Pandit Davasarman zeskoczył z konia. Zniknął we wnętrzu budowli. Błysnęły płomyki zapałek. Po chwili wynurzył się z ciemnego otworu i zawołał:

— Rozjuczajcie konie! Bagaże wnosić do dalszych izb, w pierwszej umieścimy wierzchowce! Najpierw odszukajcie latarki oraz świece!

Wichura wzmagała się coraz bardziej. Z przeraźliwym świstem wdzierała się do kotliny, porywała z ziemi pył, miotała nim w niebo zasnute ciemnożółtymi obłokami...

Wkrótce potem z sąsiedniej, najobszerniejszej izby, dochodziły postękiwania koni żujących obrok. Podróżnicy, nie mniej wyczerpani od swych wierzchowców, w milczeniu jedli gorącą strawę ugotowaną na maszynce. Posiliwszy się, zapalili fajki. Przy migotliwym świetle świecy spoglądali na ściany, na których pozostały jeszcze dotąd resztki malowideł.

Tomek z latarką w dłoni zbliżył się do ściany. Wśród częściowo zatartych obrazów można było odróżnić zwiewnie ubrane, klęczące smukłe kobiety, czarnobrodych mężczyzn, zwierzęta oraz okręty.

---

* Buran — syberyjska zadymka śnieżna; silny wiatr wiejący w Rosji i Azji Środkowej z północ-wschodu, któremu towarzyszą chmury drobnego piasku.

— Zapewne dziwisz się, sahibie, skąd dawni mieszkańcy pustyni Takla Mahan mogli znać statki — zagadnął Pandit Davasarman.

— Istotnie zastanawiam się nad tym — odparł Tomek, siadając obok towarzyszy.

— Podczas obecnej wyprawy, dawno przestałem dziwić się czemukolwiek. Co krok niespodzianki — wtrącił bosman. — Na przykład czym żywili się mieszkańcy tej dzikiej pustyni?

— Nawodnij tylko ziemię, a zobaczysz, sahibie, jakie wyda plony. Czy nie zwróciłeś uwagi, iż dwieście a może nawet i więcej lat temu, płynęła tutaj duża rzeka? Jeszcze do dzisiaj pozostały tu ślady dawnych ogrodów. Podczas poprzedniej bytności znalazłem w zasypanych domach szczątki kądzieli oraz kokony jedwabnika — wyjaśnił Pandit Davasarman.

— Ile tajemnic kryją w sobie te kraje! — westchnął Tomek.

— Mój drogi, Azja Środkowa uważana jest za kolebkę rodu ludzkiego na Ziemi. W każdym razie tutaj powstały najstarsze kultury — zauważył Wilmowski.

— Czy sam odnalazłeś to wymarłe miasto, Pandicie? — zapytał Smuga.

— Nie, usłyszałem o nim od Svena Hedina.

— Nic pan przedtem nie mówił, że zna pan tego wielkiego podróżnika — zawołał Tomek.

— Tomku, mowa jest srebrem, a milczenie złotem — rzekł Smuga. — Pan Pandit Davasarman okazał wielkie zaufanie, zdradzając nam swą znajomość, ze szwedzkim badaczem. O ile wiem, nie mówił tego nawet Brytyjczykom.

— Bardzo przepraszam za mimowolną niedyskrecję — tłumaczył się Tomek, a potem dodał porywczo: — Nigdy nie nadużylibyśmy pana zaufania. Jestem pewny, że pan został wywiadowcą nie z chęci służenia interesom Brytyjczyków.

Zaległo kłopotliwe milczenie. Tomek zaczerwienił się pod karcącym wzrokiem ojca. Smuga, również zmieszany, niespokojnie spoglądał na Hindusa. Natomiast prostoduszny bosman pośpieszył druhowi z pomocą.

— Nie obrażaj się pan na Tomka. To szczery i życzliwy każdemu przyzwoitemu człowiekowi chłopak. Jasne jak słońce, że gwiżdżesz pan na Anglików oraz ich machlojki, skoro ani jednym słowem nie skarciłeś nas za ten psikus z karabinami — powiedział. — Jesteś pan wśród swoich prawdziwych przyjaciół. Potrafimy trzymać buzie zamknięte na kłódkę.

— Wiem, o tym. Zdążyłem już poznać szlachetność młodego sahiba. Zyskał przyjaźń mej siostry i moją. A o tych karabinach radzę wszystkim zapomnieć. Skąd możemy mieć pewność, że to Nazim Chan nie spłatał figla Naib Nazarowi? — odpowiedział Pandit Davasarman.

— Święta prawda — zawołał bosman parskając śmiechem. — Nosisz pan głowę na karku nie od parady. No, niełatwa jest twoja rola.

— Kto służy władcy, ściąga na siebie nienawiść ludu, kto zaś służy własnemu ludowi, ten traci łaskę władcy. Niełatwo omylnemu człowiekowi znaleźć właściwą drogę w labiryncie sprzeczności, lecz mimo to wszystko może zdarzyć się w tych krajach legend i baśni — odparł Pandit Davamarsan — Nawet rozsądni, uczeni ludzie ulegali tutaj nieraz bujnej wyobraźni krajowców.

— Kogo masz panna myśli? — dopytywał się marynarz. — Chętnie posłuchałbym czegoś ciekawego.

— Doskonała propozycja. Znajdujemy się w mieście-grobowcu, za ścianami domu szaleje buran. Czy to nie wspaniałe warunki do słuchania opowieści? — gorliwie poparł bosmana Tomek.

— Bardzo prosimy, może zna pan jakąś interesującą przygodę Sven Hedina? — przyłączył się do próśb Wilmowski.

— Dobrze, opowiem krótką historię, którą usłyszałem od niego. Otóż jako dwudziestoletni młodzieniec został sekretarzem szwedzkiego poselstwa w Persji. Korzystając z okazji zwiedzał Persję i Mezopotamię. Wtedy właśnie powziął myśl zbadania najwyższej góry w Pamirze, Muztag Ata*, zwanej przez krajowców "Ojcem Gór Śnieżnych". Według podań szczyty góry, wbrew wszelkim pozorom, nie były bezludne i jałowe.

Na jej wierzchołku miało znajdować się miasto Dżanaidar, wzniesione w czasach wiecznej szczęśliwości, gdy zamiast występków panowały na ziemi wieczna radość i wesele. Dżanaidar, jak opowiadali krajowcy tonęło w zieleni aromatycznych i nie więdnących kwiatów oraz stale owocujących ogrodów.

W mieście tym mieli mieszkać wiecznie szczęśliwi ludzie, którzy nigdy nie schodzili z góry i nie stykali się z nikim obcym. Żyli prawdziwie wolni i bez trosk. Nie starzeli się, bo nie znali głodu ani zmartwień.

Większość podróżników nie jest pozbawiona wyobraźni i pewnego romantyzmu. Toteż młody wówczas Sven Hedin, porwany urokiem legendy ludowej, postanowił wspiąć się na Muztag Ata. W towarzystwie kilku krajowców rozpoczął wspinaczkę po skałach i lodowcach. Wkrótce część tragarzy zawróciła z drogi, albowiem mocno rozrzedzone powietrze utrudniało oddychanie i przyprawiało o zawroty głowy. Hedin również uległ górskiej chorobie. Krew puszczała mu się ustami i nosem, lecz mimo to wytrwale piął się coraz wyżej. Na nic zdała się jego odwaga i wytrwałość. Nie dotarł do szczytu. Musiał zawrócić w ślad za krajowcami. Czterokrotnie próbował szczęścia. Czterokrotnie zawracał nie osiągnąwszy celu. Dzięki temu krajowcy nadal wierzą w legendę o utopijnym* mieście i jego zawsze szczęśliwych mieszkańcach.

— Przyjemnie się słucha legend, ale trudno w nie uwierzyć — roześmiał się bosman.

*** Góra Muztag Ata (Muztagh-ata) ma 7860 m.**

*** Utopijny — nie dający się urzeczywistnić, będący tylko marzeniem, mrzonką.**

— W Azji Środkowej popularne są legendy o niezwykłych istotach, czy też nieznanych dotąd stworach — ciągnął Pandit Davasarman. — Od Kaukazu do południowych Chin i od Ałtaju do krajów na stokach gór himalajskich krajowcy snują opowiadania o "Dzikim Człowieku". Szczególnie wiele słychać o nim w Himalajach, Pamirze i Tien-szanie. W różnych krajach nosi on różne nazwy. Na przykład na pustyni Gobi ma to być małpolud zwany Ałmasem, w Sikkimie oraz Nepalu nazywają go Yeti, w Garhwalu jest to Mirka bądź Metoh Kang-Mi, czyli Ohydny Śnieżny Człowiek, natomiast Tybetańczycy mówią o Mi-go, zwierzęciu chodzącym jak człowiek bądź też o Mi-te, człowieku-niedźwiedziu.

— Ha, gadać można różne niestworzone historie, ale czy ktoś naprawdę widział tego Yeti, czy jak go tam nazywają? — powątpiewał bosman.

— Jak już wam mówiłem, mój brat twierdził, że widział Yeti, schodząc z gór w dolinę — wtrącił Smuga. — W takim jednak stanie wyczerpania, w jakim on się znajdował, łatwo mógł ulec jakiemuś złudzeniu.

— Masz rację, Janie, relacje twego nieszczęsnego brata mogą być nieścisłe — powiedział Wilmowski.

— Na temat Yeti rozpytywałem Szerpów z Nepalu — mówił Davasarman. — Otóż oni wierzą, że spotkanie z tym dziwnym stworem sprowadza na każdego człowieka nieuchronną śmierć. Dlatego trudno podobno znaleźć kogoś, kto go widział.

— To samo opowiadali tybetańscy przewodnicy memu bratu, kiedy po natrafieniu na tajemnicze ślady w górach Karakorum odmówili towarzyszenia mu do bliskiego już Hemis — dodał Smuga.

— Czy według zdania krajowców Yeti jest jakąś nieznaną istotą ludzką? — zagadnął Tomek.

— Nie, tego oni nie mówią — zaprzeczył Davasarman. — Nazwy, którymi określają nieznane istoty, tyle mogą mieć wspólnego z człowiekiem, co wyraz "małpolud" stosowany do małp człekokształtnych.

— Przesądni tubylcy są skłonni do znacznej przesady. Czy poza bratem pana Smugi jeszcze ktoś z Europejczyków wspominał o tym legendarnym stworze? — zaciekawił się Wilmowski.

— Oczywiście, sahibie. Na przykład w połowie XIX wieku Hooker[*] pisał w swej książce, że krajowcy opowiadali mu o dzikich ludziach zwanych Harrum, czyli "Włochaci",

---

[*] **Joseph D. Hooker "Himalayan Journals" (Notatki himalajskie) 1854 r.; płk L. A. Waddell "Among the Himalayas" (W Himalajach) 1889 r.; podróżnik Elwes 1906 r. — notatki w zapiskach Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.**

W późniejszych latach, o czym bohaterzy niniejszej powieści nie mogli wówczas wiedzieć, liczne wyprawy górskie w Azji Środkowej napotykały w Himalajach, Karakorum i w Tybecie tajemnicze ślady, które krajowcy przypisywali Yeti. N. A. Tombazi w 1925 r. stwierdził nawet, że nie tylko badał ślady, lecz także widział w odległości 200 m stworzenie przypominające nagiego człowieka. Na podstawie kilku fotograficznych zdjęć

mieszkających w pustkowiach górskich. W 1889 roku pułkownik Waddell, po odbyciu ekspedycji himalajskiej oznajmił, że na granicy Tybetu widział szerokie ślady stóp, które on uważał za ślady niedźwiedzi, podczas gdy Tybetańczycy przypisywali je Włochatemu Dzikiemu Człowiekowi. Najbardziej wszakże sensacyjną wiadomość słyszałem w ubiegłym roku od Elwesa. Miał on jakoby widzieć nie tylko ślady, lecz i owo dziwne stworzenie, przechodzące zaledwie o kilkaset metrów od niego.

Na ciekawej pogawędce czas szybko mijał. Nad ranem burza piaskowa zaczęła przycichać. Wtedy Pandit Davasarman przerwał rozmowę i rzekł:

— Teraz prześpijmy się kilka godzin. Musimy jak najspieszniej ruszyć w dalszą drogę. Wydaje mi się, że najrozsądniej byłoby, abyśmy całą gromadą nie pokazywali się w Chotanie. Ponieważ muszę zobaczyć się tam z pewnym znajomym, sam wstąpię do miasta. Może mi się uda przy okazji dowiedzieć, dlaczego Chińczycy tak interesują się wszystkimi karawanami. Spotkam się z wami w umówionym miejscu. Przez czas mojej nieobecności Udadżalaka poprowadzi wyprawę. Przemkniecie się w kierunku gór pomiędzy Chotanem a oazą Kerija.

— Pandicie, radzę weź kogoś z nas z sobą. W przypadku niebezpieczeństwa, dwóch ludzi łatwiej da sobie radę — zaproponował Smuga.

— Ty, szikarze, jako dowódca musisz pozostać przy karawanie — upomniał Pandit Davasarman.

— Weź pan mnie, chętnie przyjrzę się obcemu miastu — zawołał bosman. — Rozerwę się trochę po tych nudach na pustyni.

— Zgoda, sahibie. Jeśli ty idziesz ze mną, to tak, jakby było nas co najmniej dziesięciu.

— Ja także chciałbym pójść z wami, pozwolisz ojcze, prawda? — poprosił Tomek.

— Niech decyduje pan Davasarman — odparł Wilmowski. — Przecież ma się tam z kimś spotkać.

— Możemy jechać w trójkę. Bez jucznych zwierząt łatwo przemkniemy się o zmroku przez bramę miasta — zakończył rozmowę Hindus.

śladów, dokonanych przez szereg podróżników, zoologowie orzekli, iż były to ślady niedźwiedzi himalajskich. C. O. Dyhrenfurth podał, że w 1948 r. dwaj Norwegowie mieli widzieć i usiłowali schwytać dwa ogoniaste stwory, lecz potem owych Norwegów nie zdołano zidentyfikować.

W 1942 r. były polski oficer, Sławomir Rawicz, schodząc wraz z towarzyszami z Tybetu do Sikkimu miał napotkać dwa stwory o kwadratowych głowach i długich rękach, przypominające jakby skrzyżowanie wielkiego niedźwiedzia z orangutanem.

W celu wyjaśnienia intrygujących pogłosek oraz faktów w postaci sfotografowanych śladów, angielski dziennik "Daily Mail" sfinansował specjalną wyprawę poszukiwawczą z doświadczonym zoologiem na czele. Znalazła ona ślady i odchody, lecz nie natrafiła na nieznane stwory. Wyprawa zebrała opowiadania krajowców i legendy oraz obejrzała ukryte w kilku klasztorach tybetańskich skalpy jakoby z głów Yeti. W ostatnich latach szereg wypraw wyruszyło na poszukiwanie legendarnych stworzeń, lecz nie natrafiło na ślad istnienia Yeti.

CHIŃSKA UCZTA I ZŁA WIADOMOŚĆ

Następnego dnia podróżnicy dotarli do rzeki Kara-kasch-darii i przez płytki bród przeprawili się na drugi jej brzeg. Obecnie znajdowali się w widłach, utworzonych przez Kara-kasch-darię i Jurung-kasch-darię, z których pierwsza wypływała z gór, druga z wyżyn Tybetu. Obydwie rzeki zbiegały się w Kotlinie Tarymskiej i płynęły dalej jako rzeka Chotan-daria. Ginęła ona w piaskach w głębi pustyni Takla Makan, bądź też, w przypadku większego przyboru wody, stanowiła dopływ rzeki Tarym.

Międzyrzecze, nawiedzane często przez powodzie, porastały łęgowe lasy topolowe podszyte gąszczem wysokich trzcinowych oczeretów. Wilmowski, zamiłowany botanik, zwrócił uwagę na te nie spotykane gdzie indziej w Azji Środkowej drzewa. Smukłe z rozłożystymi koronami topole, zwane "tugrak", rosły na piaszczystych barchanach. Ich suche liście szeleściły i rozsypywały się w proch za lada podmuchem wiatru. Podróżnicy wolno torowali sobie drogę przez gęstwinę. Trzymali w pogotowiu broń, tutaj bowiem łatwo było natknąć się na duże stada dzików i tygrysów. Pandit Davasarman podczas poprzedniej bytności w Chińskim Turkiestanie widział w tych okolicach również dzikie konie i wielbłądy.

Tonąc w wysokich trzcinach wraz z końmi, orientowali się tylko według położenia słońca. Konsekwentnie zdążali na wschód ku brzegowi Jurang-kasch-darii. Po przeprawie przez tę rzekę, Pandit Davasarman, bosman i Tomek odłączyli się od karawany. Aby w Chotanie nie budzić podejrzeń straży miejskiej, nie zabrali karabinów ani juków. W trójkę skierowali się na południe wzdłuż brzegu Jurang-kasch-darii, podczas gdy cała karawana udała się w kierunku południowo-wschodnim, by ominąć miasto i w umówionym miejscu u podnóża gór rozbić obóz.

Bliżej Chotanu trzej jeźdźcy znaleźli się wśród uprawnych pól, poprzecinanych sztucznymi kanałami. Jeszcze przed zmierzchem dotarli do drogi wiodącej ze wschodu do miasta. Teraz skręcili na zachód wprost ku Chotanowi. Jeśli patrole chińskie nadal kontrolowały karawany dążące z zachodu, to dzięki sprytnemu manewrowi Pandita Davasarmana nie powinny były zwrócić uwagi na trzech jeźdźców, przybywających do Chotanu z odwrotnego kierunku. Pokrzepieni tą nadzieją spokojnie jechali drogą wysadzoną

drzewami morwowymi oraz topolami. Znużeni monotonnym krajobrazem piaszczystej pustyni, ciekawie rozglądali się po rozległej oazie i podziwiali przydrożne wioski tonące w zieleni sadów i pól.

Raźno zbliżali się do Chotanu. W rzeczywistości miasto tworzyły trzy miasteczka: Ilcza, Jurung-kosz i Kara-kosz, aczkolwiek krajowcy tylko pierwsze z nich, największe, zwykli zwać Chotanem. Miasto nie było okolone murem, mimo to wjechać do niego można było jedynie przez jedną z pięciu bram, a po ich zamknięciu przez furtkę kontrolowaną przez wojskową wartę.

Znajomy Pandita Davasarmana mieszkał w Ilczy-Chotanie. Ponieważ podróżnicy nadjechali ze wschodu, musieli minąć miasteczka Jurung-kosz i Kara-kosz, aby dotrzeć do jego domu. Dzięki ożywionemu ruchowi bez trudności przemknęli się wśród tłumu ludzi oraz jucznych zwierząt przez bramę do miasta. Mijali wąskie uliczki pozbawione jakiejkolwiek zieleni. Szare, ponure domy przeważnie nie posiadały okien. W ten sposób przezorni wyznawcy Allacha chronili swe kobiety przed pokusą pokazywania się z nie osłoniętymi twarzami obcym mężczyznom. Górne piętra niektórych domów wysuwały się ponad ulice, a nawet łączyły się z domami po przeciwnej stronie, toteż miejscami podróżnicy jechali niczym przez długie mroczne tunele.

Pandit Davasarman zatrzymał wierzchowca w pobliżu głównego rynku, całkowicie ocienionego dachem. Zsiedli z koni. Znajdowali się przed piętrowym, wąskim domem. Nad masywnymi drzwiami, obecnie jeszcze szeroko otwartymi, wisiał szyld pokryty chińskim pismem.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył Pandit Davasarman.

— Czy ten pana znajomy jest Kitajcem? — zapytał bosman, zerkając na pokryty hieroglifami szyld.

— Tak, jest Chińczykiem, lecz ożenił się z Kirgizką — wyjaśnił Pandit Davasarman. — Będziecie mogli z nim rozmawiać po rosyjsku.

Przywiązali konie do żelaznych kółek wmurowanych w ścianę, po czym weszli do sklepu. Sun Li, właściciel, musiał być bardzo zamożnym człowiekiem. Świadczyły o tym stosy kaszgarskich dywanów, dorównujących znanym na całym świecie perskim artystycznym kobiercom, oraz umieszczone na półkach setki kumganów, czyli imbryków do herbaty, ozdobne tace i inne naczynia z doskonale cyzelowanej miedzi.

Zaledwie znaleźli się w sklepie, zza kotary z różnokolorowych koralików wynurzył się stary Chińczyk w krymce na głowie. Potrząsnął wyciągniętymi przed siebie, złożonymi razem dłońmi i jednocześnie pochylił głowę.

— Czy zastaliśmy dostojnego Sun Li? — po rosyjsku zapytał Pandit Davasarman.

— Mój pan oddalił się do swego mieszkania, lecz chociaż jestem wobec niego tylko nędznym prochem, postaram się spełnić wszystkie życzenia czcigodnych gości. Zaraz podadzą herbatę, a potem porozmawiamy o interesach — odparł Chińczyk.

— Chętnie napijemy się herbaty, lecz najpierw powiadom dostojnego Sun Li, iż przybył z daleka wędrowiec, aby obejrzeć drogocenny kumgan, z wyrytymi na nim figurami wszystkich narodów Azji.

— Natychmiast wykonam twe polecenie, czcigodny panie — szepnął Chińczyk, po czym schylony w niskim ukłonie skrył się za zasłoną.

Słowa Pandita Davasarmana musiały zawierać umówione hasło, gdyż po krótkiej chwili znów zaszeleściła koralowa zasłona. Przed podróżnikami stanął mężczyzna odziany w długą, jedwabną kurtkę oraz luźne spodnie. Spod obcisłej, okrągłej krymki na głowie opadał mu na plecy długi warkocz. Ze złożonymi na brzuchu rękoma i dłoniami wsuniętymi w szerokie rękawy kurtki, spoglądał przenikliwym wzrokiem na przybyłych.

— Nie poznałeś mnie, dostojny Sun Li! Zaraz przypomnisz sobie tego, którego kiedyś nazwałeś wielkodusznym przyjacielem — zagadnął Pandit Davasarman. Uchylił futrzanej czapy.

Jedynie błysk oczu Sun Li mógł zdradzić, iż poznał gościa. Zaraz jednak opuścił powieki. Pochylił się nisko, mówiąc:

— Witaj, czcigodny Pandicie, w moich skromnych progach. Dawno cię nie widziałem. Zapewne jesteś z przyjaciółmi?

— Zgadłeś, dostojny Sun Li. Nasze wierzchowce zostawiliśmy przed domem.

Sun Li klasnął w dłonie. Zza zasłony bezszelestnie wysunęło się czterech krępych chińskich służących. Stanęli wyczekująco obok swego chlebodawcy. Wsunięte pod kaftany dłonie zapewne zaciskały się na rękojeściach sztyletów. Sun Li rzucił po chińsku krótki rozkaz, a następnie skłonił się przed gośćmi i rzekł po rosyjsku:

— Chodźcie, czcigodni przyjaciele, na górę do mego mieszkania. Służba zaopiekuje się końmi i zaraz zamknie sklep. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Za zasłoną pięły się w górę kręte schody. Po nich weszli na pierwsze piętro. Sun Li wprowadził ich do obszernej izby oświetlonej kolorowymi lampionami. Wzdłuż jednej ściany stał kan, to jest rodzaj szerokiej ławy z cegły otynkowanej gliną, w której wnętrzu były zbudowane kanały, jak u nas w kaflowych piecach. W istocie rzeczy owa ława zastępowała piec i ciągnęła się wzdłuż jednej ściany przez wszystkie pokoje. Przy wejściu do mieszkania znajdował się otwór tego oryginalnego pieca i palenisko, podczas gdy ujście do komina mieściło się na drugim końcu kanu. Dobrze nagrzany kan utrzymywał ciepło przez całą dobę, toteż w zimne dni Chińczycy używali go jako ławy, a w nocy rozścielali na nim maty do spania.

Podłogę izby pokrywały wzorzyste dywany. Niski, okrągły stół, taborety, oszklone gabloty z porcelanowymi figurynkami i ozdobne skrzynie z podobiznami straszliwych smoków stanowiły umeblowanie. Sun Li poprosił podróżników, aby czuli się jak we własnym domu. Trójka przyjaciół zdjęła grube kożuchy i zasiadła na niskich taboretach. Służba zaraz

wniosła kumgan z zielonawą, gorzkawo-cierpką oryginalną chińską herbatą. Gospodarz osobiście napełnił nią porcelanowe filiżaneczki.

— Nim wypijemy herbatę, podadzą nam skromny obiad. Nie spodziewałem się dzisiaj wizyty miłych przyjaciół — odezwał się Sun Li. — Czy tym razem, czcigodny Pandicie, raczysz dłużej zatrzymać się w Chotanie?

— O świcie musimy ruszyć w dalszą drogę, aby dogonić naszą karawanę dążącą do gór Kunlun — wyjaśnił Pandit Davasarman. — Mimo iż bardzo nam się spieszy, nie mogłem sobie odmówić przyjemności wypicia filiżanki herbaty z tobą, dostojny przyjacielu.

— Sprawiłeś mi wielki zaszczyt, Pandicie. Oczy moje zawsze cieszą się widokiem czcigodnych przyjaciół — odparł Sun Li. — Czy spokojną mieliście podróż?

— Spotkała nas nieprzyjemna niespodzianka. Patrole wojskowe kontrolowały karawany przybywające traktem z zachodu. Aby uniknąć kłopotów, kołowaliśmy po pustyni i do Chotanu wjechaliśmy od wschodu.

— Mój znajomy, krewny ambania Chotanu, mówił mi dwa tygodnie temu, iż władze poszukują angielskich szpiegów. Podobno przemknęli się z Pamiru z jakąś niebezpieczną misją do Chińskiego Turkiestanu — obojętnie powiedział Sun Li. — Wszystkich podejrzanych odprowadza się do Padszy-Szab-Beka i tam torturuje się ich w celu wydobycia zeznań.

— Czyżby ci szpiedzy zdradzili się w jakiś sposób? — zapytał Pandit Davasarman.

— Nie, czcigodny przyjacielu, to ich zdradzono.

— Bardzo zajmująca historia, czy znasz jakieś szczegóły?

— Mój znajomy twierdził, iż przebrani za krajowców Anglicy mieli w Pamirze zatarg z bandą Naib Nazara i zastrzelili go na samej granicy. Władze rosyjskie od dłuższego czasu bacznie obserwowały potomka starego rozbójnika, toteż oddział Kozaków omal nie schwycił całej jego bandy razem z owymi szpiegami w chwili, gdy toczyli zaciętą walkę. Nim Rosjanie zorientowali się w sytuacji, Anglicy uciekli do Turkiestanu.

— Czy to władze rosyjskie doniosły o szpiegach?

— Nie, kilku ludzi Naib Nazara zdołało wymknąć się Rosjanom i udało się w pogoń za Anglikami, aby pomścić zabicie herszta. Po drodze zgubili ślad, lecz mimo to dotarli do Karghaliku. Tam pod przysięgą na Allacha zeznali wszystko Padszy-Szab-Bekowi. Twierdzili, iż głównym celem wyprawy Anglików był Chiński Turkiestan, gdzie mieli do wypełnienia jakąś tajemniczą misję.

— Jak widać Naib Nazar potrafi mścić się nawet zza grobu — zauważył Pandit Davasarman. — Skąd można mieć pewność, iż to Anglicy zabili rozbójnika?

— Rozmyślałem nad tym, czcigodny przyjacielu — odparł Sun Li, uśmiechając się zagadkowo. — Ostatnio podejrzewano Naib Nazara o konszachty z Anglikami. Podobno przemycał broń dla rosyjskich Kirgizów.

— Słyszeliśmy po drodze, że Naib Nazar miał jakoby otrzymać transport karabinów z powyjmowanymi zamkami. Może to właśnie było powodem zatargu na granicy? — powiedział Pandit Davasarman. — Nic to nas jednak nie obchodzi, ponieważ nie jesteśmy Anglikami i odbywamy ściśle prywatną podróż.

— Słusznie, czcigodny przyjacielu, lecz mimo to ciekawie słucha się ploteczek z wielkiego świata — potaknął Sun Li. — Czy nie zastanawiałeś się, w jakim celu mógł ktoś powyjmować zamki z karabinów Naib Nazara?

— Może ów "ktoś" chciał udaremnić rozbójnikom dokonywanie napadów? — odparł pytaniem Pandit Davasarman.

Sun Li lekko przysłonił oczy powiekami. W tej chwili służba zaczęła wnosić tace z jedzeniem. Bosman i Tomek nie znali chińskich zwyczajów, zdziwili się więc niepomiernie na widok zapowiedzianego przez gospodarza "skromnego obiadu"*.

Obok wazy napełnionej zupą z gniazd jaskółczych, smakującej jak klejowaty rosół, ustawiono półmiski z tłustymi, pieczonymi kaczkami, wieprzowymi pyskami i nosami, marynowane kurczęta z pączkami bambusowymi, potrawki oraz sałatki z ptaków i ryb, drobno krajaną baraninę, a także różne wędliny. Następnie wniesiono jaja gotowane na twardo, których prawie ciemnogranatowy kolor wymownie świadczył o wieloletnim przetrzymywaniu w wapnie, pijawki smażone w cukrze, pierogi z mięsem, smażone cebulki lilii, tace z ryżem, czarki z różnymi sosami, migdały prażone w soli dla zaostrzenia apetytu, ciastka i jarzyny, w końcu na stole znalazły się karafki z chanszynem* i winem ryżowym oraz kumgan z oryginalną chińską herbatą. Ponętne zapachy wprawiły wygłodniałych podróżników w doskonały humor. Ochoczo przysunęli się do stołu. Za przykładem gościnnego gospodarza ujęli w dłonie długie, owalne drewniane pałeczki, których Chińczycy używają zamiast widelców. Z początku nabieranie potraw tym oryginalnym dla Europejczyków sposobem sprawiało im niemało trudności. Toteż bosman i Tomek zabrali się przede wszystkim do dań mięsnych, przygotowanych w większych kęsach. Widząc to Pandit Davasarman szepnął im, iż dobry obyczaj nakazuje choćby pokosztować każdej z podanych potraw.

— Nie żartuj pan — mruknął bosman w odpowiedzi na tę uwagę. — Któż by jadł śmierdzące jaja albo pijawki!

— Popróbuj, sahibie, to wystarczy — szepnął Pandit Davasarman. — Chińczycy przestrzegają ceremoniału i są obraźliwi.

— Kiedy naprawdę nie mogę, bo jak tylko zjem jakieś paskudztwo, to zaraz mi się odbija.

— Zachwycisz tym gospodarza, odbijanie się bowiem, w myśl tutejszych zwyczajów, jest oznaką sytości i należy do dobrego tonu.

---

* Wystawne chińskie obiady składają się często nawet ze stu dań.

* Chanszyn — wódka przyprawiona aromatycznymi ziołami.

Zachwyty, jakie wywołało głośne "beknięcie" bosmana, zachęciły go do pofolgowania sobie w jedzeniu. Sun Li co chwila podsuwał mu półmiski z innymi potrawami i napełniał małe kieliszki mocnym chanszynem. Wkrótce marynarz wygodnie rozparł się na taborecie. Dwóch służących zmieniało mu talerzyki, a on wciąż jadł, jakby jego żołądek był bez dna. Sun Li wiernie mu sekundował w tym niezwykłym obżarstwie. Pandit Davasarman spoglądał na marynarza oraz na szybko opróżniane karafki chanszynu coraz bardziej zaniepokojony. Tomek natomiast, świadom nieprawdopodobnej zaprawy druha w pochłanianiu alkoholu, bawił się w najlepsze, coraz to podrzucając mu nieznacznie na talerz ocukrzone pijawki.

Po kilku godzinach bosman ociężałym ruchem zsunął na tył głowy futrzaną czapę*. Odgłos donośnej czkawki, poprzedzonej głębokim westchnieniem, wprawił podochoconego Sun Li niemal w zachwyt.

— Naprawdę od dawna nikt mnie tak nie ugościł — powiedział bosman, znów popuszczając pasa. — Teraz wystarczą mi już na zakąskę solone migdały i pestki z dyni, jako że doskonale pobudzają pragnienie.

Sun Li z ukontentowaniem pogładził dłonią brodę pokrytą rzadkim, czarnym zarostem, po czym przysunął swój taboret bliżej bosmana i rzekł:

— Czcigodny panie, znam pewną grę o niezwykłych zaletach dla spragnionych biesiadników.

— Na czym ona polega? — zaciekawił się bosman. — W szachy i warcaby grywam najlepiej na głodnego.

— Gra jest bardzo prosta. Widzisz moją pięść? Otóż będę szybko rozprostowywał palce, a ty musisz natychmiast powiedzieć, ile ich rozprostowałem. Jeśli dobrze zauważysz, to ja muszę wypić tyle kieliszków, ile pokazałem palców, a jeśli pomylisz się, wypijesz je ty.

— Ho, ho, to nawet pożyteczna gra, skoro człowiek najadł się pijawek, które przepadają za wodą — pochwalił bosman. — Zaczynaj pan!

Ku niezmiernej uciesze Sun Li bosman stale przegrywał. Wkrótce Tomek zaczął podejrzewać przyjaciela, iż z premedytacją źle odgaduje. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy po samodzielnie opróżnionej karafce bosman nagle przestał się mylić; teraz Sun Li musiał raz po raz wypróżniać kielichy.

— Sahibie, obawiam się, iż nie będziemy mogli o świcie wyruszyć z miasta — szepnął Pandit Davasarman do Tomka.

— Niech się pan nie obawia, nigdy nie widziałem bosmana nietrzeźwego — odparł Tomek.

— Możliwe, że duży sahib jakoś to przetrzyma, ale Sun Li już się chwieje na taborecie, a ja muszę pomówić z nim o ważnych sprawach przed wyjazdem.

— Skoro tak, postaram się przerwać zabawę — uspokoił go Tomek.

---

* Chińczycy uważają za dowód grzeczności nie zdejmowanie kapeluszy.

Nieznacznie stanął za plecami Sun Li i machnął ręką, by zwrócić uwagę bosmana, po czym dłonią nakreślił w powietrzu znak krzyża nad głową Chińczyka. Sprytny marynarz od razu pojął, o co chodzi. Pochylił się ku partnerowi i uważnie zajrzał mu w oczy.

— Chyba już dość nabawiliśmy się. Nauczę tej gry kumpli z braci marynarskiej — powiedział po chwili. — A teraz, szanowny panie, warto nieco kimnąć się przed drogą.

— Chciałbym, dostojny gościu, abyś pod moim dachem miał rozkoszne sny. Wypal fajeczkę opium, a noc szybko minie w krainie złudzeń — zaproponował Sun Li.

— Nie trzeba, serdecznie dziękuję. Po takiej uczcie i bez opium będę miał przyjemne sny.

Sun Li ucieszony pochlebstwem podszedł do stolika, na którym stała mała klatka nakryta jedwabną chustką. Odsłonił klatkę, ujął za metalowe kółko i podał ją bosmanowi mówiąc:

— Zaszczyciłeś mój dom swoją obecnością, czcigodny gościu, racz więc przyjąć na pamiątkę mego ulubionego kanarka. On potrafi wyśpiewać cztery piękne melodie i będzie uprzyjemniał ci spacery.

Bosman spoglądał na klatkę zdziwiony i zakłopotany. Nie wiedział, iż Chińczycy z upodobaniem hodują ptaki i w klatkach zabierają je z sobą na spacer, podobnie jak my to czynimy z psami, które w Chinach uważane są jedynie za strażników domu. Na szczęście Pandit Davasarman dobrze znał obyczaje mieszkańców Azji Środkowej, toteż pospieszył bosmanowi z radą.

— Sahibie, przyjmij kanarka, po czym za chwilę podaruj go gospodarzowi — szepnął nieznacznie.

— A nie obrazi się na mnie? — mruknął bosman.

— Nie, sprawisz mu tym przyjemność...

Bosman postąpił w myśl rady Pandita Davasarmana. Gdy klatka z kanarkiem znów stała na stoliku nakryta chustą, Sun Li klasnął w dłonie. Służba natychmiast uprzątnęła stół i sprawnie rozesłała na kanie maty.

— Życzę miłym gościom przyjemnych snów, a ty, czcigodny Pandicie, chyba, jak zwykle, zechcesz jeszcze obejrzeć moją kolekcję kumganów? — odezwał się Sun Li.

— Odgadujesz myśli, dostojny Sun Li — odparł Pandit Davasarman. — Dobranoc szlachetnym sahibom...

Chińczyk i Hindus zniknęli w głębi domu.

— No, no, nie spodziewałem się, że Kitajcy mają takie tęgie głowy do chanszynu i polityki — z uznaniem zauważył bosman. — Davasarman dobrał sobie odpowiedniego kumpla.

— Ma pan rację, oni obydwaj są doskonałymi dyplomatami — odpowiedział Tomek. — Jak zręcznie poinformowali się wzajemnie o najważniejszych sprawach zaraz na początku uczty!

— Tęgie łby...

Bosman i Tomek zaledwie przyłożyli głowy do poduszki, natychmiast zasnęli. Tymczasem Pandit Davasarman do samego świtu toczył cichą rozmowę z Sun Li. Wczesnym rankiem obudził towarzyszy. Na podwórzu stało już kilkanaście objuczonych mułów. Sun Li osobiście przeprowadził karawanę przez bramy miasta. Trzej podróżnicy udawali poganiaczy jucznych zwierząt i dopiero poza Chotanem dosiedli swych wierzchowców. Teraz szybko pożegnali Sun Li. Popędzając dwa muły objuczone zapasami żywności, zboczyli z traktu na południe ku potężnemu łańcuchowi gór.

Niebawem znaleźli się w skalistej pustyni, a wtedy Pandit Davasarman odezwał się:

— Teraz, szlachetni sahibowie, trzymajcie rewolwery w pogotowiu i nie żałujcie koni. Musimy jak najszybciej odnaleźć naszych towarzyszy.

— Czy zdarzyło się coś nadzwyczajnego? — zaniepokoił się Tomek.

— Wal pan prosto z mostu, o co chodzi — zawtórował bosman.

— Władze chińskie wyznaczyły wysoką nagrodę za pomoc w schwytaniu angielskich szpiegów. Liczne patrole wojskowe powiadamiają o tym ludność. Nasza karawana powinna omijać sadyby ludzkie, jeśli chcemy cało wydostać się z Turkiestanu.

— Ha, jeśli tak się sprawy przedstawiają, to mieliśmy do tej pory dużo szczęścia — rzekł bosman. — Teraz zrozumiałem, dlaczego Sun Li osobiście wyprowadzał nas z miasta.

— Nasi towarzysze nic nie wiedzą o grożącym nam wszystkim niebezpieczeństwie, spieszmy więc do nich, zanim zdarzy się katastrofa — zawołał Tomek, niespokojnie oglądając się w kierunku Chotanu.

Arkany ze świstem spadały na końskie grzbiety. Odgłos cwałujących wierzchowców głucho rozbrzmiewał po skalistym stepie.

WIELKA PRZEGRANA

Nazajutrz po opuszczeniu Chotanu trzej zwiadowcy połączyli się ze swoją karawaną, która rozbiła obóz w umówionym miejscu, w górskim jarze nad brzegiem rzeki Kerija.

Smuga zasępił się usłyszawszy wieści przywiezione od Sun Li. Teraz jeszcze bardziej podejrzana wydała mu się niemal natrętna ciekawość, z jaką koczujący w okolicy pasterze baranów wypytywali ich o cel i kierunek jazdy. Zapewne wiedzieli już o wyznaczonej przez policję nagrodzie za pomoc w schwytaniu rzekomych angielskich szpiegów. Można było przypuszczać, że nie omieszkają powiadomić władz o pojawieniu się w pobliżu ich koczowisk podejrzanych obcych podróżników.

Myśl o ewentualnym zatrzymaniu przez policję i aresztowaniu zaniepokoiła wszystkich uczestników ekspedycji, bowiem w ówczesnych feudalnych Chinach* aresztowanych poddawano podczas śledztwa torturom dla wydobycia zeznań. W myśl miejscowego zwyczaju gnieciono im palce pomiędzy deskami skręcanymi za pomocą śrub, zmuszano do klękania na deskach nabitych gwoździami, bądź też zamykano w wysokiej klatce, w której człowiek, wyciągnięty jak struna, zawisał zawieszony za głowę, wysuniętą na zewnątrz przez mały otwór na szyję w wierzchu klatki, dotykając podłogi zaledwie końcami palców nóg. Chłosta kijami wymierzana była nawet w sądach, ponieważ sędzia nie mógł wydać wyroku, jeżeli oskarżony nie przyznawał się do winy. Kary stosowane wówczas w Chinach szczególnie mogły przerażać Europejczyków. Na ulicach miast turkiestańskich często spotykało się ludzi skazanych na "zakucie w szalę" lub "przykucie do żelaznej sztaby"*.

*** Rewolucja pod kierownictwem Sun Jat-Sena (wybitnego bojownika o wyzwolenie narodowe i społeczne Chin) w 1911 r. zniosła feudalno-monarchistyczny ustrój. Chiny ogłoszono republiką, aczkolwiek rewolucja nie została doprowadzona do końca. Dopiero długa walka Komunistycznej Partii Chin doprowadziła w 1949 r. do proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej, która wyzwoliła Chiny spod władzy feudałów i kapitalistów.**

*** Szala — ciężka, gruba, kwadratowa deska przecięta na pół, z wyrżniętym po środku otworem na szyję. Skazańcowi zakładano ją w ten sposób, że jego głowa wystawała ponad deskę, której obydwie połowy składano w całość i zamykano na klucz. Szerokość szali uniemożliwiała pracę i jedzenie. Podobną karę stanowiło przykucie do żelaznej sztaby. Około dwóch metrów długa sztaba miała na obydwóch końcach przymocowane obroże. Jedną z nich zamykano na szyi skazanego, a drugą na nodze, zawieszając sztabę wzdłuż pleców. Skazaniec nie mógł samodzielnie siadać ani kłaść się, a chodził jedynie małymi**

Pandit Davasarman szczególnie kłopotał się o swych białych przyjaciół. Bo przecież on i jego hinduscy żołnierze bardziej oswojeni byli z myślą o torturach, często stosowanych również przez Anglików w podległych im koloniach. Zwłaszcza w hinduskiej armii śledztwo zazwyczaj prowadzono "przy pomocy chrząszcza". Polegało ono na tym, że na obnażonym brzuchu badanego kładziono żywego chrząszcza i przykrywano go połówką wydrążonej skorupy orzecha kokosowego. Powolny chód krążącego w koło owada stawał się po krótkim czasie nie do wytrzymania i zmuszał do przyznania się do winy.

Smuga nie taił niebezpieczeństwa przed przyjaciółmi. Nie przewidziany uprzednio przez niego zatarg z bandą Naib Nazara pokrzyżował jego plany. Teraz właśnie, gdy coraz groźniejsze przeszkody piętrzyły się na ich drodze, ogarniały go wątpliwości, czy słusznie postąpił narażając swoich wiernych towarzyszy, a przede wszystkim młodego Tomka, na tak olbrzymie ryzyko.

Wilmowski był mocno zafrasowany podczas narady, natomiast bosman Nowicki wcale nie przejął się możliwością utarczki z policją bądź żołnierzami. Beztrosko machnął łapskiem i rzekł:

— Wiedzieliśmy przecież, że może nam być gorąco podczas tej wariackiej wyprawy. Toteż teraz nie ma co siać cykorii przed Kitajcami. Wprawdzie mężne to zuchy, ale ze swoim uzbrojeniem niewiele mogą nam zaszkodzić. W górach łatwo się obronimy, jeśli tylko nie zaskoczą nas niespodziewanie. Wystawiaj pan wachty, panie Smuga, a wszystko będzie w porządku. Obecnie najwięcej ciekawi mnie, czy przypadkiem ktoś nie podebrał nam tego złota. Coś za wiele cwaniaków kręci się tutaj...

— Nie kłopocz się o to, bosmanie. Złoto jest dobrze ukryte — uspokoił go Smuga. — Połowę skarbu, przeznaczoną przez mego brata dla nas, podzielimy po równej części między siebie. Każdy z nas otrzyma swój udział.

— Mamy czas mówić o tym po szczęśliwym zakończeniu wyprawy — wtrącił Pandit Davasarman. — Obecnie lepiej zastanówmy się, którędy będziemy wracali do Kaszmiru.

— Słuszna uwaga, Pandicie, to najważniejsza teraz dla nas sprawa — przywtórzył Wilmowski. — W takiej sytuacji, jak nasza, dobrze jest mieć z góry obmyślony plan odwrotu. Moim zdaniem w żadnym przypadku nie możemy wracać przez Chiński Turkiestan.

— Ja również tak uważam, szlachetny sahibie — potwierdził Pandit Davasarman.

— Oczywiście zgadzam się z wami — powiedział Smuga ciężko wzdychając. — W takim razie pozostaje nam jedynie spróbować przemknąć się przez Tybet. Trudna to i bardzo niebezpieczna wędrówka.

— Przecież pana brat też szedł tamtędy. Jeśli w pojedynkę zdołał pokonać wszelkie trudy, to dlaczego nam miałoby się nie udać?! — zawołał Tomek.

---

kroczkami, przytrzymując oburącz sztabę. Przy obydwóch rodzajach kar skazańcy nie siedzieli w więzieniu. Szale i sztaby zdejmowano im po odbyciu kary. Na szali, czy sztabie naklejano wyrok sądu.

— Racja, brachu, w takiej kompanii można przejść nawet przez piekło — zauważył bosman, po czym zarechotał basem i dodał: — Z workiem złotego piasku w jukach można coś nie coś zaryzykować. Gdybym stał się bogaty, zaraz kupiłbym zwrotny jachcik. Sam mianowałbym się jego kapitanem, a Tomek moim pierwszym oficerem.

— Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu — niechętnie rzekł Wilmowski. — Janie, czy daleko jeszcze do kryjówki?

— Jutro przed południem powinniśmy dotrzeć do niej — wyjaśnił Smuga. — Według planu sporządzonego przez mego brata znajduje się ona w małym parowie; u wejścia do parowu stoi wysoka iglica, omywana strumieniem wpadającym do jednego z dopływów Keriji.

— Czy szanowny braciszek zakopał złoto w ziemi? — zaciekawił się zawsze praktyczny bosman.

— Nie, mój drogi! W potężnej, skalnej ścianie zamykającej parów jest mała pieczara. W niej właśnie brat ukrył złoto. Wejście do kryjówki doskonale zamaskował. Mianowicie za pomocą dynamitu wysadził w powietrze występ góry, by zmienić bieg strumienia, kaskadami spływającego po niej do parowu. W ten sposób wodny "parawan" kryje otwór pieczary.

— Jeśli tak, to faktycznie masz pan rację, że nie potrzebujemy obawiać się niespodzianki — z uznaniem powiedział marynarz. — Gdzież znajduje się ten parów?

Smuga rozłożył mapę na ziemi. Z wyjątkiem Tomka wszyscy pochylili się nad nią. Zaczęli wytyczać kierunek, mierzyć odległość, a następnie omawiali, jakie należy przedsięwziąć środki ostrożności w celu uniknięcia schwytania przez policję lub wojsko.

Narada trwała dość długo, ponieważ Smuga i Pandit Davasarman, układali plan działania, uwzględniając wszelkie możliwe sytuacje. Tomek tym razem nie brał udziału w rozmowie. Siedział na głazie i zadumanym wzrokiem wodził po ośnieżonych szczytach górskich, poza którymi rozciągała się tajemnicza Wyżyna Tybetańska, tak zazdrośnie strzeżona przez krajowców przed obcymi przybyszami. Tam właśnie, w tej dzikiej, surowej, niegościnnej krainie brat Smugi nabawił się okropnego kalectwa. Wspomnienie nieszczęsnego człowieka przywiodło Tomkowi na myśl niezwykłą przygodę w górach Karakorum. Cóż to za stwór mógł pozostawić ślady w niezamieszkałych przez ludzi górach? Rozmyślania o Yeti — legendarnym Śnieżnym Człowieku — przerwał Tomkowi głos ojca:

— Nad czym tak medytujesz, Tomku? — zapytał Wilmowski, przysiadając się obok syna.

Tomek uśmiechnął się i odparł:

— W wyobraźni już wędrowałem po Tybecie. Od dawna marzyłem o tak niezwykłej wyprawie.

— A ja myślałem, że układasz plany w związku ze skarbem. Bosman mianował cię pierwszym oficerem na swoim jachcie!

Tomek cicho się roześmiał.

— Ojcze, przecież wiesz doskonale, że poczciwemu bosmanowi niewiele zależy na majątku. Jemu wystarczy to, co zarobi, na utrzymanie rodziców i... butelkę ulubionej jamajki — powiedział po chwili. — Nie wyobrażam sobie zupełnie ani bosmana, ani siebie w roli bogaczy!

— Masz rację co do bosmana, ale ty jesteś jeszcze bardzo młody. Mógłbyś rozpocząć inne, spokojne życie — odparł ojciec. — Praca łowcy zwierząt jest zbyt niebezpieczna.

— Nigdy nie myśl o tym, kochany ojcze! Naprawdę jestem niezmiernie szczęśliwy, a nawet i dumny, że pozwoliłeś mi uczyć się tego zawodu.

— Jednak mimo wszystko, jeśli skarb istnieje naprawdę, jutro możesz stać się zamożny. Cóż więc wtedy uczynisz?

Tomek zafrasował się, po czym rzekł:

— Nie zastanawiałem się nad tym. Na wyprawę wyruszyłem, bo chciałem pomóc panu Smudze ze względu na jego nieszczęśliwego brata. Poza tym przepadam za przygodami. Gdybyśmy wszakże zdobyli to złoto... ha, po prostu ofiarowałbym moją część na założenie ogrodu zoologicznego w Warszawie!

— Widzę, że nie zapomniałeś o pomyśle powziętym w Australii! Cóż by jednak Sally powiedziała na to?

— Sally?! Na pewno by się ucieszyła. Tylko nie śmiej się ojcze, bo chociaż to dziecinne, ona pragnie skończyć zoologię, a potem jeździć razem z nami na wyprawy po dzikie zwierzęta.

— To nie zawód dla kobiety...

— I ja tak myślę, ale Sally nie jest mazgajem! To zuch dziewczyna! Czy... lubisz ją choć trochę?

— Prawie tak jak ciebie, mój synu. Naprawdę cieszę się, że nie nęcą cię łatwo zdobyte pieniądze. Każdy uczciwy człowiek pracą własnych rąk powinien zarabiać na swoje życie.

— To już twoja zasługa, tatusiu! Tak wiele nauczyłem się od ciebie! Przecież tobie również nie zależy na tym złocie. Dlaczego wobec tego przyłączyłeś się do wyprawy, skoro od samego początku uważałeś ją za oczywiste szaleństwo?

— Widzisz, mój drogi, to nie jest łatwe do wytłumaczenia. Gorączka złota nieraz wyzwala w ludziach najniższe instynkty. Dlatego właśnie chciałem być przy tobie podczas wyprawy po skarb. Teraz już jestem pewny, że niepotrzebnie kłopotałem się o ciebie.

— Cóż to za konszachty prowadzi załoga? — przerwał im bosman zwierzenia. — Właśnie uradziliśmy wystawić podwójną wachtę, a jutro, gdy my wyruszymy do owej pieczary, Udadżalaka z jednym jeszcze kompanem będą mieli oko na tych pasterzy, co to nas niby szpiegują.

— Bardzo słusznie, bosmanie, nie zawadzi zachować ostrożność — przytaknął Wilmowski.

Smuga z Panditem Davasarmanem jechali na przedzie. Na samym końcu Hindusi wiedli juczne konie. Zgodnie z ustalonym planem, Udadżalaka oraz jeden z żołnierzy pozostali w pobliżu koczowisk pasterzy, by zabezpieczyć ekspedycję przed wszelkimi niespodziankami.

Smuga co chwila zerkał na mapę z zaznaczoną na niej kryjówką skarbu. Parów, a więc ostateczny cel wyprawy, powinien znajdować się już bardzo blisko. Tomek niecierpliwie unosił się w strzemionach wypatrując skalnej iglicy. Przecież nie mogło być mowy o przeoczeniu tak charakterystycznego i łatwo dostrzegalnego znaku.

Naraz Smuga odwrócił się w siodle do swych towarzyszy i zawołał:

— Według planu znajdujemy się już bardzo blisko celu. Za tym zakrętem powinniśmy ujrzeć iglicę!

— Im szybciej wydobędziemy złoto z kryjówki i zaszyjemy się dalej w góry, tym lepiej dla nas — zauważył Pandit Davasarman. — Nie podoba mi się zachowanie tych pasterzy. Odnoszę wrażenie, że oczekują na kogoś.

— Do licha, jeśli ściągną nam na kark żołnierzy, nie obejdzie się bez walki — niepokoił się Wilmowski, który zawsze był przeciwny przelewowi ludzkiej krwi.

— Obawiam się, szlachetny sahibie, że może dojść do zbrojnej rozprawy — powiedział Davasarman.

"Chyba w korcu maku szukali się ci dwaj — mruknął bosman niezadowolony, gdyż sam z ochotą brał udział we wszelkich bijatykach. — Całe szczęście, że Smuga nie jest mazgajem. Proszę, przez cały czas okiem penetruje teren, a co zerknie za siebie, to zaraz mocniej ściska karabin w łapach. To mi kompan, pierwsza klasa!"

Bosman przerwał monolog. Minęli właśnie zakręt i oczom ich ukazała się strzelista, skalna iglica, strzegąca wejścia do parowu, w którym miała znajdować się ukryta pieczara. Smuga uderzył konia; za nim pocwałowała reszta jeźdźców. Echo w wąwozie zwielokrotniło głuchy tętent biegnących wierzchowców.

Smuga ostro osadził konia tuż przed skalną iglicą. Rozognionym wzrokiem spoglądał w wąską, mroczną gardziel parowu, skąd wartko wypływał spieniony strumień. Mimo woli wszystkim udzieliło się podniecenie Smugi. W milczeniu zsiedli z koni i pieszo zagłębili się w parów. Szli coraz szybciej.

Marynarz i Tomek nieco wyprzedzili swych towarzyszy, toteż pierwsi minęli mroczną gardziel. Zaledwie jednak spojrzeli w głąb parowu, zatrzymali się. Po chwili już wszyscy, jak rażeni gromem, wpatrywali się w parów zawalony dziesiątkami tysięcy ton głazów i kamieni. Zamiast potężnej skalnej ściany, w której miała znajdować się zamaskowana przez wodospad pieczara, łagodnie ścięty występ skalny zamykał parów. Dziwnym zrządzeniem losu owa skała musiała się rozsypać, grzebiąc pod rumowiskiem głazów pieczarę oraz ukryte w niej złoto. Nawet strumień po osunięciu się góry zmienił swój bieg. Spływał łagodnymi kaskadami z występu skalnego i bokiem parowu utorował sobie nowe łożysko pomiędzy zwałami kamieni.

Przez bardzo długą chwilę nikt nie odważył się przerwać przerażającego milczenia. Oto odbyli długą, wyczerpującą wyprawę i narażali swe życie tylko po to, aby przekonać się, że skarb wydarty ziemi znów został przez nią zazdrośnie pochłonięty. To była ich wielka przegrana!

Pierwszy ochłonął bosman. Usiadł na głazie, wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Wyraz podniecenia zniknął już z jego twarzy. Z największym spokojem wydmuchiwał z ust kłęby jasnego dymu i zaciekawionym wzrokiem zerkał na towarzyszy. Wilmowski i Tomek po pierwszej chwili oszołomienia z niepokojem zaczęli wpatrywać się w Smugę. Przecież mimo wszystko jego spotkał największy zawód. Skąd mogli wiedzieć, jakie nadzieje wiązał z odnalezieniem ukrytego przez brata złota? Jedynie Pandit Davasarman oraz jego wierni żołnierze zachowywali filozoficzny spokój ludzi Wschodu wierzących w przeznaczenie.

Niesamowita bladość z wolna ustępowała z twarzy Smugi. W końcu usiadł na głazie obok bosmana i również zapalił fajkę. W dalszym ciągu w milczeniu spoglądał na skalne rumowisko, które pogrzebało jego złudne nadzieje. Wypalił fajkę, wyrzucił z niej resztki popiołu, uderzając nią lekko o kamień, po czym odezwał się tak charakterystycznym dla niego, opanowanym głosem:

— Czy odgadliście już, co zaszło tutaj w parowie? Otóż wspominałem wam, że brat mój, chcąc zmienić bieg strumienia, dynamitem wysadził kawał skały. To zapewne stało się przyczyną naszego niepowodzenia. Zwietrzała skała musiała wtedy ulec głębszemu zarysowaniu i podczas jakiegoś wstrząsu tektonicznego rozsypała się jak domek z kart. No, kochany bosmanie, nie będziesz kapitanem na swoim jachcie...

— Mała to strata, szanowny panie. Nie miałem nic i nie mam nic. Tym samym nic nie straciłem — niefrasobliwie odparł bosman.

Wilmowski odetchnął z wielką ulgą. Teraz nie żałował już, że wbrew własnemu przekonaniu wyruszył na tę niezwykłą wyprawę. Jego przyjaciele szczęśliwie przebrnęli przez "ogniową" próbę.

Pandit Davasarman, od dłuższej chwili z niepokojem spoglądający w gardziel parowu, naraz zawołał:

— Zdaje się, że z wąwozu dobiega tętent koni. Może to nadjeżdża Udadżalaka z nowinami?

— Nic tu po nas. Wracajmy do koni i pomyślmy o odwrocie — energicznie rzekł Smuga wstając z głazu.

— Święta racja, komu w drogę, temu czas. A że na frasunek najlepsza jest jamajka, to chyba w jukach znajdzie się jeszcze jakaś butelczyna — dodał bosman i ruszył za Smugą.

Nie zdążył wszakże wydobyć jamajki, bo zaledwie zbliżyli się do wierzchowców, ujrzeli biegnącego Udadżalakę. Z daleka wołał:

— Pasterze całą gromadą dążą naszym śladem! Wielu z nich posiada broń!

Podróżnicy pobiegli ku służbistemu wojakowi.

— Czy z pastuchami znajdują się policjanci lub żołnierze? — szybko zapytał Smuga.

— Nie, sahibie. To sami pasterze, lecz jest ich chyba więcej niż trzydziestu. Zebrali się rano z kilku koczowisk.

— Szukają guza, jak amen w pacierzu — rozgniewał się bosman. — Ha, jak sami tego chcą, to go znajdą!

— Nie czas myśleć o bijatykach, bosmanie — zgromił go Wilmowski. — Przed nami uciążliwa i niebezpieczna droga. Co poczniemy, jeśli zranią kogoś z nas?

— Masz rację, sahibie, musimy uciekać, ile tylko tchu koniom starczy — poparł go Davasarman.

— Pandicie, wypraw Udadżalakę z jucznymi końmi na przód. My tymczasem, jeśli zajdzie potrzeba, postaramy się powstrzymać pogoń — doradził Smuga.

Wybiegli w wąwóz. Udadżalaka z dwoma żołnierzami dosiedli koni i zaraz pierwsi ruszyli z jucznymi zwierzętami. Reszta uczestników ekspedycji wolniej pociągnęła za nimi.

Szlak wiódł wprost w głąb górskiego pasma. Teren wznosił się coraz wyżej. Po godzinnej jeździe pięli się już po stromym stoku. Niebawem wąwóz znajdował się w dole u ich stóp. Teraz jak na dłoni ujrzeli pogoń. Część pasterzy jechała konno, inni biegli za nimi. I oni wskazywali na stromy stok góry. Przynaglali konie do szybszego biegu, toteż piesi pozostali znacznie w tyle.

— Dogonią nas te pasibarany — rozgniewał się bosman, widząc, że juczne konie idą coraz bardziej ociężale. — Poczekajmy tu na nich i wygarnijmy parę razy z pukawek. To nauczy ich szacunku dla nas.

Smuga obejrzał się i wzrokiem uważnie oceniał odległość. Pasterze nie oszczędzali koni. Wkrótce mogli dogonić karawanę wiodącą objuczone zwierzęta.

Znowu minęła godzina, zanim podróżnicy znaleźli się na łagodniejszym grzbiecie górskiego pasma. Podczas gdy oni pięli się po stromym szlaku, pościg w pełnym cwale przebył w wąwóz i teraz z okrzykiem triumfu wpadł na stok góry.

Bosman zaklął pod nosem. Z pochwy zawieszonej na łęku siodła wydobył karabin. Zanim przyłożył go do ramienia, Smuga zawołał:

— Nie strzelaj! Na razie pozostawmy ich w spokoju. Na tym stoku będą musieli zwolnić tempo pościgu, a my tymczasem nieco oddalimy się od nich zjeżdżając z góry w dolinę.

— Nie żałuj pan huncwotów, warto ostudzić kulą ich zapał — oburzył się marynarz.

— Mylisz się bosmanie, to na pół dzicy i biedni ludzie. Dla zdobycia wysokiej nagrody wyznaczonej przez władze bez wahania zaryzykują życie — zaprzeczył Smuga. — Teraz pragną jedynie otrzymać nagrodę, natomiast gdyby z ich strony padły ofiary łaknęliby zemsty.

— Więc mamy dać się złapać, jak te barany, które oni ganiają po pastwiskach?!

— Jeszcze nas nie schwytali! — uciął dyskusję Smuga.

Bosman zdziwiony spojrzał na niego. Zaczęli zjeżdżać w dolinę i stok górski zasłonił pościg. Teraz nawet juczne konie przyspieszały kroku.

Rozległą dolinę pokrywała żółtawa, żwirowata ziemia. Wokół wystrzelały w niebo ubielone śniegiem szczyty. Teren systematycznie wznosił się w górę, gdy więc pogoń osiągnęła po jakimś czasie grzbiet pasma, znów rozległ się okrzyk radości na widok wolno sunącej karawany.

Pandit Davasarman odwrócił się w siodle. Długo spoglądał na pasterzy cwałujących w dół po stoku. W końcu powstrzymał konia, by zrównać się ze Smugą. Po krótkiej, cichej naradzie polecił Udadżalace zboczyć z doliny na stromy górski stok. Nie było tutaj jakiegokolwiek szlaku. Karawana przemykała się wprost z jednego występu skalnego na inny, wciąż pnąc się pod górę. Wierzchowce postękiwały z wysiłku i chrapały przestraszone, bowiem głazy usuwały się im spod kopyt. Naraz jeden z koni objuczony zapasami żywności pośliznął się na chybotliwym kamieniu. Potknął się i runął na strome zbocze.

Smuga natychmiast zatrzymał całą karawanę. W tych stronach utracenie zapasów żywności bądź sprzętu obozowego równało się przegranej walnej bitwie. Oczekiwała ich uciążliwa wędrówka przez bezdroża Tybetu, cóż by więc tam mogli począć straciwszy cenne zapasy? Wszyscy zsiedli z koni. Zgrupowali się przy Smudze.

— Kiepsko z nami — odezwał się bosman. — Trzeba nam było wcześniej rozprawić się z tymi pasibaranami.

— Nie unikniemy starcia — westchnął Tomek i zarepetował karabin.

Smuga nic nie odpowiedział. Był nie mniej zasępiony od Wilmowskiego. W milczeniu rozważał jakiś desperacki plan działania, to obrzucał spojrzeniem odległy jeszcze od nich wierzchołek najbliższego pasma, to znów spoglądał na pościg, podchodzący ku nim po głazach.

— Pandicie, czy podejmiesz się roli tłumacza? — zagadnął w końcu.

— Czy chcesz, szikarze, pertraktować? — zapytał Davasarman.

— Tak, może uda mi się dojść z nimi do porozumienia.

— Nie warto ryzykować — zaoponował bosman. — Popatrz pan, jak kiepsko są uzbrojeni. Nasze karabiny raz dwa nauczą ich moresu.

— Tłumaczyłem ci już, że to odważni ludzie. Nie ustąpią łatwo, a gdy raz zaczniemy walkę, będziemy musieli zabijać bez pardonu.

— To byłoby okropne — wzdrygnął się Tomek. — Przecież właściwie oni nam nic złego nie zrobili.

— Ci biedacy mają nas za szpiegów. Przy okazji chcą zdobyć przyrzeczoną przez policję nagrodę. Czy zdołasz, Janie, przekonać ich, że pomylili się co do nas? — denerwował się Wilmowski.

— Spróbuję — krótko odparł Smuga. — Czy pójdziesz ze mną jako tłumacz, Pandicie?

— Idę z tobą, szikarze.

Smuga postąpił kilka kroków do przodu. Zaczął powiewać w powietrzu białą chustką. Na ten widok ścigający przystanęli poniżej na stoku. Pandit Davasarman przyłożył do ust obie dłonie i zawołał coś w tiurskim języku. Pasterze zbili się w gromadę. Naradzali się, gestykulując rękoma. Po chwili jeden z nich udzielił odpowiedzi.

— Zgadzają się na rozmowę — oświadczył Davasarman. — Dwóch z ich strony i dwóch z naszej spotka się w połowie drogi, bez broni.

— Może w tym kryje się podstęp? — wtrącił bosman.

— Zaryzykujemy. Na wszelki wypadek bądźcie w pogotowiu — odpowiedział Smuga. Zaraz też odłożył karabin i zdjął pas z rewolwerem ukryty pod kożuchem.

— Ja pójdę z panem — zaproponował bosman. — Gdyby podstępnie napadli, to na pewno przydadzą się moje pięści.

— Nie kłopocz się, bosmanie, dam sobie jakoś radę. Przecież Pandit idzie ze mną, ponieważ nie mógłbym sam rozmówić się z nimi.

— Będziemy trzymali broń w pogotowiu. W przypadku zdrady wycofujcie się w ten sposób, abyśmy mogli razić ich strzałami — rzekł Wilmowski.

— Tomku, stań tu przy mnie z pukawką — polecił bosman. — A ty, Udadżalaka, ze swoimi ludźmi przycupnijcie za głazami.

Smuga powiewając chustką razem z Davasarmanem schodzili w dół stoku. Dwóch krępych pasterzy wyszło im naprzeciw. Układy trwały dość długo, lecz wkrótce nabrały zapewne pomyślnego biegu, gdyż Smuga poczęstował pasterzy tytoniem.

Tomek przez cały czas obserwował ich przez lornetę. W pewnej chwili zdumiony zawołał:

— Pan Smuga wyjął woreczek ze złotem, który otrzymał od swego brata.

— Domyślałem się, że zechce zaproponować im okup... — powiedział Wilmowski. — Oby tylko przystali na tę propozycję!

— Ani chybi, Smuga wyjdzie z tej wyprawy goły jak święty turecki — zżymał się bosman.

Posłowie uprzejmie się pożegnali, po czym Smuga z Panditem Davasarmanem ruszyli ku karawanie, a dwaj pasterze pospiesznie oddalili się w dół zbocza ku swoim.

— Jakie są wyniki pertraktacji, Janie? — niespokojnie zapytał Wilmowski, gdy posłowie, trochę zasapani wchodzeniem pod górę, znaleźli się wreszcie w kręgu przyjaciół.

— Zaraz przekonamy się naocznie — odparł Smuga. — Za chwilę powinni rozpocząć odwrót.

— Czy przyjęli okup? — ciekawił się Tomek.

— Przyjęli, dałem im podwójną sumę, jaką władze chińskie wyznaczyły za schwytanie nas — potwierdził Smuga. — To dla nich prawie majątek. Ponadto zapewniliśmy ich, że udajemy się do Tybetu jako pielgrzymi do świętej dla buddystów Lhasy.

— Chyba nie chcesz pan powiedzieć, że oni w to uwierzyli? — roześmiał się marynarz.

— Tego nie wiem, w każdym razie przychylnie przyjęli to do wiadomości i wziąwszy okup, przysięgli na Koran, że zaniechają pościgu.

— A jeśli nas oszukają?

— Na ogół mahometanin nie łamie przysięgi złożonej na swą świętą księgę.

— Odjeżdżają, naprawdę odjeżdżają! — zawołał uradowany Tomek.

Podróżnicy z uczuciem niezmiernej ulgi spoglądali za odjeżdżającymi pasterzami. Dopiero gdy konna grupa połączyła się z nadciągającą pieszą gromadką i wspólnie z nimi ruszyła ku pasmu górskiemu, Smuga odezwał się:

— Teraz możemy sobie powiedzieć, że odbyliśmy wyłącznie krajoznawczą wyprawę. Pozbyłem się już prawie wszystkiego złota, które mój nieszczęsny brat pozostawił mi w spadku. Tych kilka grudek, spoczywających na dnie niegdyś pękatego woreczka, starczy nam zaledwie na powrót do Europy.

— Najlepiej pan uczynisz, rzucając tę resztę w przepaść — powiedział bosman. — To złoto zbyt wielu ludziom przyniosło nieszczęście. Pana brat zmarł jako kaleka, biedny Abbas, który przechowywał dla nas depozyt, został zabity, morderca jego, a zarazem złodziej poniósł okrutną karę, potem dla tego właśnie złota musieliśmy zabić zbója Naib Nazara oraz wielu jego zuchów, a przed chwilą omal nie doszło do krwawej rozprawy. Tfu, do stu zdechłych wielorybów, lżej oddycham na myśl, że znów jesteśmy goli.

— Skoro nikt z nas nie martwi się utratą fortuny, to zajmijmy się odzyskaniem juków z żywnością, które razem z koniem leżą wśród głazów na stoku — rzekł Smuga, uśmiechając się do towarzyszy. — Kto na ochotnika opuści się na linie?

— Ja, proszę pana — zgłosił się Tomek. — Nabyłem już nawet pewnego doświadczenia w karkołomnych wyczynach podczas tej wyprawy.

— Dobra nasza, będę trzymał cię na linie — zaproponował marynarz. — Możesz na mnie polegać.

Pandit Davasarman ciekawie przysłuchiwał się rozmowie białych sahibów. Z coraz większym zdumieniem spoglądał na nich. Przecież wyruszyli na niebezpieczną wyprawę dla zdobycia złota, a teraz cieszyli się, że są tak samo biedni jak przedtem. W parowie, z zawaloną głazami pieczarą, Pandit Davasarman postanowił, po powrocie do Alwaru, prosić swoją siostrę, by szczodrze obdarowała jego zawiedzionych w nadziejach przyjaciół. Na pewno chętnie by to uczyniła, choćby przez wzgląd na rycerskość Tomka. Teraz jednak, gdy poznał ich niezwykłą szlachetność, zrozumiał, że taki dar byłby dla nich obrazą.

Tymczasem czterej biali przyjaciele, nieświadomi uznania, jakie wzbudzili w sercu wielkodusznego Hindusa, ochoczo przystąpili do pracy. Pokpiwali przy tym z siebie wesoło, jakby zapomnieli, że jeszcze mają przed sobą przeszło czterotygodniową, groźną wędrówkę.

CIEŃ LEGENDARNEGO YETI

Po kilku dniach podróżnicy znajdowali się już na Wyżynie Tybetańskiej. Mimo to w dalszym ciągu unikali wszelkich spotkań z ludźmi, ponieważ północna krawędź wyżyny tworząca rozległą krainę Czan Tang[*], politycznie jeszcze należała do Chińskiego Turkiestanu. [*] Pospiesznymi marszami dążyli na południowy zachód, by jak najprędzej znaleźć się w Tybecie Właściwym. Tam dopiero mieli zamiar rozejrzeć się za przewodnikiem, który by doprowadził ich do granicy Ladakhu.

Wyszukanie odpowiedniego przewodnika stawało się z dnia na dzień coraz bardziej naglącą potrzebą. Zapuszczali się w nieznany, prawie bezludny i nieurodzajny kraj, niemal pozbawiony roślinności. Zdobycie pożywienia, wody do picia, opału czy też paszy dla koni urastało tam do zagadnienia życia i śmierci.

Tomek podczas wieczornych biwaków często wydobywał z podręcznej torby mapę Tybetu i tęsknym okiem spoglądał na potężne rzeki, biorące początek w niebotycznych łańcuchach górskich obramowujących wokoło tę rozległą, wysokogórską wyżynę. Rzeka Tarym stanowiła zlewisko wód płynących w północnej części wyżyny. Korytem Tarymu spływały one do jeziora Łob-nor, natomiast rzeki: Jangcy, Huang-ho, Mekong, Saluin, Indus i Brahmaputra zlewały swe wody do odległych oceanów. Podłużne doliny Indusu i Brahmaputry na południu, jako "kraje rzek", skupiały życie gospodarcze, polityczne i religijne Tybetu. Natomiast reszta Wyżyny Tybetańskiej stanowiła krainę bezodpływową, podzieloną pasmami górskimi i grzbietami na mnóstwo pustynnych niecek, w których tu i ówdzie znajdowały się słone jeziora[*] o wodzie nie nadającej się do picia.

---

[*] Wyżyna Tybetańska dzieli się na 5 głównych krain: Ladakh na zachodzie (przynależny politycznie do Kaszmiru), Czan Tang (Tschan-tang) na północy, Bod Jul, czyli Tybet Właściwy na południu (obecnie autonomiczna prowincja chińska, zwana w jęz. chińskim Sicang), Chinghai, czyli obszar Kuku-nor na północo-zachodzie (przynależny do Chin) i Kam (Kham) na południowym wschodzie (częściowo należący do Chin).

[*] Prowincja chińska — Sinkiang.

[*] Większe jeziora przeważnie o słonej wodzie to: Panggong-co, Landak-co, Kjaring-co, Jamdok-co, Selling-co, Dangrajum-co, Lighten, Manasarowar, Aczyg-kuł, Ajagkum-kuł, Tengri-nor, Kuku-nor, i rozległe błota Cajdam (Tsaidam).

Pusty i mroźny step niegościnnie witał karawanę. Podczas lata czasem można było na nim spotkać koczowniczych pasterzy tybetańskich, trudniących się wypasem owiec, koni i jaków. Wtedy bowiem nad brzegami zagubionych w pustkowiu jezior oraz wokół gorących źródeł krzewiła się w rzadko rozsianych kępkach słonawa, gruba trawa. Była ona doskonałym pokarmem dla zwierząt. Również w okresie polowań na dzikie jaki na pustynię zapuszczali się nieraz odważni myśliwi w poszukiwaniu cennej zwierzyny. Teraz wszakże zbliżała się straszliwa tybetańska zima i tylko paląca konieczność mogła zmusić koczowników do zaglądnięcia do tej groźnej dla człowieka i zwierząt krainy.

Dzika, bezludna pustynia, której w zimie unikały nawet ptaki, mimo woli napawała niepokojem naszych podróżników. Teraz coraz częściej wspominali zmarłego brata Smugi. Tym samym szlakiem samotnie przedzierał się z Chińskiego Turkiestanu do Ladakhu. Tylko człowiek bezgranicznie odważny i zdecydowany na wszystko mógł podjąć się tak szaleńczego przedsięwzięcia. Czyż wobec tego można było dziwić się, że po straszliwym marszu zabrakło mu sił już niemal u samego celu wędrówki?!

Smuga starał się ukryć swe wzruszenie słuchając rozmów towarzyszy, lecz milczenie jego było bardzo wymowne. Często zasępionym wzrokiem wodził po bezkresnym pustkowiu, jakby szukał jakichś śladów pozostawionych przez swego brata. W takich chwilach Tomek niczym cień dążył u boku Smugi, chcąc okazać mu współczucie.

Pandit Davasarman, mimo doskonałej znajomości krajów Azji Środkowej, tylko z wielkim trudem odnajdywał właściwy kierunek marszu wśród licznych, szerokich dolin i kotlin. Na domiar złego względna dotąd pogoda zaczęła nagle pogarszać się z dnia na dzień. Z głębi wyżyny powiał gwałtowny wicher. Niósł całe chmury słonawego pyłu; oślepiał ludzi i zwierzęta, powodował ciągłe łzawienie, wdzierał się do ust, nosów, uszu, przenikał pod odzienie. Pod wpływem dokuczliwego słonawego pyłu spierzchnięte z zimna ciała podróżników pokrywały się bolesnymi ranami.

Nasi łowcy, zahartowani podczas licznych wypraw do znoszenia trudów uciążliwej podróży, nie żalili się na własne cierpienia. Największą ich troskę stanowił opłakany stan wyczerpanych wierzchowców. Przecież utrata koni w surowej, bezbrzeżnej pustyni groziła zagładą całej karawanie. Toteż nie zważając na zastraszające zmniejszanie się zapasu spirytusu do maszynek do gotowania, codziennie napełniali duży kocioł śniegiem i topili go, żeby zdobyć wodę dla koni. A tymczasem zwierzęta chudły niemal w oczach, nie chciały już nawet jeść skąpo wydzielanych racji obroku i tylko chciwie lizały ozorami twardy śnieg.

Pewnego dnia Pandit Davasarman oznajmił swym towarzyszom, że według jego obliczeń powinni już znajdować się w Tybecie Właściwym. Zaraz też poprowadzili karawanę wprost na zachód. Dążąc w tym kierunku powinni dojść do granicy Ladakhu. Podróżnicy poczuli się raźniej, a ich lepszy nastrój zdawał się udzielać również i wierzchowcom. Samorzutnie zaczęły przyspieszać kroku, wstrząsały łbami i parskały.

— Ho, ho, pańskie oko konia tuczy — zawołał bosman, widząc nieoczekiwane ożywienie się wierzchowców. — Zaledwie poprawiły się nam humory, poczciwe szkapiny w mig to wyniuchały.

— Widocznie nie pisane nam zginąć w tej okropnej pustyni — powiedział Tomek. — Czyżby konie zwietrzyły jakieś ludzkie sadyby?

Pandit Davasarman niczym ogar na łowach uniósł głowę i głęboko wciągnął nosem powietrze. Po chwili rzekł:

— Prawdopodobnie w pobliżu muszą znajdować się gorące źródła. Wydaje mi się, że wiatr niesie z zachodu ostry zapach.

— Nie mylisz się pan! Mój niezawodny bosmański nos mówi mi to samo. Wprawdzie obawiałem się, czy w tej diabelskiej krainie nie zbliżamy się przypadkiem do bram piekielnych, bo w powietrzu czuć jakby siarką, ale może masz rację, że to tylko są gorące źródła. Słyszałem, że one tak właśnie cuchną!

— Nareszcie będziemy mogli się umyć! — ucieszył się Tomek. — Proszę pana, czy ta woda nadaje się do picia?

— Nie jest ona zbyt przyjemna w smaku, lecz może właśnie przy gorących źródłach uda się nam zdobyć trochę pokarmu dla koni — odparł Davasarman. — Poza tym korzystając z wysokiej temperatury wody możemy roztapiać w niej śnieg w kotłach.

— To naprawdę dobra nowina — wtrącił Wilmowski.

— Na bezrybiu i rak ryba. Oby tylko nasze domysły nie okazały się gruszkami na wierzbie — westchnął bosman. — Jeśli to naprawdę będą gorące źródła, to zaraz urządzimy takie pranie, jakie moja szanowna mamusia zwykle urządzała na Powiślu przed Świętami Wielkanocnymi.

— Na ochotnika zgłaszam się do pomocy — zaofiarował się Smuga. — Bielizna już się na mnie lepi.

Tak rozmawiając i pocieszając się wzajemnie zbliżali się do pasma pagórków. Teraz musieli cuglami powstrzymywać konie, które niecierpliwie wstrząsały łbami i rwały się do biegu. Podróżnicy nabrali pewności, że są już blisko gorących źródeł. Nad koliskiem niskich wzgórz unosiły się kłęby pary.

Wkrótce wjechali w kotlinę. Tomek krzyknął z radości ujrzawszy zieloną łąkę, na której nie opodal jednego ze źródeł spokojnie pasło się stado czarnych jaków. W pobliżu na wzniesieniu czuwał samotnie olbrzymi buhaj — przewodnik stada. Długość jego potężnego cielska przekraczała cztery metry, a wysokość w kłębie wynosiła około dwóch metrów. Jak zwykle u starszych samców jaków, grzbiet i górną część boków pokrywała sierść o brunatnym odcieniu. Karawana nadjechała do kotliny pod wiatr, toteż buhaj zauważył ją dopiero po okrzyku Tomka. Udomowione jaki są nadzwyczaj pożyteczne dla człowieka, lecz w stanie dzikim stają się nie mniej groźne od afrykańskiego bawołu. Zaledwie buhaj dojrzał karawanę, natychmiast zaczął uderzać racicami o ziemię, czym zaalarmował resztę stada. W

mgnieniu oka rozjuszone jaki, wysoko zadarłszy puszyste ogony, jak lawina ruszyły na karawanę. Pochyliwszy nisko łby, uzbrojone w szeroko rozstawione, wielkie rogi, szarżowały zgrupowane w szeregu. Długie, czarne włosy porastające ich brzuchy i nogi powiewały w pędzie jak bojowe chorągiewki.

Niespodziewane pojawienie się jaków oraz ich nagły atak w pierwszej chwili zaskoczyły podróżników. Smuga najprędzej zorientował się w groźnej sytuacji.

"Uciekajcie w bok na obydwie strony, prędzej!" — krzyknął donośnie.

Jeźdźcy zdarli konie cuglami. W popłochu usiłowali usunąć się z drogi szarżującemu stadu. Tak doświadczony łowca jak Smuga znał zwyczaje jaków. Wiedział, że podrażnione szarżują na oślep na wroga, lecz biegną wprost przed siebie i nigdy nie zawracają, jak to często zwykły podstępnie czynić bawoły afrykańskie. Toteż teraz Smuga ostro powstrzymał swego przestraszonego wierzchowca i zmusił go do biegnięcia przed stadem. W ten sposób ściągnął na siebie uwagę rozjuszonych zwierząt i pomknął przed nimi.

W tej właśnie chwili śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad Panditem Davasarmanem. Usiłował on bowiem ściągnąć z drogi pędzących na oślep jaków jucznego konia, który przerażony widokiem olbrzymich, nieznanych mu czarnych zwierząt, czterema kopytami zaparł się w ziemię. Pandit Davasarman widząc, że nie zdoła już go uratować, skierował wierzchowca w ślad za Smugą. Na nieszczęście koń Hindusa potknął się o kępę i w powietrzu fiknął kozła. Jeździec wyleciał z siodła jak z procy. Jaki przetoczyły się po koniu tratując go ostrymi racicami. Davasarman tymczasem upadł wprost na grzbiet dzikiego wołu, który jednym wierzgnięciem zrzucił go z siebie na ziemię.

Pędzące stado zniknęło za Smugą w wylocie kotliny. Gromadka podróżników, z wydobytymi poniewczasie karabinami, otoczyła Pandita Davasarmana. Hindus ociężale podniósł się z ziemi i chociaż utykał na prawą nogę, dał im znak, aby nie kłopotali się o niego. Ręką wskazał na wylot kotliny. Zrozumieli, że niepokoi się o odważnego Smugę.

Tym razem wszelkie obawy okazały się zbyteczne. Gdzieś poza kotliną huknął strzał, a nieco później pojawił się na spienionym wierzchowcu Smuga.

— Udało się, na szczęście! — zawołał zeskakując z siodła. — Jaki chyba jeszcze dalej gnają po pustyni. Podczas okrążania pagórka skryłem się za występ i wtedy ominęły mnie. Przy okazji posłałem kulę młodemu wołu. Będziemy jedli świeże mięso.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wprawdzie stracili dwa konie stratowane przez jaki i Pandit Davasarman miał potłuczoną nogę, ale mimo to mogli być wdzięczni losowi, że niezwykłe wydarzenie nie skończyło się bardziej tragicznie.

Ochoczo zakrzątnęli się koło rozłożenia obozu. Jedni rozpinali namioty, drudzy zbierali na opał cenny w tym kraju nawóz jaków, a Udadżalaka wraz z jeszcze jednym żołnierzem wyprawili się z końmi po zastrzelonego przez Smugę jaka.

Nie minęły dwie godziny, a w namiotach były już przygotowane posłania na yakdankach. Nad rozpalonym ogniskiem zwisał kociołek, z którego rozchodził się smakowity zapach

rosołu. Bosman, jako kucharz, co chwila sięgał warząchwią do kotła i kosztował potrawy głośno mlaskając z zadowolenia. Od szeregu dni żywili się jedynie polewką z prażonej mąki rozbełtanej z przegotowaną wodą ze śniegu, toteż teraz cieszyli się na myśl o innej strawie.

Wokół gorących źródeł temperatura była dość znośna. Po raz pierwszy od dwóch tygodni podróżnicy wymyli się do czysta i wyprali swoją bieliznę. Oczywiście szczególną opieką otoczyli zdrożone konie. Było to konieczne, ponieważ spragnione zwierzęta rwały się do cuchnącej wody. Dopiero po jakimś czasie napojone konie uspokoiły się i zaczęły skubać na łące trawę.

Cuchnąca siarką kotlina wydała się utrudzonym podróżnikom prawdziwym rajem na ziemi. Niespieszno więc było im ją opuścić. Dzięki gorącym źródłom nie odczuwali zimna, a pożywna świeża pasza przywracała siły ich wierzchowcom. Nawóz jaków pozwalał na oszczędzanie paliwa do maszynek do gotowania. Nic więc dziwnego, że dopiero po trzech dniach wypoczynku Pandit Davasarman dał hasło do wymarszu.

Z powodu utraty dwóch wierzchowców, dwóch ludzi musiało wędrować pieszo, toteż obecnie, podczas marszu, na zmianę dosiadali koni.

Wichura uspokoiła się; w dzień słońce mocno przygrzewało, lecz noce były niezwykle mroźne. W dalszym ciągu nie napotykali osiedli.

Brak wody znów zaczął im dawać się we znaki. Po kilku dniach wierzchowce już ledwo się wlokły.

Pewnego popołudnia czarne chmury pokryły całe niebo. Zerwał się mroźny wicher, który wkrótce sypnął tumanami śniegu. Karawana znajdowała się na lekko sfalowanym płaskowyżu. Wicher stopniowo przybierał na sile i niebawem uderzał już z tak wielką mocą, że jeźdźcy ledwo mogli utrzymać się na nogach. Dalszy marsz stał się zupełnie niemożliwy.

Podróżnicy z trudem rozpięli namioty. Osłonili je jukami i bryłami śniegu. Mimo to buran wyrywał kołki przytrzymujące linki, rwał płachty namiotów i przewracał bambusowe drążki. Długa, bardzo mroźna noc minęła na uciążliwym zmaganiu się ze straszliwym żywiołem.

Nawałnica uciszyła się dopiero nad ranem. Po krótkim wypoczynku wyruszyli w drogę, pozostawiając za sobą trzy martwe konie. W posępnym milczeniu i z niepokojem w sercach spoglądali ku zachodowi.

Tego właśnie dnia napotkali stado jaków. Nauczeni smutnym doświadczeniem, z dala już chwycili za karabiny. Ostrożnie zbliżali się do brzegu zamarzniętego jeziora.

Bosman pieszo wysforował się do przodu. Trzymając pod prawą pachą w pogotowiu karabin. Po chwili odwrócił się do przyjaciół i zawołał radośnie:

— Do góry głowa, panowie! Koło ratunkowe już nadpływa. Wciągnijcie banderę na maszt! Na wprost nas widzę namioty!

— Hurra! — krzyknął Tomek.

Przyspieszyli kroku. Stadko oswojonych jaków nie zwracało uwagi na przechodzącą obok karawanę. Wkrótce znaleźli się w koczowisku pasterzy. U stóp ostro ściętego wzgórza stało kilka namiotów. Wał ułożony z kamieni osłaniał je nieco przed uderzeniami wichru. Namioty Tybetańczyków zbudowane były z brezentowych płacht, poziomo rozpiętych na drągach. Na wierzchu posiadały podłużne otwory do wypuszczania dymu. Obok namiotu tkwiły wbite w ziemię kije, obwieszone kolorowymi szmatkami — chorągiewkami modlitewnymi.

Kilku mężczyzn pojawiło się przed namiotami. Na powitanie wysunęli z ust języki, po czym zawołali:

"Dżule master sahib!"

Gromadka dzieciaków otoczyła podróżników i naśladując starszych ochoczo prezentowała swe czerwone "ozorki".

Bosman Nowicki z komiczną powagą kilkakrotnie wysunął język, przy czym nieznacznie mrugnął w kierunku Tomka. Podróżnicy i bez tej zachęty ze szczerą radością witali krajowców. Tybetańscy pasterze okazali się uprzejmi i bardzo gościnni. Pomogli rozjuczyć konie i zaraz odprowadzili je na łąkę w pobliżu gorących źródeł. Zaprosili podróżników do swych namiotów. Zaledwie zasiedli na rozciągniętych na ziemi skórach jaków, kobiety postawiły przed nimi małe, okrągłe miseczki, które starannie wylizały do czysta własnymi językami. Tomek i bosman przymknęli oczy, by nie widzieć tej oryginalnej uprzejmości.

W Ladakhu szczęśliwie udało się im uniknąć picia herbaty przyrządzonej na sposób tybetański. Teraz jednak byli zgłodniali i zziębnięci do szpiku kości. Poza tym obawiali się obrazić gościnnych pasterzy. Tybetanki przyniosły kociołek z herbatą oraz skórzany worek, sierścią zwrócony do wewnątrz. Nalały do miseczek herbaty, po czym jedna z nich otworzyła worek, służący do przechowywania masła ubitego z mleka jaków. Palcem wyskrobywała z sierści grudki masła i kładła je do płynu. Następnie do każdej miseczki wsypała szczyptę soli.

Pandit Davasarman oraz jego żołnierze przełykali tybetańską herbatę bez mrugnięcia okiem. Natomiast biali podróżnicy sączyli ją powoli, by uniknąć drugiej porcji. Za to z prawdziwie wilczym apetytem zabrali się do jedzenia, gdy postawiono przed nimi dymiącą pieczeń baranią oraz gotowane mięso jaka.

Pandit Davasarman wręczył krajowcom drobne upominki. Dopiero po tej ceremonii rozpoczął pertraktacje w sprawie wynajęcia jaków. Jednocześnie poprosił o przewodnika, który mógłby doprowadzić ich do Ladakhu. Po bardzo długich targach Tybetańczycy przystali na wypożyczenie sześciu jaków oraz zobowiązali się dostarczyć dwóch przewodników. Mieli oni doprowadzić karawanę do klasztoru w Hemis, a stamtąd powrócić razem ze swymi jakami do koczowiska. Żeby dobić targu, Smuga znów musiał sięgnąć do niemal już pustego woreczka, odziedziczonego po bracie. W zamian za trochę sprzętu obozowego i szereg innych drobiazgów, jak: lusterka, grzebienie, igły, nici, tytoń i nieco odzienia, podróżnicy otrzymali odpowiedni zapas żywności.

Podczas pertraktacji z Tybetańczykami Tomek rozglądał się po prymitywnym osiedlu. Pasterze posiadali w swych namiotach misternie rzeźbione drewniane skrzynie, kaszmirskie dywany, chińskie miski z porcelany i ozdobne posążki Buddy. Nie brak tu było również młynków modlitewnych, noszących widoczne ślady pracowitych rąk, na swój sposób pobożnych pasterzy.

Po dwudniowym wypoczynku karawana wyruszyła w drogę. Jeszcze tylko tydzień marszu dzielił podróżników od łańcucha gór Karakorum, wrzynających się w Tybet swym południowym krańcem.

Po przyłączeniu się do karawany tubylców-przewodników wraz z wypoczętymi jakami marsz przez kraj stał się mniej uciążliwy. Teraz znów wszyscy uczestnicy wyprawy mogli jechać konno, podczas gdy silne woły niosły juki. Tybetańczycy doskonale czuli się w surowym klimacie swej ojczyzny. Wyruszając w drogę każdy z nich zabrał jedynie po jednym osiodłanym do jazdy jaku, a para juków przewieszonych obok siodła oraz gruby koc i stare strzelby stanowiły cały ekwipunek. Mimo przenikliwego zimna spali pod gołym niebem, przykryci kocem i z jukami pod głową. Po całodziennej uciążliwej wędrówce chętnie pomagali w rozkładaniu obozu, starali się o zdobycie opału oraz wody i nigdy nie było widać po nich znużenia. Tymczasem biali podróżnicy — w miarę jak teren wznosił się coraz wyżej w pobliżu gór Karakorum i powietrze stawało się bardziej rozrzedzone — nie byli zdolni do większego wysiłku. Szczególnie olbrzymi bosman Nowicki i młody Tomek szybko męczyli się i narzekali na silne bicia serca. Zawsze opanowany, małomówny Pandit Davasarman i jego hinduscy żołnierze, przywykli do wędrówek po wysoczyznach Azji Środkowej, okazali się wspaniałymi towarzyszami podczas tak niezwykle trudnej wyprawy. Zauważywszy złe samopoczucie Tomka i marynarza, wykonywali za nich wszystkie prace obozowe oraz otaczali ich życzliwą opieką.

Obydwaj przewodnicy dość dobrze orientowali się w terenie. Mimo to nawet oni czasem stawali bezradni wobec niezwykłej wikłaniny dolin i kotlin. Gdy niebo było pogodne, drogowskazem był im gwiazdozbiór Krzyż Południa, według którego ustalali właściwy kierunek. Wiedzieli też doskonale, jakie pory dnia najlepiej nadają się do odbywania marszu. Na przykład podczas wichrów i śnieżyc dawali hasło do drogi jeszcze przed wschodem słońca, ponieważ w tych okolicach najpotężniejsze nawet zawieruchy uspokajały się zazwyczaj, na pewien czas, przed nastaniem świtu.

Pewnego dnia przewodnicy powiedli karawanę wprost ku pasmu górskiemu. U stóp gór, w głębokiej niecce, miało znajdować się kilka gorących źródeł. Według zapewnień Tybetańczyków można tam było spotkać dość liczne stadka dzikich jaków, osłów-kułanów, a także owiec i antylop, które zadowalały się skąpą roślinnością stepową, pokrywającą gdzieniegdzie tę jałową wyżynę[*].

---

[*] Wklęsłości terenu we wnętrzu Tybetu pokryte są rumoszem skalnym, gdyż z powodu ubogiej roślinności zwietrzelina tworzy się bardzo intensywnie. W znacznej części kraju napotyka się jedynie skąpą wysokogórską roślinność stepową. Tylko w osłoniętych, niżej położonych regionach pojawiają się

Przewidywania przewodników sprawdziły się niebawem. Dwie upolowane antylopy wprawiły wszystkich w dobry nastrój, mimo że Tybetańczycy zaoponowali przeciwko zatrzymaniu karawany na postój.

— Sahibie, lepiej nie rozkładać tutaj obozu. Już blisko do gompa* — tłumaczył krajowiec, mieszając w tybetańską mowę poszczególne angielskie słowa. — Poprowadzę sahibów pieszo na przełaj przez góry. Szybko będziemy na miejscu. Natomiast mój syn powiedzie konie i jaki dalszym, wygodniejszym traktem. Poczekamy na niego w gompa. Zanim przybędzie, zdążymy odpocząć.

— Co sahibowie powiedzą na to? — zapytał Pandit Davasarman.

— Jeśli przejście przez góry nie jest zbyt uciążliwe, to warto by sobie skrócić drogę. Chętnie rozprostuję nogi — odparł Wilmowski.

— Ja zaś wolę wytrząsać brzuszysko na szkapie, niż pieszo drałować po górach — markotnie rzekł bosman. — Mdli mnie już na sam widok skalnych wertepów.

Udadżalaka darzył dobrodusznego marynarza wielką sympatią, zaraz też oświadczył, że również pozostanie przy koniach. Stanęło wobec tego na tym, że wszyscy hinduscy żołnierze, z wyjątkiem Davasarmana, wyrazili chęć towarzyszenia bosmanowi i razem z jednym przewodnikiem pojechali dalej końmi. Reszta podróżników, pod przewodem starego Tybetańczyka, ruszyła na przełaj przez góry.

Grupa idąca pieszo, obdarzona jedynie lekkimi plecakami i karabinami, początkowo szybko pięła się po bezdrożach, lecz wkrótce Tomek zaczął żałować, że opuścił bosmana. Przejście na przełaj wcale nie było łatwe. Tybetańczyk wiódł ich po bezdrożach, nagich stokach, zawalonych złomami pni. To wędrowali nad skrajem przepaści, to znów pięli się po urwiskach pokrytych śnieżną skorupą. Tego dnia pogoda była prawie bezwietrzna. Płachty śniegu skąpane w promieniach słońca raziły wzrok, więc nałożyli drewniane "okulary", w których szkła zastępowało końskie włosie. Tybetańczyk również osłonił przed blaskiem swe oczy. Ponieważ nie posiadał okularów, po prostu rozplótł warkocz i opuścił włosy z przodu głowy na twarz.

Po trzech godzinach znaleźli się na małej, wysoko położonej przełęczy. Wokół roztaczała się dzika, górska panorama. Jak okiem sięgnąć wszędzie widać było pokryte wiecznym śniegiem i lodem szczyty, wystrzelające wysoko w niebo.

Po jakimś czasie przewodnik zatrzymał się nad głębokim uskokiem. Zafrasowany rozglądał się po urwiskach. Podróżnicy zaniepokojeni przystanęli obok niego.

— Tutaj przecież nie ma przejścia — odezwał się Pandit Davasarman. Wydaje mi się, że zabłądziłeś.

---

zgrupowania topoli i wierzb oraz większe gaje drzew owocowych. Bujniejsze lasy występują dopiero w dolinach przełomowych na krawędziach wyżyny. Zboża, jak: jęczmień, owies i pszenica, uprawiane są tylko na południu — w dolinie rzeki Cang-po i jej dopływów, lecz pola uprawne i tam wymagają sztucznego nawadniania.

* Gompa — po tybetańsku klasztor.

— Jakże mógłbym zabłądzić? Przecież znam te okolice od dziecka — oburzył się Tybetańczyk. — To złe duchy sprowadziły nas na manowce. Na to nikt przecież nie poradzi.

— Nie tłumacz bzdurami swojej pomyłki — skarcił go Smuga.

— Nie mów tak, sahibie. Góry naprawdę są zamieszkiwane przez różne... złe i dobre duchy. One naumyślnie sprowadziły nas z właściwej drogi, abyśmy nie mogli trafić do świętego gompa.

— A czy ty na pewno wiesz, gdzie ten klasztor się znajduje? — zagadnął Tomek.

— Jakże mógłbym nie wiedzieć? Przecież wszystkie gorące źródła i łąki w tych stronach są własnością świętych lamów z naszego gompa. Ja i moja rodzina również do nich należymy. Nawet teraz niosę lamom opłatę należną za wypasanie mojego bydła na ich łąkach.

— Czy i ty również jesteś lamą? — zdziwił się Tomek.

— Nie, sahibie, oni są moimi panami. Należę do nich — odparł przewodnik.

— Dlaczego nazywasz tych lamów swoimi panami? Czy nie jesteś wolnym człowiekiem?

Tybetańczyk spojrzał na Tomka pełnym niedowierzania wzrokiem, jakby obawiał się, czy ten przypadkiem nie kpi z niego. Po chwili odpowiedział:

— Nie żartuj, młody sahibie. Każdy człowiek musi mieć swego pana i płacić mu daniny. I ty też pewno masz pana*.

— Dajmy teraz spokój dysputom — wtrącił Pandit Davasarman. — Zastanów się, którędy mamy iść do gompa.

— Musimy się trochę wrócić. Jeśli duchy nie będą przeszkadzały, to wkrótce odnajdę dobrą drogę.

Zaczęli schodzić po stromym stoku. Tomek zmęczony więcej od innych, wolno wlókł się na samym końcu. W pewnej chwili wydało mu się, że czuje na sobie czyjś uporczywy wzrok. Odwrócił się i nagle ujrzał na śniegu cień kogoś ukrytego za skalnym załomem. Na cichy okrzyk Tomka jego towarzysze obejrzeli się, musieli również dostrzec olbrzymi cień nieznanej istoty na gładkim jak lustro śniegu, gdyż przystanęli i zdumieni spoglądali na siebie.

— Mi-te, zwierzę chodzące jak człowiek! — zawołał Tybetańczyk pełnym przerażenia głosem.

Usłyszawszy to, Tomek błyskawicznym ruchem zrzucił z ramion plecak, po czym podskoczył ku głazowi, ściskając w dłoniach swój sztucer. Zaintrygowany zasłyszanymi uprzednio opowieściami o dziwnym Yeti — biegł nie patrząc nawet, czy którykolwiek z

---

* W Tybecie do niedawna panował ustrój teokratyczny, to znaczy, że państwo było całkowicie rządzone przez księży — lamów, buddyjskich mnichów. Naczelnikiem państwa był dalajlama, najwyższy kapłan, uznawany za "żywego Buddę" i rezydujący w świętym dla buddystów mieście Lhasie. Lamowie stanowią 20% ogółu ludności i zgrupowani są w około 3000 klasztorów rozrzuconych po całym Tybecie. Praktycznie w panujących tam wówczas warunkach feudalnych każdy chłop czy rzemieślnik podlegał jakiemuś "panu", dla którego odrabiał pańszczyznę i któremu płacił daninę. Te stosunki uległy zmianie dopiero od 1951 r., gdy na skutek porozumienia chińsko-tybetańskiego Tybet przyłączył się do Chińskiej Republiki Ludowej. Obecnie stanowi autonomiczny obszar zarządzany przez dalajlamę.

towarzyszy podąża za nim. Zaledwie kilkanaście metrów dzieliło go od załomu skalnego. Naraz cień zaczął się kurczyć, a w końcu zniknął zupełnie. Tomek przyspieszył biegu, zrozumiał, że dziwny stwór rozpoczął odwrót.

Tuż przed skalną ścianą rozpędzony pośliznął się na twardej tafli śniegu. Runął jak długi na ziemię, potoczył się po stoku. Zgubił swoje okulary, lecz podniecony pogonią, nie zwrócił nawet na to uwagi. Poderwał się na nogi. Wbiegł za skalny załom. O kilkadziesiąt metrów przed nim jakiś brunatny stwór właśnie wsunął się pomiędzy wielkie głazy.

— Jest, jest! — wrzasnął Tomek w kierunku biegnących za nim towarzyszy i pognał naprzód jak szalony.

Zapomniał o słabości nękającej go od kilku dni, zapomniał o zgubionych okularach. Przeskakiwał sterczące spod śniegu kamienie, potykał się, ale nie odrywał wzroku od głazów, za którymi zniknął legendarny Yeti*.

Szaleńczy pościg za zręcznie umykającym stworem trwał dość długo. Pozostawiał on za sobą wyciśnięte w śniegu ślady bosych stóp. Tomek wysforował się o kilkadziesiąt metrów i wciąż biegł na czele pogoni. Czasem zdawało mu się, że dostrzega brunatną postać widoczną zza skał, lecz za każdym razem sprawiała inne wrażenie. To przypominała nagiego, kosmatego człowieka, to znów gdy opadała na cztery łapy wyglądała jak tybetański niedźwiedź. Stwór coraz bardziej oddalał się, szedł coraz wyżej i wyżej. W końcu Tomek stracił pewność, czy w ogóle jeszcze widzi cokolwiek na błyszczącym w słońcu, stromym stoku, pokrytym szklącym się lodem. Już brakowało mu w piersiach tchu. Serce waliło jak młot. Krew pulsowała w skroniach, a przenikliwy blask słoneczny prawie porażał wzrok.

Tomek biegł coraz wolniej. Usłyszał nawoływania towarzyszy. Zatrzymał się, by nabrać tchu i odpocząć. Dopiero po długiej chwili otoczyli go zasapani towarzysze.

— Biegłeś, jakbyś miał skrzydła — z uznaniem powiedział Smuga. — Nie mogłem cię dogonić. Czy widziałeś, co to było?

— Już sam nic nie wiem — odparł Tomek. — Chwilami zdawało mi się, że to był nagi człowiek niezbyt wysokiego wzrostu. Gdy jednak biegł na czterech łapach, bardzo przypominał niedźwiedzia. Nie mogłem widzieć dokładnie, ponieważ stale dzieliło nas kilkadziesiąt metrów, a słońce prawie całkowicie mnie oślepiało. Upadając zgubiłem okulary.

— Do licha, ależ to byłaby sensacja, gdybyśmy przypadkiem schwytali legendarnego Śnieżnego Człowieka — westchnął Smuga.

— Chodźmy stąd jak najprędzej, kto ujrzy mi-go, tego spotka nieszczęście — szepnął Tybetańczyk.

---

* Yeti (można także wymawiać jak Yihda, Yehda, Yehte, Yite) oznacza groźną mitologiczną istotę o żołądku mogącym pomieścić całą górę.

— Ten wasz mi-go najprawdopodobniej okaże się zwykłym niedźwiedziem — powiedział Wilmowski. — Ale dość już zmitrężyliśmy czasu. Musimy dotrzeć przed nocą do klasztoru.

Przewodnik jakoś w końcu odnalazł właściwy kierunek. Późnym popołudniem ujrzeli nareszcie jasne kontury klasztoru. U jego stóp rozsiadło się kilkanaście domków o płaskich dachach. Była to drongpa, czyli wioska pańszczyźnianych chłopów, należących do lamów.

Przed wejściem do kamiennego klasztoru, pomiędzy czortenami, stały po obydwóch stronach drogi dwa wielkie bębny modlitewne. Każdy lama przechodząc obok nich pchnięciem dłoni wprawiał je w ruch obrotowy, by "odmawiały" modlitwę na jego intencję. Zewnętrzne ozdoby i belki czworokątnego budynku pomalowane były na niebiesko, zielono i czerwono, a każdą z tych barw oddzielał szeroki biały pas. Wąskie okna pokrywały rysunki ludzi i zwierząt. Wykute w skale stopnie wiodły do wejścia świątyni, zasłoniętego jedynie grubą wełnianą kotarą.

Na powitanie karawany wyszedł ze świątyni stary lama o kilku pożółkłych zębach i ogolonej do gołej skóry głowie. Był odziany w czerwony habit oraz kamizelkę ze złotego brokatu. U pasa zwisał mu mały posążek Buddy, zapewne przywieziony z pielgrzymki do świętej Lhasy i woreczek ze święconą wodą. Na znak, iż należał do "żółtych lamów", nosił na lewym ramieniu składaną czapkę z krótko przyciętym pióropuszem.

Lama powitał podróżników w języku tybetańskim. Pandit Davasarman odpowiedział i wręczył mu, jako dar dla świątyni, jedną z ostatnich grudek złota z woreczka Smugi.

Podczas przydługich powitań Tomek przyglądał się ciekawie bębnom modlitewnym. Gdy młodzi lamowie uchylili kotary, by wpuścić podróżników do wnętrza świątyni, Tomek dłonią dotknął bębna i zakręcił nim, przyglądając się wyrytym na walcu modlitwom. Lama obrzucił Tomka pełnym zdziwienia wzrokiem i zaprosił do wejścia do klasztoru.

Tomek odetchnął z ulgą, wszedłszy za grubą kotarę. Stanowiła ona bowiem jakby granicę pomiędzy dwoma odmiennymi świątyniami. Podczas gdy na dworze wokół rozpościerała się mroźna i dzika górska panorama, a wprost oślepiający blask słoneczny zmuszał do mrużenia oczu — we wnętrzu świątyni panował wieczny mrok, rozjaśniany przez kaganki, tlące się jedynie u stóp dużego, kamiennego posągu Buddy. Swąd tłuszczu jaków skwierczącego w kagankach mieszał się z ciężkim, odurzającym zapachem kadzideł.

Kilku lamów weszło do świątyni i otoczyło swego przełożonego. Wilmowski i Smuga za pośrednictwem Pandita Davasarmana rozmawiali z opatem, Tomek rozglądał się po świątyni. Obok posągu Buddy w pobliżu ołtarza stały posągi innych bóstw. Tomek przetarł wierzchem dłoni obolałe oczy, po czym wolnym krokiem przechodził wzdłuż ścian pokrytych malowidłami, wyobrażającymi sceny religijnych legend, potworne bóstwa i dziwaczne zwierzęta. Z kolei znów przystanął przed ołtarzem przybranym wspaniałym tybetańskim kobiercem. Pomiędzy tlącymi się kagankami stały miseczki z ofiarnymi darami złożonymi Buddzie, a więc masło z mleka jaków, mleko, mięso z ryżem i proso.

W końcu uwagę Tomka przykuła szeroka ława umieszczona obok ołtarza. Stały na niej artystycznie wykonane młynki modlitewne, leżały czapki lamów, kropidła z ptasich piór, dziwaczne instrumenty, misterne figurki wyobrażające ludzi i zwierzęta, różańce i dzwonki.

Opat spostrzegłszy Tomka pilnie przyglądającego się przedmiotom kultu religijnego, skinął na Pandita Davasarmana. Razem z nim przybliżył się do młodzieńca. Za pośrednictwem Hindusa zapytał Tomka, który z przedmiotów szczególnie zwrócił jego uwagę. Tomek wyjaśnił, że zainteresowały go oryginalne dzwonki i różańce.

Dostojny lama zastanowił się nad czymś, po czym zawołał innych lamów i poprosił Pandita Davasarmana, aby powiedział młodzieńcowi, że może dokładnie obejrzeć przedmioty, które go tak zaciekawiły. Tomek ochoczo skorzystał z uprzejmej propozycji. Przede wszystkim wziął do ręki mały, ozdobny dzwoneczek o specjalnym uchwycie z dziurką, do zakładania dzwonka na palce, niczym pierścienia.

Zaledwie podniósł oryginalny dzwoneczek, opat z trudem powstrzymał okrzyk zgrozy czy zdumienia, potem cofnął się o krok. Zasłabł widocznie, zaraz też dwóch lamów podtrzymało go pod ramiona. Pomruk mnichów ostrzegł podróżników, że dzieje się coś niezwykłego.

— Tomku, dość już tego, chodźmy stąd — rzekł półgłosem Wilmowski.

— Nie dotykaj tych przedmiotów — dodał Smuga. — Możemy narazić się na niepotrzebne kłopoty.

Tomek usłuchał rad. Sam również zauważył dziwne zachowanie się mnichów, szybko więc położył na ławie trzymany teraz w ręce biały różaniec, wykonany z ludzkich kości. Uczynił gest, jakby chciał odejść, lecz w tej chwili opat przemógł niemoc i pospiesznie wypowiedział kilka słów po tybetańsku.

— Opat prosi cię, szlachetny sahibie, abyś w spokoju oglądał wszystko, co tylko wzbudza twoją ciekawość. Mówi, że sprawiasz mu tym największą radość — rzekł Pandit Davasarman.

Tomek spojrzał na mnichów. We wzroku ich nie było widać oburzenia czy urazy. Wprawdzie wydawali się być czymś bardzo poruszeni, ale mimo to spoglądali na niego z wielką sympatią. Uspokojony tym, oglądał z kolei sztylet o dwóch ostrzach: srebrnym i miedzianym.

— Do czego służy ten sztylet? Chyba nie jako broń? — zwrócił się Tomek do Pandita Davasarmana.

Hindus przetłumaczył jego słowa opatowi, a ten drżącym głosem odpowiedział.

— To jest ofiarny sztylet — wyjaśnił Davasarman. — Jedno ostrze przeznaczone jest dla duchów powietrza, drugie dla duchów ziemi.

W tej chwili przed wejściem do świątyni usłyszeli tubalny głos bosmana. Razem z lamami wyszli więc, by go powitać i dopatrzyć rozjuczenia jaków przybyłej karawany.

Zapadał zmierzch. Lamowie zaprosili gości na posiłek do swych mieszkań na piętrze ponad świątynią. Rozmowa toczyła się na temat legendarnego stworu, zwanego przez krajowców mi-te. Lamowie po wysłuchaniu relacji Pandita Davasarmana o przygodzie, jaka spotkała ich w drodze do klasztoru, stwierdzili, że w tej okolicy dość często napotykano ślady mi-te. Nieznane stwory nawet kilkakrotnie zbliżały się aż do klasztornej wioski.

Tomek, mimo niezwykłego dlań tematu rozmowy, odczuwał dokuczliwe pieczenie oczu, toteż w porozumieniu z ojcem pierwszy udał się na spoczynek, pozostawiając towarzyszy na pogawędce z lamami.

Karawana miała wyruszyć w drogę wczesnym rankiem, by jak najprędzej dotrzeć do klasztoru w Hemis. Od granicy Kaszmiru dzieliło podróżników jeszcze tylko kilka dni drogi. Tam mieli zamiar dłużej odpocząć. Zaledwie zajaśniał świt następnego ranka, konie i jaki stały już przed klasztorem gotowe do drogi.

Tomek po źle przespanej nocy był małomówny i osowiały. Nie zwracał uwagi na odświętnie odzianych dzisiaj, żegnających ich mnichów. Zaraz siadł na konia, osłaniając dłonią łzawiące oczy. Sędziwy opat osobiście odprowadził karawanę aż do bębnów modlitewnych.

— Ga-le-Ga-le-pe![*] — zawołał na pożegnanie.

Karawana raźno posuwała się płytkim, górskim wąwozem. Po godzinie jazdy wąski upłaz wyprowadził ich do wysoko zawieszonej kotliny. Tutaj Tomek raptownie wstrzymał wierzchowca. Obydwiema dłońmi zasłonił oczy. Smuga, jadący tuż za nim, zaledwie spojrzał na przyjaciela, zaraz zeskoczył z konia. Podbiegł do Tomka. Spod palców młodzieńca spływały grube krople łez.

— Tomku, Tomku, co ci się stało? — zawołał Smuga. — Andrzeju, hop, hop, zatrzymajcie się wszyscy!

Otoczyli Tomka. Ojciec pomógł mu zsiąść z wierzchowca.

— Co ci jest, Tomku? — pytał zaniepokojony.

— Nie wiem, oczy mnie bardzo pieką i mocno łzawią — odparł Tomek. — Zupełnie nie mogę patrzeć na śnieg.

Spod zaciśniętych kurczowo powiek, zaczerwienionych i obrzękłych, wypływały obficie łzy.

— Snow-blindness![*] — po angielsku zawołał Pandit Davasarman.

— Masz rację, Pandicie, to jest tak zwana "biała ślepota" — potwierdził zafrasowany Smuga.

---

[*] . Szczęśliwej drogi; proszę, jedźcie powoli.

[*] . Snow-blindness (czytaj snou blajndnes) — czasowa ślepota, spowodowana paraliżem wzroku promieniami słonecznymi odbitymi na śniegu. Ophtalmia nivalis — popularnie zwana białą ślepotą. Promienie ultrakrótkie, które występują w dużej ilości na znacznych wysokościach, gdzie nie są pochłaniane przez ziemię — działają szkodliwie na oczy. Często powodują u człowieka jałowe zapalenie oczu, przejawiające się silnym przekrwieniem (spojówki, siatkówki), mocnym pieczeniem, obrzękiem, łzawieniem i światłowstrętem. Czasem występują wtedy ubytki w polu widzenia. W szczególnie ciężkich przypadkach może grozić ślepota na całe życie.

— Zapewne wczoraj doznałeś porażenia oczu, gdy zgubiłeś okulary goniąc rzekomego Śnieżnego Człowieka — powiedział Wilmowski. — Nie możemy jechać dalej. Albo tutaj rozłożymy obóz, lub może lepiej wróćmy do klasztoru.

— Czy to długo będzie mi tak dokuczało? — zapytał Tomek.

— Nie martw się, sahibie, choroba nie potrwa dłużej niż kilka godzin. W najgorszym przypadku za dzień lub dwa będziesz zdrów — pocieszył go Davasarman.

— Pandit ma rację, trzeba tylko natychmiast przerwać szkodliwe dla oczu działanie promieni słonecznych, a wszystko będzie dobrze — dodał Smuga. — Więc co robimy, czy pozostaniemy tutaj, czy też wracamy do klasztoru?

— Zostańmy tutaj — poprosił Tomek. — Źle się czuję w zaduchu klasztornym.

— Jakbyś mi to z ust wyjął, brachu. Te kręcimłynki działają człowiekowi na nerwy. Grunt to świeże powietrze — poparł go bosman. — Zaraz postawimy namioty i będziesz sobie leżał jak król!

Wkrótce Tomek spoczywał na wygodnym posłaniu w namiocie z oczyma osłoniętymi chustką. Nadszedł wieczór. Przemywanie oczu ulżyło cierpieniom Tomka, a jego towarzyszom przywróciło lepszy nastrój; niedługo po kolacji udali się na spoczynek.

Tomek drzemał, to znów budził się. Podświadomy niepokój nie pozwalał mu zasnąć. Starał się uspokoić myśleniem o Sally. Co porabia teraz? Czy bardzo niecierpliwi się tak długim brakiem wiadomości od niego?

Chciałby już jak najprędzej wrócić do Londynu i ujrzeć ją, a tymczasem przez nieostrożne zgubienie okularów sam spowodował przymusowy postój. Oby zapalenie oczu jak najprędzej minęło! Pandit Davasarman mówił, że podczas takiej choroby człowiek ulega nawet czasowej ślepocie. Gdyby wyszedł z namiotu i zdjął opaskę, mógłby sprawdzić, czy dobrze widzi. W nocy przecież nie ma słońca...

Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w głębokie oddechy śpiących towarzyszy. Potem ostrożnie siadł na brzegu posłania. Spod jaśka wyciągnął spodnie, ubrał się, nałożył kożuch i buty. Po omacku dobrnął do wyjścia z namiotu. Świeży, mroźny powiew wiatru owiał jego rozgorączkowaną twarz. Szybko zdjął opaskę z oczu. Postąpił kilkanaście kroków. Jak poprzez grubą mgłę majaczyła olbrzymia tarcza księżyca. Obraz był zamazany, niepełny. Tomek ciężko westchnął. Zaczął rozglądać się wokoło, lecz choć wytężał wzrok, nie widział dobrze. Postanowił wrócić do namiotu, nie mógł doń jednak trafić. Poruszał się ostrożnie to w przód, to w tył, macał w powietrzu rękoma. Po chwili stwierdził, że zupełnie nie orientuje się w kierunku. Przystanął bezradnie. Przypomniał sobie, że do kotliny wiódł wąski upłazik, obramowany tylko z jednej strony przez stromą górską ścianę. Błądząc po omacku, łatwo mógł stoczyć się w przepaść.

"Będę chyba musiał zawołać o pomoc": — pomyślał.

Nagle jakieś silne dłonie chwyciły go za ramiona. Jednocześnie szorstka, zimna dłoń zatkała mu usta. Nieoczekiwany napad na krótką chwilę poraził Tomka, lecz niebawem

chłopiec zapanował nad sobą. Nadludzkim wprost wysiłkiem wyszarpnął z kleszczowego uścisku jedną rękę. Odtrącił dłoń kneblującą usta. Teraz spróbował oswobodzić się i wtedy właśnie dotknął włochatego cielska.

"Ratunku... Yeti!" — straszliwie krzyknął Tomek.

Echo jeszcze niosło po górach jego rozpaczliwe wołanie o pomoc, a tymczasem on sam został już całkowicie obezwładniony. Ktoś wziął go na ręce i niósł w nieznane. Słyszał z dala przerażone okrzyki przyjaciół. Potem huknął strzał. Odpowiedział mu głuchy łomot i szum toczącej się masy śnieżnej.

— Durniu, cóżeś zrobił najlepszego?! — krzyknął Smuga, wyrywając bosmanowi karabin.

— Rany boskie, już po nich — zawołał marynarz, chwytając się rozpaczliwie za głowę.

Grupa mężczyzn w niemym przerażeniu spoglądała na sunącą z góry pyłową lawinę śniegu, która szybko wypełniała zaklęsłości terenu. Nawet jeśli stwory unoszące chorego Tomka nie zostały strącone w otchłań górską pędem lawiny, to i tak pościg za nimi został udaremniony.

Bosman bezwiednie wycierał dłonią pot spływający z czoła. To on właśnie pierwszy wybiegł z namiotu zaalarmowany przeraźliwym wołaniem Tomka o pomoc. To on wystrzelił z karabinu, widząc, że jakieś stwory, unoszące jego druha, znikają na ścieżce upłazu. Huk nieszczęsnego strzału spowodował oberwanie się lawiny. Podróżnicy w milczeniu i zupełnym bezruchu spoglądali w mrok nocy.

ZAKOŃCZENIE - POWITANIE WSCHODU SŁOŃCA

Tomek nie wiedział, gdzie się znajduje. Kto go porwał i dokąd uprowadził?! Odzyskał już wprawdzie swobodę ruchów, lecz szara mgła nadal przysłaniała mu piekące boleśnie oczy. Natężał wzrok. Chwilami zdawało mu się, że poprzez mgłę przeziera czerwony odblask, jakby płonącej pochodni, lecz mogło to być przywidzenie, tak jak i te głuche pomruki wydobywające się z ludzkich czy zwierzęcych gardzieli.

Tomek nie znał uczucia lęku. Zaskoczenie nieoczekiwanym napadem dawno już minęło. Teraz starał się w myślach rozwikłać zagadkę porwania, szukał drogi ratunku. Czego chciały od niego dziwaczne stwory, których obecność doskonale wyczuwał. Zdawało mu się, że wprowadzono go do jakiegoś lochu lub pieczary. Pozwolono mu poruszać się, więc krok za krokiem obszedł swe więzienie, dotykając dłońmi zimnych, szorstkich ścian. Woń stęchlizny mieszała się z jakimś mdłym zapachem. Przysiadł na twardo ubitej ziemi. Pandit Davasarman, a także i Smuga twierdzili, że po kilku godzinach odzyska wzrok. Postanowił cierpliwie oczekiwać tej chwili. Wtedy ujrzy tajemnicze stwory, które, jak mu się zdawało, umykały z drogi, gdy zbliżał się do nich. Może uda mu się wymyślić jakiś sposób ratunku.

Tomek siedział oparty plecami o jakiś zimny głaz. Chociaż wyczuwał obecność nieznanych istot i czuł ich natarczywe spojrzenia na sobie, nie domyślał się, kim one były. Tymczasem lamowie, oni to bowiem byli, spoglądali na niego z zakłopotaniem. Więc jednak pomylili się! Ten biały człowiek nie był wcieleniem ich zmarłego opata, który umierając zapowiedział, że pod inną postacią kiedyś znów powróci do swego klasztoru i wówczas wszyscy z łatwością go poznają. Młody, biały człowiek wprowadził ich w błąd swoim zachowaniem. Najpierw obrócił bęben modlitewny. Potem z tylu różnych przedmiotów leżących na ławie, podniósł kolejno trzy pamiątki pozostałe po zmarłym świątobliwym mężu. Sędziwemu opatowi zdawało się, że skooshok — czyli wcielenie zmarłego jego poprzednika, przybyło do klasztoru i tak widocznymi znakami dawało się im poznać. Tego samego wieczoru biały podróżnik uległ tak dobrze im znanej chorobie oczu. Stary opat od razu to zauważył, bacznie mu się przyglądając przez cały wieczór. I to również poczytał za cudowne zrządzenie losu. Choroba taka szybko się rozwijała i mogła zmusić podróżnika do

zatrzymania się w klasztorze. Wbrew jego przewidywaniom biali ludzie nie zorientowali się w sytuacji i wyruszyli w drogę. Wtedy opat posłał za nimi kilku silnych mnichów, umyślnie ubranych w długie kurtki sporządzone ze skór jaków. Polecił im podczas nocy uprowadzić chorego młodzieńca, gdyż nie wątpił, że z jego powodu karawana niebawem będzie musiała zatrzymać się na dłuższy postój. Sędziwy, naiwny opat nie chciał uczynić Tomkowi krzywdy. Postanowił jedynie przeprowadzić jeszcze jedną próbę, czy ów biały młodzieniec naprawdę jest skooshok zmarłego świętego męża. Otóż w podziemiu klasztornym stał srebrny czorten, w którym spoczywało serce dawnego opata. Jeśli oślepiony zrządzeniem losu młodzieniec, po wejściu do podziemia, zbliży się samorzutnie do czortenu, będzie to chyba już najbardziej oczywistym dowodem. Tak świątobliwy mąż, jak zmarły opat, nawet w innym wcieleniu wyczułby, gdzie znajduje się jego serce.

Biali podróżnicy opowiadając lamie o swej dziwnej przygodzie w drodze przez góry do klasztoru, sami podsunęli mu myśl upozorowania porwania przez Yeti. Dlatego opat polecił swym mnichom ubrać się w kosmate kurtki, aby podczas nocy mogli sprawiać wrażenie nieznanych stworów. Plan powiódł się całkowicie. Oto biały młodzieniec znajdował się w klasztorze, lecz mimo dłuższego przebywania w grobowcu, nawet głowy nie zwrócił w kierunku czortenu, kryjącego bezcenną relikwię. Wobec tego nie mógł być wcieleniem zmarłego opata.

Doszedłszy do takiego wniosku, sędziwy lama na migi wydał polecenie swym podwładnym. Po chwili wnieśli miseczki napełnione wywarami ziół. Opat zbliżył się do biednego młodzieńca. Łagodnym ruchem dłoni dotknął jego twarzy. Długo spoglądał w niewidzące oczy. Potem przemył je wywarem ziołowym, przyłożył kompresy i zawinął miękkim, grubym, wełnianym bandażem. Teraz podsunął młodzieńcowi do ust drewnianą czarkę napełnioną cierpkawym napojem i łagodnymi ruchami rąk zmusił do wypicia.

Tomek z wolna usypiał. Gdy bezwładnie osunął się na ziemię, lamowie wynieśli go z grobowca i ułożyli na noszach. Szczelnie okrytego miękkimi skórami ponieśli w kierunku obozu podróżników. Obok noszy szło kilku lamów z zapalonymi pochodniami.

W dwa dni później karawana zjechała z przełęczy w szeroką dolinę. Zawieja śnieżna właśnie ustała na krótko przed świtem, więc podróżni skorzystali z okazji, i jak to czynili podczas wędrówki przez ten surowy kraj, wcześnie wyruszyli w drogę.

Pandit Davasarman szedł pieszo, prowadząc za uzdę wierzchowca, na którym siedział Tomek z zabandażowanymi oczyma. Znajdowali się na czele karawany, tuż za Tybetańczykiem, jadącym na jaku. Małomówny Pandit Davasarman co chwila spoglądał na Tomka. Wciąż jeszcze rozmyślał o dziwnym wydarzeniu.

Ile to straszliwych obaw przeżył po uprowadzeniu chorego Tomka z obozu przez tajemnicze stwory! Tej strasznej nocy przez wiele godzin nie zaznał ani chwili spokoju. Niezwykłe i nieoczekiwane porwanie, a potem stoczenie się lawiny napełniło jego mężne

serce bólem i obawą. Wtedy wszystko by oddał za życie młodego, szlachetnego białego sahiba. Nie mógł patrzeć na rozpacz ojca i jego przyjaciół. A potem, gdy nad ranem lamowie przynieśli do obozu uśpionego Tomka, jakże cieszył się z wszystkimi! Ani przez chwilę nie wierzył tłumaczeniom mnichów, że to Yeti porwały białego sahiba i pozostawiły go na stopniach klasztoru.

Pandit Davasarman zbyt dobrze znał przesądy buddyjskich lamów, aby nie domyślić się prawdy. Przecież lamowie wierzyli, że świątobliwy mąż umierając oznajmia, kiedy i gdzie znów narodzi się w nowym wcieleniu. Aby sprawdzić, czy nie zachodzi pomyłka, podsuwali dziecku mającemu w ich mniemaniu być wcieleniem zmarłego, przedmioty, które należały do niego za życia. Jeśli dziecko przypadkowo wzięło do rąk jego dawną własność, uznawano je za nowe wcielenie. Pandit Davasarman domyślił się teraz, że Tomek w świątyni brał do rąk i pilnie oglądał dzwonek, sztylet i różaniec, zapewne przedmioty zmarłego opata. Czyż nie wskazywało na to zmieszanie i podniecenie lamów? Dlatego też zapewne uprowadzili Tomka, by dokonać jeszcze jakiejś próby.

Hindus uśmiechnął się do swoich myśli.

Świt zaróżowił niebo. W zamglonej dali górskich pasm ozwało się głębokie huczenie trąb. Pandit Davasarman wstrzymał konia cuglami.

— Czy słyszysz, szlachetny sahibie? — odezwał się do Tomka. — To lamowie w klasztorze w Hemis witają wschodzący nowy dzień. Już jesteśmy bezpieczni. Odpoczniemy w klasztorze. Za kilka dni będziesz całkowicie zdrowy. Odwiedzimy sir Younghusbanda, by opowiedzieć mu nasze przygody. Potem odbędziemy wycieczkę do Alwaru. Mówię "wycieczkę", bo przecież będzie to już naprawdę tylko przejażdżka w porównaniu z tym, co przeżyliśmy podczas naszej niezwykłej wyprawy. Moja siostra z radością cię powita, szlachetny sahibie.

Tomek uśmiechnął się na myśl o spotkaniu z księżną Alwaru. W wyobraźni jego zarysował się obraz pięknej maharani, lecz zaraz przysłoniła go tak droga Tomkowi twarzyczka Sally.

— Hola, panowie! Dlaczego się tak wsłuchujecie w to buczenie trąb? — zawołał bosman, podjeżdżając do nich z resztą wyprawy.

— To lamowie w Henis witają nowy dzień — wyjaśnił Tomek. — Nareszcie szczęśliwie dobijamy do portu.

— Jakbym się balsamu napił — powiedział bosman. — Ha, wobec tego już niezadługo ujrzymy naszą sikorkę w Londynie. Stęskniłem się za nią!

— Niech pan tylko nie myśli, że więcej ode mnie! — zaoponował Tomek.

— No, nareszcie się zdradziłeś, obłudniku — roześmiał się bosman. — Od dawna tego się domyślałem.